

MARJORIE
M. LIU

Pocałunek łowcy

Przekład
ANNA BŁASIAK

AMBER

Mamie, która nauczyła mnie grać ze słuchu, i tacie, który mówił, żebym tego nie robiła...

Och, te kłamstwa są niemal tak mocne jak życie. Zeszłej nocy śnił mi się labirynt, Obudziłem się daleko w głębi. Nie znałem tego miejsca.

Eldwin Muir

Prolog

Gdy miałam osiem lat, matka przegrała mnie w karty z zombie.

Nie jej wina. Była śnieżycą. Sześć godzin do zachodu słońca, zgubiłyśmy się na krętej drodze gdzieś na prowincji. Zła mapa. Zero widoczności. Droga oblodzona, porywisty wiatr.

Pamiętam szarpnięcie pasów bezpieczeństwa. Nasze kombi wpada w poślizg i ryje w zaspę sięgającą do okna. Zgrzyt metalu: krawędź zderzaka, przednie koło, moje drzwi. Koszmarny, głośny chrzęst.

Utknęłyśmy. Samochód się rozkraczył. Zdechł. Matka pokazała mi tkwiące w śniegu kolce. Małe, metalowe gwiazdki o tak ostrych końcówkach, że ukłuły mnie w rękę, gdy się schyliłam, żeby ich dotknąć. Wskazała opony. Poszatkowane. Strzępy gumy. Powiedziała, żebym się nie martwiła. Ze to taka zabawa.

Odsznużyła drogę. Przyglądałam się jej z twarzą przyciśniętą do zimnej zaparowanej szyby. Żonglowała dla mnie gwiazdkami i kolcami. Nawet się nie skrzywiła, gdy ostre końcówki odskakiwały od jej wytatuowanych dłoni. Tańczyła w padającym śniegu; lśniące oczy, zarumienione policzki. Już nie mogłam dłużej spokojnie usiedzieć i do niej dołączyłam. Złapała mnie za przeguby i kręciła mną duże koła, aż upadłyśmy.

Pamiętam jej śmiech. Pamiętam. Pamiętam, że nie chciałam z nią iść. Chciałam zostać w samochodzie. Chciałam zostać w domu, w znajomym wnętrzu wraka. Słuchać radia. Bawić się lalkami. Matka nie pozwoliła. Zbyt niebezpieczne. Za dużo świrów. Byłam za mała, by w razie czego użyć strzelby schowanej pod siedzeniem pasażera albo nawet pistoletu ze schowka. Poza tym chłopcy jeszcze spali. Wszystko się mogło zdarzyć.

Otuliłyśmy się ciepło i zaczęłyśmy przedzierać w głuchej ciszy śniegu, wśród ciągnących się w nieskończoność, zamrzniętych kości białych, widłowych drzew. Matka niosła mnie na plecach. Widziałam: srebrzyste chmurki mojego oddechu spowijają jej tatuaże na karku, to leniwe, czerwone oko Zee, który wpatruje się we mnie przez sen. Pod czarnym, wełnianym płaszczem matki wyczuwałam zgrubienia noży. Dla każdego poza kobietą, która nie czuje chłodu, za lekkim i za krótkim na taką śnieżycę. Słyszałam piosenkę, jaką śpiewała w takt chrzęstu śniegu pod jej nogami na pustej drodze. Folsom Prison Blues. Głos jak światło słoneczne i dudnienie powolnego pociągu.

Przeszłyśmy z półtora kilometra. Jakiś bar. Przystanek na pustkowiu. Na totalnym zadupiu. Prosta buda, neony układające się w kształt nagiej kobiety migotały przez brudne, przyciemniane okna. Brodawki zapalały się i gasły. Ciężarówka na wąskim, odsznużonym, posypanym solą podjeździe. Zapach smażonego jedzenia i spalonego oleju silnikowego w moich nozdrzach.

Na widok baru matka zawahała się, tak jak wcześniej, gdy mijaliśmy go samochodem. Zachwiała się, szarpnęła ramieniem. Obie byłyśmy całe w śniegu. Nie widziałam jej twarzy, ale wyczuwałam napięcie. Wciągałam je z powietrzem do płuc. Spojrzałam w dół i zobaczyłam Zee - zaspany wiercił się na jej skórze. Tatuaże zaczynały się odrywać.

Weszłyśmy do baru. Matka puściła drzwi; zatrzasnęły się za nami. Nic nie widziałam: za ciemno, za dużo dymu, głośnie od śmiechu i rockowej muzyki. I gorąco jak w piecu, zwłaszcza po chłodzie śnieżycy. Przywarłam do matki, twarz przycisnęłam do jej karku. Nie ruszała się. Nic nie mówiła. Stała tyłem do drzwi, tak nieruchomo, że nawet nie czułam jej oddechu. Nagle wszystkie głosy zamilkły. Muzyka - niskie, nierówne zawrozczenie elektrycznych gitar - ucichła jak nożem uciął. Nastąpiła cisza. Zimna, ciężka jak śnieg. Brzemienista - takiego określenia bym użyła. Pełna wyczekiwania, nabrzmięta czymś żywym, ruchliwym, dojrzewającym w jej ciemnej, zadymionej macicy.

- Tropicielka demonów - rozległ się jakiś głęboki, niski głos. - Pani Tropicielka.

Wyjrzałam matce zza ramienia, zza jej rozpuszczonych, czarnych loków przysypanych śniegiem. Ścisnęła mi nogę. Nie posłuchałam. Nie mogłam się powstrzymać. Nadal słabo widziałam. Nad barem pojedyncza lampa. Ognisty okrąg poświaty nie obejmował nielicznych mężczyzn i kobiet rozproszonych po barze jak pchły w zadymionym cieniu. Nieruchomych. Upozowanych. Przyczajonych. Ubrani we flanelowe koszule i dzinsy, przygniecenici ciężkimi płaszczami, matowymi i podartymi. W kapeluszach wciśniętych nisko na czoła. Z oczami niczym stare studnie - ciemnymi, pustymi. Tylko na samym dnie migotało słabo odbite światło. Aury czarne jak smoła. Zakotwiczone, naprężone. Jakby na głowach miały widmowe korony.

Przed moją matką stał jakiś facet. W granatowym garniturze i krawacie w paski, który lśnił stalowo, tak jak jego oczy. Kręcone, jasne włosy. Kwadratowa szczęka. Przystojny, może. Przystojny diabeł. Zombie.

Oni wszyscy to zombie. Ludzkie skorupy. Żywe, oddychające, opętane.

Matka spuściła mnie na ziemię. Złapałam się kurczowo jej płaszcz. Staralam się wyglądać niepozornie. Zdawałam sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Wiedziałam, co nam grozi. Potrafiłam rozpoznać demona.

Matka podniosła rękę. Między jej wytatuowanymi palcami błysnął metal. Gwiazda z drogi. Kolczasta. Zombie się uśmiechnął. Też uniósł dłoń. Trzymał w niej talię kart.

- Chcemy tylko zobaczyć - powiedział. - Raz. Wiesz, jak jest.

- Wiem dość.

Jej głos brzmiał bardzo zimno. Niemożliwe, żeby to była ta sama kobieta, moja matka. Zaciśnęła dłoń na kolcach - wbiły się w skórę, ale jej nie przekłuły. Jakkolwiek mocno by ścisnęła. Patrzyłam na jej dłoń, napięte ścięgna. Czułam jęk metalu.

Zombie uśmiechnął się szeroko.

- Wyciągamy po jednej karcie. Wyższa wygrywa.

- A jeśli odmówię?

- Teraz albo później. Znasz zasady.

- Wy je wypaczacie - odparła matka. - Wypaczacie ten świat.

- Jesteśmy demonami - stwierdził po prostu i zrobił krok w stronę zniszczonego baru, ze zdartym blatem pokiereszowanym latami twardych łokci i tłuczonego szkła.

Przepełnione popielniczki. Skupiska butelek. Wszystko lepkie od odcisków palców; nawet powietrze naznaczone dymem i potem.

Matka nie spuszczała oczu z zombie. Powiodła wzrokiem po wszystkich dookoła, wzruszyła ramionami. Płaszcz zsunął jej się wolno i opadł na ziemię koło mnie. Nie miała na sobie za wiele. Obcisły, biały top bez rękawów, futerał na noże. Srebrne tatuaże, które oplatały jej ramiona, migotały na czerwono. Oczy szeroko otwarte, przenikliwe.

Nikt się nie ruszył. Nawet zombie w garniturze zamarł. Zobaczyłam, jak ich aury gęstnieją i zaczynają mocniej, szybciej pulsować. Matka się skrzywiła. Wzięła mnie za rękę. Ucisnęła ją raz i doprowadziła mnie do baru, gdzie czekał zombie, wychylony na stołku. Już się nie uśmiechał. Wpatrywał się w tatuaże. Drgały mu powieki.

Matka postukała palcem w bar.

- Ostatnio były szachy.

- Miałaś dziesięć lat - odpowiedział, odrywając wzrok od jej ramion. -1 to była gra twojej matki. A ty to nie ona.

Zaciśnęła wargi.

- Pokaż karty.

Zombie położył je na kontuarze i się odsunął. Przetasowała karty. Jej wzrok przesunął się dookoła i raz spoczął na mnie.

Przełożyła karty. Potem zrobił to zombie. Każde potasowało talię trzy razy. Przekładanie kart brzmiało jak wystrzały. Zaszło mi w ustach. Serce łomotało w piersiach. Złapałam się nogi matki, a ona zatopiła palce w moich włosach. Przytuliła mnie mocno. Zombie wyciągnął jedną kartę i odłożył na bok. Matka zrobiła to samo.

- Dwójka karo - powiedziała twardo, jakby chciała kogoś zabić.

Zombie milczał. Odślonił swoją kartę i popchnął w stronę matki. Wbiła w nią wzrok. Zaciśnęła dłoń w moich włosach. Zagryzła zęby.

- Jeśli uciekniesz, następnym razem będzie gorzej - ostrzegł cicho. - Chyba pamiętasz.

- Za dużo oczekujecie.

- Biorąc wszystko pod uwagę, prosimy o bardzo niewiele. Tylko jedno spojrzenie. Bezbolesne. - Zombie nachylił się do niej. - Nie bądź swoją matką.

Zmroziła go wzrokiem. Zsunął się ze stołka. I nagle w całym pomieszczeniu zaczął się ruch. Cienie pełzały jak robale. Zombie wstawali, szli przez bar. Zbliżali się. Czarne oczy. Wijące się aury. Matka stanęła przed nimi. Nie zauważyłam ruchu jej dłoni, ale palce się naprężyły i błysnął w nich nóż. Bez rękoności, samo ostrze. Jak żyłotka. W drugiej ręce trzymała kolczastą gwiazdkę.

Zombie rozluźnił sobie krawat.

- Przecież nas wszystkich nie pozabijasz. Skrzywdziłabyś naszych żywicieli. A są niewinni, co do jednego.

Matka nic nie powiedziała. Ani drgnęła. Prawie nie oddychała. Zaciśnęła palce na ostrzu, odwróciła się i zasłoniła mi cały widok. Spuściła na mnie wzrok. Spojrzenie miała puste i niesamowicie ponure. Oczy czarne jak język demona, lecz nie tak zimne.

- Nie bój się - wyszeptwała.

Próbowałam ją przy sobie przytrzymać, ale mi się wymknęła i w jej miejsce pojawili się zombie. Było ich tak dużo. Szerocy w barach, wielcy jak góry. Jeden przy drugim. Z gorącymi oddechami. Śmierdzieli potem i mokrą wełną. Ich twarze ginęły w cieniu. Zombie w garniturze nachylił się do mnie. Zgiął palec w haczyk. Pamiętam lodowaty wstrząs. Łomotanie serca. Myślałam, że zasadzali się na moją matkę, ale chodziło o mnie. To mnie chcieli.

- Entliczek, pentliczek, czerwony stoliczek - mruknął zombie; oczy błyszczały mu srebrzyście. - A na tym stoliczku pleciony koszyczek.

Złapał mnie jedną ręką za zuchwę. Ścisnął. Popchnął w dół, aż znalazłam się na kłęczkach. Zabrakło mi tchu. Czułam, że wypływają ze mnie wszystkie myśli - o zachodzie słońca, chłopcach i matce. Chciałam, żeby mnie uratowała. Chciałam tego tak bardzo, ze wszystkich sił. Chciałam zrozumieć, co się dzieje.

Chciałam zrozumieć.

Nie mogę zapomnieć. Trawiona i ścigana - wiem, co to znaczy, być ściganą - karmiąca te istoty własnym strachem i bólem, rozdawana na prawo i lewo jak tanie cukierki. Demony w skradzionych, ludzkich powłokach wpatrywały się w mnie ciemniejszymi oczami, szukając słabych punktów, wejścia do mojego umysłu. By przemienić mnie w jednego z nich. W zombie. Zainfekować pasożytem.

Zaczęłam walczyć. Musiałam. Pamiętam głosy w głowie. Szepty i zawrota. Zee z chłopcami szalejący w snach. Pamiętam swoje serce. Otworzyło się niczym krwiste usta i posmakowało przerażenia...

A potem je ze mnie wygryzło. Moje serce pozbyło się strachu, odrzuciło go. I wpuściło na jego miejsce coś innego.

Coś ze mnie. Coś mojego. Zrodzonego w trzewiach. To była ciemność głęboka i rozległa, wiecznie martwa i wiecznie zimna. W duszy rozpoczęło się powolne, niepewne zmartwychwstanie, pojawił się okropny, ziejący głód. Rozlał się po żyłach i kościach, jak gdyby każda komórka ciała narodziła się pusta i zmrożona, a teraz - tutaj - napełniła się nektarem, miodem i mlekiem.

Do wzięcia. Do zabrania. Do zabicia.

Nigdy nie czułam takiej przejrzystości umysłu jak wtedy. Nigdy nie czułam się tak silna. Byłam w stanie zabić tych zombie. Zabiłabym ich wszystkich. Ośmiolatka. Gotowa zabijać. Głodna tego. Aż mnie skóra świerbiła, a mięśnie się wyciągały. Wrywałam się do tego całą duszą, całą sobą. Sięgałam po demony.

Zombie puścił moją twarz. On mnie puścił, a ja złapałam go za rękę. Podniosłam ją do ust. Rozprzestrzeniła się szara bladeść - jakby pod jego skórą pękła kamienna powłoka, zimna i martwa. Ukradłam go. I poczułam smak demona we własnej krwi. Bogaty i kwaśny niczym trochę gorzkawy miód.

Ciemność rosła. Widziałam ją. Zamknęłam oczy, żeby lepiej zobaczyć. To nie była zwykła próżnia, pod moją skórą kryła się jakaś istota. Kręciła się i wierciła, lśniła jak obsydian w świetle księżyca, połyskliwa, śliska i ostra.

Oczy zombie uciekły w tył głowy. Jego przyjaciele chwycili go - ręce pod ramionami, w poprzek torsu, we włosach. Szarpali mocno i odciągali ode mnie. Nie mogłam utrzymać jego przegubu. Wysłizgnął się. Wszyscy polecili do tyłu. Ruszyłam za nimi. Coś kazało mi za nimi iść.

Matka wskoczyła między nas i mnie złapała. Przycisnęła mocno do siebie, bo się wrywałam i chciałam dalej biec za gorącym smrodem zombie - tych małych, przerażonych demonów - który mnie zaślepił i wywoływał głód. Matka wypowiedziała moje imię, moje imię - Maxine, Maxine - i ujęła dłońmi moją twarz. Zmusiła mnie, żebym na nią spojrzała. Chłopcy, tatuaże śpiące na jej dłoniach, pocałowali mnie w zarumienione policzki.

Połąknęli ciemność. Ze zdrażliwą czułością owinęli mi się wokół duszy i zamknęli serce niczym drzwi - jakby nigdy się nie otworzyły, nigdy nie istniały. Zjedli klucz. Morderstwo, głód i śmierć - obsydian i światło księżyca - pozostały tylko złym snem.

Zły sen. Mniej niż sen i więcej niż sen, a minęło tyle lat. Pamiętam matkę w tamtej chwili - jej brak tchu, miękkość rysów. A za nią zombie w garniturze, rozciągnięty na podłodze, z poszarzałą skórą i otwartymi, wbitymi w przestrzeń oczami. Pamiętam jego szept, wolny, ciężki świst oddechu.

- Zdała - powiedział. - Ma dość siły, by zabić innych. Jest w stanie ich zabić.

Matka milczała. Przytuliła mnie mocniej do siebie. Czułam bicie jej serca. Inni zombie się wycofali, zniknęli w cieniu - bardziej ciemne smugi niż ciała. Tylko zombie z lśniąco-czarnymi włosami i popękana skórą próbował zostać blisko. Wolno dzwignął się na nogi i zaczął tuż przy nas. Przyglądał mi się. Coś zatrzepotało mi w sercu, jakby chciało się wydostać. Matka ścisnęła mnie w ramionach. Zrobiła krok do tyłu, w stronę drzwi. Niosła mnie ze sobą. Zombie poszedł za nami, schylony. Wyciągnął rękę. Matka pokręciła głową.

- Zagrałam w waszą grę. Mielicie swój test.

- To nie była część testu. - Wskazał na siebie. - To się nie powinno wydarzyć.

Matka odwróciła się, a on złapał ją za ramię. Pozwoliła mu na to. Stała nieruchomo jak bryła lodu, gdy on przystawił wargi do jej uszu i wyszeptał słowa, których nie rozumiałam. Mówi długo, cicho i dobitnie. Patrzyłam, jak twarz matki się zmienia.

Zombie się odsunął. Skóra pasmami odrywała mu się z twarzy. W kąciach oczu pojawiły się krople krwi. Zachwiał się, jakby osłabł. Jakby umierał.

- Zrób to, Tropicielko. Nie warto ryzykować. Zabij ją. Możesz mieć drugie dziecko. Jesteś jeszcze młoda.

Matka zacisnęła wargi. Postawiła mnie na ziemi i pogłaskała po głowie. Delikatnie, krzepiąco. Ale w spojrzeniu czaiła się śmierć.

W jej dłoni pojawił się nóż.

Była szybka. Otworzyła drzwi baru i wypchnęła mnie prosto w śnieg. Upadłam na kolana. Drzwi za mną zatrzaśnięły się z hukiem. Próbowałam dostać się z powrotem do środka, ale klamka nie ustępowała. Zamknięte na klucz. Zaczęłam łomotać pięściami i wołać matkę. Wołałam i wołałam.

Z baru dochodziły krzyki mężczyzn. Zawrota kobiet. Odgłosy bólu, przerażenia i - teraz to wiem - umierania. Słuchałam, jak moja matka morduje. Zatoczyłam się do tyłu. Nie mogłam złapać tchu.

Cisza była jeszcze gorsza. Nie wiedziałam, kto wyjdzie ze środka. Gdy drzwi się w końcu otworzyły i zobaczyłam matkę, nadal nie byłam pewna, kto przeżył. Miała potargane włosy. Twarz zbryzganą czerwienią. Ciemne oczy płonęły

Nie wiem, co powiedziałam. Nie pamiętam. Gapiłam się. Tak, to na pewno. Próbowałam się nie wzdrygnąć, gdy uklękła i spojrzała mi w twarz. Pokazała swoje dłonie. Na palcach lśniła krew. Z wolna wsiąkała w wytatuowaną skórę. Chłopcy ją spijali. Karmili się.

- Nie chcę, żebyś to zapamiętała - szepnęła, dotykając mojego czoła. - Maleńka. Moja maleńka.

Ukradła mi to. Wspomnienie ukryte za snem. Nie wiem, jak to się stało, że tak dużo utraciłam - i jak ona to zrobiła. Mogę winić za to swój młody wiek. Byłam taka mała. Wszystko zapomniałam - nie przypomniało mi się też później, gdy już nabrałam doświadczenia. Sporo przeszłam, ale nawet wtedy nie pamiętałam tamtych zombie i baru, mojej matki i ciemności, poczucia osaczenia.

Co za naiwność. Myślałam, że jestem mądra. Myślałam, że wszystko wiem. Trzydzieści lat po tamtej chwili w śniegu matka zmarła na moich oczach od strzału w głowę. I wtedy wreszcie to do mnie dotarło. Przypomniałam sobie. Zrozumiałam.

Wszystko zrozumiałam.

Rozdział 1

Stałam obok byłego księdza w małej bocznej kuchni w schronisku dla bezdomnych i starałam się przekonać starszą kobietę, że marihuana to nie cukier, gdy drzwi ze stali nierdzewnej pchnął zombie i oznajmił, że właśnie przyszło dwóch detektywów z komendy policji w Seattle.

Nadstawiłam uszu. Usłyszałam szcęk garnków i krzyki z głównej kuchni, niski poszum głosów w jadalni, na tle muzyki klasycznej, którą zawsze puszczały podczas obiadu. Na dziś wybrałam Śpiącą królową Czajkowskiego. Muzyka pasowała do dudnienia deszczu w blaszane rynny i westchnień wiatru odbijającego się od zaparowanych szyb.

Nie słyszałam żadnych syren. Ani stłumionego echa policyjnych nadajników. Ani natrętnych głosów rzucających rozkazy i pytania. Chociaż tyle. Ale chłopcy na mojej skórze, ukryci pod długimi rękawami skórzanej kurtki i pod golfem, zaczęli się wiercić, niespokojni, pogrążeni we śnie. Dziś byli wyjątkowo nerwowi. Od świtu świerbiła mnie skóra. Niedobry znak. Gdy Zee i reszta kiepsko śpią, zwykle to oznacza, że ktoś powinien brać nogi za pas. A ten ktoś to ja.

- Niewiarygodne - mruknął Grant. - Powiedzieli, po co tu przyszli?

- Jeszcze nie. Ktoś musiał ich wezwać.

- Ale kto? Do wyboru, do koloru - odparł Rex, a demon w jego aurze aż zatrzepotał. - Przyciągacie ciekawskich jak grawitacja albo cycki w rozmiarze XL.

Stara kobieta nadal nie zwracała na nas uwagi. Nuciała sobie pod nosem skomplikowaną melodię z South Pacific. Była drobna i wychudzona. Prawie same kości. Nos złamany tyle razy, że przypominał stertę kamieni. Błada, pomarszczona skóra i długie włosy, białe jak śnieg. Żyłaste ręce pokryte starymi bliznami po igłach. Mnóstwo plastikowych bransoletek na nadgarstkach.

Mary - stała lokatorka przytułku. Kiedyś uzależniona od heroiny. Grant zabrał ją z ulicy - ponad rok temu. Jego projekt specjalny. Eksperyment w toku.

Patrzyłam, jak kobieta nachyla się nad czerwoną, plastikową miską wypełnioną po brzegi ciastem na herbatniki kakaowe z kawałkami czekolady. Prawą ręką niezbyt skutecznie mieszała ciasto parą długich, drewnianych pałeczek, a w drugiej trzymała szklany słój pełen drobnutko pokruszonej trawki, której było tyle, że mieszkańcy całego kwartału mogliby chodzić na haju przez tydzień.

Zerknęła z ukosa, żeby sprawdzić, czy Grant patrzy -patrzył, choć stał lekko odwrócony. Oboje aż się wzdrygnęliśmy, gdy Mary dosypała do ciasta kolejną porcję mary-chy i zaczęła energicznie mieszać.

- Musimy się tego pozbyć - powiedziałam. - Wysyp trochę do śmieci, a trochę do sedesu.

Grant zacisnął mocno dłoń na lasce, aż mu kostki pobieleły.

- Może gliniarze przyszli przez przypadek. Czasami wpadają na pogawędkę.

- Chcesz ryzykować?

- Spuszczenie w kibli dowodu rzeczowego nie załatwi sprawy piwnicy.

Popatrzyłam na starą skórę swoich kowbojek, jak-hym mogła przebić się wzrokiem niżej, do przepastnego podbrzusza magazynu, gdzie mieściło się schronisko. Kiedyś produkowano tu meble. W ciemnych, cienistych

kątach nadal stały i zachodziły kurzem wielkie maszyny do szycia i obróbki skóry. Na dole było mnóstwo kryjówek. Nieodkrytych miejsc.

Zwłaszcza jedno, za połamanyymi schodami. Natrafiliśmy na nie przez przypadek właśnie tego ranka. Pełno w nim było lamp grzewczych. A od ściany do ściany dzungla starannie pielęgnowanych, nielegalnie uprawianych roślin. Prowizoryczna operacja. I jedna stara hipiska w samym środku, która śpiewa piosenki swoim zielonym dzieciom i robi na drutach skarpetki prawdziwym dzieciom.

Szalona, urocza, słodka, stara Mary. Nie mam pojęcia, jak zdołała zorganizować tę podziemną plantację. Może ktoś jej pomógł. Albo ją w to wmanewrował. A może po prostu była pomysłowa i mocno zmotywowana. Tak czy inaczej trzeba było sprzątnąć ten bałagan. I to nie tylko ze względu na Granta - właściciela przytułku.

On lubił Mary. Lubił ją na tyle, żeby nagiąć dla niej swoje zasady moralne i wystawić reputację na szwank - trzymać ją za rękę i próbować wszystko jakoś załatwić. Ja też tego chciałam. Stara kobieta potrzebowała kogoś, kto by za nią wszystko załatwił. Nie przetrwałaby więzienia. Byłam pewna. On też. Nie przeżyłaby zakucia w kajdanki. Nawet ich błysku. Mary przypominała skrzydła motyla. Nieodpowiednio je potrzymaj i już nigdy nie wzbiją się w powietrze.

- W piwnicy jest grzech - zaświergotała uroczo, zupełnie nieświadoma sytuacji. - Jezu, zapal światło. Zabłyśnij, Panie, zabłyśnij.

Zombie parsknął śmiechem. Ohydny pełen kpiny odgłos. Wbiłam wzrok w Rexa i przestał się śmiać. Próbował wytrzymać moje spojrzenie. Graliśmy w tę grę od dwóch miesięcy. Dwa miesiące obchodziliśmy się dookoła. Walczyliśmy z własnymi instynktami.

Rex odwrócił wzrok. Roztrzęsionymi, szorstkimi dłońmi poprawił postrzępioną, czerwoną czapkę, którą nasadził sobie głęboko na siwą głowę. Wysoki kołnierz grubej, flanelowej koszuli okalał szczeciniastą szczękę. Skóra jego żywiciela była ciemna od pracy na słońcu przez całe życie. Świeże zacięcia i białe blizny pokrywały stwardniałe dłonie. Z łatwością nosił skradzione ciało. Stare demony -ci, którzy potrafią opętać dogłębnie - zawsze tak je noszą. Stuprocentowy demon w ludzkiej skórze.

Bał się mnie, ale dobrze to ukrywał. Zachowywał spokój na ludzkiej masce, lecz ja umiałam dostrzec drobiazgi. Wyczuwałam ich smak. Chłopcy na mojej skórze robili się od tego jeszcze bardziej niespokojni, w pozytywnym sensie. Lubimy, gdy zombie się nas boją. A jeszcze bardziej lubimy, gdy są martwi.

Grant spojrział surowo na Rexa. Przysunął się do mnie, opierając się ciężko o swoją rzeźbioną drewnianą laskę. Wysoki, szeroki w barach, z twarzą trochę zbyt kanciastą, by można ją nazwać ładną. Ciemne włosy spadały mu na kołnierz flanelowej koszuli, pod którą miał ciepły podkoszulek. Wytarte dżinsy, oczy o intensywnym wejrzeniu, brązowe niczym stary las w deszczu. Wyglądał jak wilk. Wilk to też myśliwy, tropiciel, choć inny niż ja. Grant był ode mnie milszy.

- Maxine - mruknął. - Dasz sobie radę z Mary? Do zachodu słońca zostały jeszcze dwie godziny, a to znaczyło, że przetrzymałabym wybuch nuklearny, atak straszzydła i spotkanie z ciężarówką klaunów naraz. Mimo to zawahałam się i przyjrzałam uważnie starej kobiecie, /łapałam Granta za koszulę, wspięłam się na palce i przystawiłam usta do jego ucha.

- Ona ciebie bardziej lubi.

- Ona mnie uwielbia - zgodził się ze mną. - Ale ja zajmę się policją.

Wypuściłam powietrze z płuc.

- Co mam zrobić?

Przesunął dłonią po mojej talii w górę, lekko naciskając.

- Bądź miła.

Odsunęłam się od niego i zobaczyłam smutny uśmiech.

- Za bardzo mi ufasz - wyszeptałam.

- Ufam ci, bo cię znam - szepnął mi na ucho. - I kocham cię, Maxine Kiss.

Grant Cooperon. Moja magiczna broń.

Która pewnego dnia wyśle mnie na tamten świat.

- No, dobrze - powiedziałam bez przekonania. - Mary i ja poradzimy sobie.

Uśmiechnął się i cmoknął mnie w czoło. Śpiew Mary się załamał. Zerknęłam na nią ponad szerokim ramieniem Granta. Wpatrywała się we mnie ciężkim wzrokiem. I nie tylko ona. Zombie miał taką minę, jakby zbierało mu się na wymioty.

Co tam. Piekły mnie poliki. Odchrząknęłam i zerknęłam na futerał fletu przewieszony przez ramię Granta.

- Zamierzasz użyć swoich czarów-marów?

- Tylko wdzięku osobistego - odparł z drwiną, cmoknął mnie w policzek i, kulejąc, wyszedł z małej kuchni.

Chora noga prawie wyginała się pod jego ciężarem przy każdym kroku. Rex popatrzył na mnie przelotnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale potem pokręcił głową i poszedł za Grantem przez drzwi wahadłowe.

Wierny zombie depczący po piętach swojemu Fleciście z Hameln. Moja matka przewróciłaby się w grobie. Gdyby miała grób. Wszyscy moi przodkowie by się przewrócili w grobach. Zabiliby Granta. Bez chwili namysłu. Morderstwo z zimną krwią.

Ziszczyliby go jak każdą inną istotę zagrażającą temu światu.

Zerknęłam na Mary. Zlizywała surowe ciasto z pałeczek i przyglądała mi się badawczo. Spróbowałam się uśmiechnąć, ale nigdy nie umiałam przywoływać uśmiechu na zawołanie, nawet wtedy gdy należało, nawet do zdjęcia. Zdołałam tylko sprawić, że lekko drgnęły mi kąciki ust. Wskazałam na słoik, który trzymała w ręce.

- Trzeba to gdzieś schować.

Mary nadal się we mnie wpatrywała. Zee poruszył się na moim karku - poczułam skurcz, jakby jego małe stopy z pazurami zaparły się o mój kręgosłup. Aż mnie od tego przeszył dreszcz. A może to przez Mary - gapiała się na mnie bardziej przenikliwie i z większą niepewnością. Jakby do niej dotarło, że jesteśmy same i mogę się okazać niebezpieczna.

Miała instynkt. Pożałowałam, że nie jestem lepsza w słowach. I że nie wiem, jak być sam na sam ze starą kobietą i nie czuć żalu za czymś, czego nie umiem nawet nazwać, ale od czego bolało mnie gardło, jakbym przez długi czas żuła coś gorzkiego, a pod językiem utknęła mi jak kamień gruda wielkości serca.

- Mary - odezwałam się znowu, tym razem łagodnie, i podeszłam bliżej.

Zastanawiałam się, jak zabrać słoik. Nie chciałam jej przestraszyć, ale trzeba było się pospieszyć. Bez względu na to, co mówił Grant, jakoś nie wierzyłam, że wizyta policji to przypadek. Nie ma tak łatwo. Zwłaszcza wtedy, gdy na coś zależy.

Zee drgnął. Nie zareagowałam na to, lecz chwilę później zaczęło mnie wiercić w żołądku, jakbym miała dostać rozwolnienia. To było na tyle dziwne, że zatrzymałam się i wsłuchałam we własne ciało. Dotąd nie chorowałam. Ani razu w życiu. Nie wiedziałam, co to kaszel czy gorączka. Nie potrzebowałam żadnych szczepień. Miałam też pancerny żołądek. Dajcie mi do zjedzenia coś kupionego na ulicznym straganie w Meksyku, ugotowanego na miejscowej wodzie, starym mięsie i podejrzanym serze - a ja i tak nawet nie beknę.

Lecz to mógł być początek czegoś. Roztarłam sobie ramiona i brzuch. Zee się przesunął, poczułam szarpnięcie w plecach. Pozostali chłopcy do niego dołączyli. Całe moje ciało, każdy centymetr kwadratowy zaczął mnie nagle palić, jakby wsadzono mnie do wrzącego oleju.

Zachwiałam się i ciężko oparłam o stół. Mary się wzdygnęła. Nie byłam w stanie jej uspokoić. Nie byłam w stanie myśleć. Jakby mnie ktoś ogłuszył. Nic nie byłam w stanie zrobić, bo nagle w oczach eksplodował mi ból, jakby ktoś brzytwą ścinał mi tkankę z oczodołów. Zgięłam się wół i mocno przycisnęłam palce do twarzy. Wbiłam je w skórę. Oddychałam przez usta. Kolana się pode mną ugięły.

Potem cisza. Ból ustał. Tak po prostu. Ni stąd, ni zowąd.

Zebrałam się w sobie, bez tchu, czekając na jego powrót. Czułam tylko widmowe echo bólu, który przepalał się przez moją czaszkę i skórę. Serce łomotało mi, zbierało mi się na wymioty. Kręciło mi się w głowie. Górna warga miała smak krwi. Z nosa leciała krew.

Wyczułam jakiś ruch. Podniosłam oczy zamglone od łez. Mary wpatrywała się we mnie i celowała pałeczkami, jakby to były jakieś czekoladowe, halucynogenne czarodziejskie różdżki. Jej niebieskie oczy patrzyły bystro. Kolana pode mną zadygotały. W uszach szumiała krew.

- Diabeł zawsze puka do drzwi jak jakiś gnój - wyszeptła.

Usłyszałam kroki i nierówne stukanie laski. Wyrwałam Mary słoik z trawką. Nie zwracając uwagi na jej pisk protestu, szybko podeszłam do zlewu i wrzuciłam zawartość słoika do młynka do odpadków.

Odkręciłam kran, nacisnęłam włącznik. Młynek zaterkotał, a ja ochlapałam sobie wodą twarz. Nadal miałam na dłoniach rękawiczki. Złapałam papierowy ręcznik, żeby wytrzeć krew z nosa, potem go zmięłam. Odwróciłam się w stronę wahadłowych drzwi i dokładnie w tej samej chwili stanął w nich Rex.

Jego aura miała gęstą i ciemną koronę, która pulsowała niczym plama ropy naftowej. Po raz kolejny zdziwiłam się, że ktokolwiek na tym świecie może się dać nabrać takim istotom jak on. Że demony biorą we władanie ciała swoich żywicieli, że przeskakują z jednej ofiary do drugiej i nikt nawet okiem nie mrugnie. Jak to możliwe, że ludzie są tacy ślepi? To groźne.

I jak to możliwe, że Grant nadal ciągnie ten swój eksperyment z zombie?

Szedł zaraz za Rexem. Oczy miał dzikie, zajadłe, mroczne. Coś się wydarzyło. Gdy tylko wszedł do kuchni, popatrzył na czubek mojej głowy. Wiedziała, że z aury jest w stanie wyczytać, że czuję ból. Już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale rozległy się kolejne kroki, więc posłał mi tylko ostrzegawcze spojrzenie. Do środka weszło dwóch mężczyzn.

Detektywi. Rozpoznałam ich, chociaż nie wiedziałam, jak się nazywają. Obaj po trzydziestce, krótko ostrzyżone włosy i porządne garnitury. Znałam ich z widzenia, bo od czasu do czasu wpadali do przytułku. Sprawdzali, kto się u nas kręci. Zamieniali słowo z Grantem. Kto raz był księdzem, ten księdzem pozostanie na zawsze. Ludzie nadal do niego przychodzili, żeby się wygadać.

Mężczyźni stali przez chwilę w milczeniu, przyglądając się Mary i Rexowi. A potem mnie. Staralam się zachować spokój, chociaż czułam się jak jeleń w świetle reflektorów nadjeżdżającego samochodu. Nie przepadam za policjantami. Ogólnie nie mam nic przeciwko nim. Większość odważa kawał dobrej roboty. I na tym właśnie polega problem. Złamałam w życiu zbyt dużo przepisów, by czuć się swobodnie w towarzystwie faceta z odznaką.

Mogłam tylko mieć nadzieję, że wyglądam na odpowiednio uległą osobę. Rano się wykapałam. Związałam włosy. Trochę szminki, odrobina tuszu do rzęs. Nie za dużo. Nie żebym próbowała na kimś zrobić wrażenie. Myślałam, że przyszli po Mary. Byłam tego prawie pewna. Bałam się o nią. I o Granta.

A tu jednak niespodzianka.

- Maxine Kiss? - zapytał szczupły czarnoskóry detektyw stojący po lewej, z kciukami wsuniętymi za pasek. Sprawiał wrażenie służbisty, więc ta poza zupełnie do niego nie pasowała. Pomyślałam, że po prostu woli mieć kaburę i pałkę pod ręką. - Detektyw Suwanai. A to mój partner, McCowan. Chcielibyśmy zadać pani parę pytań.

Wbiłam w niego wzrok. Nadal kiepsko się czułam, bolała mnie głowa, a to na pewno nie pomagało. Policja nie powinna o mnie wiedzieć. Ani o tym, że tu mieszkam. Może spędzili trochę czasu w schronisku, ale tylko garstka ludzi w Seattle, poza zombie, znała moje prawdziwe nazwisko. Miałam słabość do pseudonimów. Moim zdaniem dobrze wypadałam jako Annie. Kojarzyło mi się to z Sandrą Bullock w Speed: Niebezpieczna szybkość. Wesołą i kompetentną. Pracowałam nad własną wesołością.

- Słucham? - odezwałam się, starając zapanować nad sobą.

Bardzo się denerwowałam. Może należało zaprzeczyć, że jestem Maxine Kiss? Nie mają na nic dowodów. Ale już za późno. Ach, ten mój długi jęzor.

McCowan był dobrych kilka centymetrów wyższy od kolegi i z pięć kilo cięższy. Błady, ładniutki jak studencik, z zaokrągloną zuchwą, która już za kilka lat stanie się obwisła. Przeskakiwał wzrokiem od Granta do mnie.

- Co panią łączy z Brianem Badeltem?

- Nie mam pojęcia, kto to jest - odparłam.

- Nigdy pani o nim słyszała?

- Nigdy.

Detektyw Suwanai teatralnie wyciągnął zdjęcie z kieszeni. Machnął nim w moją stronę. Nachyliłam się. Wcale się nie zdziwiłam na widok ciała, ale też mnie to specjalnie nie uszczęśliwiło. Zbliżenie głowy leżącej na stalowym stole sekcyjnym. Badelt był starszym mężczyzną o szczupłej twarzy i białych włosach. Prosty nos, wyrazisty podbródek. Nawet po śmierci wyglądał na twardziela. Może bym go polubiła. Lubię bezpośrednich ludzi.

- Nie rozpoznaję go - oznajmiłam.

- O co chodzi? - zapytał Grant dobrze mi znanym, melodyjnym tonem.

Moc. Zee powiedział kiedyś, że głos Granta go łaskocze. Ujął to delikatnie. Każdy, kto umie kontrolować demona, odmienić naturę demona, potrafi więcej niż... łaskotać.

Trochę wyprowadziło mnie to z równowagi. Zawsze się denerwowałam, gdy Grant używał swojej mocy. Bardzo cienka linia dzieli perswazję i opętanie. Cienka linia pomiędzy ciemnością a światłem. Grant nadal się tego uczył. Pewnie oboje się uczyliśmy.

Suwanai i McCowan lekko się wyprostowali, a w ich oczach pojawiło się dziwne światło: ślad nicości, głęboka pustka. To trwało zaledwie chwilę. Obaj zamrugali.

- Ciało Badelta znaleziono w alejce odchodzącej od University Avenue - poinformował Suwanai. - Został zastrzelony.

Grant spuścił wzrok i zacisnął zęby. Na sekundę zamknęłam oczy.

- Czemu przyszliście panowie tutaj?

McCowan się zawahał. Grant wydał z siebie niski dźwięk, coś w rodzaju miękkiego nucenia. Detektyw pokręcił głową i zmarszczył brwi. Dotknął czoła.

- Badelt miał w kieszeni gazetę. Jeden z chińskich dzienników. Było na niej napisane pani nazwisko. Idziemy tym tropem.

Suwanai też rozcierał sobie czoło.

- Gdzie pani wczoraj była, pani Kiss? Po północy.

- Tutaj - odpowiedziałam.

- Ze mną - dodał Grant.

- Na pewno? - dopytywał się Suwanai.

- Byliśmy nago - wyjaśniłam. - Pamiętam.

McCowan odchrząknął i zerknął na Granta ze zdziwieniem. Potem znów przeniósł wzrok na mnie. Oglądał mnie od stóp do głów. Oceniał.

Nie odezwałam się. Zginął człowiek. Nie znałam go, ale miał zapisane moje nazwisko. I teraz byłam na liście podejrzanych. Nie czułam się przez to zbyt dobrze. Ani jakoś szczególnie seksownie.

Grant posłał McCowanowi ciężkie spojrzenie.

- Kim był pan Badelt?

- To dla pana nieistotne - odparł Suwanai.

- Wiecie przecież, że mam kontakty. Mógłbym pomóc.

Głos Granta brzmiał spokojnie i przekonująco. Skrzyżowałam ręce na piersi, by zamaskować napięcie. Mary tkwiła bez ruchu. Całkiem niezłe szło jej udawanie rozsądnej, niewinnej starszej pani. Rex stał z tyłu, koło lodówki, wtapiając się w cień. Przyglądał się. Bez wątplenia miał nadzieję, że wpakowałam się po uszy w tarapaty.

- Badelt był prywatnym detektywem - oznajmił McCowan.

Skoczyło mi ciśnienie. Czulałam je tuż za oczami. Chciałam zapytać, kogo Badelt szukał, ale imię napisane na gazecie nie wróżyło nic dobrego. A co gorsza, facet zginął.

McCowan zrobił krok w stronę drzwi. Był wyraźnie zmieszany i trochę zaniepokojony. Nic dziwnego. Suwanai wydawał się bardziej opanowany. Albo lepiej udawał. Ciemnymi, wypielegnowanymi dłońmi wygładził swoją marynarkę.

- Pani Kiss, czy potrafi pani jakoś wytłumaczyć, dlaczego zmarły prywatny detektyw miał zapisane pani nazwisko?

- Nie. Nie potrafię.

Suwanai się zawahał. Patrzył mi prosto w oczy. Pozwoliłam mu. Nie zabiłam nikogo w Seattle. Na razie. A przynajmniej żadnego człowieka.

Po chwili przechylił głowę.

- Jeśli będziemy mieli więcej pytań...

- Oczywiście - przerwał mu łagodnie Grant, przykładowy obywatel jak zawsze.

Policjant pokiwał głową, nadal ze zmarszczonym czołem. Potarł nasadę nosa, jakby mu to przynosiło ulgę albo sprawiało ból. Już na nas nie popatrzył, tylko pchnął kuchenne drzwi. McCowan jednak podniósł wzrok. Tylko raz, na mnie. Między brwiami miał głęboką zmarszczkę.

Spojrzałam mu prosto w oczy. Po chwili odwrócił się i wy-N/.edł. Drzwi zamknęły się za nim.

Nie ruszyłam się z miejsca. Bałam się, że wróca. Gdy lak się nie stało, wolno i ostrożnie wypuściłam z płuc wstrzymywane powietrze. Grant przykuśtykał, objął mnie ramionami w pasie i przytulił. Przyjęłam ten gest z wdzięcznością.

- Kiepska sprawa - wymamrotałam. - Morderstwo i lo, że zmarły miał przy sobie moje nazwisko.

- I to, że policja cię tutaj znalazła - dodał Grant. Oboje spojrzeliśmy na Rexa. Nie odwrócił wzroku. Podniósł swoje opalone, pokancerowane ręce.

- Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

- Na pewno coś wiesz.

- Nic a nic. Już nie należę do kręgu wtajemniczonych.

- Wszyscy należycie - mruknęłam. - Nie obchodzi mnie, jak wysuszona jest twoja pępowina.

Rex popatrzył na mnie tak, jakbym była ohydniej sza niż luźny stolec.

- Ciebie po prostu nie obchodzi. Kropka. Nadal szukasz wymówki, żeby mnie zabić, Tropicielko.

- Nie potrzebuję wymówki.

Zaczęłam się szarpać z rękawiczkami. Mary wbiła we mnie wzrok. Miałam gdzieś, że zobaczy moje tatuaże.

Rex, mimo swojej brawury, cofnął się o krok. Grant złapał mnie za ramię.

- Nie teraz, Maxine. Nie ma czasu. Nie rozluźniłam się.

- Muszę się dowiedzieć, czego chciał Badelt i dlaczego zapisał moje nazwisko. - Myślałam gorączkowo. - Nie bez powodu znalazł się w tej alejce.

Człowiek, który pracuje na własny rachunek, nie marnowałby czasu w takiej części miasta, gdzie nie ma dobrych barów, są tylko lokale, do których chodzą biedni studenci uniwersytetu. Poza tym wczoraj w nocy padało - zimny, uporczywy deszcz zmienił większość ogrodu w miękkie, zielone klepisko z trawy i liści. Niezbyt dobra pogoda na spacer.

Grant chyba czytał mi w myślach.

- Na University Ave mieszka mnóstwo bezdomnych. Może ktoś widział Badelta. Możemy też spróbować dostać się do jego biura i tam poszukać odpowiedzi.

To byłoby mądre posunięcie, ale ja musiałam odetchnąć świeżym powietrzem. I pobyć sama. Skóra mnie świerzbiała, i to nie tylko przez chłopców.

- Pójdę na uniwersytet. Ty w tym czasie podzwoń tu i tam. Chociaż pewnie nikt ci za wiele nie powie. Kwestia poufności.

No, chyba że Grant poszedłby osobiście. Jego specjalny rodzaj perswazji nie działał przez telefon.

- To nie był nikt z nas - wtrącił się Rex. Doskonale wiedziałam, o czym mówi. Żaden demon, żaden zombie nie wynająłby prywatnego detektywa, żeby mnie odnaleźć. To tak, jakby płacili komuś za znalezienie Everestu... który ma zęby, pazury i potrafi pożerać ludzi.

To znaczy, że jakiś człowiek chciał mnie znaleźć.

I może już znalazł.

Pomyślałam o matce. O jej lekcjach. Nauczyła mnie, żeby się nie zaprzyjaźniać, nigdzie nie zapuszczać korzeni. Urodziłam się samotniczką i tak już miało zostać. Bo to bezpieczniejsze. Dla wszystkich.

A tu proszę. Tropicielka i tropiona. Z przyjaciółmi. Z domem i korzeniami. Mój owoc zakazany. Nie potrafiłabym wrócić do tego, jak było kiedyś - jak zawsze być powinno. Teraz już znałam różnicę. Okazałam się zbyt słaba, by z tego zrezygnować.

Stałam na palcach i pocałowałam Granta mocno w usta. Zerknęłam nad jego ramieniem - na Rexa i Mary - przyglądała się nam zmrużonymi oczami. Jej zwiędłe usta skrzywiły się z niepokojem.

- Przepraszam za słoik - powiedziałam do niej. Wcisnęła głowę w ramiona i zmarszczyła czoło jeszcze bardziej.

- Idź z Gabrielem - wyszeptła. - Ogary Gabriela cię poprowadzą.

Nie miałam pojęcia, co to znaczy, ale Grant spojrział na mnie ostro. Poczułam zimny dreszcz i ucisk w żołądku. Ogarnęło mnie koszmarnie poczucie, że właśnie znalazłam się na rozdrożu i na ślepo weszłam na ścieżkę, przed którą ostrzegają baśnie, tę niełatwą, co prowadzi do zaczarowanego zamku, kolczastego lasu, ruchomych piasków i jam pełnych wygłodniałych smoków. Na drogę wiodącą albo do śmierci, albo do chwały. Ani jedno, ani drugie mnie nie interesowało.

Widziałam już dość śmierci. Zakosztowałam chwały. Teraz chciałam tylko, żeby mnie zostawiono w spokoju.

Rozdział 2

Czasami, gdy byłam mała, matka ściszała radio i mówiła:

- Jest coś, co powinnaś wiedzieć o demonach, maleńka. Może to pozwoli ci przeżyć.

Cierpliwie słuchałam, mimo że wiedziałam, co nastąpi. Uwielbiałam jej słuchać. Bardzo się starała zapanować nad przerażeniem, choć nasze życie było straszne. Próbowała przekazywać mi swoją wiedzę po trochu, żebym mogła spać w nocy, żebym nie myślała ze strachem o następnych czterdziestu kilku latach mojego życia. I choć pewne rzeczy pominęła, i tak na swój sposób powiedziała mi dość.

Była damą. Prawie nigdy nie przeklinała. Te chwile, gdy jej się to zdarzało, należały do wyjątków.

- Demony to wredne skurczybyki - mówiła. - Trzeba się z nimi obchodzić ostrożnie. To dotyczy również nas.

Siedziałam za kierownicą mustanga, padał deszcz. Było zaledwie późne popołudnie, ale przy gęstych, bu-rzowo ciemnych chmurach reflektory samochodów jadących z naprzeciwka paliły moje od niedawna nadwrażliwe oczyma światła latarni morskiej. Potarłam powieki. Przypomniał mi się ból. Nadal czułam smak własnej krwi.

Seattle zimą jest koszmarnie. Wiecznie mokro, praktycznie bez słońca - rzadko przebija się przez brunatną powłokę i zalewa miasto cennym, upiornym światłem. A nocą niekiedy rozstępują się chmury, wtedy lśnią gwiazdy i księżyc.

Jedyna dobra strona takiej pogody to to, że pasuje do moich ubrań: długich rękawów, wysokich kołnierzy, dzinsów i rękawiczek. Nigdy nie odkrywam skóry z wyjątkiem twarzy, a i to tylko dlatego, że jestem próżna. Moja twarz, od szyi do linii włosów: jedyna część ciała niepokryta tatuażami. Taką zawarłam umowę z chłopcami, tak samo jak moje poprzedniczki od wielu pokoleń. Dzięki temu miałyśmy szansę wtopić się w tłum. To dawało iluzję normalności.

Jechałam poniżej ograniczenia prędkości. Mustang był ulubionym celem wędrowki - czerwony i lśniący jak zatrute jabłko Śpiącej Królowej. Klasyczny fastback z lat sześćdziesiątych, z przerobionym tylnym siedzeniem, żeby chłopcom było wygodnie. Skórzana tapicerka, radio, chromowane detale. Błyskawica zakłeta w silnik. Z niewiarygodnym kopem. Uwielbiałam swoje auto.

Z tyłu pełno pluszowych misiów, większość rozerwanych na kawałki. Podłoga zasłana pustymi torebkami z różnych fast foodów, paczkami gwoździ, śrubek i nakrętek. Przekąski. Podobno bardzo smaczne z sosem jalapeño i frytkami.

W radiu zawodził Steve Perry. Ściszyłam je. Rytmiczne bębnienie wycieraczek zagłuszyło muzykę. Nadal byłam w dzielnicy przemysłowej. Jasny beton, pokruszone chodniki i powybijane okna. Mnóstwo siatki ogrodzeniowej. Mieszkałam tu prawie dwa miesiące. Widziałam, jak interesy pojawiają się i znikają - jakieś artystyczne. Tani wynajem. Odrodzenie u podstaw i rozpad. Przysłówek dla bezdomnych Granta był jednym z nielicznych zamieszkałych budynków w tej części obrzeży centrum Seattle.

Zee szarpnął mi się na skórze. Inni chłopcy też. To takie uczucie, jakby kawałki ciała próbowały się ode mnie oderwać. Zły znak. Jeszcze jednego mi brakowało. Dotknęłam nosa, potarłam krawędź lewego oka. Serce biło mi szybko. W myślach zobaczyłam słowa wypisane starannym pismem matki. Prowadziła dziennik. Pisała w dużych, oprawionych w skórę brulionach z ciężkim, grubym papierem, który pachniał wodą różaną i kadzidłem. Przez pięć lat po jej śmierci włókłam je wszędzie ze sobą w mustangu. Teraz tkwiły w rzeźbionej drewnianej skrzyni w mieszkaniu w magazynach.

Znałam na pamięć każde słowo. Każdą sylabę i zakrzywienie linii. Czułam odciski jej palców na sztywnych kartach. Czasami, gdy ogarniała mnie nostalgia, te bruzdy stawały się dla mnie świętością. Jakby jej dusza zamieszkała w papierze.

Przypomniałam sobie, że matka pisała o bólu. O dziwnych, nietypowych ukłuciach. Zrobiła mnóstwo notatek na ten temat. Ja pewnie też powinnam zacząć pisać. Nie dla potomności, ale po prostu po to, by przetrwać. Któregoś dnia ktoś będzie musiał wyciągnąć wnioski z moich doświadczeń. Zapisane słowa przemówią, gdy ja już zostanie zamordowana. Tylko to zostawię w spadku, poza chłopcami.

Weźmy na przykład taki fakt: mojej matce tylko raz w życiu leciała krew z nosa. I tymczasowo oślepla, i czuła ostry ból z tyłu oczu.

Opisała to, postarała się. Poświęciła temu oddzielny rozdział, bo potem zmarło mnóstwo ludzi. Mało brakowało, a sama też by zmarła.

Niestety, poza takimi małymi fragmentami, reszta historii się zagubiła. Matka pozbyła się jej, wydarła strony z dziennika. Przypuszczam, że zrobiła to, zanim się urodziłam.

Ale nie zniszczyła wszystkiego. Został jeden oderwany wers. Niczym tykająca bomba zegarowa znaleziona pod siedzeniem w samolocie lub lodowaty śmiech, gdy ci się zdaje, że jesteś sam.

„Zasłona się rozsunęła”, napisała matka. „Zasłona się rozsunęła i coś się wydostało”.

Zawsze coś się wydostaje.

Nie da się tego łatwo wytłumaczyć. Dawno temu demony zamieszkiwały Ziemię. Całe mnóstwo demonów. Zabijały i pożerały. Była wojna. Ludzie się bronili. Istoty ludzkie. I inni, którzy nie byli ludźmi. W powietrzu utworzyli więzienie - składało się z warstw, okręgów i barier. Umieścili tam demony, rozdzielając je według siły, przewrotności i inteligencji.

Potem je zaplombowali. Na zawsze.

Tylko że nic nie trwa wiecznie. Nawet chłopcy, choć przez ostatnich dziesięć tysięcy lat starają się, jak mogą.

Ktoś musiał to rozpracować. Ktoś, kto był w stanie wszystko zmienić. Kto stworzył Strażników, mężczyzn i kobiety na tyle potężnych i szybkich, by bronić ten świat przed wyłomem w więziennej zasłonie. Ludzi, których zadaniem jest walka z demonami.

Ludzi, którzy mają ocalić świat.

Lecz Strażnicy też nie przeżyli. Nie mieli chłopców.

Zostałam tylko ja. Ostatnia.

Kobiety w mojej rodzinie zawsze były ostatnie.

A zasłona się rozsunęła.

Znowu.

A oto kolejny fakt: całe życie spędziłam w podróży. Nigdy nie chodziłam do szkoły. Uczyła mnie matka. Po latach przekonałam się, że całkiem nieźle się spisała. Zaglądałyśmy do księgarń i bibliotek w każdym mieście i miasteczku. Potrafiłam dużo powiedzieć o danym miejscu na podstawie książek ze zbiorów lokalnej biblioteki, jak dotąd najlepszy okazał się Nowy Jork. Najgorsze Paoli w stanie Indiana.

Seattle nie było takie złe. Księgarnie w centrum koncentrowały się na literaturze pięknej, a nie na komercyjnych czytadłach, a to moim zdaniem sporo mówiło o atmosferze społecznej. Dominowały tu japiszony, trochę zbyt wiele uwagi poświęcające temu, co inni o nich myślą. Przyjaźni tylko na pozór.

Liczba bezdomnych dzieci to kolejny element świadczący przeciwko miastu. Najgorzej wypadła University Avenue. Może nie było aż tak źle jak w Rio de Janeiro, ale jak na Stany Zjednoczone naprawdę kiepsko. Dwie godziny po opuszczeniu przytułku - dwie godziny kręcenia się po ulicach w deszczu w poszukiwaniu odpowiedzi na dręczące mnie pytania - znalazłam się w ciemnym zaułku odchodzącym od alei, w pobliżu neogotyckich wspinałości Uniwersytetu Waszyngtońskiego. Pod moimi nogami leżało zwinięte w kłębek dziecko.

A raczej całe mnóstwo dzieci. Deszcz zagonił je w zaułki, pod postrzępione markizy lub tutaj, w alejkę, pod kawałki kartonu lub plastikowe torby na śmieci. Poczulałam smród psa. Skołatuniony, brązowy ogon wystawał spod prochowca. Zaraz obok patykowate ciało. Kolczyk w nosie, lśniące oczy. Tatuaze rządziły w tych ciemnych kątach. Nie moje. Moje nadal były schowane pod ciuchami i rękawiczkami.

Zostało mi dziesięć minut. Zbliżał się zachód słońca. Czułam to przez skórę. Latarnie uliczne już się zapaliły i w alejkę przesączały się kwaśne, fluorescencyjne promienie. Burzowe chmury nadal wisały nisko, nabrzmiałe cieniem, deszczem i mgłą. Równie dobrze mogłaby już być noc.

Zamrugałam, żeby strząsnąć z rzęs krople deszczu. Przyklęknęłam. Zajrzałam do kartonu wciśniętego w kąt przy śmietniku. Zobaczyłam parę oczu, które przypominały śnieg i skałę: biel i szarość w obramówce z czarnej konturówki. Chłopiec. Może czternastoletni. Za młody, by wyhodować na brodzie coś więcej niż słaby, czarny meszek. Miał na sobie gruby płaszcz i dżinsy z dziurami na kolanach.

Czysta aura. W jego duszy nie gnieździł się demon. Czyli to nie zombie. Chłopiec był tylko trochę popaprany, ale tak zwyczajnie.

- Cześć - zagadnęłam łagodnie. Pożałowałam, że nie mam ze sobą zdjęcia Badelta. Zrobionego za życia. - Mogę cię o coś zapytać?

Wnikliwe spojrzenie. Oczy stare jak świat. Przyjrzał mi się uważnie. Nie drgnął, nawet nie mrugnął. To trwało parę sekund. Skóra zaczęła mnie mrowić i szarpać. Zachodziło słońce. Gdzieś za ciemnymi chmurami.

- Nie jesteś z policji - powiedział cicho.

- Nie mam nic wspólnego z policją, mały - odparłam, ważąc słowa. - Ale potrzebuję informacji. Wczoraj w nocy gdzieś tutaj zamordowano pewnego faceta. Nazywał się Brian Badelt. Białe włosy, pociągła twarz.

Zaledwie pięć przecznic stąd. Nadal była tam żółta taśma policyjna, a przy wjeździe w uliczkę stał radiowóz. Najwyraźniej ekipa kryminalistyczna jeszcze nie skończyła. Przeszłam tamtędy, z wysoko postawionym kołnierzem, żeby rzucić okiem na sytuację - jak ciekawski przechodzień. Nie zobaczyłam nic poza gładkim betonem i cieniami. Było jeszcze wspomnienie twarzy zmarłego. Żadnych odpowiedzi. Nic, co pomogłoby mi zrozumieć, dlaczego miał zapisane moje nazwisko i czy rzeczywiście mnie szukał. A jeśli tak, to czemu te poszukiwania doprowadziły go tutaj.

Czy zmarł w związku ze swoim śledztwem? Przeze mnie?

Może policja znała odpowiedzi na te pytania. Albo i nie. W ciągu ostatnich dwóch godzin dowiedziałam się, że rozmawiali już z większością tymczasowych mieszkańców tej ulicy. Poza tym praktycznie zero współpracy. Podejrzałam więc, że Suwanaowi, McCowanowi i ich ekipie też niewiele udało się zdziałać. Chyba że stosowali nieczyste zagrania. Ja nie posunęłabym się tak daleko. Ci ludzie, dorośli i dzieciaki, mieli dość kłopotów na głowie, bezdomni czy nie.

Ale w oczach chłopca coś dostrzegłam. Poczułam coś, czego nie doświadczyłam przy nikim innym. Miał łagodniejsze spojrzenie. Jakby ulica nie wyprała go jeszcze do końca z wszelkich śladów dobroci. Aż mi się serce ścisnęło. Zapraǳnęłam zrobić coś, czego robić nie powinnam.

- Widziałem go - szepnął chłopiec i nagle dookoła nas otworzyło się mnóstwo oczu, a w wilgotnym cieniu błysnęła zimna stal.

Jego wyznanie zaskoczyło mnie tak bardzo, że musiałam powtórzyć sobie jego słowa w myślach, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście powiedział to, co mi się zdawało. „Widziałem go. Widziałem. Widziałem”.

Skóra mnie zakłuła. Zaczęła się ruszać. Zakołysałam się na piętach do tyłu. Chciałam zamknąć oczy i przytulić chłopca, wstrzymując oddech, na wypadek gdyby miał zmienić się w dym i zniknąć.

- Co widziałeś?

Zawahał się. Mimo że siedział wciśnięty w kąt pudła, byłam pewna, że czuje na sobie spojrzenia innych dzieci. Wszystkich. Nasłuchiwały.

Szum plastiku. Tupot stóp. Chłopiec skierował wzrok ponad moje ramię. Obejrzałam się i zobaczyłam młodsiutką dziewczynę. Skóra upiornie blada i bez skazy. Nastolatka miała kolczyki wzdłuż krawędzi uszu, w nosie i w języku. Czarne oczy, czarne nastroszone włosy, z których kapał deszcz. Jej ciało otulał płócienny kombinezon. Błysnął kastet. Zalśniło ostrze noża. Twardzielka. Niezły styl.

Odwróciłam się z powrotem i zajrzałam do pudła, zostało mi najwyżej parę minut. Nie miałam czasu na przebieranie w słowach. Nie z tym dzieciakiem.

- Pomóż mi, to ja pomogę tobie - powiedziałam do chłopca.

Deszcz wlewał mi się za kołnierz i spływał po skórze. Nie czułam tego. Woda szybko wsiąkała w tatuaże. Coraz szybciej. Pod golfem i kurtką było mi coraz goręcej. Ciepło rozprzestrzeniało się w dół brzucha i po nogach. Palce mnie paliły.

Chłopiec gapił się rozdarty. Miał zapadnięte policzki. Wyglądał jak duch snujący się na krawędzi życia: niewidoczny, nieznany, niczego niepewny. Coś twardego stuknęło mnie w czaszkę. Kastet. Nie zareagowałam i nadal wpatrywałam się w chłopca w kartonie. Wiedział coś więcej, nie tylko o morderstwie. Widziałam to w jego oczach. On wiedział.

Dziewczyna znów mnie walnęła. Nie poczułam bólu, tylko wstrząs - uderzenie w ramię zważyło mnie z nóg. Ręce w rękawiczkach znalazły się na mokrym betonie. Gdybym była człowiekiem, mogłaby mi takim ciosem połamać kości. Deszcz wlewał mi się do ust i oczu. Oblizawałam wargi.

- Przestań zadawać pytania - syknęła dziewczyna, nachylając się nade mną. - Albo przestaniesz oddychać.

Odwróciłam głowę i spojrzałam jej prosto w oczy. Za plecami dziewczyny, przy końcu alejki, w dudniącym deszczu przejeżdżały samochody. Ich reflektory świeciły mocno. Mężczyźni i kobiety przechodzili szybko z plecakami i parasolami w rękach, z pochylonymi głowami. Kto nie widzi zła, ten chroni się przed złem. Tylko cienka błonka pomiędzy tam a tutaj. Tak łatwo zbudować iluzję. Zwłaszcza gdy ludzie boją się prawdy.

Widziałam prawdę w oczach dziewczyny. Bala się, ale nie żartowała. Zrobi mi krzywdę, jeśli sobie nie pójdę. Narobi mi problemów. Zaczęłam się zastanawiać, czy właśnie coś takiego przydarzyło się Badeltowi. Ciekawe też, jak ukarałaby chłopca za to, że otworzył usta. Albo co zrobiliby mu inni.

Zamrugłam. Błysnęły zęby dziewczyny. Potem nóż. Bardzo mały, niewiele dłuższy od dłoni. Taka duża wykałaczka. Panna zauważyła, że przyglądam się jej broni, i uśmiechnęła się triumfalnie.

W środku poczułam słońce. Jak znika za horyzontem. Nie było czasu na uprzejmości.

Złapałam nóż. Za ostrze - przebiło skórzaną rękawiczkę. Stal zazgrzytała o wytatuowaną skórę. Rozległ się koszmarny dźwięk. Nóż się złamał. Upadł na beton między nami, ale deszcz zagłuszył brzęk. W alejce panowała ciemność.

Dziewczyna zagapiła się na mnie. Złapałam ją za kurtkę na plecach i szybko pociągnęłam w stronę wejścia do alejki. Próbowala się opierać. Walila mnie kastetami po żebrach. Dla mnie to było jak dziecięce pocałunki. Zaciągnęłam ją na chodnik. Po twarzy spływały mi strugi wody. Moja skóra syczała. Zachód słońca. Słońce.

- Czemu to robisz? - zapytałam szorstko. - Kto cię tak przestraszył?

- Odwal się - warknęła i złapała mnie za pierś. Wbiła palce głęboko i przekreśliła.

Nie poczułam bólu, ale to mnie zszokowało. Zaskakująco brzydkie zagranie jak na taką młodą osobę. Może ktoś tak postąpił w stosunku do niej? Na tę myśl zrobiło mi się niedobrze.

- Mogę ci pomóc - powiedziałam, ale splunęła na innie i po mojej kurtce spłynęła duża, obfita gula plwociny. Już po wszystkim. Czas się skończył. - Dobra. Idź stąd. Nie oglądaj się za siebie.

Zawahała się dłużej, niż powinna. Miała coś do stracenia, coś ją powstrzymywało. Szkoda, że nie miałam czasu, by o to zapytać. Szkoda, że nie miałam wyboru, ale nie mogłam zostać tutaj i obserwować chłopca. Nie mogłam ryzykować, że dziewczyna dalej będzie zaprzętała moją uwagę. Nie teraz.

Zacisnęłam palce, aż zaczęła krzyżeć. Zmusiłam się, by nie puścić. Chciałam, by do niej dotarło. Bój się mnie, bój się bardziej.

Bała się. Zauważyłam zmianę w jej oczach, na wargach. W całej postawie. Skurczyła się jak kociak w paszczy rottweilera. Przepelniła mnie gorycz. Nienawidziłam tego. Byłam potworem. Straszyla małe nieszczęśliwe dziewczynki. Wszystkie jesteśmy zagubionymi, małymi dziewczynkami.

Rozluźniłam palce. Nastolatka odsunęła się ode mnie bez słowa. Odwróciła się i zaczęła szybko odchodzić. Nie obejrzała się. Ja też nie. Rzuciłam się pędem, wściekła na siebie. Wściekła do bólu.

Nie odbiegłam daleko. Ten most spaliłam pół godziny wcześniej, nie wracając na czas do mustanga na parkingu, gdzie mogłabym się objąć nad książką albo gadać z Grantem przez telefon. Plotkowałibyśmy, zastanawiali się razem nad następnym posunięciem. Ale już za późno. Za długo czekałam. I teraz byłam w miejscu publicznym.

Jak na zachód słońca było niesamowicie ciemno. I tylko to działało na moją korzyść. Schowałam się między zderzakami dwóch zaparkowanych samochodów - poobijanego volkswagena i atletycznej terenówki. Opadłam na ręce i kolana. Końcówki włosów maczały mi się w kałuży. Wokół żadnych łatami ulicznych. Okien z zapalonym światłem. Tylko cienie - i ja, jeszcze jedno drżące ciało na ulicy pełnej takich ciał. Słyszałam przechodzących w pobliżu ludzi. Nikt nie zwolnił. Miałam nadzieję, że nikt mnie nawet nie zauważył. Miałam nadzieję, że wszyscy oślepli. Miałam nadzieję, że jakoś to przetrzymam.

Gdzieś daleko słońce zaszło. Pochłonął je horyzont. Poczulałam uderzenie gorąca w gardle, jakby w środku mnie zapadła ciemność, a między żebrami rozwibrowała się rozległa nocna przestrzeń i zalsniły gwiazdy. Tatuaze zaczęły odłazić od skóry. Chłopcy się obudzili.

Bolało tak, jak powinno. Odrywająca się skóra. Złuszczający się dym i ulatujące cienie. Zdusiłam w gardle złe odgłosy. Bolało. Ściągnęłam rękawiczki. Wstrząsały mną takie dreszcze, aż mi zęby dzwoniły. Jeszcze kilka minut temu tatuaze pokrywały moje dłonie - palce, wnętrza dłoni, nawet paznokcie były czarne, gęste od linii. Ale teraz wily się ciała, srebrna skóra rozpływała się we mgle, która sączyła się spod moich ciuchów. Czułam bicie cudzych serc. Szczupłe, muskularne ręce, gorące i ciężkie, przeczesywały mi włosy. Drobne palce muskały policzki. Melodyjne szepty łączyły się z bębnieniem deszczu.

Deszcz bez końca. Zimny. Przesiąkał ubrania - robiły się ciężkie od wody i przywierały do ciała. Było mi niewygodnie. Dokuczliwie niewygodnie. Chłód i wiatr, ból w kolanach od upadku na twarde beton. Ręce miałam przemarzniete do szpiku kości. Ciekło mi z nosa. Ledwie mogłam zebrać myśli.

Moja skóra znowu była ludzka. Bardzo ludzka. Uderz mnie, a połamiesz mi kości. Zadaj cios nożem, a zacznę krwawić. Zastrzel mnie, uduś, utop: teraz można mnie zu-l)ic. Do świtu pozostanę człowiekiem. Delikatnym. Śmiertelnym.

- Maxine - wyszeptał Zee. - Słodka Maxine.

Usiadłam. Otarłam się ramionami o zimny, śliski błotnik samochodu. Przede mną przykucnęły trzy małe sylwetki, które wtapiały się w ciemny, wilgotny cień. Zee, Aaz i Raw. Skóra koloru sadzy pociągniętej srebrem i rtecją, chude, ciepłe ciała. Z ostrych jak żyłki, nastroszonych łusek na ich plecach i patykawatych ramionach unosiła się para. Po dwie ręce i dwie nogi, pazury zamiast palców. Ich stopy wyglądały mniej więcej jak ludzkie, podobnie jak rozpustne twarze, boleśnie kanciaste. Czułam zapach ognia, skóry i czegoś jeszcze, czego nie umiałam nazwać, ale to kojarzyło mi się z matką. Ten zapach od zawsze był dla mnie domem.

Moim domem. Ich domem. Aż do czasu.

Czasu zawsze brakowało. Spróbowałam wstać, ale tak mnie wszystko bolało, że chwilę to potrwało. Uszy wypełniło mi mruczenie, małe języki skrobały mnie w skórę. Długie, węzowate ciała Deka i Mala owinęły się wokół mojej szyi. Zajrzeli mi pod kurtkę, do wewnętrznych kieszeni. Nie mieli nóg, tylko ramiona. Te szczątkowe kończyny nie nadawały się do niczego poza łapaniem mnie za uszy. Ich głowy przypominały kształtem łby hien. Śmiech również. Najlepsi ochroniarze na świecie.

Dek z Malem znaleźli pluszowe misie, które dla nich przygotowałam - idiotyczne zabawki długości palca przyczepione do breloczka na klucze. Usłyszałam chrupanie i mlaskanie. Cichy chichot. Chłopcy lubili jeść misie. Zamawiałam je hurtowo. Nigdy nie poszłam z Dekiem i Malem do zoo. Bałam się o niedźwiedzie brunatne. Zee objął mnie za ramię i przytulił policzek do mojego płaszcza. Srebrne igły jego włosów zamigotały i weszły w skórę jak w masło.

- Złe sny, Maxine. Złe do cna.

- Opowiedz.

Patrzyłam, jak Aaz i Raw odpełzli na brzuchach. Ich czerwone oczy lśniły leniwie. Mogliby być smokami albo wilkami, albo jednym i drugim - w stanie zawieszenia. Identyczne bliźnięta, nie licząc słabo widocznej, srebrnej plamki na podbródku Rawa. Zniknęli pod terenówką. Wyciągnęłam z kieszeni kurtki kilka czekoladowych batonów. Rzuciłam je w ciemność. Dobiegł mnie ściszony okrzyk radości.

Podaliśmy jednego batona Zee. Połknął go w całości, razem z papierkiem, a jego pazury wyryły głębokie blizny w betonie.

- Twoje sny - przypomniałam. - Bolało mnie od nich dziś po południu.

Zawahał się.

- Nie było wyboru. Coś w powietrzu. Coś nadchodzi. Musiałem cię ostrzec.

- Zaslona.

- Nożyce. Ostre jak brzytwa.

Demony. Coś większego niż pasożytnicze zombie. Tego już się sama domyśliłam. Spojrzałam mu prosto w oczy.

- Powiedz więcej.

- Więcej - powtórzył cicho i oderwał ode mnie wzrok. - Więcej nadchodzi. Więcej się kończy. Maxine. Słodka Maxine - przerwał. Jego milczenie było ostateczne.

Rozwarłam dłonie. Nie ma sensu go dociskać. Zee zwykle mówił zagadkami. Niestety, tylko on spośród braci w ogóle potrafił mówić. O ile mi wiadomo.

Zerknęłam za siebie, wciskając rękawiczki do kieszeni. Zbliżali się ludzie. Usłyszałam śmiech, chlupot butów w kałużach. Deszcz na parasolach. Miło. Normalnie.

- Łowy - powiedziałam do Zee. - Duże kłopoty.

- Wielka draka w chińskiej dzielnicy - zawył.

Dowcipniś. Uwielbiał kino. Tęsknił za latami osiemdziesiątymi. I za krucjatami, choć nadal tego nie rozumiałam. Może chodziło o zbroje. Miał słabość do chrupiących posiłków.

Zee błysnął białymi zębami i długim, czarnym językiem, po czym wtopił się w ciemność pod moimi nogami. Zniknął w okamgnieniu. Nie miałam zielonego pojęcia, co kryje się po drugiej stronie cienia, ale coś mi mówiło, że lepiej, żebym tego nie wiedziała. Nie zaprzętałam sobie głowy tym, czy Raw i Aaz za nim pójda. Chłopcy mieli system.

Wstałam. Jakiś przechodzień popatrzył na mnie. Ot, tak zwyczajnie. Nikt nie uciekał z krzykiem. Nigdy tak nie było. Zachowywałam pozory, starannie się ubierałam, chodziłam czysta - trzymałam demony i tatuaże poza zasięgiem wzroku. Tak mało trzeba, by ukryć wielkie sekrety. Choć nikomu pewnie nie przyszłoby nawet do głowy, że na skórze jakiejś kobiety może mieszkać armia demonów. Nawet komuś, kto wierzy w istnienie demonów.

Pomyślałam o Badelcie. Miałam złe przeczucie. Poszłam z powrotem w stronę alejki. Dek z Malem ciążyli mi na ramionach. Golf ukrywał ich ciała, a gładkie głowy z kępkami sierści były dobrze zamaskowane moimi włosami. Ktoś o bystrym spojrzeniu może zauważyłby błysk czerwonego oka, ale raczej wzięłby to za grę światła. A nie za demony. Nie za zwierzęta.

Rozejrzałam się za zombie. Sprawdzalam aury w poszukiwaniu ciemnych punktów. To dobra część miasta dla pasożytów. Tłumy ludzi i ich zmartwienia. Ciemne duchy karmią, się ludzkim cierpieniem.

Emocje wyzwalają energię. A energia to pożywienie. Przemoc często rodzi przemoc. Trzeba specjalnego gatunku demonów, by stworzyć zombie. Pęknięcie w zasłonie rozszerzyło się przez ostatnie stulecie, więc łatwiej im się wymykać z pierwszego kręgu więzienia. A gdy już tu dotrą, infekują emocjonalnie podatnych ludzi. Zmieniają ich w marionetki, żywe narzędzia. Bezmyślne skorupy. Dobre do rozbojów i znęcania się - nad sobą lub nad innymi. Urocze metody. Pełna subtelność.

Zombie potrafi zabić z uśmiechem na twarzy. Bo uśmiech wszystko osładza.

Dek i Mai zasyczeli mi do ucha. Obejrzałam się przez ramię. Zobaczyłam mężczyznę i kobietę. Szli chodnikiem w pewnej odległości za mną. Mimo oczywistej różnicy płci oboje mieli na sobie ciemne spodnie i śliskie wiatrówki, które ciasno ich opinały. Szerokie, rumiane twarze, intensywne spojrzenia. Kurtki zniekształcone na bokach identycznymi wybrzuszeniami.

Może to wyjątkowo duże telefony komórkowe. Może ta para to miejscy misjonarze - błąkają się po nocy, by spieszyć z pomocą potrzebującym. Niewinni. Zupełnie bezbronni. Cudowne Bliźnięta.

Dotarłam do alejki. Zatrzymałam się, rozejrzałam. Nie było mnie z pięć minut.

Dzieci zniknęły. Wszystkie. Ciała wtulone w beton i cegły - teraz została po nich pustka. Foliowe torby łopotały na wietrze jak duchy, kartonowe pudła stały zmięte i zgniecione niczym zamki po ataku. Niesamowita nieobecność, uderzająca. Omal nie złapałam się za brzuch.

Przedemną stanął jakiś facet. Młody blondyn, jak inni, zalatujący cygarami. O budowie byka. Lepiej by wyglądał w futrze z maczugą w ręce. Nie do wszystkich pasują nowoczesne czasy.

Kazał mi się nie ruszać. Mówił z rosyjskim akcentem. Nie odezwałam się ani słowem. Nie zależało mi na rozmowie. Myślałam o tych dzieciakach, a zwłaszcza o chłopcu. Wpakowałam go, a może nawet ich wszystkich, w niezłe kłopoty. Przeze mnie tkwili głęboko w gównie.

Mężczyzna wyciągnął komórkę. Rzucił coś do słuchawki. Nie zrozumiałam rosyjskiego, ale złapałam sens. Wyczułam za sobą jakiś ruch. Cudowne Bliźnięta. Z pistoletami. Zee i reszta obserwowali mnie z niedaleka, ukryci w cieniu, czerwone oczy błyskały jak rubiny. Dek i Mai za-belkotali mi coś do ucha.

Zrobiłam krok do przodu. Palce na cynglach. Jeśli tylko się zacisną, będę musiała zabić tych dwoje. Obejrzałam się na gościa z komórką.

- Gdzie dzieci?

Nie odpowiedział. Ryknął silnik i mrok alei rozcięły reflektory samochodu. Limuzyna. Drzwi otworzyły się od środka. Nikt nie wysiadł. Nie widziałam, kto tam siedzi.

„Wszystko jest powiązanie”, mawiała moja matka.

Czasami potrafiłam wykazać się nadludzką cierpliwością.

Mężczyzna machnął dłonią, w której trzymał pistolet. Cienie zapełniły limuzynę. Chłopcy lubili przejażdżki. Wsiadłam.

Rozdział 3

W limuzynie siedział starszy pan. Miał na sobie garnitur, a na czubku nosa okulary w grubych, czarnych oprawkach. Łysy. **Zombie**.

Facet z komórką zaczął się pakować do środka za nami, ale zombie podniósł rękę i powiedział coś po rosyjsku. Blondyn zawahał się, cofnął i zatrzasnął za sobą drzwi. Limuzyna ruszyła. Zajrzałam do minibaru i wyjęłam sobie piwo imbirowe. Musiałam się napić czegoś słodkiego.

Zombie mi się przyglądał. W kącikach ust tańczył mu uśmiech. Niewysoki, chudy mężczyzna. Siedział naprzeciwko mnie i prawie ginął w przepastnym fotelu. Zimne oczy i czarna aura. Był starszy i groźniejszy od większości. Wyżej w łańcuchu pokarmowym. Ale i tak powinien uciekać. Kontakt ze mną to wyrok śmierci. Na ogół.

A to znaczy, że facet coś na mnie miał. Ogarnęło mnie złe przeczucie.

- Tropicielko - zaczął zombie. - Cieszysz się złą sławą. Miło mi cię w końcu poznać osobiście.

- Jasne - mruknęłam i napiłam się piwa. - Mam dzisiaj wzięcie.

Uśmiechnął się szerzej.

- Jesteś podobna do swojej matki.

Zacisnęłam dłoń na puszcze. Zombie zdjął okulary i wytarł soczewki brzegiem marynarki.

- Twoja matka też nigdy nie zwracała sobie głowy uprzejmościami. Piękna kobieta. Zresztą wszyscy w twojej rodzinie są obdarzeni uderzającą urodą. - Z powrotem włożył okulary i zamrugał. Przypominał sowę. - Jak rozumiem, twoi podopieczni są gdzieś w pobliżu?

Pstryknęłam palcami. Zee, Aaz i Raw wyłonili się z cienia. Usiedli rzędem koło mnie. Nie sięgali stopami podłogi. Równocześnie majtnęli nogami, a ręce splekli na kolanach. Zwodniczo grzeczniutcy. Małe cwane gnojki. Otworzyłam minibar. Zee wskazał na whisky i wódkę. Podałam mu butelki.

Zombie uniósł brew.

- Urocze.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo. - Serce ogarnęła mi okrutna ciemność. - Czy to przez ciebie zniknęły dzieci z alejki?

- Wiele rzeczy wydarzyło się przeze mnie, ale nie to. -Przechylił głowę, przyjrzał się Zee i pozostałym chłopcom z ciekawością i, co raczej nietypowe, bez strachu. - Jedno z nich udało mi się jednak odzyskać. Chłopca. Tego, który cię tak zainteresował.

Zombie cały czas mnie obserwował. A ja nie miałam o tym pojęcia.

- Myślisz, że mnie to obchodzi? Roześmiał się.

- Moja droga, twoja matka miała serce lwa, a ty masz tylko serce jagniątko. Obchodzi cię to. Dużo rzeczy obchodzi cię aż za bardzo.

Dek z Małem wyjrzeli spomiędzy moich włosów. Raw nalał im whisky prosto do małych pyszczków. Miałam ochotę zabrać mu butelkę i trzasnąć nią zombie w jego ludzką głowę. Potem dokonać na nim egzorcyzmu.

- Ten chłopiec... Jeśli coś mu zrobiłeś...

- To nie leżałoby w moim interesie. On mi zapewnia bezpieczeństwo. Przed tobą.

- Wczoraj w nocy zginął pewien człowiek. W to też byłeś zamieszany?

Na jego wargach pojawił się słaby uśmiech.

- W tę grę jest zaangażowanych mnóstwo graczy, Tropicielko. Może nigdy się nie dowiesz, jak wiele osób pozostających w cieniu ma cię na oku.

Zła odpowiedź. Powstrzymałam się, żeby nie stukać stopą. Limuzyna była jak klatka.

- Czego chcesz?

- Porozmawiać. Nic więcej. Przynoram na krew mojej Królowej.

Opadłam na siedzenie. Zee zamarł.

- Przysłała cię Krwawa Mamuśka?

Mina zombie się nie zmieniła; z trudem przełknął ślinę, a jego aura zamigotała.

- Martwi się.

Wstrzymałam oddech. Krwawa Mamuśka rządziła pierwszym kręgiem więzienia. Prawdziwa królowa zombie, potężniejsza niż wszystkie jej dzieci razem wzięte. Rosła w siłę z każdą duszą, którą zawładnęły jej dzieci. Karmiła się bólem zadawanym swoim ofiarom. Jej głód nigdy nie malał i nigdy nie zmaleje.

Spotkałam ją. Przekroczyłam zasłonę, żeby ją poznać. Poddałam się, pozwoliłam zaciągnąć do więzienia. Żeby ocalić Granta. Krwawa Mamuśka chciała go opętać. Niewiele brakowało, a by jej się udało. Prawie zabrała mi wszystko, na czym mi zależało. Po raz kolejny.

Krwawa Mamuśka kazała zabić moją matkę.

Na jej rozkaz wymordowano kobiety w mojej rodzinie. Kiedyś, gdy nadejdzie pora, ja też zostanę zamordowana. To zależało tylko od Zee i reszty. Od moich chłopców Przyjaciół. Pewnego dnia porzucą mnie dla jakiejś córki z odległej przyszłości - kimkolwiek ona będzie. A gdy In się stanie, gdy już przestaną mnie chronić, Krwawa Mamuśka się o tym dowie. Wszyscy zombie się o tym dowiedzą. W wyobraźni słyszałam, jak ładują karabiny.

Co nie znaczy, że straciłam nadzieję, że dałam się złamać. Nie bałam się. Już nie. Choć pamiętałam tamte dni. Swoje przerażenie. Strach przed przyszłością. Przed ciężką, od której zacnie się odliczanie sekund do końca mojego życia.

Niektóre moje poprzedniczki próbowały w ogóle unikać seksu, oszukać przeznaczenie. Rzecz w tym, że dzieci to klucz do przeżycia Zee i reszty. Nasz celibat to dla nich śmierć. I jeśli Tropicielka z własnej woli nie odda się prokreacji, to podobno chłopcy są w stanie ją do tego zmusić.

O tym wolałam nie myśleć.

- Chcę się zobaczyć z tym dzieciakiem - oznajmiłam zombie. -1 powiedz mi, jak się nazywa twój żywiciel.

- Edik Baszmakow. - Nachylił głowę w moją stronę. -Zanim się spotkasz z chłopakiem, musimy załatwić parę spraw. Nie zamierzam ryzykować.

Brzęk tłuczonego szkła. Aaz zabrał się do jedzenia butelki po wódce.

- Nie ufasz mi? Ja uwierzę ci na słowo.

Wzruszył ramionami, delikatnie, z nieskończoną finezją.

- Jesteś Tropicielka. Nie masz wobec nikogo żadnych zobowiązań. Nie odpowiadasz przed nikim. Twoje słowo nic nie znaczy. Nie wiesz co to honor.

Wyobraziłam sobie swoją dłoń na jego czole, jak wysysa z niego demona.

- A wy? Bieriecie w swoje posiadanie ludzkie ciała. Karmicie się cierpieniem. To jest honor?

- To kwestia przeżycia - odparł spokojnie. - Nie sądź nas według ludzkich wartości. Ty, która udajesz, że należysz do ich grona. Ty, która jesteś tylko mieszańcem, gloryfikowaną Strażniczką więzienną. Małą, samotną Strażniczką.

Zee oparł się pazurami o moje kolano i wbił oczy w Edika. Zombie spuścił wzrok.

- To nie potrwa długo, Tropicielko. Potem sobie pójdę, a ty dostaniesz chłopaka. Zgoda?

Mogłam napuścić na niego Zee i resztę. Mogłam egzorcyzmować demona z ludzkiego ciała i torturami zmusić go do mówienia. Matka mnie tego nauczyła. Ale dzisiaj nie chciałam przekroczyć tej granicy. Nie byłam zupełnie pozbawiona honoru.

Napiłam się piwa imbirowego. Chłopcy przytulili się do mnie mocniej. Bolały mnie oczy. Limuzyna wjechała w dzielnicę przemysłową, pełną rdzewiejącej stali. Poczulałam zapach oceanu. Pomyślałam o Grancie. Był niedaleko.

- Czemu mnie tutaj przywiozłeś? - zapytałam. Aura Edika zamigotała.

- Zasłona. Rozsunęła się dziś wieczorem. Poczulaś to.

- Wiesz, co przez nią przeszło? Nie Krwawa Mamuśka ani nikt z jej drużyny. Kreatorzy zombie nie musieli czekać na otwarcie się zasłony.

Edik milczał. Siedział w absolutnym bezruchu. Nawet nie drgnął mu mięsień, choć aura płonęła. Albo nie wiedział, albo nie chciał nic powiedzieć. Pociągnęłam łyk piwa.

- Czego chce Królowa?

Zombie przesunął ręce po udach i oparł dłonie na kolanach.

- Myślę, że wiesz, Tropicielko. Więzienie się wali. A gdy całkiem runie, ten świat umrze.

Żadnych tajemnic, żadnych niespodzianek. Logiczny wniosek, który sama próbowałam wyprzeć przez ostatnią dekadę. Nigdy nie słyszałam, by ktoś to tak brutalnie wyraził.

- Nie rozumiem, dlaczego mnie ostrzegasz. Jesteś przecież demonem. Więzienie się sypie, twoje na wierzchu.

Jedynie migocząca aura Edika mąciła idealny, zimny spokój. Nawet jego oczy były twarde jak stal. Gdyby pogardę dało się przekuć na pociski, chyba bym w tym momencie zginęła od strzału w głowę.

- Jesteś taka naiwna - powiedział.

- Naprawdę? O rany.

Z niezadowoleniem zacisnął wargi.

- Nie masz pojęcia, co kryje się w więziennych kregach. Mój gatunek to w porównaniu z innymi tylko drobne szkodniki. Nawet nie demony. Szczury goniące wilcze ogony.

Polityczne zagrywki demonów. To mi nie przyszło do głowy. Może rzeczywiście byłam naiwna.

- Myślisz, że mnie to obchodzi? Chcę się tylko dowiedzieć, co wyszło zza zasłony.
- Prognostyk - odpowiedział tajemniczo. - Pionek, zwiadowca.

Piwo imbirowe w moim żołądku nagle przemieniło się w kwas.

- Co jeszcze? Jak mogę odnaleźć tego demona?
- To wie tylko Królowa. - Edik się zawahał. - Wykorzystano ją, Tropicielko. Wykorzystano ją na usługi innych.

Zmuszono do zawarcia układu, żeby ułatwić zwiadowcy przejście.

- Nikt nie jest w stanie do niczego zmusić Krwawej Mamuśki.

Edik odwrócił wzrok. Na twarzy drgał mu mięsień.

- Zginiemy z rąk braci zza zasłony. Pozabijają nas, gdy tylko wydostaną się na zewnątrz. Pożrą. Lecz zanim to zrobią, zanim runą wszystkie mury, zanim zawali się pierwszy krąg i Rzeźnicy zgwałcą kości tego świata, przyjdą inni, którzy zajmą się ludźmi. Cokolwiek myślisz o Krwawej Mamuśce, my jesteśmy niczym w porównaniu z nimi.

Nic nie powiedziałam. Siedziałam nieruchomo. Tylko coraz mocniej wbijałam palce w puszkę z napojem. Krwawa Mamuśka dobrze wybrała. Edik Baszmałow miał talent. Prawdziwy znawca, profesjonalista, specjalista od sztuki przekazywania złych wieści. Podziwiałam jego umiejętności. Przemienne pragnienie, by go zabić, gdzieś zniknęło.

Wolałabym raczej wziąć nogi za pas i uciec, gdzie pieprz rośnie, nie oglądając się za siebie.

- Dziesięć tysięcy lat spokoju. - Edik wbił wzrok w swoje pomarszczone dłonie. - Więzienie było naszym błogosławieństwem.

Wolno wypuściłam powietrze z płuc. Staralam się zachowywać spokojnie, bez emocji, ale w środku aż mnie skręcało, a mięśniami wstrząsały zimne dreszcze. Chciałam naciągnąć sobie koldrę na głowę. Znaleźć jaskinię na odludziu i się w niej schować. Chciałam nazwać Edika kłamcą i idiotą i udać, że jestem zwyczajną kobietą, ślepa kobietą, głuchą kobietą - szczęśliwą, beztroską ignorantką.

Wyjrzałam przez okno. Zobaczyłam w szybie swoje zniekształcone odbicie: blada skóra, ciemne włosy. Zaczęłam się zastanawiać, jakie to uczucie być opętany i nie zdawać sobie z tego sprawy, mieć kogoś w środku, w głowie, kto tak manipuluje umysłem, aż ciało stanie się tylko narzędziem.

Sama też czułam się jak narzędzie. Jakby ktoś miał mnie właśnie użyć.

Zee i reszta położyli mi głowy na kolanach. Pogłaskałam ich po ostrych jak żyłki włosach i spojrzałam na Edika, na jego twarz i aurę. Przeżył spotkanie z moją matką. Chętnie bym się dowiedziała, jak mu się to udało, ale milczałam. Bałam się zapytać.

- Czego Krwawa Mamuśka ode mnie oczekuje? - zapytałam ostrożnie.

Nie wątpiłam już, że powiedział prawdę. Jego aura nie potrafiłaby skłamać. Mówił poważnie. Nadchodziło coś /lego. Już nadeszło.

- Tego nie zdradziła - odparł gładko. - Ale skoro jesteś Tropicielka i lepiej niż ktokolwiek inny radzisz sobie /. zabijaniem przedstawicieli mojego gatunku, należałoby założyć, że chce, byś dalej robiła to, co potrafisz najlepiej.

Uśmiechnęłam się półgębkiem.

- Mogłabym zacząć od ciebie.

Posunął sobie okulary wyżej na nosie. Zdziwiająco normalny gest, zwłaszcza w tak ewidentnie nienormalnych okolicznościach.

- Tropicielko, ja jestem najmniejszym twoim zmartwieniem. Nadchodzi koniec świata.

- A ty nadal coś przede mną ukrywasz. Zawahał się.
- Moja Królowa ma jeszcze jedną wiadomość. Oczekałam moment.
- Tak?

Nagle stał się skrępowany.

- Dla nich.

Wbiłam w niego wzrok. Raw przestał dłużyć w nosie, a Aaz usiadł mi na kolanach. Zee wychylił się do przodu, przecinając łuskami skórę siedzenia. Nawet Dek i Mai wysunęli się spomiędzy włosów, ciaśniej zacisnęli ogony dookoła mojej szyi. Raw wyciągnął rękę, żeby pogłaskać ich po miękkich głowach. Wsadziłam puszkę z piwem w uchwyt na napoje i milczałam.

Edik spojrzał na chłopców. Na czole zebrał mu się pot, a nogi pocierały o dywanik na podłodze limuzyny.

Jakbym patrzyła na początki huraganu.

Skręcał się przy każdym ruchu, pulsował, lśnił jak mokry jedwab utkany z nitek rtęci. Żywe srebro, zabójcze. Wszyscy oni tacy sami: stworzeni do zadawania śmierci, bezlitośni, pozbawieni sumienia. Połącz różnych morderczych drapieżników z naturalnego świata z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, dorzuć jakąś bestię, zrób z nich zbitą paczkę o ostrych krawędziach, a może zobaczysz cień tego, czym oni są.

Moi chłopcy. Zabójczy chłopcy.

Stary, ludzki żywiciel przelknął ślinę i przystawił usta do spiczastego ucha Zee. Ostrza włosów Zee musnęły twarz zombie i ponacinały bladą skórę niczym rozgrzany do czerwoności nóż. Zee potrafił nad tym zapanować. Lecz jedynie dwie osoby mogły go dotknąć bez okaleczeń.

Edik zaczął mocno krwawić, ale zadrżała mu tylko dolna warga, a poza tym w żaden sposób nie okazał, że czuje ból. Nie mówił długo. Zee odsunął się od niego i zamknął czerwone oczy. Pozostali chłopcy zebrali się wokół brata, niczym spieniona masa obsydianu i ostrych krawędzi. Mały demon szepnął coś w ich języku. Ja się nie odzywałam.

Zombie zastukał w przegrodę i limuzyna zwolniła. Wyjrzałam przez okno. Zobaczyłam ogrodzenie z siatki, a w oddali sylwetkę statku towarowego.

Edik wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki komórkę. Rzucił ją do mnie.

- Zadzwoń i powiem ci, gdzie jest chłopak.
- A inne dzieci?
- Uciekły z alejki z własnej woli. Przysięgam, Tropicielko.

Spojrzałam na Zee.

- A nasze sprawy? Dotyczące Krwawej Mamuśki? Edik zacisnął szczękę.
- Uważaj na siebie.

Nie taką odpowiedź chciałam usłyszeć. Otworzyłam drzwi limuzyny, wysiadłam i zamarłam.

- Rosyjska mafia? Jego brew zadrzała.
- Może...

Nie spuszczałam z niego wzroku.

- Rób swoje interesy z dala od dzieci w alejce.
- A jeśli nie?

Teraz chłopcy znają twój zapach. Zatrzasnęłam drzwi. Limuzyna odjechała. Patrzyłam za oddalającymi się tylnymi światłami. Nie miałam siły zastanawiać się nad tym, co się właśnie wydarzyło. Ale musiałam. Nie przyniosło mi to ulgi. Same pytania, chaos i absolutna pewność, że jestem totalnie stuknięta.

Zadzwoił telefon. Odebrałam i usłyszałam głos Edika:

- Kieruj się na wschód. Na parking. Znajdziesz tam białą furgonetkę.

Przerwał połączenie. Pozwoliłam Aazowi zjeść telefon.

Stara dzielnica przemysłowa była zrujnowana i opustoszała. Przypominała stertę kości. Noc wcale nie ukrywała blizn. W oddali widziałam reflektory rozświetlające doki. Za mną rozpadające się budynki fabryczne, potłuczone szkło, ciała wtulone w kąty, próbujące rozgrzać się na zimnym wietrze, który czułam na twarzy. Włosy nadal miałam wilgotne od wcześniejszego deszczu. Chodnik był nierówny. Beton po-przerastany kępami trawy. Dochodziły mnie odgłosy autostrady, dźwięki jakiejś budowy i nocnej pracy w stoczni.

Pół przecznicy dalej zobaczyłam przed sobą parking.

Rzuciłam się biegiem. Chłopcy trzymali się blisko. Sadzili susami do przodu, tańcząc między cieniami. Zee wziął mnie za rękę. Delikatnie ucisnęłam jego szpony. Zniknął. Gdy dotarłam do małego, chropowatego parkingu, siedział już na dachu białej furgonetki zaparkowanej pod zdezelowanym billboardem, z którego odtaziła reklama Starbucksa. Na całym parkingu tylko kilka samochodów. Wokół pusto.

- Jest tam? - zawołałam do Zee.

Kiwnął głową. Rozejrzał się niczym wartownik na wieży obserwacyjnej.

- Maluszek, sam jak palec.

Zerknęłam na Rawa. Czmychnął w cień. Chwilę później otworzyły się tylne drzwi furgonetki. Zobaczyłam materac. Chłopca. Był nieprzytomny. Miał związane ręce i nogi.

Raw zakradł się bliżej i ostrożnie przeciął więzy. Zawahał się, po czym przejechał pazurem po brudnym policzku dzieciaka. Potrafił rękami przecinać stal, wytoczyć krew z kamienia, ale chłopcu nie zrobił krzywdy.

- Raw...

Mały demon podniósł na mnie wzrok. W oczach miał smutek. Niesamowite. Nigdy nie widziałam na jego twarzy tyłu emocji. Od śmierci matki. Pojawił się Zee. Popatrzył na brata, potem na chłopca.

- Ach - mruknął.

- Co? - zapytałam.

Sycylia - odpowiedział i poklepał Rawa po plecach. Nie miałam pojęcia, co to znaczy, ale najwyraźniej chłopiec kogoś demonom przypominał. I to nie było dobre wspomnienie.

Nachyliłam się i pogłaskałam go po ciemnych włosach. Bez napięcia na twarzy robił wrażenie młodszego.

Śmierdziało od niego czymś słodkomdłym. Może chloroformem? Ale żył.

Wolno wypuściłam powietrze z płuc i wyciągnęłam telefon.

Grant zjawiał się dziesięć minut później. Przyjechał starym, przerobionym dżipem, dostosowanym do chorej nogi. Zaparkował obok, otworzył drzwi i wyciągnął rękę, by mnie do siebie mocno przytulić. Pachniał cynamonem i słońcem, ciepło, jak ogień zimą. Grantowi zawsze było gorąco.

Flet leżał na siedzeniu pasażera. Jego ulubiona broń. Puścił mnie i sięgnął do tyłu po laskę, po czym pokuścił do tylnych drzwi furgonetki. Poszłam za nim. Usłyszałam, jak ciężko wzdycha.

- Ten chłopiec widział Badelta - poinformowałam.
- I dlatego się tu znalazł?
- Trudno powiedzieć. Wiem tylko, że zombie użył go jako tarczy.
- **Opowiedz.**

Musiałam zebrać się w sobie. Nie dlatego, że historia była trudna. Chodziło o coś więcej.

Grant nigdy by nie zrozumiał, co to dla mnie znaczy stanąć obok drugiego człowieka, który mnie zna, wie o mnie wszystko i zadaje mi proste pytanie z taką niedbałą wyczekującą intymnością. Nikt nie potrafił zrozumieć -poza chłopcami - jaka byłam samotna przez te wszystkie lata. Myślałam, że tak już zostanie na zawsze, do końca życia.

Nikt nie potrafiłby zrozumieć, jak istotne są takie małe chwile. Jak bardzo je kocham.

Opowiedziałam mu, co się wydarzyło. Nie wyłączając wiadomości od Edika. Grant złapał mnie za przegub. Oczy mu pociemniały.

- Nic ci nie jest?

- **Nic.** - Pokręciłam głową i wpełzłam do furgonetki. Ostrożnie wyniosłam nastolatka na chłodne, nocne powietrze i przerzuciłam go sobie przez ramię. Nie ważył dużo, jak na swój wiek. Zresztą ja byłam silniejsza niż przeciętna kobieta mojego wzrostu. I większość mężczyzn. Musiałam być silna, by unieść chłopców. Charakteryzowała ich duża gęstość. Ważyli tyle samo, bez względu na to czy przybierali formę cielesną, czy tylko tatuaży.

Chłopiec nie odzyskał przytomności. Położyłam go na siedzeniu dżipa. Grant obejrzał się za siebie, czy nikt nas nie obserwuje, ale na krawędzi parkingu czaili się tylko Zee i reszta. Jedli potłuczone szkło. W oddali zobaczyłam światła samochodu. Twarz miałam całą mokną. Deszcz.

Grant zatrzasnął tylne drzwi furgonetki.

- Nadal coś mu grozi?

- **Nie wiem.** - Zastanawiałam się. Przypomniała mi się dziewczyna z kastetami. - **To moja wina.**
- **Nie.** Śmierć Badelta i to, co się przydarzyło temu dzieciakowi...
- **Nie stałoby się, gdybym nie osiadła w jednym miejscu.**

Nic nie powiedział. Spuścił wzrok. Długie palce jego lewej dłoni poruszyły się, jakby grał na fortepianie lub na flecie. Grant myślał i widział poprzez muzykę. Dosłownie.

Cierpiał na pewną neurologiczną przypadłość. Synes-tezja. Gdy grał lub słyszał głosy - właściwie gdy słyszał jakikolwiek dźwięk, od dzwonienia garnków po śpiew ptaków - widział kolory. Ludzi też postrzegał jako kolory i nieważne, jakie dźwięki wydawali. Odzwierciedlenia dusz i duchów, sedno ludzkiego serca wyrażone poprzez odcienie światła i energii. Śpiewające aury.

A gdy Grant odpowiadał muzyką, działy się różne rzeczy.

Delikatnie dotknął końcówek moich włosów. To wrażenie, ten widok wywoływały ciepły dreszcz, który dotarł aż do serca. Pragnęłam tego ciepła.

- Moja najdroższa - szepnęła, a ja zobaczyłam te słowa, bo zwykle dopisywał je na skrawkach papieru, gdy chciał mi o czymś przypomnieć albo zostawić liścik z samego rana. „Moja najdroższa. Kochana”.

Nie zasługiwałam na to.

Wtuliłam czoło w ramię Granta. Rozkoszowałam się siłą jego ręki, która pod kurtką wolno przesuwiała się w górę mojej talii. Byłam taka zmęczona. Odgarnął mi włosy i pocałował mnie w ucho, potem podrapał Mała pod brodą. Dek zamruczał.

Wsiedliśmy do samochodu, Grant za kierownicę. Chłopcy przycupnęli mi pod nogami i położyli kościste policzki na kolanach. Pogłaskałam ich po głowach. Zee włożył mi na kolana i zamknął oczy. Kołysałam go jak małe dziecko. Wsadził sobie kciuk do buzi. Ktoś powinien dzisiaj zaopiekować się misiem Jogi.

- Znalazłem biuro Badelta - powiedział Grant. - Jest w chińskiej dzielnicy.

Oparłam głowę o zimną szybę.

- Próbowałaś zadzwonić?

- Włączyła się automatyczna sekretarka, więc tam poszedłem. Nikogo nie zastałem. A w każdym razie nikt nie otworzył drzwi.

Kiwnęłam głową i głębiej wplątałam palce we włosy Zee. Będę musiała sprawdzić to miejsce. Ludzie tacy jak Badelt mają porządek w papierach. Na pewno są tam jakieś dowody płatności, nazwiska, numery telefonów. Może nawet terminarz spotkań. Coś, co mnie doprowadzi do człowieka, który mu podał moje imię.

To istotne. Zbyt mało osób o mnie słyszało, by to zlekceważyć. Nie żebym była niewidzialna. Miałam konta w bankach, dom w Teksasie. Mieszkania w Chicago i Nowym Jorku. Prawników w San Francisco i w Londynie, którzy zajmowali się moimi przeróżnymi rachunkami powierniczymi i nieruchomościami dziedzicznymi córka po matce przez przeszło pięć wieków. Wszystko zaczęło się od Włoskiej Tropicielki - wżeniła się w arystokratyczną rodzinę i zrozumiała, że ochrona więziennej zasłony nie musi oznaczać życia w biedzie.

Lecz w tych dokumentach używałam innego nazwiska. Nie nazywałam się Maxine Kiss. Maxine Kiss istniała tylko dla mojej matki i chłopców. Dla niektórych zombie. I Granta.

Staralam się żyć tak, by nikt mnie nie wytropił. Ślady na papierze to więzienie.

A jednak to nie uchroniło mnie przed policją z Seattle.

Grant wjechał na parking przed schroniskiem dla bezdomnych. Siedzieliśmy przy włączonym silniku; deszcz bębnił w szyby. Grant spojrział na Zee i połaskotał go w brzuch. Był jedyną osobą poza mną, której Zee na to pozwalał.

- Co to za wiadomość? Co wam przekazała Krwawa Mamuśka? - spytał łagodnie, ale w jego głosie brzmiało napięcie.

Miał własne porachunki z królową. Próbowala go opętać. Niewiele brakowało, a by go zabiła, starając się osłabić moc jego umysłu. Żaden inny demon nie zdołałby zrobić izogoś takiego. Grant miał za dużo siły.

Czasami nie dawało mi to spać po nocach. Grant - do-hry człowiek, jako potwór byłby przerażający.

Aaz i Raw drgnęli. Dek i Mai przestali mruczeć. Zee odwrócił się tyłem i schował twarz na moim brzuchu.

- Nic. Osobiste.

Grant zmarszczył brwi. Pokręciłam głową. Jeśli chłopcy coś postanowią, nie tego nie zmieni. To wszystko mnie przerażało. W żołądku narastało mi to samo koszarne poczucie, które dopadło mnie wcześniej. Jedyna różnica, że teraz nie czułam bólu. Nie przepadałam za tajemnicami. Zwłaszcza gdy dotyczyły mnie. W moim życiu i historii mojej rodziny już i tak było zbyt dużo znaków zapytania.

Nastolatek jęknął słabo. Wzięłam go za rękę.

- Dobra. Wnieśmy go do środka - szepnął Grant. Mieszkanie Granta znajdowało się nad przytułkiem: trzy przylegające do siebie magazyny. Kupił je wiele lat temu za pieniądze odziedziczone po ojcu. Lokalne i krajowe gazety regularnie publikowały artykuły o schronisku, ale zdaje się to miało mniej wspólnego z nagłaśnianiem tematu, a więcej z faktem, że przyjeżdżały reporterki, a Grant był zabójczo przystojny. Na dodatek eks-ksiądz. Niektóre laski na to lecą.

Dookoła zielona trawa i młode dęby. Pomiedzy nimi wiły się ścieżki, a pod staromodnymi, cynowymi latarniami stały małe ławki. Ogród powiększono o fragment sąsiedniej działki. Niektórzy stali bywalcy przytułku świetnie spisywali się jako ogrodnicy. Grant pozwalał im się tu wyszaleć. O tej porze roku nie kwitły żadne kwiaty. Róże właśnie zostały przycięte. Mniejsze, typowe dla tych terenów rośliny posadzone wśród iglaków i cedrów były bujne i zielone. Ogród miał mniej niż pół hektara, ale stanowił prawdziwą oazę w środku miasta.

Grant kroczył szybko. Flet trzymał cały czas pod pachą. Szedł ścieżką przez południowy róg ogrodu. Chłopcy kryli się w cieniu. Wilgotne powietrze pachniało czymś zimnym i słodkim. W oddali usłyszałam brzęk tłuczonego szkła i pijackie okrzyki. Ktoś miał kiepską noc.

Do mieszkania prowadziło oddzielne wejście. Grant otworzył drzwi. Weszłam za nim i wniosłam chłopca na górę. Po długich schodach. Grant powtarzał, że trzymają go w dobrej formie, pomagają utrzymać równowagę. Moim zdaniem to zakrawało na masochizm.

Mieszkanie zajmowało całe górne piętro południowego magazynu. Roztaczał się stamtąd ładny widok na miasto. Drewniane podłogi, ceglane ściany i całe kilometry pól na książki. Poza tym motocykl, fortepian, poobijana dębowa skrzynia z dziennikami mojej matki i inne przedmioty. Zapalone światła, powietrze złociste i ciepłe. Zerknęłam na Granta, gdy lekko zdyszany pokonywał ostatnie stopnie. Wskazał na pokój gościnny obok kuchni.

Od dwóch miesięcy, odkąd tam zamieszkałam, nikt tego pokoju nie używał. Granta rzadko ktoś odwiedzał; teraz, od momentu, gdy się pojawiłam, pewnie jeszcze rzadziej. Trudno by było wytłumaczyć gościom obecność Zee i reszty. Nawet gdyby chłopcy trzymali się poza zasięgiem wzroku.

Bardzo zwyczajne pomieszczenie: prawie pusty pokój, tylko łóżko, stolik nocny i zniszczona dębowa szafa ze sklepu z antykami. Grant odrzucił kołdrę. Położyłam chłopca na łóżku i zdjęłam mu buty. Nie zareagował. Nawet nie jęknął.

- Zraniono go. W serce. - Grant oparł się ciężko o laskę i przyjrzał nastolatkowi. Jego lewa ręka poruszyła się nerwowo. - Coś jest... wyłączone.

- To dobrze czy źle?

Grant jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

- Nie zacznie szukać noży kuchennych, ale może spróbować uciec. Nie będzie nam ufać.

- Ale z ciebie wróżka. - Pacnęłam go lekko w ramię. - Tyle to sama bym ci potrafiła powiedzieć.

Na jego twarzy zatańczył uśmiech.

- Spróbuję go uzdrowić. A przynajmniej odsunąć część strachu.

- Jeszcze nie. Chyba że myślisz, że może zrobić sobie albo komuś krzywdę.

- Nie, nie robi. - Grant wskazał pierś chłopca. - Ma taki miękki punkt, o, tutaj, szkoda, że tego nie widzisz, Maxine. Pulsujące światełko nad sercem.

Ja też żałowałam, że tego nie widzę.

- Zakładam, że to coś dobrego.

- To znaczy, że jest nadzieja - powiedział cicho. - Że w głębi duszy to dobry dzieciak.

Już wcześniej się tego domyśliłam.

- Muszę sprawdzić biuro Badelta.

Grant nic nie powiedział, nie od razu. Przyglądał mi się bez słowa, a jego milczenie brzmiało dla mnie jak muzyka, jak jego ściszony głos. Uśmiechnął się przelotnie.

- Ty też masz taki miękki punkt, Maxine. Wbiłam wzrok w ziemię.

- Pewnie wielkości lepka od szpilki.

- Raczej słońca. Jest większy i jaśniejszy niż słońce. Zrobiło mi się gorąco. Nachylił się i cmoknął mnie w policzek.

- Zostanę z chłopcem. Na wypadek, gdyby się obudził. Potarłam dłonią o udo. Nadal myślałam o słowach Granta i o tym, jak na mnie podziały.

- Nie pozwól mu uciec.

- Niech cię nie zwiedzie to, że mam chorą nogę.

- Jest jak naoliwiona błyskawica. - Spróbowałam się uśmiechnąć, ale bez skutku.

Spojrzałam mu prosto w oczy. Chciałam zapytać, czy wszystko się ułoży, czy przetrwamy koniec świata, ale to by było głupie i sentymentalne. Zresztą tylko przestraszyłabym samą siebie, gdybym wypowiedziała to na głos. Pragnęłam tu pozostać, tkwić w tym momencie i nie zaprzętać sobie głowy przyszłością. Nawet jeśli Edik nie ma racji i więzienie nie runie aż do mojej śmierci, i tak czeka mnie śmierć. Wszystko ma swój koniec. Nic nie trwa wiecznie.

- Lepiej już idź - powiedział Grant. - Bo jak mnie bardziej przestraszysz, to cię nie puszcę.

Zawahałam się.

- To takie oczywiste?

- Nie ukryjesz swojej duszy, Maxine. Nie przede mną. - W jego spojrzeniu pojawiło się napięcie. - Idź. Zadzwoń, jakbyś potrzebowała pomocy. Niech chłopcy trzymają się blisko ciebie.

Blisko albo śmierć. Żadnej alternatywy. Nie w moim przypadku. Ani w ich.

Brakowało mi mustanga. Liczyłam na to, że nadal stoi bezpiecznie pod uniwersytetem, a dzip miał dobry silnik. Małe rączki wyłoniły się z cienia obok moich kolan i zaczęły grzebać przy radiu. Chłopcy znaleźli stację z muzyką z lat osiemdziesiątych. Rozległo się zawroźnienie Whitesnake, a potem dudnienie AC/DC. Dek z Malem podrygiwali. Uderzali mnie końcami ogonów w obojczyki. Jechałam szybko.

W dziesięć minut dotarłam do chińskiej dzielnicy i znalazłam adres, który podał mi Grant. Mały ceglany budynek. Z jednej strony jarzył się neon z czerwonymi chińskimi literami na zaparowanej witrynie - to zatłoczona knajpka serwująca dania z makaronem. Po drugiej stronie dudniła muzyką wypożyczalnia filmów, oklejona pożółkłymi ze starości plakatami filmowymi z całego świata.

Biuro Badelta mieściło się na drugim piętrze wąskiej, ceglanej plomby. Drzwi na dole były zamknięte. Przez szklany panel zobaczyłam skrzynki pocztowe. Zerknęłam na Aaza. Uśmiechnął się i zniknął w ciemnościach. Chwilę później drzwi otworzyły się od środka. Weszłam. Dek i Mai nadal nucili mi do uszu Is This Love.

Na schodach nie spotkałam nikogo. Poza stłumionymi dźwiękami dochodzącymi z restauracji obok budynek wydawał się cichy i opustoszały. Na pierwszym piętrze minęłam małą kancelarię prawniczą, na drugim znalazłam dwie pary drzwi z napisami: „P. Chen, księgowość i Mabel Lee, zioła lecznicze”. Na końcu korytarza, najdalej od schodów, znajdowały się zniszczone, drewniane drzwi. A na nich tabliczka: „Brian Badelt, prywatny detektyw”.

Zawahałam się. Nadstawiłam uszu. Rozejrzałam się w poszukiwaniu kamer. Sprawdziłam kąty słabo oświetlonego korytarza i sufit. Chyba bezpiecznie. Największy cień rzucałam ja sama. Chłopcy opanowali korytarz. Zgromadzili się przy mnie jak stado wilków. Brakowało tylko Aaza. Po chwili otworzyły się drzwi Badelta i pokazała się w nich roześmiana od ucha do ucha twarz małego demona. Biuro było nieduże. Jedno pomieszczenie z pojedynczym oknem. Dla sekretarki nie starczyłoby miejsca.

Śmierdziało papierosami. Żadnych roślin doniczkowych, żadnych obrazków na ścianach. Jedna szafka na akta, biurko, trzy krzesła - dwa przed biurkiem, a jedno za - telefon i faks. Prostota. Człowiek czynu, niezwracający uwagi na błahostki. Może nie miał pieniędzy na zbędne rzeczy? Przypomniałam sobie jednak jego zdjęcie. Niezły twarządział. Uznałam, że to wnętrze po prostu odzwierciedla jego osobowość.

- Gliniarze już tu byli - oznajmił Zee, obwąchując podłogę. - Wszędzie.

Nietrudno się domyślić. Gdy ktoś zostaje zastrzelony, najpierw sprawdza się jego dom i miejsce pracy. Poza tym na biurku Badelta leżały porozrzucane papiery. A on robił wrażenie kogoś, kto lubi porządek i jest zbyt pedantyczny, by tolerować bałagan. Obeszłam biurko i usiadłam na krześle. Przysłuchiwałam się poszukiwaniom chłopców. Próbowałam sobie wyobrazić, że jestem Badeltem, siedzę tu i rozglądam się po włościach. Że patrzę na swoje nazwisko.

- Zee, zajrzyj do szafki na akta - poleciłam.

Strzelił pazurami do Rawa i razem zabrali się do przeczesywania szuflad. Włożyłam rękawiczki, nachyliłam się i obejrzałam biurko. W pierwszej szufladzie znalazłam metalowe pudełko. Nie było zamknięte na klucz. Otworzyłam je. W środku pełno pocisków. Ani śladu pistoletu.

W szufladzie niżej leżało oprawione w ramkę zdjęcie Badelta. Stał obok niskiej Chinki w średnim wieku, która obejmowała go w pasie i uśmiechała się tak promiennie, że nawet kamień by zmiękł. Powalaj ąco piękna, absolutnie niezwykła. Większość kobiet o takiej urodzie żyje tylko w filmach i na stronach kolorowych magazynów. Badelt wyglądał na uszczęśliwionego. Nie szczyrzył zębów w szerokim uśmiechu, ale oczy miał zmrużone i ciepłe. Było mu z tym do twarzy. Bez wątpienia bardziej niż ze śmiercią. Ciekawe, czy to jego żona? Jeśli tak, to fakt, że trzymał ich zdjęcie w szufladzie, najprawdopodobniej nie znaczył nic dobrego.

Usłyszałam, że chłopcy szepczą coś między sobą nad szatką z aktami. Odłożyłam zdjęcie z powrotem do pustej szuflady. Zaczęłam przekładać papiery na biurku. Na dnie natknęłam się na coś, co przykuło moją uwagę. Gazeta / . wczorajszą datą. Po chwili wahania rozłożyłam ją i zaczęłam przeglądać. Na zewnątrz zerwał się wiatr i zatrzęsł oknem za moimi plecami. Dek i Mai przestali śpiewać.

Odwróciłam się, wyjrzałam, ale nic podejrzanego nie zobaczyłam. Zee i reszta nadal przekopywali się przez akia. Zajął się gazetą.

Tak jak powiedział Suwanai - lokalny chiński szmatławiec. Często je widywałam, zwłaszcza gdy przychodziliśmy tu z Grantem na obiad lub kolację. Gazeta miała wersję chińskojęzyczną, ale przede mną leżała angielska edycja. To cienka gazetka z lokalnymi wiadomościami, doniesieniami z polityki i ogłoszeniami, głównie odnoszącymi się do azjatyckiej społeczności.

To oczywiście, że Badelt to czytywał. W końcu biuro mieści się w chińskiej dzielnicy. Zapewne większa część jego zleceń pochodziła od okolicznych mieszkańców.

Omów tego nie przeoczyłam. Szybko przerzucałam strony. Ogarniało mnie poczucie zmarnowanego czasu. Przeleciałam wzrokiem po zdjęciu na dole czwartej strony, już miałam ją przerzucić, gdy zamarłam.

Zdjęcie stare, ale wyraźne. Sądząc po podpisie, zrobione w 1957 roku. Na pierwszym planie, na środku stał młody, biały mężczyzna, duży i silny, szorstko przystojny, obdarzony słoneczną, zdrową męskością, rzadko spotykaną wśród współczesnych przedstawicieli męskiego gatunku.

Miał na sobie proste ciuchy, radośnie uwalane ziemią. Za jego prawym ramieniem widniał gigantyczny, kamienny posąg Buddy na skalistym wzgórzu, a u stóp rozbite były białe namioty. Mężczyzna biodrem opierał się o stół ustawiony wśród kamieni i piasku. Leżały na nim różne drobne przedmioty: odłamki ceramiki, małe kawałki metalu.

„Jack Meddle”, głosił podpis pod zdjęciem. „Archeolog”.

Lecz to od kobiety stojącej po jego lewej stronie nie mogłam oderwać wzroku. Szczupła, w prostej bluzce, długich spodniach i wysokich butach. Na nosie okulary, na szyi luźno zawiązana apaszka. Szlachetne, delikatne rysy, wysokie kości policzkowe, pełne usta, nieskazitelna cera. Włosy zebrane w kucyk. Miała niesamowite oczy, z których biła wyzywająca siła. Zdawało się, jakby sięgała wzrokiem poza fotografię - śmiała, niedająca spokoju. To oczy wojownika. Tropicielki.

Mojej babci.

Zaczęły boleć mnie płuca. Zmusiłam się do oddychania. Czułam, jak gromadzą się przy mnie drobne ciała. Przechyliłam się do tyłu, żeby Zee i bracia mogli zerknąć.

- Och - szepnął Zee.

Dopiero po chwili zdołałam coś z siebie wykrztusić.

- Co to jest?

- Jedwabny Szlak - wyjaśnił, wymieniając się z pozostałymi chłopcami przeciągłym spojrzeniem. - Po wielkim wybuchu.

Wielki wybuch. Bomba. W czasie II wojny światowej moja babcia była w Hiroszynie. Nigdy się nie dowiedziałam dlaczego. Wiem tylko, że miała szczęście: bomba spadła o dziewiątej piętnaście rano. Słońce stało już na niebie. Tatuaze zapewniły jej bezpieczeństwo. Przeżyła dzięki chłopcom. Zaslonili jej twarz i oddychali za nią, aż znalazła się w bezpiecznym miejscu. Cokolwiek, wszystko, byle tylko przeżyć.

Jeszcze raz spojrzałam na podpis pod zdjęciem. Panna Chambers - tego pseudonimu nie znałam. „Panna Chambers. Podróżniczka”. Tak ją nazwano. Moim zdaniem całkiem trafnie.

Przeleciałam artykuł wzrokiem. Opisywał, jak podczas wykopów na Jedwabnym Szlaku doktor Jack Meddle trafił na starożytną świątynię pogrzebaną w popiołach jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od Xi'an. To było ważne miejsce kultu dla wyznawców różnych religii: chrześcijan, muzułmanów i buddystów.

Niektóre z przedmiotów wykopanych w tej świątyni znajdują się w Muzeum Sztuki w Seattle jako część objazdowej wystawy azjatyckich starożytności. Gazeta podawała, że uroczyste otwarcie jest zaplanowane na dziś wieczór, co zbiega się z nadchodzącym chińskim Nowym Rokiem.

Przybędzie Jack Meddle.

Rozsiadłam się wygodniej na krzesło Badelta i zamknęłam oczy. Nie wierzyłam, że to przypadek. Meddle znał moją babcię. Teraz patrzę na ich wspólne zdjęcie znalezione w biurze prywatnego detektywa, który miał zapisane **moje prawdziwe nazwisko**.

Spojrzałam na babcię. Przystudiowałam jej spojrzenie, tak bardzo podobne do mojego, i poczułam, że patrzę też na swoją matkę. Dziwne wrażenie.

Zobaczyłam coś jeszcze, co mnie zaciękało.

Babcia stała bardzo blisko Meddle'a. Może nawet trzymała go za rękę. Albo obejmowała w pasie. Albo położyła mu dłoń na tyłku. Trudno powiedzieć. Trzymali ręce za plecami. Ramionami ciasno przywierali do siebie, lekko zwrócenii w swoją stronę. Wyglądali, jakby im było ze sobą dobrze, jakby przywykli do wzajemnej bliskości. Jakby razem pracowali.

Jeszcze raz sprawdziłam datę - 1957. Nie wiadomo, jaki miesiąc.

Nagle przeszył mnie lodowaty dreszcz. Moja matka urodziła się w 1958 roku.

- Nie - powiedziałam na głos i spojrzałam na chłopców.

Popatrzyli na mnie niewinnie niczym członkowie kościelnego chóru: zdecydowanie za niewinnie jak na takie diablątka.

Zee przestąpił z nogi na nogę. Dek i Mai leżeli nieruchomo na moich ramionach zwinęci w kłębek. Nie. Niemożliwe.

Lecz to miało sporo sensu. A może to były tylko pobożne życzenia. Kobiety w mojej rodzinie nigdy nie mówiły o ojcach. Ani dziadkach. W żadnym dzienniku nie znalazłam o nich nawet najmniejszej wzmianki. Gdybym opierała się na rozmowach z matką na temat seksu i mężczyzn, nadal bym myślała, że bociany przynoszą dzieci.

Zerknęłam na zegarek. Minęła ósma. Gala kończyła się o jedenastej. Nadal miałam czas. Jeszcze raz spojrzałam na zdjęcie, po czym starannie złożyłam gazetę i wsadziłam ją do tylnej kieszeni dżinsów. Pomogłam chłopcom odłożyć akta na miejsce. **Byli cisi, przygaszeni. Tak samo jak ja.**

Znałam babcię tylko ze zdjęć i jej dziennika. Napisała zaledwie jeden. Staranny i prosty charakter pisma, język oszczędny, rzeczowy. Pomyślałam o wszystkich swoich poprzedniczkach, niezliczonych kobietach, które walczyły z demonami, o nieprzerwanym od tysiącleci ciągu matek

1 córek, tak długim, że nawet nie chciałam o tym myśleć. O nich wiedziałam jeszcze mniej.

Ciekawe, czy Zee i reszta będą za mną tęsknić, gdy zniknę?

Gdy już zrobiliśmy porządek w biurze Badelta, spojrzałam na chłopców i wyciągnęłam rękę, by poklepać Deka i Mala.

- Czy ten mężczyzna na zdjęciu to mój dziadek? - zapytałam.

Zee nic nie powiedział. Raw i Aaz spuścili wzrok, ich małe pazury wbiły się w drewnianą podłogę, a kolce położyły płasko na łuskowatej skórze. Trudno stwierdzić, czy to znaczyło „tak”, czy „nie”, ale jedno było jasne - **to kolejny temat, którego nie należało poruszać. Zbyt wiele zakazanych tematów jak na jeden wieczór.**

Spojrzałam na nich ostro. Podeszłam do drzwi. Otworzyłam je.

I po drugiej stronie zobaczyłam demona.

Rozdział 5

Moja matka powiedziała kiedyś: „Spodziewaj się niespodziewanego, bo niespodziewane prawie na pewno będzie się spodziewało ciebie”.

Demon był wyższy niż framuga drzwi. Aż mnie bolała szyja od zadzierania głowy. Miał na sobie pelerynę, która się wzdymała i falowała, chociaż powietrze w korytarzu stało nieruchome. Materiał - jeśli to materiał - uderzał w jego ciało tak gwałtownie, jakby dookoła szalał huragan. W fałdach dostrzegłam cienie, bezdenne, niekończące się - niczym lochy, gdzie uwięziono dusze.

Kapelusz z szerokim rondem nasunięty nisko na oczy zasłaniał twarz demona. Widziałam tylko trochę białej skóry, spiczasty podbródek i długą, męską kreskę warg. Czarne włosy sięgały poza linię szczęki. Ich koniuszki wiły się i przeplatały niczym węże.

Dłonie niewidoczne. Oczy ukryte w cieniu kapelusza, ale czułam na sobie jego spojrzenie. Palilo mnie w twarz. Temperatura jego wzroku przeszywała mnie z niebywałą siłą.

Zakręciło mi się w głowie. Minęło dużo czasu. Większość znanych mi demonów należała do kategorii duchów wcielonych w ludzkiego żywiciela. Miały tyle cielesności co cuchnący oddech. Te prawdziwe, z krwi i kości, pojawiały się rzadko. Trudniej im się przedostać przez zasłonę. Muszą znaleźć w niej rozłam. Ale najpierw przedrzeć się przez wiele kręgów, przez więzienne pierścienie. Do zdobycia wolności potrzeba mocy. I dużo determinacji. A to znaczy, że te demony, którym udało się wydostać, to -jak powiedziałaby matka - **wredne skurczybyki.**

Jednak ja i chłopcy kilku takim stawiliśmy czoło. Niektórzy z nich żyli na ziemi od wieków, głównie w ukryciu. Aż do chwili, gdy nasze ścieżki się przecięły. Nie sposób się dowiedzieć, ilu uciekinierów kręci się po ziemi. To w końcu duży świat. I tylko jedna Tropicielka.

Cofnęłam się i zatrzasnęłam drzwi. Jakby to mogło mnie ocalić. Stałam ze wzrokiem wbitym w drzwi. Spodziewałam się, że demon się przez nie przedrze. Myślałam, że chłopcy zewrą szeregi, ale oni też tylko się gapili. **Bez ruchu. Z oczami wielkimi jak spodki.**

- Zee - syknęłam.
- Maxine - odpowiedział.

Nie potrafiłam rozszyfrować jego miny. Uszy położył płasko na szczeciniastej czaszce. Raw i Aaz wbili pazury w podłogę. Kolce na plecach najeżyły im się z klekotem i zadygotały gwałtownie. Moja krew to ich krew. Moja śmierć równa się ich samobójstwu. Chłopcy żyli tylko dlatego, że ja żyłam. To miało ich dodatkowo zachęcać do walki po mojej stronie. To coś wykraczało poza granice przyjaźni. Czy lojalności.

- Zee - powtórzyłam.
- Otwórz drzwi - wyszeptał.
- Chcesz nas wszystkich pozabijać?
- Nigdy, Maxine.
- Nie masz racji.
- Nigdy - warknął.

W jego głosie zabrzmiał wrzący gniew. Nie skierował się przeciwko mnie. Tyle wyczuwałam. Czułam smak prawdy. Chłopcy nigdy nie wyprowadzili mnie w pole.

Serce waliło mi jak młotem. Otworzyłam drzwi. Demon zniknął.

Postanowiłam nie marnować czasu. Z tupotem popędziłam korytarzem i schodami na dół. Brałam po trzy stopnie. Chłopcy przemykali się za mną szybko, w cieniu. Zniknęli zupełnie, gdy wybiegłam na ulicę i wpadłam na grupkę ludzi, którzy właśnie wychodzili z restauracji obok. Nie zwracałam uwagi na ich krzyki. Skóra mnie świerzbiała. Czułam ucisk w żołądku i gulę w gardle. Stałam się wyraźnie widocznym, ruchomym celem.

W nogi, Maxine. W nogi.

Biegłam, uciekałam, potykałam się. Zmierzałam do zaparkowanego na tej samej ulicy dżipa. Miałam niejasny plan. Chciałam wyprowadzić stąd demona. Znaleźć jakieś wysoko położone miejsce. Odizolowane. Z dala od ludzi. Bardzo liczyłam na to, że chłopcy mi pomogą.

Dotarłam już do dżipa, gdy Dek i Mai syknęli mi do ucha. Zawahałam się. Powietrze zafalowało przy mojej głowie. Odwróciłam się i zobaczyłam, jak coś ciemnego wbija się w chodnik. Aż skruszył się beton. Jakby pękło tysiąc kręgosłupów naraz. Spojrzałam w dół i zobaczyłam stopy niczym noże; dosłownie - ostrza albo pazury zakończone ostrzami. Długimi, prostymi, lśniącymi srebrzyście. Demon stanął jak tancerz, który wszedł na pointy, i zrobił krok do przodu. Stopy zastukały i rozcięły chodnik. Głowę nadal miał schyloną, a jego peleryna połyskiwała niczym ciemna woda.

- Tropicielko - wyszeptał. - Tyle czasu...

Miał gładki, ciepły głos - pocałunek lawy, wolna kąpiel w płynnym ogniu. Nie mogłam oderwać wzroku od jego małych, idealnych ust, które ledwie się poruszały. Przerazające. Dziwne. Serce biło mi tak mocno, że zrobiło mi się słabo.

Zatoczyłam się do tyłu i wpadłam na tych samych ludzi, z którymi zderzyłam się przed restauracją. Nic się nie wydarzyło. Mężczyźni i kobiety w ogóle mnie nie zauważyli. Obeszli mnie, ich oczy przesunęły się po mojej twarzy. Cały czas rozmawiali ze sobą, dobrze się bawili. Bez mrugnięcia okiem przeszli obok demona. Rozstąpili się przed nim niczym rzeka biorąca w swoje objęcia wyspę.

Demon uśmiechnął się ostro. Oczy nadal miał schowane pod szerokim rondem kapelusza. Zee i reszta wychynęli z ciemności. Przyglądali się mnie, a nie demonowi. Patrzyli bardzo uważnie. Jakby się spodziewali, że coś zrobię. A ja potrzebowałam ochrony. Próbowałam ich wezwać, ale głos uwiązł mi w gardle. Zakrztusiłam się słowami.

A potem po prostu się zakrztusiłam.

Ale ze mnie idiotka. Dopiero po chwili załapałam, co się dzieje. Miałam wrażenie, że minęły wieki. Skóra mnie paliła, w oczach zbierały się łzy. Próbowałam wciągnąć powietrze do płuc, ale napotkało mur. Nie mogłam oddychać. Nie mogłam oddychać.

- To my jesteśmy twoim oddechem - wyszeptał demon. Poczułam to. Poczułam w płucach jego uśmiech.

A chłopcy nadal nie śpieszyli mi na ratunek. Gapili się tylko, jakby ktoś ich trzymał na długiej smyczy. Miałam ochotę na nich wrzasnąć, ale nie byłam w stanie nic z siebie wydusić. Chłopcy, Zee... moja rodzina...

- Przestań walczyć, Tropicielko - odezwał się cicho demon.

Walczyłam. Walczyłam z całych sił. Poczułam znajome, straszliwe trzepotanie na wysokości żeber. Wrażenie chłodu. Chłodu śniegu. Chłodu baru na zadupiu przy jakiejś drodze w stanie Wisconsin. Chłodu noży matki. Kipiącej ciemności.

Demon się uśmiechnął.

- Owszem. Pamiętasz.

Zee szczechnął jakieś ostre słowo i demon przechylił głowę. Ciężko opadłam na kolana. Przed oczami wirowały mi gwiazdy. Pomyślałam o matce, o chłopcach. O Grancie. Ogarnęła mnie ciemność.

A potem wszystko się skończyło. Dziesięć godzin później, dziesięć sekund - nie mam pojęcia. Leżałam na ziemi, niemal całkowicie oślepiona. Żywa. Chłopcy siedzieli na mnie. Mali zdrajcy. Dek i Mai owinęli mi się wokół szyi, a

Raw i Aaz ściskali mnie kurczowo za ręce i podtrzymywali głowę. Zee lizał mnie po czole. Jego szorstki język drażnił mi skórę. Szkoda, że nie zliżał łez, które mi płynęły z oczu. Tyle łez. Nie mogłam przestać płakać. Coś we mnie tkwiło. Coś, co paliło w sercu. Płonełam.

Głowa opadła mi na bok. Zobaczyłam przed sobą demona. Oczy nadal ukryte pod rondem kapelusza, peleryna i włosy wijące się w ciemnościach. Złapałam Zee za szyję.

- Zabij go - rozkazałam bez tchu. To było wyzwanie.

Którego nie podjął. Nie ruszył się z miejsca, a w jego oczach kryła się jakaś historia, tak samo jak w oczach braci. Nie mogłam tego znieść. Nie mogłam. Usiadłam z wysiłkiem, ciężko dysząc, i spojrzałam na demona. Uśmiechnął się. Kolana uginały się pode mną, ale miałam przecież pięści. Oddychałam. To już coś. Może.

O, cholera.

Zee złapał mnie za nadgarstek.

- Nie, Maxine.

Opierałam mu się. Ciągnął mnie mocno. Ciągnął za sobą. Rzucił ostro jakiś rozkaz i Raw z Aazem wyrwali sobie kolce z pleców. Dzierżyli je w łapach niczym dzidy. Spojrzałam na ulicę - nadchodzili jacyś ludzie. Śmiali się, byli pogrążeni w rozmowie. Nikt chyba nas nie widział.

- Oturu - warknął Zee. - Dość.

Demon lekko przechylił głowę. Ciało płynnie się przegięło. Rekin tnący wodę. Jego ruchy przypominały taniec: diabelski balet na ulicy pod osłoną ciemności. Poruszał tylko stopami. Płaszcz powiewał. Włosy wznosiły się i opadały, jakby były w objęciach burzy. Usłyszałam grzmot. Stopy demona wycinały kółka w betonie, a ja wsłuchiwałam się w zawrodożenie zimowego wiatru. I nagle dostrzegłam grację demona, nienazwaną finezją - w jej obliczu noc zmieniała się w coś innego, jakby ciemności miały duszę, która się poruszała z rykiem w rytm uderzeń serca.

Nie mogłam oderwać wzroku. Demon zakołysał się i stanął przede mną na wyciągnięcie ręki. Zee, Raw i Aaz zebrali się w pobliżu, z kolcami w dłoniach.

- Tropicielko - powiedział demon. - Stęskniliśmy się za twoją twarzą.

- Nie znam cię - wyszeptałam.

Moje instynkty poderwały się do życia, rozśpiewane
i surowe.

Uśmiech demona pogłębił się w kącikach ust.

- Nad krwią nie da się zapanować, Tropicielko. Znasz nas, i to dobrze.

Nic z tego nie rozumiałam. Mniej niż nic. Pomyślałam o matce. Ona by nie stała teraz spokojnie. Spojrzałyby tylko na tego żartownisia i wyrębała mu dziurę w twarzy. Z pomocą Zee lub bez.

Kosmyki jego włosów zatrzepotały mi tuż przed nosem. Mai kłapnął zębami i syknął. Wplątałam dłoń w swoje włosy. Dek owinał mi się wokół nadgarstka i palców. Demon się nachylił. Mógłby mnie pocałować.

Walnęłam go pięścią w twarz. Moja pięść, ciasno owinięta ciałem innego demona. Nie potrzebowałam kastetów. Dek zatopił kolce w szczęce demona i wyrwał mu spory kawałek policzka. Została płonąca, dymiąca dziura. Demon odskoczył tanecznym krokiem. Zasyczał. Płaszcz załopotał mocno.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - warknęłam. Demon odwrócił się tak, że widziałam jego profil.

Kosmykiem włosów wyrwał kolce Deka i rzucał je jeden po drugim między fałdy płaszcza, który pochłaniał te kawałki kości niczym żarłoczna przepaść. Policzek zaczął się zrastać. Raw zadygotał koło mojej nogi, ale chyba nie ze strachu. Jego wzrok, podobnie jak Zee i Aaza, był twardy, lodowaty i wygłodniały.

Minęli nas ludzie. Przysadzisty facet ze sporym brzuchem i torbą z jedzeniem na wynos w garści prawie na mnie wpadł. Nieświadomy niczego. Naśmiewał się razem z kolegami z tyłka jakiejś dziewczyny. Poczułam się jak duch.

- Tropicielko - wyszeptał demon. - Wciąż jesteś zbyt świeża.

Zerknęłam na Zee - wpatrywał się w demona, jakby go dobrze znał. To przerażało mnie prawie tak samo jak demon.

- Czego chcesz?

Jego upiorne włosy skreśliły się w powietrzu.

- Obudziłaś nas. Twoja dusza do nas przemówiła. Usłyszeliśmy w otchłani twoje wołanie.

- Bzdura.

- Oni wiedzą. - Płaszcz demona zafalował w stronę chłopców. - Inaczej by nas tutaj nie było.

- Przeszedłeś przez zasłonę.

- My nie jesteśmy stamtąd. Ale zasłona rzeczywiście się otworzyła. Słabnie. Coś stamtąd wyszło. Jesteśmy... ci potrzebni.

Poczułam na twarzy krople deszczu. W plecy wbijała mi się gazeta. Jack Meddle, pomyślałam. Moja babcia. Nie miałam czasu na te brednie.

- Niczego od ciebie nie potrzebuję. Jesteś demonem. Uśmiechnął się słabo, tym razem z kpina, przerażającą, bo tak bardzo ludzką.

- Ty też.

Zee powiedział coś ostro. Demon cofnął się o krok. Ten ruch był, o dziwo, zabarwiony szacunkiem.

- Tropicielka, narodzona na nowo - wyszeptał. Nagle jego włosy wyrwały się do przodu, szybciej niż zdążyłam zamrużyć. Poczułam ukłucie na twarzy, w tym delikatnym miejscu między żuchwą a uchem. Wzdrygnęłam się i odskoczyłam do tyłu. Złapałam się za policzek, ale nie poczułam krwi - tylko wgłębienia, drobne linie.

Zee huknął pięścią w chodnik. Demon schylił głowę i odsunął się w bok, w deszcz i cień. Ostre stopy robiły wyrwy w chodniku.

- Należymy do ciebie - ciągnął cicho. - Ale ty, Tropicielko, należysz też do nas.

- Nie... - zaczęłam.

Miałam wrażenie, jakby na moich oczach żyjąca otchłań stała się pojedynczym oddechem, pustką.

Demon zniknął. Bez śladu, jakby świat otworzył paszczę i go połknął.

Wpatrywałam się w miejsce po nim. Oczy zamieniły mi się w dwie palące dziury. Spojrzałam na Zee, Aaza i Rawa. Schylone głowy, wzrok wbity w ziemię. Dek i Mai siedzieli cicho. Drżeli. Smutek. Wstyd. Wyczuwałam to w nich. I to mnie bolało. Serce mi od tego krwawiło. Chciałam znowu zapłakać, ale nie było czasu, nie było miejsca na łzy.

- Co się stało? - wyszeptalam. Zee nic nie powiedział.

Żaden z chłopców nie podniósł na mnie wzroku. Zabolało mnie to bardziej, niż się spodziewałam. Dotknęłam ramienia Zee.

- Nie stanęliście w mojej obronie. Zdradziliście mnie. Dlaczego?

- Przepraszam - wydusił z siebie Zee. - Tak bardzo cię przepraszam, Maxine. Z głębi serca.

Przetarłam oczy. Coraz więcej ludzi szło po chodniku, a lśniąca ulicą szybko przejeżdżały samochody. Z wypożyczalni dochodził łomot muzyki. Z restauracji unosiły się zapachy, smród tłuszczu...

Zgięłam się wpół. Zbierało mi się na wymioty. Dek i Mai nucili mi coś przy uchu. Odrętwiała odwróciłam się do dzipa i zaczęłam szukać kluczy. W głowie mi dudniło. Z oczu płynęły łzy. Zee dotknął mojego kolana, ale go odrzuciłam.

Wsiadłam do samochodu, zapaliłam silnik i odjechałam, nie sprawdzając, czy są ze mną chłopcy. Pierwszy raz w życiu miałam to gdzieś.

Rozdział 6

Gdybym była w stanie logicznie myśleć, to pewnie bym sobie uświadomiła, że na uroczystym otwarciu wystawy w Muzeum Sztuki obowiązują stroje wieczorowe.

Ale miałam za dużo na głowie. Głównie własny przejmujący wstyd. Czułam się beużyteczna, nic niewarta. Przeżyłam, ale nie dlatego, że się postarałam. Demon wcale nie chciał mnie skrzywdzić. Robiło mi się słabo na myśl o tym, że byłam zdana na jego łaskę. Do chłopców też nie mogłam mieć pretensji. To tylko i wyłącznie moja wina. Spoczęłam na laurach. Zee i reszta ciągle zabezpieczali tyły. Dlatego założyłam, że pośpieszą mi z pomocą, w miarę swoich sił.

Błąd. Ułuda.

Matka zawsze ciężko pracowała: sztuki walki, trening z bronią, gry strategiczne i sztuka podstępów. Zawsze utrzymywała swoje ciało i umysł w pełnej gotowości. Mnie też trenowała. Ale nie żyła od pięciu lat, a ja w tym czasie sobie odpuściłam. Zaniedbałam się. Idiotka. Polegać na chłopcach to jedno, a rozleniwic się - drugie.

Chłopcy siedzieli w ciszy na tylnym siedzeniu. Zero muzyki. Zero kręcenia się. Raz czy dwa zerknęłam przez ramię. Trzymali ręce złożone na drobnych kolanach, ich stopy z pazurami nie sięgały podłogi. Po dziesięciu minutach, gdy już nasłuchiwałam się ich chlipania, nie mogłam się na nich złościć. Nadal było mi przykro, ale się nie gniewałam. Nie na nich.

- Mam parę pytań - odezwał się w końcu. Zee wyrwało się ciche, pełne wątpliwości westchnienie, więc dodałam: - Przynajmniej to mi jesteście winni. Bałam się, że umrę.

- Nie - oznajmił stanowczo Zee. - Śmierć nie.

- Myślałam, że stanowimy rodzinę.

- Bardzo zżytą.

- No to co się dzieje?

- Nie mogę - wyszeptał Zee.

Chwilę później wyłonił się z ciemności i pojawił na fotelu pasażera obok mnie. Podciągnął sobie ostre, kościste kolana pod brodę.

Próbowałam spojrzeć mu prosto w oczy.

- Czemu?

Małe palce szarpnęły mnie za kurtkę. Raw i Aaz owinęli się wokół dźwigni skrzyni biegów, wpełzli mi pod pachy i na kolana. Niełatwo prowadziło się samochód, ale nie miałam serca ich odepchnąć. Zee jeszcze bliżej przysunął do siebie kolana.

- Tajemnice, Maxine.

- Obiecałeś komuś, że mi nie powiesz, co się dzieje?

- Obiecałem, że nie powiem nikomu. - Jego głos brzmiał miękko, niemal dziecinnie. - Przysięgłem na naszą krew.

Mocniej zacisnęłam ręce na kierownicy. Demony może są amoralne - według ludzkich norm - ale dotrzymują słowa. Zawsze. Nie wiedziałam, co by się wydarzyło w przeciwnym wypadku, ale ich słowo wiele znaczyło. Było ich prawem. A przysięga na krew to zupełnie inna historia. Krew to życie. Krew płynie. Krew trwa aż do śmierci.

Chłopcy nigdy nie umierają. Dlatego taka przysięga ulu wiązuje ma wieki.

Ktoś kazał ci przysiąc, że nie będziesz rozmawiać u ilnnonie, którego właśnie spotkaliśmy? A co z Jackiem Mc(lille'em? Z wiadomością od Krwawej Mamuśki?

Dobrze wiedziałam, że jestem jak zacinająca się płyta - ciągle wyrzucam z siebie te wszystkie pytania. Spojrzałam na niego wyczekująco. Zahamowałam gwałtownie, gdy światła właśnie zmieniły się na pomarańczowe. Poleciliśmy do przodu. Dek i Mai kurczowo zacisnęli ogony wokół mojej szyi. Aaz uderzył głową w klakson i czip wydał z siebie krótki dźwięk.

- Wszystko jest powiązane - odparł Zee, a mnie zachciało się też huknąć głową w klakson. - Matka ci przecież mówiła.

Tak, mówiła mi mnóstwo rzeczy. Ze mam myć zęby. Przeczytać pierwsze trzy rozdziały Wojny i pokoju. Zawsze trzymać strzelbę pod ręką. Chybabym pamiętała, gdyby mi powiedziała coś o demonach z nożami zamiast stóp albo poufnej komunikacji między chłopcami a Krwawą Mamuśką. Przypuszczam, że coś takiego porządnie wbiłaby mi do głowy.

Złapałam Zee za rękę.

- Musisz mi powiedzieć więcej. To nie moja liga. Pokręcił głową.

- Nigdy. Jesteś Tropicielką.

Czułam się jak absolutne zero. Pogłaskałam palcami krótkie, ostre kolce na kanciastych policzkach Zee. Niczym jedwabista trawa. Nadstawił się, przymknął oczy.

- Mamie też to zrobiłeś? - zapytałam. - Przed nią też miałeś tajemnice?

Nie odpowiedział. Z trudem się kontrolowałam.

- Co to za demon? - nie ustępowałam. Zee westchnął.

- Oturu. To Oturu. Tropiciel... jak ty.

- Nie przyszedł z za zasłony. To nie on się stamtąd wydostał.

- Nie. - Podniósł wzrok. Raw i Aaz też popatrzyli na mnie, a Dek z Malem polizali mi uszy z tyłu. - On by cię nie zabił, Maxine.

- Ale się bałam.

- Wszyscy się baliśmy - wyszeptał Zee. - Ale nie tego, że umrzesz.

Przeszył mnie zimny dreszcz. Światła zmieniły się na zielone. Zawahałam się, po czym nacisnęłam gaz. Byłam w centrum, blisko muzeum. Zaparkowałam na ulicy. Chciałam zadać jeszcze kilka pytań, ale na razie darowałam sobie. Później. Teraz musiałam odetchnąć świeżym powietrzem i zająć myśli czymś innym. Czułam się jak pies, który goni za własnym ogonem.

- Jack Meddle - mruknęłam do siebie, idąc szybko w stronę skrzyżowania Union z First Avenue.

Może od niego się czegoś dowiem. Na przykład, czy to on wynajął Badelta? I czy spał z moją babcią?

Dochodziło wpół do dziesiątej. Zostało półtorej godziny, żeby go odszukać.

Jeśli zdołam przedrzeć się przez drzwi wejściowe.

Muzeum Sztuki niedawno zostało rozbudowane. Do starej galerii - monolitu o zaokrąglonych krawędziach w stylu art deco - doklejono nowy budynek. Wąska konstrukcja ze szkła i stali rozświetlała pograżoną w ciemnościach nocy ulicę swoją surową, wyrafinowaną próżnością. Dawno minęła zwykła pora zamknięcia muzeum, ale w środku nadal kręcili się ludzie - smokingi, czarne suknie, błysk, dzwonienie szkła, brylantów.

A ja dzinsy miałam brudne, włosy rozczochrane. Na twarzy ślady po zderzeniu z chodnikiem. Pewnie mi się rozmazał tusz do rzęs. Nie było jednak czasu, żeby się doprowadzić do porządku. I nie miałam w co się przebrać. Sukienki nie włożyłam od śmierci matki, a wysokie obcasy pewnie zabiłyby mnie prędzej niż zombie.

Przy podium przed muzeum stał młody człowiek, przysadzisty i okrągły, w smokingu w nieodpowiednim rozmiarze - za ciasnym w pasie i za szerokim w ramionach. Pracownik tymczasowy albo ktoś z muzeum zwerbowany w

ostatniej chwili. Zerknął na mnie, a zaraz potem na stojącego w pobliżu ochroniarza, który ruszył w moją stronę pewnym krokiem. Chętnie bym go kopnęła w tyłek.

- Żeby wejść, trzeba mieć zaproszenie - oznajmił pogardliwie gość w smokingu i wygładził swoje przyлизane ciemne włosy. - Nie zaszkodziłoby też trochę higieny osobistej.

- To pilne - powiedziałam. - Muszę się zobaczyć z doktorem Jackiem Meddle'em.

- Pewnie. - Mężczyzna zajął się obciąganiem rękawów. Znowu spojrzął na ochroniarza. - Ale nie teraz.

Czułam się podle i miałam kiepski humor.

- To sprawa rodzinna. Bardzo pilna, a wyłączył komórkę.

- Nie zamierzam przerywać...

Okrążyłam podium i podeszłam do faceta bardzo blisko. Prawie się dotykaliśmy piersiami. Wpatrywałam się w niego jak zaklinacz węży: bez mrugnięcia, zimno, stanowczo. Koksia zatkało.

- Naprawdę chcesz odpowiadać za to, że odmówiłeś gościowi honorowemu dostępu do ważnej, prywatnej informacji tylko dlatego, że posłaniec nie jest odpowiednio ubrany? - wyszeptałam. Kilka elegancko ubranych kobiet, które właśnie wychodziły, spojrzało na nas z zaciekawieniem i osłupieniem. Zignorowałam je. - Jak się nazywasz?

Zawahał się. Jego wcześniejsza pewność siebie gdzieś ulotniła. Ochroniarz zaczął się oddalać.

- Nie rozumiem...

- Nazwisko - wycedziłam lodowatym tonem. - Lepiej mi nie każ wyjaśniać, do czego mi ono potrzebne.

Zmarszczył czoło. Starał się zachować spokój. Cofnął się o krok. Pozwoliłam mu na to. Demonstracyjnie zmierzył mnie od stóp do głów.

Po czym bardzo głośno - zapewne po to, by dać wychodzącym gościom do zrozumienia, że robi mi wielką przysługę, która jednak w żaden sposób nie wykracza poza jego obowiązki służbowe - oznajmił:

- No, dobrze, ale proszę, by przekazanie doktorowi Jackowi Meddle'owi pilnej wiadomości rodzinnej zajęło tylko krótką chwilę. Wiele osób czeka, by zamienić z nim dziś słowo.

- Dziękuję - warknęłam. - Postaram się nie zostawić tłustych odcisków palców na obrazach. Nie będę też rzucać na podłogę kości z kurczaka.

Przewrócił oczami. Wyminęłam go.

Pewność siebie to podstawa, jeśli chcesz wszędzie czuć się jak u siebie w domu. I nieważne, jak elitarnie lub wymyślnie jest to miejsce. Lub jak nędzne. Dopiero co ledwo uszłam z życiem przed demonem. Nadal jednak wiedziałam, kim jestem. Dziarskim krokiem ruszyłam przez muzeum, z wysoko uniesioną głową, wyprostowana, kręcąc biodrami w taki sposób - choć nie do końca mi się w to chciało wierzyć - że mogłyby mi pozazdrościć supermo-delki.

Uroczystość przyciągnęła spory tłumek. Przeszłam pod dziwaczną flotą białych samochodów, które wisiały do góry nogami pod sufitem, oświetlone kolorowymi reflektorami. Skierowałam się za dobrze ubranymi ludźmi do starszego skrzydła muzeum, gdzie przechadzały się dziewczyny w obcisłych mundurkach z tacami szampana i sushi.

Rozpoznałam parę twarzy - znałam je z wieczornych wiadomości - w tym kilku polityków. Nie tak dawno temu zjawili się w schronisku dla bezdomnych, żeby sobie zrobić zdjęcie podczas kolacji z wolontariuszami. Spojrzeli na mnie ze zdziwieniem, tak samo jak inni, którzy musieli mi zejść z drogi. Nie zwracałam na to uwagi, miałam misję do wykonania. Dek z Malem ścieśnili mi się we włosach i zsunęli niżej pod kurtkę. Nie miałam pojęcia, gdzie jest Zee i reszta, ale na pewno kręcili się gdzieś w pobliżu.

Pobieżnie zerknęłam na obiekty w gablotach. Większość z czystego złota w głębokim, intensywnie żółtym kolorze. Metal przypominał aksamit utkany ze słońca. Skomplikowany detal na urnach, zdobieniach i posążkach. Chętnie spędziłabym nad eksponatami więcej czasu. Jeśli pochodziły z wykopalisk, w których brała udział babcia, stanowiły też część mojej historii. A miałam jej tak mało. Chciałam dokładnie obejrzeć rzeczy, których dotknęła. Poznać smak jej przygody.

W końcu prawie wpadłam na Jacka Meddle'a.

Postawny mężczyzna. Trudno było go nie zauważyć, ale mnie chwilowo pochłonął złoty naramiennik z onyksową inkrustacją. Wzór dekoracji kojarzył mi się z chłopcami, jakby fragmenty tatuaży, w które układały się ich ciała, zostały odcisnięte na biżuterii. Nie mogłam oderwać od tego wzroku. A gdy już mi się to udało, odwróciłam się zbyt gwałtownie i uderzyłam ramieniem Meddle'a.

- Och - sapnęłam, zanim go rozpoznałam, po czym spojrzłam mu prosto w oczy i dodałam: - Och.

To on. Bez wątpienia. Zbliża się do osiemdziesiątki, ale nadal to ten sam mężczyzna ze zdjęcia. Wysoki, o wyrazistych rysach, szczupły, z niespokojną inteligencją lśniącą w przejrzystych, niebieskich oczach. Miał ładne oczy. Miłe.

Wpatrywał się we mnie. Rozbawienie i zdziwienie powoli przeszło w zmieszanie, a potem radość.

- Jeannie - wyszeptał, a ja doznałam szoku.

Jean. Prawdziwie imię babci. Ufała temu mężczyźnie na tyle, by mu je zdradzić. Już miałam mu powiedzieć, że się pomylił, ale on sam pokręcił głową i mocno zacisnął powieki.

- Nie. Nie jesteś Jeannie.

- To moja babcia - wyjaśniłam cicho.

- Tak-odparł.

Spojrzał na mnie znowu. Tym razem zadziwienie i zakłopotanie były zaprawione szczyptą smutku. Nagle wydał się zmęczony i stary. Bez względu na to, jak bardzo zależało mi na odpowiedziach na pytania, zrobiło mi się głupio, że mu przeszkadzam. Zwłaszcza w wieczór poświęcony właśnie jemu. To niegrzeczne. Byłam intruzem i nie miałam prawa zawracać mu teraz głowy - bez względu na to, jak wielka tajemnica mnie do niego przyprowadziła.

Lecz Jack delikatnie dotknął mojego ramienia. I zanim zdążyłam go powstrzymać, przesunął dłoń na kark. Musnął palcami Deke i Mala. Zamarłam, wstrzymałam oddech. Chwilę później chłopcy zamruczeli.

- Ach - westchnął starszy pan. - Stęskniłem się za chłopcami.
- Wiesz o nich? - wykrztusiłam z wysiłkiem. Uśmiechnął się i zajrzał mi głębiej w oczy.
- Oczywiście, kochanie. Tak się cieszę, że w końcu się poznaliśmy. Mała Maxine Kiss.

Jack przeprosił organizatorów i wyszliśmy z przyjęcia. Gdy opuszczaliśmy muzeum, z ponurą przyjemnością zanotowałam przerażenie malujące się na twarzy faceta w niedopasowanym smokingu, gdy zobaczył nas razem.

- Możemy iść na piechotę - zaproponował Jack, stawiając sobie kołnierz płaszcza. - **Moje biuro jest niedaleko stąd.**

Nie wiedzieć czemu zdziwiłam się, że mieszka w Seattle. Cały czas miałam go pod samym nosem. Dziwnie się poczułam. Jakbym nie była na bieżąco z własnym życiem.

- Masz biuro w centrum? Myślałam, że jesteś archeologiem.
- Och, robię to i tamto.

Poruszał się jak młodzieniec, szedł sprężystym, swobodnym krokiem. Musiałam się postarać, żeby nie zostać z tyłu.

- **Moja babcia...**

- Jeannie - przerwał mi w pół zdania. - Jesteś do niej bardzo podobna.

- Widziałam wasze wspólne zdjęcie. - Wyciągnęłam gazetę z tylnej kieszeni. - **Tutaj. Znalazłam to w biurze człowieka, który mnie szukał. Prywatnego detektywa.**

Zwolnił.

- **Doprawdy?**
- Czy to ty próbowałaś mnie odnaleźć?
- **Nie** - odpowiedział dziwnym tonem, pełnym wahania i namysłu. - Ale cieszę się, że zostałaś odnaleziona.

Pokręciłam głową.

- Ten człowiek został zamordowany, zanim zdążył do mnie dotrzeć.

Spojrzał na mnie ostro.

- **Zamordowany?**

- **Zastrzelony** - uściśliłam. Odniosłam wrażenie, że Jack kłamie, że mnie nie szukał. - **Wczoraj w nocy.**

Zacisnęła zęby. W ciemnościach dostrzegłam Zee, Rawa i Aaza. Stali oddzielnie i uważnie się nam przyglądali, jeden pod samochodem, drugi koło ujścia rynsztoku, a trzeci w wąskim paśmie cienia rzucanego przez uliczną latarnię. Czerwone oczy błyskały, szpiczaste głowy wynurzały się z gładkich ciemności niczym jakieś demoniczne wydry z brunatnej wody. Powietrze miało silny posmak deszczu. Chodnikiem szło kilka osób. Walczyłam z pragnieniem, by spojrzeć w górę i sprawdzić, czy na tle nieba nie widać żadnych postaci w czarnych pelerynach, gotowych zstąpić na ziemię.

- **Znałeś go?** - zapytałam. - Nazywał się Brian Badelt.
- **Nigdy go nie spotkałem** - odparł Jack, ostrożnie dobierając słowa.

Poczułam się jak Suwanai przysłuchujący się moim własnym odpowiedziom.

- Wiedział, jak się naprawdę nazywam - ciągnęłam. - Miał to zapisane na gazecie takiej jak ta. Ze zdjęciem przedstawiającym ciebie i babcie. Potrafisz to wyjaśnić?

- **Moja droga, bardzo bym chciał potrafić ci to wyjaśnić.**

- **No to skąd wiesz, jak się nazywam?** - Szukałam odpowiednich słów. Czulałam się niezręcznie. Moja babcia, znana całemu światu jako panna Chambers, zdradziła temu mężczyźnie, że tak naprawdę nazywa się Jean Kiss. - **Nigdy się nie spotkaliśmy.**

Uśmiechnął się przelotnie.

- **Ty tego nie możesz pamiętać. Wbiłam w niego wzrok.**
- **No, jesteśmy na miejscu, moja droga - powiedział. - To te drzwi przed nami.**

Przed sobą widziałam nowoczesną, szklaną fasadę galerii sztuki. Ekskluzywny budynek ogłaszał wszem wobec, że wpakowano w niego mnóstwo pieniędzy, a w środku kryje zapewne wielkoformatowe obrazy pełne czarnych i białych kropek albo abstrakcyjnych przedstawień umęczonych dusz, które mają ukoić intelektualną niemoc zamkniętych. To nie wyglądało na dom poszukiwacza skarbów lub kogoś, kto - skoro moja babcia darzyła go sympatią - na pewno żył poza ramami normalnego społeczeństwa.

Ze zdziwieniem patrzyłam na Jacka. Zatrzymał się przed szklanymi drzwiami i wyjął pęk kluczy z kieszeni długiego czarnego płaszcza. Na szkle eleganckimi literami napisano: „Sarai Soars: galeria sztuki”.

Zerknął na mnie z uśmiechem.

- **Och, nie bądź taka zaskoczona. To lokal mojej współpracownicy.**

Sarai. Na moment ogarnęła mnie niezręczna i absurda z zazdrością w imieniu babci. Jack Meddle jest związany z inną kobietą. Musiałam się ostro upomnieć w myślach, że po pierwsze, w ogóle nie wiadomo, czy Jean Kiss i archeolog łączą jakąś namiętność, a po drugie, że ona nie żyje od przeszło trzydziestu lat. Powinnam mu trochę odpuścić.

I skończyć z tą obsesją. Miałam przecież tyle innych kłopotów na głowie. Całe to przejmowanie się starszym panem to po prostu strata czasu.

Lecz byłam z nim tu i teraz. Wiedział, jak się nazywam. Znał chłopców. To wystarczy.

W środku galeria okazała się mniejsza, niż się spodziewałam, a obrazy zupełnie inne, zdumiewające. Wcale nie czarne kropki i abstrakcyjne plamy. Zatkęło mnie na ich widok. Zamurowało. Zmroziło w kościach.

Dzieła sztuki na ścianach - co do jednego - przedstawiały jednorożce.

I to nie jakieś tam ogrodowe jednorożce. Nie kiczowate, słodkookie, otulone miękkim światłem fantastyczne wizje białych koni z długimi rogami na czole. Nie plakaty z wściekłym różowym zachodem słońca, na którego tle magiczne stworzenia stają dęba na srebrnych kopytach niczym w dziecięcych fantazjach naszpikowanych baśniowymi sterydami.

Nic z tych rzeczy. Stałam w drzwiach galerii Sarai Soars i patrzyłam na najbardziej przejmujące wcielenia tych stworzeń, jakie kiedykolwiek widziałam. Poczulałam się, jakbym znowu miała trzynaście lat, gdy matka zarzuciła mnie książkami o sztuce. Najbardziej lubiłam prerafa-elitów, grupę angielskich, XIX-wiecznych artystów, takich jak Rossetti czy Burne-Jones. Szczera, uczciwa sztuka. Tematy romantyczne i klasyczne.

Obrazy na ścianach były w podobnym tonie. Mocne linie, nasycone kolory i naturalistyczny detal: jednorożec nad zatłoczonym polem bitwy zalany żołnierzami w średniowiecznych zbrojach, o oszalałych oczach, uwiecznionych w chwili śmierci i przemocy, bez końca, bez linii horyzontu. Wszędzie tylko ciała piętrzące się coraz wyżej, nadziane na miecze, pośród zakrwawionych toporów. A między nimi jednorożec, nietknięty, lśniący, chudy niczym wygłodzony tygrys - patrzył z obrazu oczami, które przypominały oczy demona Oturu. I miał jego uśmiech. Wszystkowiedzący i wiekowy, pełen wrodzonej siły.

Absolutne mistrzostwo. Hipnotyczne. Zapraǳnęłam kupić ten cholerny obraz. Miałam ochotę położyć poduszkę na podłogę, rzucić się na nią i bez końca gapić się na malowidło.

Więcej obrazów. Przy każdym czułam się tak, jakbym patrzyła prosto w oczy prawdy. Jakby ten jednorożec rzeczywiście brał udział w bitwie lub stał na wałach obronnych jakiejś starożytnej twierdzy na pustyni, pośród łuczników, albo w falach oceanu. Szara wizja lądowania w Normandii. Alianci walczą i umierają na plaży, a fantastyczne stworzenie prawie ginie w spienionych falach. Czułam to. Dogłębnie.

Obrazów nie było dużo, pewnie dlatego, że więcej tak wielkich płócien nie pomieściłoby się na ścianie. I dobrze. Tych obrazów nie należało oglądać zbyt długo. Odnosiłam wrażenie, jakby moje serce się obnażyło i ktoś miał w nie wgląd.

- Niesamowite, co? - mruknął Jack. - Sarai zdarzają się momenty natchnienia.

- Owszem - przyznałam.

Dek z Małem wyłonili się z moich włosów, żeby też przyjrzeć się obrazom. Zamarłam. Zauważyłam, że Jack na nich patrzy. Wyciągnął rękę i podrapał chłopców pod brodami. Zachichotali, zamruczeli. Czysty surrealizm. Ogarnęło mnie pragnienie, by usiąść na podłodze i spuścić głowę między kolana.

Lecz Jack nagle znieruchomiał i choć nie było żadnego alarmującego sygnału, to wystarczyło, by włosy stanęły mi dęba.

Galerię wypełniło zimne powietrze. Nie czułam żadnego powiewu, po prostu niespodziewanie spadła temperatura, jakby ktoś rzucił nam pod nogi pół tony lodu. Prawdziwy szok dla organizmu. I nie chodziło o to, że popsuła się klimatyzacja.

Ciepło to forma energii. Można je chłonać, zostawiając tylko chłód. Jakby się połykało płomień, a sikało lodem. Wszystkie archetypiczne wyobrażenia piekła - siarka i jamy pełne lawy, ludzie tańczący w płomieniach - to tylko manifestacja starej prawdy. Niektóre demony lubią gorąco.

Dek i Mai coś zaburczeli. Zee i reszta nadal nie było widać, ale wyczuwałam ich - stali stłoczeni w cieniu, niczym zjawy. Czułam się tak, jakbym rozglądała się za duchem. Sięgnęłam do swoich włosów i zacisnęłam palce na grubym, drgającym ogonie.

- Jack, coś jest nie tak. Nie jesteśmy sami.

- To nic takiego - odparł spokojnie.

- Nie rozumiesz.

- Owszem, rozumiem. - Zerknął na coś ponad moim prawym ramieniem i kącik jego ust drgnął w dół. - To zaraz minie.

Za dużo wiedział. To powinno mnie ekscytować, ale tak nie było. Może dlatego, że czułam, że czyjeś okropne spojrzenie wwierca mi się w tył czaszki. Bardzo chciałam się odwrócić, ale ani drgnęłam. Udawałam głupią. Trzymałam się zasad tej gry. Zaufałam chłopcom.

Po chwili chłód ustał. Ciepło ogarnęło nas, jak gdyby ktoś otworzył ogromny piekarnik. Ale to tylko powierzchowne doznanie. W kościach nadal czułam zimno. W sercu arktyczny lód.

Dek i Mai przestali warczeć, choć ogony ciągle mieli naprężone. Poklepałam ich obu. Zee wychylił się z cienia - dokładnie za Jackiem, poza zasięgiem jego wzroku - i pokręcił do mnie głową. Cokolwiek tu się zjawiało, już sobie poszło.

- Powinienem tu trzymać więcej swetrów - powiedział Jack.

Wolno wypuściłam powietrze z płuc. Staralam się zapanować nad drzeniem.

- Brzmi to tak, jakbyś był do tego przyzwyczajony. Wzruszył ramionami z nonszalancją. A może tylko udawał?

- Pewne powiązania przyciągają niechcianą uwagę. Tego się nie da zmienić.

Pewne powiązania. Moja babcia. Wydawał się za bardzo zrelaksowany. Nie wierzyłam mu.

- Jack. Kim ty jesteś?

W jego oczach zamigotało zaskoczenie.

- Archeologiem. Przecież wiesz.

- I, jak rozumiem, jako zwykły archeolog znasz się... na demonach?

- No, cóż, nie - odparł ze śladem irytacji. - To akurat nie ma nic wspólnego z moim zawodem.

Gapiałam się na niego, nic nie rozumiejąc. Trochę się go nawet bałam. Ale Jack tylko machnął ręką i poprowadził mnie do małego parawanu z drewna różanego rzeźbionego w jaskółki i kwitnące wiśnie. Za nim znajdowały się białe drzwi i wąskie schody. Poszliśmy na piętro. Było zupełnie inne niż parter. Tak inne, że chwilę mi zajęło odzyskanie orientacji. Zaczęłam się zastanawiać, czy zostanę tu pogrzebana żywcem.

Otaczały mnie stoły, długie, drewniane blaty zastawione wysokimi stertami papierów i książek. Całe góry książek i papierów. Wszędzie. Półki wzdłuż ścian, też pełne. I podłoga zasłana papierami. Jedyne przejście to długa, wąska ścieżka, której przy każdym kroku groziło zasypanie papierową lawiną. Zobaczyłam też drewniane skrzynie z materiałami do pakowania i metalem, a także posążki na ścianach i kawałki ceramiki. Okien nie było widać. Całe pomieszczenie przypominało ogromny papierowy kokon. Ciepłe i bałaganiarskie. Lampy, już zapalone, dawały złociste światło. Dobiegł mnie ściszony śpiew Jimmy'ego Durante'a.

- Rozgość się - powiedział Jack, po czym dodał: - Zee, możecie już wyjść. Po co te formalności?

Zagryzłam język. Pomiędzy stołami pojawił się Zee, a zaraz za nim Raw i Aaz. Chłopcy czaili się, obwąchiwali powietrze. Jack przyglądał im się z tym samym smutnym uśmiechem, który widziałam w muzeum.

- Stary Wilk - wychrypiał Zee.

- Nic się nie zmieniłeś, chłopcze - odparł Jack.

- Tu też. - Zee uśmiechnął się szeroko. - Głupia skóra. Skrzyżowałam ręce na piersi. Jack zerknął na mnie i zachichotał.

- Znam tę minę. Zmarszczyłam czoło.

- Ciekawe skąd.

- Jeannie. - Jack ruszył wąską ścieżką. - No i twoja matka.

Szłam za nim i nagle stanęłam jak wryta.

- Znałeś moją matkę?

- Pobieźnie. Byłaś wtedy malutka. - Zastukał naczyniami gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku. - Herbaty?

- Nie - odmówiłam, nadal wstrząśnięta tym, co się wydarzyło na dole. - Jak to możliwe, że nic o tym nie wiem?

- Moja droga, dawno się nauczyłam nie kwestionować sposobu, w jaki kobiety wychowują dzieci, a już zwłaszcza kobiety z twojej rodziny. Drażliwe z was istoty.

Musiałam usiąść. Taki dostałam komunikat od swoich nóg. Przysiadłam na krawędzi stołu. Biodrem opierałam się o stertę papierów i słoik z groszakiem. Aaz położył mi głowę na kolanach. Podrapałam go za uchem. Zaślinił się trochę.

- Wygląda na to, że nieźle je znalazłeś.

Jack mruknął coś pod nosem, co wzięłam za potwierdzenie. Zadzwończyły kubki. Miałam ochotę zadać mu więcej pytań - na przykład: czy mogę ci mówić „dziadku”? - ale nie, posunęłabym się za daleko, to by było istne szaleństwo. Lecz gdy spróbowałam spytać o coś innego, usta odmówiły mi współpracy przy formowaniu słów.

Moje ciało domagało się ciszy. Posłuchałam. Unosiłam się na falach łagodnego obłędu. Zaczęłam przeglądać książki, o które się opierałam.

O dziwo, większość z nich to północnoeuropejskie mitologie, szczególnie dotyczące duchów i zjaw, a konkretnie czegoś, co się nazywało Dziki Łowca lub Dziki Łów.

Znałam te klimaty. Nie żebym uważała się za eksperta, ale natknęłam się na takie historie podczas swoich licznych wypraw do księgarń i bibliotek. Miałam w głowie niejasny obraz mężczyzny z rogami i w przepasce z mchu, który prowadzi duchy, gobliny i zjawy na jakieś widmowe łowy w lasach. Nic, na czym bym się dłużej skupiła. Wołałam Hansa Christiana Andersena.

Byłam jednak zdenerwowana i musiałam się czymś zająć. W tych tekstach znajdowały się notatki wypisane ręcznie i na maszynie. Zaczęłam je przeglądać. Słowa przyciągały moją uwagę. Natknęłam się na zapiski chyba Jacka.

„To zaczyna się w nas”, czytałam. „Ten łów, ten dziki, szalejący łów, który odzwierciedla naturę Wieku i niszczy, by inni mogli się odrodzić”.

Chciałam zagłębić się w lekturę, ale w wąskim przejściu między stertami papierzyk pojawił się Jack. Niósł dwa dymiące kubki.

- Ach, widzę, że znalazłaś sobie coś lekkiego do czytania.

- To ciekawe. - Zamknęłam książkę. - Myślałam, że jesteś tylko archeologiem. A nie badaczem folkloru.

- Zajmuję się wieloma dyscyplinami. A te dwie nie różnią się od siebie aż tak bardzo. Nie byłoby żadnych miast do odkrycia bez serc, które je wzniosły.

Postukałam w książkę.

- Baśnie?

- Sny i przepowiednie. - Podał mi kubek. Pytania cisnęły mu się na usta, ale ugryzłam się w język i odłożyłam książkę. Napiałam się gorącego napoju. Herbata. Ciemnoczerwona. Sączyłam ją ostrożnie. I Smakowała przyjemnie i słodko. I

- Jeannie piła z cukrem - wyjaśnił Jack. - Pomyślałem, że może ty też taką lubisz.

- To dziwne słuchać, jak o niej mówisz. Przeżyłam I szok, gdy zobaczyłam was razem na zdjęciu.

- To jedno z moich ulubionych. - Jack oparł się o stół i naprzeciwko mnie i zerknął w dół na Zee. - Pod zlewem 1 stoi pudło z narzędziami, jeśli jesteście głodni. I

Raw z Aazem spojrzeli po sobie, zastrzygli uszami i po 1 chwili zniknęli w ciemnościach. Zee został. Przyglądał się I Jackowi z takim namysłem, że aż mnie to zdenerwowało. I Usłyszałam chrzęszczenie metalu. Dek i Mai zaświergotali cicho, a ja sięgnęłam w górę i delikatnie ich popchnęłam. Błyskawicznie zsunęli mi się z ramion. Bez ich ciężaru poczułam się obnażona.

- Babcia ci ufała - powiedziałam.

Moja matka też musiała mu ufać. Chciałam zrozumieć, dlaczego nigdy mi o nim nie wspomniała. I dlaczego chłopcy nie chcieli o nim rozmawiać, gdy im pokazałam zdjęcie u Badelta w biurze. Przypomnił mi się demon Oturu.

- Spotkaliśmy się w 1955 roku - zaczął Jack. - Od jakiegoś czasu pracowałem w Persji. Katalogowałem pewne obiekty, dowody migracji kultur między Chinami a Bliskim Wschodem. Wpadłem na Jeannie na miejscowym rynku. I Kupowała winogrona. Zażądano od niej wygórowanej ceny. - Jack uśmiechnął do swojego kubka. - To mnie rozzłościło i pośpieszyłem jej z pomocą. f

Zasłoniłam sobie usta, żeby ukryć uśmiech. Zagryzłam f dolną wargę. i

- I co dalej?

- Zaczęliśmy rozmawiać. Okazało się, że dużo podróżowała po Azji Centralnej i doskonale zna ważne archeologicznie miejsca, o których ja nic nie wiedziałem ani żaden inny osobnik z zewnątrz. zaproponowała, że mnie tam zabierze. Za opłatą. Lubiła pieniądze.

- A chłopcy? Jak się o nich dowiedziałeś?

- Zaatakowano nas. - Jack zapatrzył się w przestrzeń. - Pustynni jeźdźcy. Jeden z nich do mnie strzelił. Był za blisko, żeby chybić. Jeannie... zasłoniła mnie... własnym ciałem. Kule rozdarły ubranie na strzępy, ale jej samej nic się nie stało. Jeźdźcy nieźle się przerazili, mówię ci. Tylko my dwoje przeżyliśmy. - Znów się uśmiechnął, ale już nie tak radośnie. - Resztę mi wyjaśniła. Nie miała wyboru.

- Jak długo... - Musiałam przerwać i uspokoić się łykiem herbaty. - Jak długo byliście razem?

- Kilka lat. - Głos mu się załamał. Wbił wzrok w parujący napój. - Jak rozumiem, twoja matka nie żyje?

Zawahałam się.

- Zmarła pięć lat temu.

Zobaczyłam, że podbródek opadł mu jeszcze niżej na pierś, a dłonie mocniej zacisnęły się na kubku. Przeszył go dreszcz. Tak słaby, że to mogło być tylko westchnienie.

- Byłaś taka śliczna - powiedział cicho, a mnie przyszło do głowy, że mówi do wspomnienia mojej matki. Po chwili dodał: - Wcale nie płakałaś. Słodkie dziecko.

Nie wiedziałam, jak zareagować. Może rzeczywiście mówił o mojej matce. A może o mnie. Może, może. Zbyt wiele tych „może”.

- Pokazała ci mnie?

- Zaraz jak się urodziłaś. To była jedna z jej ostatnich wizyt. - Odstawił herbatę. - Chodź ze mną. Mam coś dla ciebie.

Ostrożnie szedł wąskim przejściem. Patrzyłam za nim uważnie, jego słowa ciągle dzwoniły mi w uszach. „To była jedna z jej ostatnich wizyt”.

Ruszyłam za nim, ale Zee złapał mnie za dłoń i zatrzymał. Wzięłam go na rękę. Przyłożył mi usta do ucha.

- Obiecaliśmy, Maxine. Mamuśka nas zmusiła. Nie wolno mówić o panu Meddle'u.

- Dlaczego? - wyszeptalam.

- Musisz patrzeć w głąb, pod skórę. Pan Meddle to tylko skóra.

Zagadka. Nie najgorsza. Zrobiło mi się nieswojo, a marzyłam tylko o chwili radości.

Znalazłam Jacka po drugiej stronie pomieszczenia, za regałem z książkami, który tworzył przepierzenie. Zobaczyłam zlew, kuchenkę, zmywarkę - cztery małe demony pożerające pozostałości skrzynki z narzędziami - a także stół, o dziwo tylko w połowie zastawiony książkami, starą lodówkę i drzwi albo do sypialni, albo do toalety.

Jack mamrotał coś do siebie. Staralam się zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół, jaki się z nim wiązał. Nadal był w smokingu, zagubiony w labiryncie opasłych tomów i papierzysk. Cudowna chwila, czysta przyjemność. Lepsza niż wszystko, co mogłabym sobie wyobrazić.

Niewiele brakowało, a zapytałabym - tu i teraz. Pytanie prawie mi się wyrwało z ust. Musiałam użyć całej siły woli, by je zdusić. Za bardzo bałam się je zadać. Za bardzo bałam się siebie. Nie znałam Jacka Meddle'a. Nie miałam powodu mu ufać. Nie widziałam przyczyny, żeby mu wierzyć.

Ale chciałam. Chciałam, by Jack powiedział „tak”. By okazał się członkiem rodziny. Chciałam tak bardzo, że prawie czułam smak tego pragnienia.

A jeśli to ktoś inny, jeśli to nie on... Wolałabym tego nie wiedzieć. Jeszcze nie teraz. Mogłam przecież poudawać, chociaż przez chwilę.

- Proszę. - Jack uśmiechnął się triumfalnie.

Nadal trzymałam na rękach Zee. Przysunęłam się do Jacka i spojrzałam na przedmiot w jego dłoniach. Szybko rozwinął cienkie płótno. W środku znajdował się okrągły kamień. Dysk. Z głębokimi, koncentrycznymi liniami. Zdawało się, że lekko połyskują, jakby kamień miał perłowe żyłki.

Oczy mi się zamgliły, żołądek się ścisnął. Oparłam się Okuchenny stół. Zee mocniej złapał się rękami za moją szyję.

- Co to jest? - zapytałam. Własny głos brzmiał mi dziwnie w uszach.

- Prezent - oznajmił wolno Jack. - Od twojej matki. Powiedziała, że gdybyśmy kiedykolwiek... na siebie wpadli... to powinienem ci to dać.

- Wpadli na siebie? - Roztarłam piekące oczy. - A jakie było tego prawdopodobieństwo?

- Moja droga... przecież tu teraz jesteś, prawda? Raw i reszta przerwali jedzenie. Siedzieli na podłodze i wpatrywali się w kamień. Dek z Małem wyskoczyli z moich włosów i ułożyli mi się na ramionach.

Jack podał mi dysk. Wzięłam go od niego. Ręka zaczęła mnie mrowić. Zee chyba wstrzymał oddech.

Ale nic się nie stało. Zwykły kamień. Gładki, wypolerowany do miękkiego połysku. Chyba piaskowiec. Miły w dotyku. Na środku prosty wzór. Koła w kołach. Dotknęłam zewnętrznej, wyźłobionej linii. Nie mogłam się powstrzymać. Zaczęłam po niej sunąć palcem. Znowu poczułam mrowienie. Zakręciło mi się w głowie. Przerwałam.

- Co to jest? - powtórzyłam.

Jack nigdy nie odpowiedział. Skrzypnęły drzwi.

- Jesteś tam, Stary Wilku? - zawołała jakaś kobieta. - Coś się stało.

Zee zniknął mi z objęć, Raw i Aaz schowali się w cieniu pod zlewem, a Dek i Mai przestali mruzczyć. Jack się zawahał, jakby miał ochotę się nie odzywać.

- Tak, Sarai. Mamy towarzystwo.

Nie słyszałam jej kroków, lecz nagle zobaczyłam ją kątem oka. Odwróciłam się.

I w tym momencie jeden kawałek układanki trafił na miejsce.

Sarai - kobieta ze zdjęcia Badelta. Na pewno. Szczupła, niższa ode mnie, z długimi srebrnymi włosami wokół eterycznej, idealnej twarzy. Wyobraziłam sobie Troję, Helenę i tysiące statków. Owszem, to się mogło wydarzyć, może rzeczywiście istnieją kobiety takiej urody.

Sarai na pewno była tak piękna. Sto razy piękniejsza na żywo, jakby zdjęcie Badelta uchwyciło jedynie jej ogólny zarys. Domyślałam się, że była po czterdziestce albo nawet po pięćdziesiątce, ale skórę miała nieskazitelną, bez jednej zmarszczki. Bez makijażu. Po prostu nierealna.

- To pani - powiedziałam wolno. - To pani zleciła Badeltowi, żeby mnie odszukał.

- Och - westchnęła Sarai. - A niech to szlag.

Co dziwne, w pierwszym momencie przyszedł mi do głowy Szekspir. Część prezentu, który dostałam na dwunaste urodziny: zbiór cytatów z twórczości pisarza. Poetyckie maksymy. Matka miała do nich słabość.

„Lecz ci, którym wina w piersi rośnie, myślą, że każde oko ich oskarża”.

Może. Tylko że Szekspir nigdy by się nie doczekał wyrazu winy - lub jakichkolwiek innych emocji - w oczach Sarai Soars.

- Nie żyje, prawda? - zapytała. - Brian?

Nie odpowiedziałam. Byłam zbyt zajęta śledzeniem jej reakcji.

Matka ukrywała emocje przed wszystkimi, z wyjątkiem mnie. Mówiła, że to instynkt samozachowawczy. Może Sarai trzymała się tej samej zasady. Mnie jednak dręczyły palące pytania i nie zamierzałam oglądać się na czyjąś osobowość. Chciałam się dowiedzieć, skąd o mnie wie. I dlaczego na mój widok uznała, że Badelt nie żyje.

- Został zamordowany - wyjaśnił cicho Jack. - Tak mi przykro, Sarai.

Zamknęła oczy i schyliła głowę. Srebrne włosy opadły jej na twarz. Przycisnęła sobie palec do czoła, jakby ją tam bolało. Nagle zrobiło mi się jej trochę bardziej szkoda.

Zacząłam się jednak zastanawiać, czy to przypadkiem nie podstęp.

- Coś was łączyło - powiedziałam ostrożnie. - Odwiedziłam jego biuro. Znalazłam tam wasze zdjęcie.

- Byliśmy małżeństwem. Krótco. Wiele lat temu. - Jej głos nie zdradzał żadnych emocji, może zaledwie słabe ich echo, nic więcej. - Jak zginął?

- Został zastrzelony. Wczoraj w nocy. - Nie przebieierałam w słowach. Zawsze mnie irytowały kłamstwa na temat zmarłych, którzy już nie mogą niczego sprostować. - Miał przy sobie wypisane moje nazwisko. Policja je znalazła. Przyszli do mnie. Podejrzewają, że to ja go zabiłam.

Sarai nadal stała ze spuszczoną głową. Jack mocniej zacisnął dłonie. Spojrzałam na niego przeciągle i ostro.

- Czego ja w tym wszystkim nie rozumiem, panie Meddle?

Kobieta wydała z siebie stłumiony dźwięk. Przetarła oczy delikatną dłonią ubrudzoną farbą.

- Pan Meddle. Od lat nie słyszałam, by ktoś się tak do ciebie zwrócił, Jack.

- Wiesz za to, jak ja się nazywam - nie popuszczałam. Sarai w końcu podniosła na mnie wzrok. W jej oczach lśniły łzy.

- Maxine Kiss. Tropicielka i Wartownicza. Strażniczka więziennej zaskłony. Ostatnia ze swojego gatunku.

Głos uwiązał mi w gardle. Krawędź kamiennego dysku wbijała mi się boleśnie w dłoń. Sarai przesunęła wzrokiem w dół, na kamień. Gdy na mnie spojrzała, jej twarz znów przypominała maskę.

- Powinnaś już iść. Przyjdź jutro. Wtedy porozmawiamy.

- Nie - wychrypiałam. - Szczerze ci współczuję straty, ale musisz mi odpowiedzieć na parę pytań.

- Nic nie muszę - odwarknęła.

- Sarai - upomniał ją stanowczo Jack.

Odwróciła się bez słowa i z niebywałą gracją ruszyła wąską, zaśmieconą ścieżką między chwiejnymi stertami książek. Nie obejrzała się za siebie.

Miałam ochotę za nią pobiec. Zrobiłabym to, gdyby Jack nie złapał mnie za rękę.

- Zostaw ją.

Ugryzłam się w język, żeby nie odparować ostro.

- Wydajecie się zżytą parą.

- Wiele lat zajęło nam rozpracowanie siebie nawzajem - odparł starszy pan tak łagodnie, że nie mogłam się na niego dłużej gniewać.

Odsunęłam sobie włosy z twarzy i ścisnęłam obolałą głowę.

- Skąd ona wie, kim jestem? Ty jej powiedziałeś?

Milczał. Spojrzałam na niego. Gapił się na moją szczękę, teraz odsłoniętą. Dopiero po chwili przypomniałam sobie, że Oturu smagnął mnie tam włosami. Zupełnie o tym zapomniałam. Jack wpatrywał się we mnie intensywnie, z niezdrowym rumieńcem na policzkach. Na dole był niezwykle opanowany i radosny. Nie spodziewałam się, że zobaczę u niego taką minę.

Nie spuszczał oczu z mojego policzka, jakby to była bomba jądrowa i już zaczęło się odliczanie ostatnich dziesięciu sekund. Absolutnie go zamurowało. Jego twarz wyrażała rezygnację i skrajne przerażenie.

Jakby chciał rzucić się do ucieczki, a jednocześnie zdawał sobie sprawę, że już za późno.

Pomacałam policzek. Rozejrzałam się za lusterkiem. Wypatrzyłam jedno przy zlewie, obok Słownika sztuczek wojennych Everetta Wheelera - na książce leżała niebezpiecznie zardzewiała stara brzytwa. Ktoś postawił tam też drewnianą miseczkę ze staroświeckim mydłem i pędzlem do golenia.

Lustro było delikatne, ale ciężkie, oprawione w lite srebro. Gdy w nie spojrzałam, odniosłam wrażenie, że szkło lekko promieniuje własnym światłem. Poniżej swojego ucha zauważyłam małą siatkę promieniście rozchodzących się linii. Ledwie widocznych. Żadnych pręg, zero krwi. Tylko delikatne wgłębienia, jakby ktoś przyłożył mi tam stempel i docisnął tak mocno, że został trwały ślad. Linie płynnie zachodziły na siebie. Przypominały rozpostarte skrzydło. Albo zarys peleryny. Lub włosy demona.

Wstrzymałam oddech. Jack nadal się we mnie wpatrywał pustym, nieobecnym wzrokiem.

- Wiesz, co to jest - wyszeptalam. - Wiesz co to znaczy.

Zawahał się.

- Nie, ale wiem, kto ci to zrobił.

Omal nie upuściłam lusterka.

- Jak to możliwe?

- Ciepła dłoń Jacka zamknęła się zupełnie nieprzygotowana na ten Znieruchomiałam, totalnie ogłupiała, aż do mnie dotarło, że Jack po prostu chciał tylko wyjąć mi z rąk lusterko. Ostrożnie odłożył je na bok.

- Jutro, moja droga. Spotkamy się tutaj.

- Jesteśmy tutaj teraz - zaprotestowałam.

Mój opór wynikał częściowo ze strachu, irracjonalnego przekonania, że jeśli wyjdę, to może już nigdy więcej go nie zobaczę. Na tę myśl zrobiło mi się słabo. Poczulałam się jak małe dziecko. Zacisnęłam dłoń na kamiennym dysku aż do bólu. Tylko ból pozwalał mi nie zapomnieć o sobie samej, choć i tak przepełniała mnie pustka.

Zee złapał mnie za nogę i spojrzał błagalnie. Wszyscy chłopcy mi się przyglądali. Ich też prawie nie rozpoznawałam.

Popatrzyłam na Jacka.

- Jutro. Obiecujesz?

- Żadna siła na ziemi nie zmusi mnie do złamania złożonej ci obietnicy - oznajmił z powagą i dostojeństwem.

Jego słowa zawisły ciężko w powietrzu. Jakby tę obietnicę należało zaznaczyć na mapie skarbów. I traktować ją jak absolutny pewnik.

- No, dobrze - wykrztusiłam. Ale zanim Jack się rozluźnił, dodałam szybko: - Jeszcze tylko jedno pytanie. Skąd Sarai o mnie wie?

Westchnął.

- Ona też знаła Jeannie. I twoją matkę.

- Niemożliwe. Matkę może tak, ale nie babcię. Jest za młoda.

- Och, tylko ci się tak wydaje. Moja droga, by poznać Sarai Soars, trzeba spojrzeć głębiej, pod skórę. Dużo głębiej.

- Zee powiedział to samo o tobie - oznajmiłam lodowatym tonem. - „Pan Meddle to tylko skóra”.

- Doprawdy? - Uśmiechnął się ze smutkiem. - No cóż. Powinnaś słuchać swoich przyjaciół.

Wyprowadził mnie z biura.

Wracałam do domu, nie śpiesząc się. Wolałam nie ryzykować. Chłopcy siedzieli cicho. Bolała mnie głowa.

Już na schodach usłyszałam dźwięki fortepianu. Gdy otworzyłam drzwi, Grant nie przestał grać. Nie uśmiechnął się. Spod jego palców wypływał wodosпад Mozarta. W każdej nucie wyczuwałam napięcie.

Zrzuciłam buty, kurtkę i opadłam na fotel przy fortepianie. Kości miałam jak z galarety. Serce też. Dek i Mai zaszczębiotali, po czym zniknęli z moich ramion. Mieszkanie było na tyle bezpieczne, że mogli sobie zrobić przerwę w pełnieniu obowiązków straży przybocznej.

- No, dobra - odezwałam się do profilu Granta. - Zombie mówią, że świat się kończy. Spotkałam demona, który jest w stanie odebrać mi dech w piersiach samą siłą woli, i twierdzi, że go wezwałam. Poza tym być może odnalazłam swojego biologicznego dziadka. Mieszka z byłą żoną Badelta.

- Rany. - Grant nadal grał. - A ja w tym czasie tylko zatankowałam.

Uśmiechnęłam się.

- Módl się, żeby to się jakoś rozwiązało.

Grant zatrzymał dłonie nad klawiszami. Zaczęłam grać Chopsticks. Dołączył do mnie chwilę później. Nasz układ muzyczny robił się coraz bardziej skomplikowany. Siedziałam Grantowi na kolanach, a nasze dłonie i ramiona mocno się przeplatały.

- Apokalipsa - powiedział w końcu, gdy skończyliśmy. - Nic nowego. Opowiedz mi o dziadku i tej kobiecie.

Tak zrobiłam. A potem opisałam mu demona i reakcję chłopców. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, nawet nie myślałam o śnie, ale powieki stawały się coraz cięższe.

- Tylko mi tu nie zaśnij - nakazał łagodnie i pocałował mnie za uchem. - Dzieciak się obudził.

Wyprostowałam się i potarłam twarz dłońmi.

- Kiedy?

- Niecałą godzinę temu. Przekonałam go, żeby został. Kiepsko się czuje. Nawdychał się chloroformu.

- Pewnie się boi.

- Boi się mężczyzn. Nie mogłem zostać u niego w pokoju, nawet żeby porozmawiać. I nie, nie próbowałem go... zmodyfikować. Choć mnie kusiło, żeby trochę złagodzić ból.

Zamyśliłam się.

- Coś jeszcze się wydarzyło? Suwanai i McCowan wrócili?

- Nie.

- Mary?

- Rex jest w piwnicy, sprząta ten cały bajzel.
- Asystent zombie. Grant jęknął.
- Wiem, że za nim nie przepadasz.
- To człowiek opętany przez demona.
- Pracuje nad sobą.
- Czy praca nad sobą obejmuje rezygnację z żywiciela? Grant nic na to nie powiedział. Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć.
- Demon i człowiek nie są tym samym. Jeden z nich jest więźniem drugiego.
- Nie zabiję Rexa - powiedział cicho, wpatrując mi się intensywnie w oczy. - Żadnego z nich nie mógłbym zabić, Maxine. Tak długo, jak wierzę, że są w stanie się zmienić.
- Zmuszasz ich do tego. Grant pokręcił głową.
- Pokazuję inną drogę. Gdyby im nie odpowiadał mój wpływ, to porzuciliby te ciała i znaleźli sobie inne. Dobrze o tym wiesz. To ich decyzja, że zostają.

Niestety, rzeczywiście to wiedziałam. I to mnie denerwowało. Ja zabijałam demony. Niszczyłam je, bo wierzyłam - bezdyskusyjnie - że zasługują na śmierć. Tego mnie uczono od chwili narodzin, w kółko mi powtarzano, że demony to niereformowalni drapieżnicy, którzy żerują na ludziach. Całe życie akceptowałam tę prawdę. Nie miałam najmniejszych wątpliwości. Nie zadawałam pytań.

Aż spotkałam Granta. I teraz mieszkałam pod jednym dachem z zombie. Moja biedna matka.

Wstałam mu z kolan, ale złapał mnie za ręce i wbił we mnie ciemne, udręczone oczy. Bardzo ostrożnie odwrócił mi głowę i przyjrzał się mojemu policzkowi poniżej ucha. Po dłuższym milczeniu odchylił golf swetra, żeby sprawdzić też szyję. Siedziałam nieruchomo z zamkniętymi oczami. Starłam się przypomnieć sobie uczucie, gdy się dusiłam. Chciałabym wymazać z pamięci tę pelerynę, te włosy, te stopy i ten uśmiech.

Wargi Granta dotknęły mojej skóry. Gorące i delikatne.

- Zostałem w tyle - mruknął mi prosto do ucha. - Nie znoszę tego. Udaję, że tak nie jest. Udaję, że nic złego nigdy się nie dzieje, ale potem ty wracasz do domu i opowiadasz mi o różnych rzeczach i to mnie przeraża.

- Świetnie to ukrywasz.
- Za dobrze mnie znasz. - Odsunął się i ujął moją twarz w dłonie. - Jutro idę z tobą. Nie spuszczę cię z oczu do chwili, aż to wszystko się przetoczy.
- Nie mogę ci na to pozwolić, Grant.
- Nie powstrzymasz mnie. - Jego duże, silne dłonie objęły mój kark i wplotły się we włosy. - Przecież troszczymy się o siebie nawzajem, prawda? Czy nie to sobie obiecaliśmy?
- Owszem - przytaknęłam cicho.
- No to dobrze.
- Strasznie się rządysz. Co z ciebie za ksiądz?!
- Były. - Linia jego warg złagodniała. - Zresztą patrzcie, kto to mówi.

Uśmiechnęłam się. Nad naszymi głowami rozległ się cichy chrzęst, jakby ktoś chodził po żwirze. Zupełnie się tego nie spodziewałam.

- Jest na dachu?
- Stwierdził, że musi się przewietrzyć.
- Jakież rady?
- Nie potrzebujesz rad. - Jego palce zatańczyły na klawiszach. - Maxine, ty zawsze wiesz, co należy zrobić.

Oczywiście nie miał racji. Co nie znaczy, że niewiedza kiedykolwiek powstrzymała mnie od działania. Życie to sztuka, która czasami wymaga nieugiętej, nieustępliwej determinacji. I tylko po to, by przeć dalej do przodu, krok po kroku, bez względu na to, co się robi.

Reszta zwykle rozwiązuje się sama.

Na taras na dachu można było się dostać wyłącznie z mieszkania. To jedyne miejsce, gdzie mogliśmy się zrelaksować razem na zewnątrz i nie obawiać się, że ktoś zobaczy moje tatuaże albo chłopców. To jak wyspa na czubku świata. Grant nie miał drygu do ogrodnictwa - w odróżnieniu od niektórych mieszkańców schroniska - ale i tak udało mu się wyhodować w donicach paprocie i bluszcz. Niestety rośliny o słodkim zapachu i z odrobiną koloru zmarniały w zimie.

Chłopak siedział na jednym z dwóch plastikowych leżaków obok paleniska, teraz zimnego i mokrego. Wilgoć najwyraźniej mu jednak nie przeszkadzała. Palił papierosa.

Zobaczył mnie z daleka, ale nie wstał. Przesunął tylko stopy, spuścił wzrok i obciągnął sobie bluzę. Usiadłam na drugim leżaku. Przed nami rozciągał się widok na centrum miasta, lśniące niczym sznur stali i klejnotów. Słysząc było samochody, głosy ludzi z oddali, ryk samolotów. Czułam obecność chłopców gdzieś niedaleko, w ciemnościach.

- Ciężka noc - zagadnęłam.
- Bywało gorzej - odburknął.
- Dobre miejsce, żeby zebrać myśli.

- Ja nic nie wiem - oznajmił. - O morderstwie. Przyjrzałam się uważnie jego profilowi.
- Nie to mi powiedziałeś w alejce.

Obliznął wargi i sztachnął się papierosem. Wypuścił dym z płuc. Wciągnęłam powietrze w nozdrza. Przyjemny zapach. Chłopiec nadal milczał. Wsadziłam rękę do wewnętrznej kieszeni kurtki, którą wyczyściłam, zanim tu przyszedł. Wyciągnęłam paczkę M&M'sów. Rozdarłam opakowanie i wrzuciłam sobie kilka cukierków do ust. Resztę podałam chłopcu. Zawahał się, ale po chwili wziął je ode mnie.

Czekolada uspokaja.

- Jestem Maxine.

Moje prawdziwe imię. Wyrwało mi się, zanim zdążyłam ugryźć się w język. Przestraszyło mnie to. Powinnam się uspokoić. To niełatwe. Traciłam przewagę. A może nigdy jej tak naprawdę nie miałam?

- Nazywam się Byron - powiedział chłopiec. Prawdziwe czy zmyślane, to imię do niego pasowało.

Miał mądre oczy. Jak poeta.

- Poznałam dzisiaj jego byłą żonę - oznajmiłam. - Briana. Nazywa się Sarai. Maluje jednorożce.

- Nic nie wiem - powtórzył.

- Znałeś Briana Badelta. To było widać w twoich oczach.

Chłopak nadal milczał. Ja też się nie odzywałam. Siedzieliśmy tak przez długi czas. Zaczęło mi burczeć w brzuchu. Nie jadłam kolacji. Od tych cukierków zachciało mi się pić. Prawie nie słyszałam oddechu chłopca. Błada, chuda twarz otoczona cieniami, nic więcej.

- Przykro mi, że cię w to wszystko wplątałam - powiedziałam w końcu. - Nie przypuszczałam, że coś takiego się może wydarzyć.

- Albo masz to gdzieś.

- Nie. Przecież przyszedł ci z pomocą.

Co częściowo było prawdą, częściowo kłamstwem. Lecz chciałam, żeby chłopak poczuł się bezpiecznie. I to nie dlatego, że wtedy może zacznie mówić. Po prostu zależało mi, żeby się zrelaksował. Żeby wiedział, że nic mu nie grozi. Że nie stanie mu się krzywda i nie musi zrobić nic wbrew własnej woli.

Zerknął na mnie z ukosa.

- Jak ci się to udało?

- Odszukał mnie człowiek, który cię porwał. Rozmawialiśmy. Oddał mi ciebie.

- Coś za prosto to brzmi.

- A czy to ważne? Zmrużył oczy.

- Nie jesteś jedną z nich.

- Nie - zaprzeczyłam, nie do końca pewna, co ma na myśli: mafię, uzbrojoną bandę czy też po prostu wyrzutki społeczeństwa. - Jestem dużo straszniejsza.

Wargi mu zadrgały. Nachyliłam się i oparłam łokcie na kolanach.

- W chwili śmierci Badelt trzymał w kieszeni kawałek gazety z moim nazwiskiem. Dlatego próbowałam się czegoś więcej o nim dowiedzieć. Czemu się zjawił w tamtej alejce? - Wpatrywałam się w profil chłopca w poświęceniu miasta. - Żeby z tobą porozmawiać? - Nic nie powiedział, więc dodałam: - Pewnie i tak mi nie uwierzysz, jeśli coś ci obiecuję. Słowa są tanie. Do niczego nie będę próbowała cię zmusić. Chcesz sobie stąd pójść, proszę bardzo. Chcesz trzymać buzię na kłódkę, proszę bardzo. Ale przydałaby mi się twoja pomoc.

- Gdzie jesteśmy? - spytał.

- W schronisku dla bezdomnych. Mogłeś o nim słyszeć. W pobliżu chińskiej dzielnicy. Facet na dole to jego właściciel. Dobry człowiek. Możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz. Dostaniesz pokój do swojej dyspozycji. Zero zobowiązań. No, chyba że przyjdzie ci do głowy épać albo urządzać dzikie imprezy. Spojrzał na mnie ostro.

- Co za bzdura. Słyszałem o tym schronisku. Nikt nie dostaje tu własnego pokoju.

- Niektórzy dostają. Specjalni goście. Ty, jeśli sobie tego życzysz.

Byron zgasił papierosa.

- Nic nie dają za darmo. Zresztą ktoś na pewno zawiadomi opiekę społeczną. Bo tak trzeba.

- Miałeś dobry powód, żeby zwać z domu? Wzruszył ramionami i ostrożnie włożył peta do kieszeni kurtki.

- Inaczej by mnie tu nie było.

Pewnie. Głupie pytanie. Opadłam na oparcie - całe mokre, ale nie aż tak jak ja. Wody wykręconej z moich ciuchów starczyłoby na potok.

Chłopiec bawił się bluzą i suwakiem. Paznokcie miał pomalowane na czarno, obgryzione. Patrzyłam to na niego, to na niebo. Myślałam o demonach i zasłonie. O starszych mężczyznach i kobietach. O tajemnicach.

Czułam obecność chłopców. Czaili się w pobliżu, przyglądali nam się z ukrycia. Walczyłam z pokusą, by dotknąć znamienia poniżej ucha. Mojej jedynej blizny.

- Mogę sobie pójść, kiedy tylko zechcę? - zapytał Byron.

- W każdej chwili. Pewnie za jakiś czas zaczniemy cię nękać, żebyś podjął naukę, ale nikt cię do niczego nie będzie zmuszał. I nikt cię stąd nie wyrzuci.

W ogóle mi nie wierzył. Widziałam to w jego oczach. Nic dziwnego. Miał czternaście, może piętnaście lat i żył na ulicy. Jego spojrzenie było stare jak świat. Kryła się za tym jakaś historia. Niezbyt wesoła.

Wbił wzrok w swoje dłonie.

- Brian od czasu do czasu rozdawał kanapki. Kilka razy przyniósł koce i płaszcze. Raz nawet komiksy. Nic nie chciał w zamian. To było miłe.

Chyba nawet więcej niż miłe, biorąc pod uwagę nagły wyraz cierpienia na twarzy chłopca. Nie patrzył na mnie, ale jego oczy zrobiły się czerwone. Policzki też. Prawą rękę zwinął w pięść.

Grant powiedział, że Byron boi się mężczyzn. Lecz Badelta chłopak obdarzył zaufaniem. To duża sprawa. Dla mnie to byłaby duża sprawa. Dzieciak długo będzie oplakiwał tego człowieka.

- Widziałeś, kto go zaatakował? - zapytałam ściszym głosem. - Byron, co się wydarzyło?

Pokręcił głową i wytarł nos rękawem.

- Ostatnio na ulicy zrobiło się nieciekawie. Pojawiali się nowi ludzie. Broń. Więcej narkotyków. Kasa. Ładne dziewczyny zaczęły znikać. Brian dał mi numer telefonu. Żebym zadzwonił, gdybym potrzebował pomocy. Więc zadzwoniłem. Miał się ze mną spotkać. Chciał mu zadać parę pytań. Związanych z czymś innym.

- Z czymś innym? Powiedział, o co chodzi? Byron się zawahał.

- Interesował się tobą. A w każdym razie kimś, kto się nazywa Maxine.

- Aha.

- Nie w sensie seksualnym. Po prostu... interesował się. Był ciekawy. Czy kiedykolwiek o tobie słyszałem. Ciekawy. Mnie. Jedyne sensowne wytłumaczenie to że Sarai wiedziała, jak się nazywam i jak wyglądam. I że była żoną Badelta. Ale nawet to nie dawało odpowiedzi, tylko rodziło kolejne pytanie. Noc pełna pytań.

Odsunęłam od siebie tę myśl.

- Powiedz mi o broni i narkotykach. O znikających dziewczynach. Czy za tym stoją ci ludzie, którzy cię porwali? Czy to oni zabili Badelta?

Byron dalej jadł M&M'sy. Ręka mu się trzęsła.

- Już miałem się stamtąd zabierać. Briana zamordował blondyn w długim płaszczu. Granatowym albo czarnym. Drogim. Jeden z nich.

Znowu to wyrażenie.

- Rosjanin?

Wzruszył ramionami, co mogło oznaczać cokolwiek. Opadłam do tyłu i się zamyśliłam. Cudowne Bliźnięta i ich banda z telefonami komórkowymi to bez wątplenia blondyni, ale w tanich spodniach i wiatrówkach, a nie drogich długich płaszczach.

Zresztą Edik dał mi do zrozumienia, że ktoś inny jest za to odpowiedzialny. Ktoś, kto mnie obserwuje. A może to była tylko kolejna gra słów, żeby odwrócić od niego moją uwagę?

Miałam już tego wszystkiego dość. Wciąż bolała mnie głowa. Czułam pulsujący ból za oczami. Wzięłam głęboki wdech.

- Jeszcze jedno, Byron. Czy ty mnie kiedykolwiek wcześniej widziałeś? Dziś na ulicy odniosłam wrażenie, że mnie znasz.

- Nie. - Patrzył mi prosto w oczy. - Ale wydałaś mi się znajoma. Sam nie wiem czemu. „Sycylia”, przypomniałam sobie słowa Zee. I smutek w oczach Rawa. Kiwnęłam głową.

- Dzięki, Byron. Spojrzał na mnie niepewnie.

- Co teraz?

- To zależy od ciebie.

- Może bym został dzisiaj na noc - powiedział niepewnie.

- Dobrze. Sam zobacz. Prześpij się w pokoju na dole. Rano przeniesiemy cię do jednej z kawalerek. To takie minimieszkanie, wyłącznie dla ciebie.

Spojrzał na mnie tak, jakby z głowy wyrastały mi węże zamiast włosów. I mógłby odnosić takie wrażenie, gdyby w tym momencie Dek z Malem siedzieli mi na ramionach. Ale małe demony w tej chwili chowały się za plecami Byrona, owinięte wokół szyi Rawa. Cała trójka zerknęła na nas zza donicy z paprocią.

- To wszystko prawda - dodałam. - Chodź, to ci zaraz pokażę.

- Nie trzeba. Chociaż nadal myślę, że ściemniasz.

Chmury się rozstępowały. Zobaczyłam gwiazdy i przypomniał mi się demon w płaszczu, tańczący na ostrzach noży.

„Stęskniliśmy się za twoją twarzą”. „Obudziłaś nas. Twoja dusza do nas przemówiła. Usłyszeliśmy w otchłani twoje wołanie”. „Nad krwią nie da się zapanować”. „Jesteśmy ci potrzebni”.

Wstałam, rozkoszując się zimną bryzą. Czułam zapach oceanu i portu, a także resztki smrodu tłuszczu z chińskiej dzielnicy.

Byron też wstał. Był wyższy ode mnie i prawie tak samo szczupły. Na jego twarzy malował się wyraz głodu, ale nie chodziło tylko o pragnienie, żeby coś zjeść.

- Jak długo? - zapytałam cicho. - Od jak dawna tak żyjesz?
Bałam się, że się zjeży, ale po chwili wziął głęboki wdech i rozluźnił napięte ramiona.
- Jakież pół roku.
- I nie masz nikogo?

- Miałem. - Utkwił wzrok w ziemię. - Od wczoraj nie żyje.
Bez słowa kiwnęłam głową. Zaczęłam odchodzić. Byron chrząknął, więc się zatrzymałam i obejrzałam do tyłu. Nerwowo bawił się suwakiem bluzy. Poczulałam ucisk w żołądku.
- Tak?
Sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał się porzygać.
- Nie zamierzałem ci powiedzieć. Zrobiłam krok w jego stronę.
- O czym?
Przycisnął sobie rękę do czoła, jakby go bolała głowa. Głos przeszedł w szorstki szept.
- Ten facet, który zastrzelił Briana... Przyłapał mnie, jak się temu przyglądam.
Wstrzymałam oddech.
- Zrobił ci coś?
Kiwnął głową. Skrzywił się. Przed oczami stanęły mi rzeczy, których nie chciałam sobie nawet wyobrazić. Odpędziłam od siebie te myśli.
- Ale cię puścił. Przeżyłeś.
Po jego policzkach popłynęły łzy.
- Powiedział, że jakaś kobieta będzie mi zadawać pytania. Groził, że mnie zabije, jeśli puszcze parę z ust. Gdy mnie dzisiaj porwali...
...Myślałam, że już po mnie, dokończyłam za niego w duchu.
Całym ciałem chłopca wstrząsały dreszcze. Sama poczułam, że odrobinę obumieram w środku. Otoczyłam Byrona ramionami. Ostrożnie. Nie nawykłam do tulenia ludzi, ale on do mnie przywarł ciasno. Płakał żałośnie, targany dzikim smutkiem. Pewnie nie tylko z powodu śmierci Briana.
On nadal myśli, że tego nie przeżyje. Czułam to. Ja mu tylko zapewniłam odroczenie wyroku, to wszystko. Był śmiertelnie przerażony.
Zauważyłam, że chłopcy nam się przyglądają. Zee trzymał jedną rękę zwiniętą w pięść przy piersi. Raw i Aaz, Dek i Mai wpatrywali się w nas, pogrążeni we wspomnieniach. Wiedziałam, że tak jest. W ich uszach i pyskach dostrzegałam jakieś rozluźnienie i roztargnienie.
Przytuliłam chłopca mocniej. Trzymałam go w objęciach przez długi czas.

Rozdział 8

Nie mogłam sobie sama z tym poradzić. Grant pomógł mi położyć chłopca spać. Tym razem pozwoliłam mu zagrać na flecie. Stałam przy drzwiach i patrzyłam - usiadł na krześle obok stolika nocnego i zaczął grać melodię, którą sam stworzył. Skomponował ją tu i teraz, dla duszy Byrona.
Dusza chłopca ubrana w dźwięki przypominała trochę Ognistego ptaka. Muzyka była śpiewna, dziwna i smutna. Nie widziałam aury Granta - jedynie cienie demonów, ale czułam, jak krąży mi w żyłach jego moc i dociera aż do kości. Próbowałam sobie wyobrazić, jakie to uczucie zmieniać kolory czyjejs duszy. Kolory odzwierciedlają energię. Energia reprezentuje emocje. Lekkie szturchnięcie tu czytam. Delikatne. Subtelne. Ozdrowiające. Chłopiec był pogrążony we śnie. Grant od tego zaczął. Dla ułatwienia.

Zostawiłam ich samych.

Zee i reszta czekali w sypialni. Wszędzie dokoła mnóstwo pluszowych misiów. Z ich oderwanych łap zwieszały się białe pasma bawełny. Gdy stanęłam w drzwiach, chłopcy zaśpiewali Living on a Prayer. Wysokie głosy. Demoniczna wersja Alvina i wiewiórek. Tylko że żałobna. Zaczęli rzucać w siebie nożyczkami, ale jedynie udawali, że naprawdę mierzą jeden drugiemu w oczy. Przez chwilę im się przyglądałam, po czym przestąpiłam nad ich nowymi numerami „Playboya”, „National Geographic” i „Wall Street Journal”, które piętrzyły się obok kolorowanek i na pół przezutych kredek.

Zaczęłam się rozbierać w drodze do łazienki. Poczulałam coś ciężkiego w kieszeni i nagle sobie przypomniałam o kamiennym dysku. Prezent od matki. Spojrzałam na niego, potarłam dłonią gładką powierzchnię, przesunęłam palcami po wyźłobionych okręgach, zamkniętych jeden w drugim.

Z ukłuciem w sercu odłożyłam kamień na stolik.

Nie spojrzalam na swoje odbicie w lustrze. Wziewlam prysznic. To mi dobrze zrobilo. Probowalam za wiele nie myslec. Staralam sie tez nie panikowac, ale niespecjalnie mi sie udalo.

Rozplakalam sie. Plakalam nad soba, nad matka. Plakalam nad Badeltem i Byronem. Nie wiem czemu. Ludzie nieraz umierali na moich oczach. Wlasnoręcznie zadawalam smierc. Ale teraz czulam sie tak, jakbym na nowo musiala uporać sie ze smiercia matki. I to bylo nie do zniesienia. Nawet wspomnienie o Jacku Meddle'u nie rozproszylo ponurych mysli. Stalo sie tylko jeszcze jednym zrodlem koszmarnego bolu.

Wyłączylam mózg. Długo tkwilam pod strumieniem niemal wrzacej wody. Kłęby pary przeslonily sciany. Zakrecilo mi sie w glowie.

Gdy wyslam z lazienki, Grant byl juz w lozku. Swiatla przygaszone, chłopcy znikneli. Odrzucilam kołdrec. Cisnelam recznik na podloge.

- Ja ci ulze - powiedzial bardzo lagodnie Grant.

I tak zrobil.

Zwykle kiepsko sypiam. Kiedyś nekaly mnie kosmary, a raczej wizje sloni unoszacych sie w powietrzu i spiewajacych swierszczy w cylindrach. Od smierci matki moje sny

są surowe i bardzo proste. Życie stalo sie tak strasznie dziwaczne, ze sny juz nie mialy pola do popisu. Jesli mi sie cokolwiek sni, to natychmiast o tym zapominam. Pamietam glownie ciemnosć.

Lecz tej nocy snilam o bębnach. Dolina skapana w swietle księzyca rozciagala sie pode mna jak czyjes zaokrąglone policzki. Czulam uderzenia skrzydel o stopy, niczym łopotanie peleryny smoka, a w ustach mialam posmak cynamonu, przypraw i czegos jeszcze, czegos okropnego i metalicznego - kremowego niczym maslo ukreczone z krwi.

Nie bylam sama. Chłopcy kręcili sie koło mnie jak stado wilków. Otaczaly mnie wilki, prawdziwe, złotookie, z ostrą srebrzystą sierścią. Mialam na sobie futro. Mialam na sobie zloto i srebro, a na czole wąską korone, która kłula mnie cierniami. W dłonie dzierzylam miecz.

Za moimi plecami sciana ciemnosci, wijacy sie, wirujacy płaszcz i uśmiechnięte, blade wargi.

Juz pora, pomyslam. To krew.

I tak bylo.

Gdy sie obudzilam, skore mialam pokryta tatuażami. Wschodzilо słońce. Przeżyłam noc.

W ustach posmak cynamonu. Spojrzalam na swoje dłonie wplątane w pościel. Zobaczyłam na nich wbite w siebie czerwone oczy, szeroko rozwarte i płaskie. Srebrzystobrody Raw rozpięty na mojej skórze. Wczoraj byl na udzie. Chłopcy nigdy nie spali dwa razy w tym samym miejscu. Rzadko pozwalalam komus ogladac swoje tatuaże. Niektóre rzeczy trudno wyjasnić.

Ciepła stopa szturchnela mnie w nogę. Przewrócilam sie na drugi bok. Grant podparł sie na poduszce. Poranne słońce rozswietlalo jego ciemne włosy. W ręce trzymal kamienny dysk.

- Przepraszam - mruknal z roztargnieniem. - Bylem ciekawy.

Pozlozylam sie na brzuchu. Zauwazyłam, ze zerknal na moje wytatuowane piersi - w tym momencie jedna sluzyla Zee za poduszke. Spojrzalam w dol i nad swoim mostkiem zobaczyłam jego srebrzystą dłoń z wzniesionym środkowym pazurem.

- No cóż - rzucilam miękko. - Przynajmniej wiem, ze to nie mnie pokazuje środkowy palec.

- Nie pytaj - mruknal Grant i przetoczył kamień w swojej duzej dłoni. - Co to jest?

- Ozdoba ogrodowa z limitowanej serii. Chłopcy znowu ogladali kanal z teledakupami.

Wargi mu zadrgaly.

- Maxine.

- Dostalam od Jacka Meddle'a. Twierdzi, ze to od mojej matki.

- Tak po prostu? Niezly zbieg okolicznosci.

- Wiesz przeciez, co mysle o zbiegach okolicznosci. - Przejechałam palcem po twardych, wydatnych miesniach jego przedramienia. - Wierzysz w bajki?

Wsunal sie glębiej pod kołdrec i przewrócil na bok. Kamień položyl między nami, na brzegu mojej poduszki.

- Wierzę w ciebie. I wiem, co sam potrafie zrobić. A to pewnie oznacza, ze wszystko jest możliwe.

Spojrzalam na dysk. W porannym swietle okreczne linie wygladaly jak zyly, ktorými płynelo coś lawendowego i srebrzystego - niczym zmiazdzone perly. Nie wtapilam, ze to złudzenie optyczne, ale nagle wydalo mi sie, ze kamień pulsuje, jakby w środku bilo maleńkie serce.

- Czemu? - zapytal Grant.

- Nie wiem. - Odwrócilam sie do niego tak, zeby zobaczył mój policzek. - Widad coś?

Przyjrzał sie uważnie.

- Tatuaz wystaje poza linię włosów. Dek albo Mai, nie jestem pewien, który z nich. Dość, by zakryć znamię. Nie wyczuwam go też pod palcami. Czy chłopcy potrafią zlikwidować bliznę?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Zacząłam się zastanawiać, dlaczego chłopcy zaryzykowali i się ujawnili, byle tylko zakryć ten znak na mojej twarzy. I ciekawe, jak Jack go rozpoznał.

Grant odchrząknął.

- Rozmawiałem wczoraj z Zee. Próbowałem coś z niego wydusić.

- I?

- Powiedział tylko, że złożyli obietnicę. Schowałam głowę w poduszkę.

- Ja usłyszałam to samo. Wyciągnąłeś od niego cokolwiek użytecznego?

Grant się uśmiechnął.

- Poczucie winy. Dobrze się na tym znam. Nie mogłam się nie roześmiać.

- Spowiadałeś ludzi, gdy byłeś księdzem?

- Oczywiście. Czyżby leżało ci coś na duszy, o czym byś chciała porozmawiać?

- Ha. - Potarłam kamień palcem. - Ciekawe, czy kiedykolwiek... natrafiłeś na coś naprawdę dziwnego. Coś tak strasznego, że z trudem zachowałeś tajemnicę spowiedzi.

- A co, miałaś kiedyś trudności z dotrzymaniem tajemnicy?

- Myślę o sprawach, które mogą komuś nieźle namieszać w życiu.

Grant przyciągnął mnie do siebie.

- Spowiedź, sakrament, pokuta... To wszystko ma pomóc grzesznikom połączyć się z Bogiem. Rachunek sumienia odbywa się w obecności księdza, który zastępuje Jezusa i w jego imieniu udziela przebaczenia. Nie do mnie należy osąd. A jeśli chodzi o to, czy podzieliłbym się z kimś tym, co usłyszałem... Nigdy, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Lub kogokolwiek innego.

- Ale jednak ingerowałeś. Na tym to polega. - Spojrzałam mu prosto w oczy. - Zadawałeś sobie sprawę, że możesz pomóc osobom w największych kłopotach. Konfesjonał był dla ciebie sposobem, żeby do nich dotrzeć.

Nie zaprzeczył. Zresztą kiedyś sam mi to wyznał. Między innymi dlatego porzucił stan duchowny. Bo to rodziło wewnętrzny konflikt. I stanowiło zbyt duże zagrożenie. Nie z jego strony, lecz ze strony Kościoła.

Zamknął oczy.

- Musiałaś mi o tym przypominać, co?

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Ja tylko... Po prostu nie potrafiłem pozwolić niektórym odejść. Nie w takim stanie. I może na tym polegał mój błąd. Może wszystko, co robię, to jedna wielka pomyłka. Ale trudno to porównywać z ukrywaniem prawdy przez Zee i resztę - przerwał i westchnął. - Muszą mieć jakiś powód, żeby trzymać coś przed tobą w tajemnicy. Oni cię kochają, Maxine. I to nie tylko dlatego, że jesteś im potrzebna do przeżycia.

Miałam taką nadzieję. Wzięłam kamień i podniosłam go ostrożnie nad nasze głowy. Matka chciała, by trafił w moje ręce. Moja matka. Z trudem to sobie potrafiłam wyobrazić.

I rozumiałam dlaczego.

- To labirynt. - Grant postukał w krawędź dysku. - Tak mi się zdaje. Trochę inny od tego, do czego jestem przyzwyczajony.

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem.

- Widziałeś już kiedyś coś podobnego?

- To wyobrażenie leży u fundamentów Kościoła. Symbolizuje ścieżkę do zbawienia, do oświecenia.

Interesujące.

- Więc czym różni się ten labirynt od każdego innego? Grant pogrążył się w myślach. Wzrok mu się wyostriżył.

- Zwykły labirynt ma tylko jeden początek i jeden koniec. Tutaj, przy krawędzi, te linie się spotykają, widzisz? Jest ich dziewięć. Dziewięć wejść do labiryntu.

- Raczej nie dosłownie.

- Na pewno. Ale symbolika jest taka sama w różnych kulturach, od starożytnej Grecji, przez Iran i Chiny. Relikty labiryntów znaleziono w prekolumbijskiej Ameryce Północnej i Południowej. Nawet w Australii. I wszędzie są przedstawione w pewien konkretny sposób. Nie tak jak tutaj.

- Znasz się na tym?

- Muszę.

- Masz błysk w oku. Uśmiechnął się.

- To fascynujący temat. I bardzo stosowny prezent. Twoja matka dobrze wiedziała, co robi.

- Zwykle tak było - odparłam sucho.

- Ale popatrz na to... - Postukał w kamień i przejechał palcem po koncentrycznych liniach. - Jest dziewięć wejść, ale tylko jedna droga prowadzi do środka labiryntu. Gdy przejdzie się tędy... o tutaj. Jedna jedyna ścieżka. Labirynt Eulera. Aby dotrzeć do końca, potrzeba wiary. Nie logicznego myślenia. Tylko samej wytrwałości.

- Moja matka chętnie by się pod tym podpisała.
- Jest coś, co jeszcze bardziej by się jej podobało. Archetyp wojownika. - Grant spojrział mi prosto w oczy. - Gdy przestudiować mity związane z labiryntami, zawsze pojawia się w nich jakiś wróg ukryty w środku. Minotaur, szatan, humbaba. A gdzie jest zło...

- Jest też ktoś, kto z nim walczy.
- W labiryncie wojownik pokona ciemność - powiedział cicho. - I wywalczy zbawienie dla wszystkich.
Zamknęłam oczy. Wyobraziłam sobie matkę, jak patrzy na kamień i na wyżłobione w nim linie. Jak myśli nad przyszłością swojej córki.

- Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego sama mi tego nie dała.
- Może to część przekazu? - Grant uniósł brew. - Może chciała zostawić wszystko na łasce wiary? Uznała, że to będzie miało dla ciebie większą wagę, jeśli trafi do twoich rąk... później?

Po jej śmierci. Wiadomość z za grobu. To też miało sens. Moja matka za życia była ezoteryczna. Najwyraźniej śmierć niczego tu nie zmieniła.

- Wiesz... - odezwał się Grant z namysłem. - Z punktu widzenia ludzkiej świadomości labirynt to przejście między światami. Niektórzy wierzą, że prehistoryczne labirynty były pułapkami, symbolicznymi lub nie, zastawionymi na... złe duchy.

Pokręciłam głową.

- Przekonałeś mnie. Wiadomość została odebrana. Wargi Granta zadrgały.

- Ale to nadal nie wyjaśnia odejścia od tradycyjnej ikonografii. Skąd ten brak porządku? Dlaczego dziewięć wejść?

Wtuliłam się w jego bok.

- Mówisz jak jakiś profesor.

- To cię podnieca?

- Słucham dalej.

Już miał się uśmiechnąć, ale nagle u nasady nosa pojawiła mu się niewyraźna zmarszczka. Podniósł dysk pod światło.

- Co? - zapytałam.

- Coś mi tu nie gra. Cały czas myślę, że to tylko wyobraźnia płata mi figla. - Zawahał się, nie spuszczać z kamienia oczu. - Człowiek pogrążony w śpiączce ma mocną aurę. Lecz im dłużej i głębiej śpi, tym bardziej to światło przygasa. A ci, których już nie można uratować...

- ...tylko pulsują - dokończyłam cicho. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam wyżłobień, błysków srebra. Przejechałam palcem po liniach i poczułam w sobie jakiś ciemny trzepot. - W rytmie bicia serca.

Grant wbił we mnie wzrok.

- Ty też to widzisz.

- Coś widzę.

Popatrzyłam na swoją dłoń: na inną gmatwaninę, zbitkę gruzłów i zawiloci, labirynt ciała, czasu i śmierci. Każda linia na mojej skórze to dowód życia, za które odpowiadałam. Nigdzie przed tym nie ucieknę. Sama tworzyłam kraty własnej klatki. Byłam więźniem i więzieniem.

Zadzwoił telefon. Grant nie odebrał. Przyciągnął mnie bliżej do siebie i przykrył własnym ciałem. Otoczyłam nogami jego biodra. W ramionach tego mężczyzny czułam się drobna. I bezpieczniejsza niż powinnam. Ciepło. Chłopcy, kiedy spali, pozwolili mi czuć tylko jedną rzecz - dotyk Granta.

- Posłuchaj - powiedział cicho. - To nie twoja mina.

- Wiem - wyszeptałam. - Już o tym rozmawialiśmy. Przyłożył czoło do mojego.

- Mówię poważnie, Maxine. Proszę cię.

- Wiem. - Pocałowałam go w kącik ust. - Bądź tu mądry.

Uśmiechnął się z wysiłkiem. Nie widziałam jego oczu. To przypomniało mi demona Oturu. Trochę odepchnęłam Granta od siebie, żeby móc na niego patrzeć.

Niczego przede mnie nie ukrywał. Żadnego drżenia. Ani swojego rozgorączkowania, ani spokojnej, pewnej siły. Nie miałam pojęcia, co on widzi w moich oczach, ale wiedziałam, co czuję. I to mnie przerażało.

- Przestań - nakazał.

- Przeze mnie ludziom dzieje się krzywda.

- Wiara, wytrwałość. - Wziął dysk do ręki. - Posłuchaj swojej matki.

Co za ironia. Parsknęłam śmiechem.

- Gdybym słuchała matki, toby mnie tu teraz nie było. A ty pewnie byś nie żył.

Zrobił minę, przetoczył się na bok i wstał z łóżka. Usiadłam i odrzuciłam kołdrę. Moje ciało było ciemne od tatuaży. Nawet paznokcie miały kolor szponów chłopców. Nie dla mnie lakiery do paznokci. Nigdy się nie trzymają.

Przypomniał mi się Byron. Złapałam dzinsy i buty. Wyjęłam z szafy granatowy kaszmirowy golf. Grant wciągnął spodnie od dresu. Wisiały nisko na jego szczupłych biodrach. Rzuciłam mu laskę. Miał wyraziste oczy i silną szczękę. **Seksowna bestia.**

Złapałam kamienny dysk z łóżka i wsadziłam go sobie do tylnej kieszeni dzinsów. Podłogę w salonie zalewało słońce. Przez okno zobaczyłam błękitne niebo. Złapałam rękawiczki z ławy.

Pusty pokój gościnny. Łóżko pościelone. Ani śladu Byrona.

Byłam rozczarowana. Grant położył mi rękę na ramieniu.

- Chodź, sprawdzimy na dole. Może zszedł na śniadanie.

Albo uciekł stąd, gdzie pieprz rośnie. Trudno mieć do niego o to pretensje. To przeze mnie mu się oberwało. Pewnie doszedł do wniosku, że z mojej winy zamordowano **Badelta.**

Zostawiłam Granta, żeby skończył się ubierać. Z mieszkania nie było bezpośredniego przejścia do schroniska. Musiałam wyjść na zewnątrz. Rześki, wilgotny poranek. Bryzę zakłócał tylko słaby zapach doków. Zatęskniłam za zimowymi wschodami słońca w stanie Wisconsin - tam ostre powietrze niemal siekało człowiekowi płuca. Za dnia temperaturę odczuwałam jedynie w płucach. To nadawało wszystkiemu fakturę.

Weszłam do przytułka drzwiami obok kuchni i od razu uderzył mnie zapach bekonu, tłuszczu i kawy. Zza obrotowych drzwi słychać było szczęk garnków, szum zmywarki i śmiech. Z głośników w stołówce dochodziły dźwięki Smokeya Robinsona. Ludzie lubili jeść śniadanie przy muzyce **Motown.**

Jedna z wolontariuszek wniosła z zaplecza tacę wczorajszych pączków z lukrem, podarunek od miejscowej piekarni. Złapałam jednego dla siebie.

- Nie widziałas tu gdzieś jednego dzieciaka? Nastolatek z mnóstwem kolczyków, czarnymi, nastroszonymi włosami, w bluzie?

- Dzisiaj jest tu takich z dziesięciu - mruknęła kobieta. - **Do wyboru, do koloru.**

Pchnęłam drzwi obrotowe i zajrzałam do stołówki. Pomieszczenie zapełniały długie stoły. Sporo ludzi. Przesunęłam wzrokiem po zmęczonych, zniszczonych twarzach. Niektóre wesoło uśmiechnięte. Garstka spiętych mężczyzn i kobiet z cichymi dziećmi. Grupa nastolatków - zachowywali się tak, jakby chcieli się wtopić w tło. Ale Byrona nie zobaczyłam.

Ani żadnych zombie. Chociaż tyle. Atmosfera robi się bardzo napięta, gdy się kręcą w pobliżu. Szczególnie jeśli są nowi - nigdy nie wiadomo, co się wtedy wydarzy. Zwłaszcza jeśli zombie natknie się na mnie, zanim jeszcze pozna Granta.

Skończyłam pączka i szybko ruszyłam korytarzem do wyjścia. Poszłam na spacer do ogrodu. Czułam intensywny zapach żywicy cedrów i trawy. Chłopcy też powąchali przez sen. Raw pociągnął mnie za rękę. Zatrzymałam się, po czym podążyłam w kierunku, skąd dochodził zapach. Bolały mnie oczy.

Na skraju terenu należącego do schroniska, pod drzewem, zaraz obok zniszczonego ogrodzenia z siatki, zauważyłam drobną sylwetkę. Mała dziewczynka, sama jak palec. Nie widziałam jej twarzy, bo stała do mnie tyłem i patrzyła na drogę. Ciemnowłosa, w dzinsowych ogrodniczkach i czerwonych kaloszach. Śliczny strój. Sama kiedyś taki miałam.

Rozejrzałam się za jej mamą lub tatą - za jakimkolwiek dorosłym opiekunem - **ale poza kilkoma osobami przed głównym wejściem do przytułku byłam tylko ja.** Serce mi się ścisnęło ostrzegawczo. Ludzie czasami zostawiają dzieci pod schroniskiem. Tylko raz byłam tego świadkiem, ale od Granta wiem, że do lata pewnie zdarzy się kilka takich przypadków. Ludzi ogarnia zmęczenie i desperacja. Dochodzą do wniosku, że tylko w ten sposób mogą zapewnić dzieciom opiekę i lepsze życie.

Ruszyłam w stronę dziewczynki. Chłopcy szarpnęli mi się na skórze. Roztarłam sobie ramiona i zwolniłam.

- Cześć - powiedziałam z pewnej odległości.

- **Witaj** - odparła dziewczynka. Nie poruszyła się.

Odczekałam chwilę, po czym obeszłam ją szerokim łukiem. Nie mogłam oderwać wzroku od jej twarzy. Żołądek zamienił mi się w kamień. Zakręciło mi się w głowie. Ledwie stałam na nogach. Lodowate przerażenie sparaliżowało mi myśli.

Ta dziewczynka to ja. W wieku ośmiu lat. Gapiłam się na nią jak zahipnotyzowana. Za moimi plecami przejeżdżały samochody. Słyszałam krzyki mew i odległe wycie syreny na statku; chrapliwy śmiech dochodzący z przytułku; lekkie skrzywienie skóry rękawiczek, gdy moje dłonie zacisnęły się w pięści. Staralam się powstrzymać drżenie.

Dziewczynka nie spojrzała na mnie, ale widziałam jej oczy z boku. Jeśli chodzi o kształt i kolor, to były moje oczy, tylko zimne i puste.

- Słyszałam różne rzeczy, nawet w ciemnościach. Za zasłoną. Wspaniałe opowieści o tym świecie, powołanym do życia po naszym odejściu. Ludzkość, imperium oświecenia. Miejsce jak żadne inne poza Labiryntem. Tyle wspaniałości - wyszeptala dorosłym głosem. - **Tyle rozpaczliwych, straszliwych wspaniałości.**

- Jesteś tu teraz - zauważyłam. - **Sama to widzisz.**

- Widzę - odparła. - Przepelnia mnie widzenie. A jednak nadal czuję głód. Nie potrafiłabyś zrozumieć takiego głodu. Dla nieśmiertelnych, uwięzionych poza wiecznością w więziennych ciemnościach bez końca, historie to waluta. Historie to życie. Historiami się handluje, stają się krwią.

Wygląd dziewczynki zapewne miał mnie zbić z tropu. Ale to jej słowa najbardziej wytrąciły mnie z równowagi.

- Nie wyszłaś z za zasłony, by polować na historie. Uśmiechnęła się i spojrzała w dal.

- Wręcz przeciwnie, tylko po to tu przybyłam. Och, historie, które opowiem. Żadnych Strażników. Żadnych awatarów. Tylko ludzie, niczego nieświadomi, w szponach własnej nędzy. Tego świata nic nie chroni. Jest zupełnie inny, niż myśleliśmy. Roztrwonione imperia. Złoto i żelazo, bezduszne.

- Wydajesz się rozczarowana.

Drobna dłoń powędrowała do kieszeni. Dziewczynka wyciągnęła jakiś sznurek. A może to włosy zaplecione w warkoczyk.

- Wspomnienia się nawzajem zwalczają. Jestem starsza od wielu z nich. Pamiętam inne światy. Olśniewające. Miałam nadzieję, że ten zasłuży na swoje miejsce w panteonie. Ale może jestem staroświecka w swoich pragnieniach? Zresztą gdy się już tu z wszystkim uporamy, nie będzie żadnych imperiów do podziwiania. Tylko nieskończoność, poza Labiryntem.

Mówiła do siebie. Zagadkami.

- Przyszedł tu, żeby się ze mną zobaczyć. Wiesz, kim jestem.

- Ty, Tropicielka - porzuciła pogardliwie. - Strażniczka więzienna. Żywicielka armii karzełków. Słyszałam opowieści o twojej rodzinie. Ale ty tak bardzo się nie liczysz. Dziesięć tysięcy lat osłabia ducha. A ludzkie ciało zawsze było podatne na ciosy.

- W takim razie nic o mnie nie wiesz - wycodziłam ściszone głosem i zrobiłam krok w jej stronę. - Poznajmy się bliżej. Zapraszam.

Uśmiechnęła się.

- Wszystko po kolei, Tropicielko. Zanim zaczniemy się tarzać po trawie, powiedz mi o Jacku i jego Sarai Soars. O wilku i jednorożcu.

„Spodziewaj się niespodziewanego”. A jednak mnie to zaskoczyło. Z całych sił starałam się zachować spokojną, opanowaną minę.

- Skąd o nich wiesz?

Podniosła rękę. Jej skóra zamigotała i stała się niemal przezroczysta. Widziałam przez nią na wylot. Widziałam jej twarz. Dłoń była niczym dym. Albo duch. Powietrze dokoła ochłodziło się, jakby ktoś obsypał nas lodem.

Zagryzłam zęby.

- To ty zjawiłaś się wczoraj w nocy. Delikatna ręka nabrała cielesności.

- Moje oczy widzą wszystko. A Jack i Sarai, bez względu na to, jak się nazywają, to... starzy przyjaciele. Wyobraź sobie, jak się zdziwiłam, gdy zobaczyłam cię z nimi. Gdyby cię tam nie było, nie rozmawiałybyśmy w tej chwili. W ogóle bym cię zignorowała.

- A teraz?

- Stałaś się częścią gry. Wyrwałam się z więzienia. Zamierzam wykorzystać ten czas, żeby załatwić pewne stare porachunki.

- Nie - wyszeptalam twardo. - Trzymaj się z daleka.

- Bo co? - Popatrzyła na mnie zadziornie. - Jesteś tylko ty, sama. Strażnicy nie żyją, Tropicielko. A twoja krew posłuży mi za atrament do napisania słowa „koniec” na własnej skórze.

Podeszłam do demona, który miał moją dziecięcą twarz. Nachyliłam się nad nim. W żyłach czułam lód.

- Nigdy nie lubiłam marnować czasu.

- Nic nigdy się nie marnuje.

Demon złapał mnie za szyję. Miał silny uścisk. Zwykle ludzkie ciało w jego dłoniach pewnie obróciłoby się w proch, ale ja stałam spokojnie, gdy on się wysilał. Bez słowa zdjęłam rękawiczki.

Złapałam dziewczynkę za nadgarstek. Aaz się na nią rzucił. Patrzyłam na własną twarz - ośmioletniego demona - na której malowało się zaskoczenie. Zawzięłam się i nie popuszczałam. Uklękłam, a chłopcy przystąpili do aktu - wysysali z niej życie, wchłaniali je we własne ciała. Aaz był ich przewodnikiem. Uścisk demona na mojej szyi zelżał, wargi dziewczynki wygięły się w agonii. Zamknęła oczy.

- Dziękuję, że mnie nie zignorowałaś - wycodziłam.

Dziecko wyszczerzyło zęby, twarz się wykrzywiła i zaczęła tracić cielesność. Potem rozległ się trzask łamanych kości i dziewczynka rozwiała się jak dym.

Aaz nie mógł jej zatrzymać. Ja też nie. W kilka sekund demon zniknął. Pojawił się jednak z powrotem, poza moim zasięgiem. Ciężko mi - spłowiałe kolory, wyblakłe, jakby stała po drugiej stronie ekranu czarno-białego telewizora.

- To mój świat - wychrypiałam.

- Kiedyś należał do mnie - wydyszała. - I znowu tak będzie. Nie powstrzymasz tego. Zasłona się wali, Tropicielko. A gdy inni dowiedzą się o tym, co tu odkryłam...

Przerwała. Przeszył ją dreszcz, a jej twarz, moja twarz, zamigotała i przelotnie zmieniła się w coś starszego i bardziej wymownego. Znamię Oturu zaczęło mnie palić. Pulsowało w rytmie bicia mojego serca. Chciałam go dotknąć, ale zamiast tego wbiłam sobie palce w uda.

- Wracaj do domu, demonie - warknęłam. - Wracaj do więzienia. Albo cię zabiję.

Drobna twarz przestała migotać. Dziewczynka skierowała na mnie te swoje lśniące, bezdenne oczy, wiekowe i przerażające.

- To nie mój dom, Tropicielko. I nie jestem demonem. Rzuciłam się w jej kierunku. Znowu zniknęła. Tylko że

tym razem nie pojawiła się z powrotem.

Dźwignęłam się na kolana. Chłopcy wiercili mi się niespokojnie na skórze. Dopiero po dziesięciu minutach dałam radę wstać. Dopiero po dziesięciu minutach zdołałam trochę zebrać myśli.

Ale nogi nadal się pode mną uginały, a serce łomotało.

Bałam się. Naprawdę się bałam.

Ale nie o siebie.

Rozdział 9

Gdy miałam dwanaście lat, matka na moich oczach wy- ■ ciągnęła kogoś z płonącego samochodu. Dziwny wypadek na autostradzie w Oklahomie przy niedużym ruchu. Podczas zmiany pasa ciężarówka zderzyła się z samochodem osobowym. I się narobiło. Wielki pożar, nieprzytomny kierowca.

Matka nawet się nie zawahała. Zniknęła w kłębach ognia i po chwili wróciła. Ubranie i włosy w płomieniach. Niosła kierowcę przerzuconego przez ramię. Był ranny, ale oddychał. Matce nic się nie stało, nie licząc zniszczonej nowej fryzury. Położyła mężczyznę na ziemi i wsiadła do naszego kombi. Ryknęła silnikiem, wykonała ostry skręt o sto osiemdziesiąt stopni i szybko nas stamtąd wy-] wiozła.

Nic nie usłyszałyśmy o tym w radiu, nawet w wiadomościach. Dzisiaj zaraz pewnie pojawiłoby się na YouTube nagrane komórką wideo i zatrulo nam życie. Co nie znaczy, że to cokolwiek by zmieniło. W takich okolicznościach nie ma się wyboru. i

„Wyjątki”, mawiała matka. „Od wszystkich zasad są | wyjątki”. i

Przyciąganie uwagi z powodu dobrego uczynku nale- | żało do wyjątków. Podobnie jak walka z demonami, nawet J jeśli się toczyła w biały dzień. Ostatecznie stracone okazje są jak marnowanie powietrza, gdy jesteś półtora kilometra pod wodą. Jakie to ma znaczenie, kto na nas patrzy?

Odwróciłam się i zobaczyłam Byrona.

Nie potrafiłam powiedzieć, jak długo tam stoi. Był blady i robił wrażenie wychudzonego w za dużych ubraniach. Miał oczy dzieciaka, który nie tylko widział zło, ale może też coś całkowicie szalonego, jak pojedynek dorosłej kobiety z dzieckiem, które rozplynęło się w powietrzu.

- Cześć - mruknęłam niezręcznie. - Szukałam cię.

- Byłem na dachu - odparł bezdźwięcznym, mechanicznym głosem. - Grant mi powiedział, że tam nie zajrzeliście.

Kiwnęłam głową. Zauważyłam, że wpatruje się w moje dłonie. Rękawiczki miałam w kieszeni. Zapomniałam je z powrotem założyć. Byłam zbyt pochłonięta rozważaniami o końcu świata. I o pewnym starszym panu, który może jest moim dziadkiem.

Muszę go ostrzec. I dostać odpowiedzi na parę pytań.

Wciągnęłam rękawiczki z udawaną nonszalancją, choć tak naprawdę czułam się, jakby ktoś siłą zdarł mi maskę z twarzy. Wszystkie moje sekrety były na widoku, obnażone i palące.

Byron przełknął ślinę.

- Masz tego więcej?

- Tu i tam - ucięłam krótko.

- Nie wyglądasz na kogoś, kto lubuje się w tatużach.

- Mówiłam ci przecież, że jestem straszna.

Jego napięcie odrobinę zelżało - ramiona lekko się rozluźniły.

- To się czasem przydaje. Uśmiech zatańczył mi na wargach.

- Dzięki, młody.

Chyba się zawstydził. Potarł sobie nos i spojrzał na coś ponad moim ramieniem. Odwróciłam się, ale nigdzie nie dostrzegłam swojej demonicznej miniwersji. Byron znowu się na mnie gapił. Nie ugięłam się pod jego spojrzeniem. Pozwoliłam mu patrzeć. Przez jego twarz przelatywały różne emocje: wątpliwości, strach, niepokój. Może nawet szczypta podziwu, co mnie zaskoczyło.

- Jadłeś śniadanie?

- Daruję sobie. Nie mogę tu zostać.

- To najpierw coś zjedz. - Wyminęłam go, próbując robić wrażenie wyluzowanej. - No chyba że jesteś wegetarianinem. Jeśli tak, to kiepska sprawa.

Nie przystanąłam, żeby sprawdzić, czy za mną idzie, ale nastawiłam uszu. Po chwili usłyszałam jego kroki. Nie odezwał się, aż się ze mną zrównał. Szliśmy w tym samym tempie. Trochę się garbił i szurał nogami. Starał się być niewidoczny.

- Czemu tu mieszkasz? - zapytał.

- A czemu nie? - Rozejrzałam się, jakbym szukała demonów, szarańczy albo plagi ropuch spadających z nieba. - Czemu ty mieszkasz na ulicy?

- Bo jest - odparł. Zerknęłam na niego kątem oka.

- Wciąż nie obejrzałeś pokojów. Zamki w drzwiach. Własny klucz. Załatwiłabym ci tu jakąś pracę. Albo gdzieś w pobliżu.

- Aha - mruknął, ale i tak wiedziałam, że to go zaciękało.

Nie miałam specjalnego doświadczenia w kontaktach z dzieciakami w jego wieku - właściwie z żadnymi dziećmi - ale uznałam, że całkiem nieźle sobie radzę. Jeszcze nie rzucił się do ucieczki. Bez względu na to, co zobaczył.

Dotarliśmy do głównego wejścia do przytułku. Byron odchrząknął i dotknął palcem siniaka z boku szyi. Zeszłej nocy nie zauważyłam tego śladu. Chciałam zapytać chłopaka, co mu się stało i czy ma więcej siniaków. Jednak odpowiedzi mogłam się sama domyślić. Jeszcze jedna rzecz, od której zrobiło mi się niedobrze.

Byron przyłapał mnie na tym, że mu się przyglądam, i jego dłoń zamarła. Udałam, że tego nie zauważyłam. Po prostu szłam dalej. Myślałam o Jacku i Sarai.

„Starzy znajomi”.

Starzy znajomi demona. Czy co to tam było.

Poklepałam się po tylnej kieszeni, gdzie miałam kamienny dysk. Moja matka i jej sekrety. Babcia.

- Cholera - mruknęłam. Byron podniósł na mnie wzrok, więc dodałam: - Przepraszam.

Wzruszył ramionami: drobiazg, ale ja nadal czułam się głupio. Nie dawałam zbyt dobrego przykładu. Nie dzieciakowi. Choć podejrzewam, że Byron i tak ma to gdzieś.

W głównej kuchni mieściła się też świetlica dla wolontariuszy. Tam zbierali się i odpoczywali ci, dzięki którym funkcjonowało schronisko. Jedli, czytali, oglądali telewizję. Oboje z Byronem wzięliśmy tace i talerze, po czym ustawiliśmy się w kolejce po śniadanie. Nie byłam głodna - już dawno powinno mnie tu nie być - ale chłopak potrzebował wsparcia. Widziałam to w jego oczach. Jeśli wyjdę, on może zrobić to samo. A po powrocie chciałam go tu zastać. Zależało mi na jego bezpieczeństwie niemal w równym stopniu, jak na spotkaniu z Jackiem i Sarai.

Właściwie nie potrafię wyjaśnić czemu. Po prostu coś w Byronie mnie mocno uderzyło. A może to poczucie winy? Przeze mnie chłopakowi się dostało. Przez Badelta i jego pytania.

Zmusiłam się do jedzenia. Między drugim a trzecim kęsem żołądek zaczął mi poburkiwać z zadowoleniem. Byron nałożył sobie trochę więcej jedzenia niż ja. Jajecznicza na bekonie, placki ziemniaczane z keczupem, tosty, masło i dżem. Pączek.

- Zaraz się porzygam - powiedział Byron, gdy już prawie wszystko zmiótł z talerza. Ugryzł kolejny kawałek chleba.

- Mógłbyś tak jeść każdego dnia - mruknęłam, dzwoniąc do informacji.

Poprosiłam o numer do galerii Sarai Soars, lecz mężczyzna po drugiej stronie oznajmił, że takie miejsce nie istnieje. Albo ma zastrzeżony numer.

Schowałam komórkę do kieszeni kurtki. Byron podniósł na mnie wzrok. W palcach trzymał miękki kawałek bekonu.

- Zona Briana nazywała się Sarai.

Nagle pożałowałam, że przy nim wykonałam ten telefon.

- Mówił ci coś o niej?

- Tylko że jest piękna. - Wzruszył ramionami i rzucił bekon z powrotem na talerz. - I nieznośna jak większość kobiet.

To do niego pasowało.

- Czy to ona wynajęła Badelta, żeby mnie odszukał?

- Nie wiem. - Byron wytarł dłonie w dzinsy. - Słuchaj, nie wygadasz policji, że cokolwiek widziałem, co?

- Nie - odpowiedziałam stanowczo. - Dla nich to ty nawet nie istniejesz.

Kiwnął głową. Miał zaciśniętą szczękę. Może naprawdę zrobiło mu się niedobrze. Odsunęłam krzesło od stołu.

- Chodź, pokażę ci pokój.

Prywatne skrzydło mieściło się na drugim piętrze środkowego magazynu, między jadalnią a świetlicą. Grant to tak zorganizował, by móc przyjmować pod dach szczególne przypadki - od czasu do czasu trafiały się rodziny lub osoby, którym naprawdę niewiele brakowało, by stanąć na nogi. Kwaterował tu również tych, którym było daleko do sukcesu, ale odrobina samodzielności mogła im pomóc. Dobrze strzegł tej tajemnicy.

Miałam przy sobie wszystkie klucze. Otworzyłam drzwi prowadzące do skrzydła i ruszyliśmy długim korytarzem pomalowanym na błady, piaskowy kolor z białymi akcentami. Ciąg halogenów i proste płytki na podłodze dawały wrażenie przyzwoitego standardu, co pozwalało rezydentom zapomnieć, że mieszkają w przytułku dla bezdomnych. Zatrzymałam się w połowie długości korytarza przed białymi drzwiami. Otworzyłam je i wpuściłam Byrona do środka.

Pomieszczenie miało wielkość i rozkład pokoju hotelowego. Łazienka znajdowała się zaraz na prawo obok drzwi, a dalej łóżko i komoda. Na wąskim stoliku nocnym leżały: telefon, notes i długopis. Jedyne okno wychodziło na

południowy wschód. Przez przejrzyste zasłony wlewało się światło słoneczne. Białe ściany, meble proste, trochę rustykalne.

Byron się rozejrzył. Stał tyłem do mnie. Chętnie zobaczyłabym jego minę, ale bałam się poruszyć.

- Jest twój. Zero czynszu. Większość ludzi odpracowuje to na dole. Jak już mówiłam, narkotyki i imprezy są zakazane. No i będziemy ci wiercić dziurę w brzuchu, żebyś się uczył.

Nic nie powiedział. Pomyślałam o Jacku i demonie. Zakradłam się bliżej chłopaka.

- Byron. Muszę coś załatwić. Mogę cię tu zostawić? Poradzisz sobie?

Kiwnął głową. Podałam mu klucz ponad jego ramieniem.

- Pasuje do twoich drzwi i do głównego wejścia. Jeśli postanowisz tu zostać, wymienimy ci zamek.

Byron spojrział na klucz, po czym wziął go ode mnie ostrożnie. Raw pociągnął mnie za rękę. Wyrwał się w stronę chłopca. Chciał, żebym zdjęła rękawiczki. Nie zareagowałam. Wycofałam się z pokoju. Protestującą rękę wsadziłam do kieszeni kurtki.

Gdy już miałam wyjść, chłopak odwrócił się lekko.

- Maxine.

Maxine. Dziwnie brzmiało moje imię w ustach Byrona. Powiedział je tak cicho, że ledwie usłyszałam. Nadal nie widziałam jego twarzy.

Ręka z kluczem zaciśniętym w dłoni wisiała mu beładnie wzdłuż tułowia.

- Ten człowiek, który zabił Briana... był jednym z nich. No, wiesz. Tych ludzi od narkotyków i porywania dziewczyn - przerwał. - Wczoraj pytałaś.

- Dzięki - westchnęłam ciężko. - To mi pomoże. Chłopiec szarpnął głową w ostrym potaknięciu. Robił wrażenie bardzo małego i szczupłego w tych swoich niechlujnych ciuchach. Ogarnęła mnie nieprzeparta ochota, żeby go wziąć na zakupy. A to znaczy, że powinnam się zabierać, i to jak najszybciej. Do diabła. Matka miała rację. Jak się człowiek zatrzyma w jednym miejscu na dłużej, to może łatwo stracić głowę.

Zamknęłam za sobą drzwi. Teraz musiałam załatwić wszystko z Grantem.

Znalazłam go w kaplicy. Grał na flecie, przycupnięty na brzegu krzesła obok pulpitu. Laskę oparł sobie o udo. Ponad połowa miejsc była zajęta. Grant odbywał swoją poranną sesję, którą regularni bywalcy nazywali „jego dziwactwem”.

Takie nieoficjalne spotkanie. Grant nie był już księdzem, ale ksiądz nadal w nim tkwił. Lubił powiedzieć rano kilka słów do tych, którzy przyszli się pomodlić. Żadnych słodkich słów czy też straszenia buchającym ogniem i siarką. Raczej łagodna obserwacja, głównie na temat optymizmu i radości życia. Potem przychodziła pora na odrobinę muzyki. Muzyka była zawsze.

Tego ranka grał Danny Boy. Wydobywał piękne, pełne żałości tony. Jego moc połaskotała mnie w skórę. Człowiek przy pracy. Jedyna znana mi osoba, która potrafiła połączyć to co przyziemne z tym co nadprzyrodzone. Przychodziło mu to z łatwością. Podziwiałam jego grację. Grał, udając, że to tylko moment rozrywki, a jednocześnie subtelnie, cicho przebudowywał aury zgromadzonych. Ludziom robiło się lekko na duszy, ogarniało ich poczucie nadziei, otwartych możliwości. Desperacja zniknęła.

Grant potrafił wykreować w każdym radość życia. Z wyjątkiem mnie. Tylko na mnie nie umiał wpłynąć. Zresztą i dobrze. Miałam własne sposoby doświadczenia szczęścia - polegałam na krótkich chwilach. Na wspomnieniach, które się ze sobą łączyły niczym patchwork albo sceny z filmu. Niczym western, gdzie samotny rewolwerowiec staje naprzeciwko całej armii przeciwników. Mierzy się ze złymi intencjami i kiepskimi szansami.

Wśród słuchaczy zobaczyłam kilku zombie pogrążonych w rozmyślaniach.

Igrasz z ogniem, powiedziałam w myślach do Granta. Nie mogłam pozbyć się niepokoju, bałam się o niego. Odmieniał dusze i demony tylko za pomocą muzyki.

Bałam się, że któregoś dnia odmieni sam siebie.

Usłyszałam tupot. Wysłałam przed kaplicę. Mary pędziła w moją stronę co sił w nogach. Miała na sobie sukienkę w gigantyczne słoneczniki i ogromny, sięgający kolan, bezkształtny sweter w koty wielkie jak piłka do nogi. Zwiędłe wargi miała niestaranie pomalowane czerwoną szminką. Niewiele brakowało, a przebiegłaby obok mnie i wpadła prosto do kaplicy, ale się zatrzymała. Wbiła we mnie dzikie spojrzenie.

- Ktoś właśnie popełnia grzech.

- Grzech - powtórzyłam.

- Grzech - syknęła niecierpliwie i wskazała za siebie. - Morderstwo.

Zamrugalam. Z trudem zbierałam myśli. W końcu rzuciłam się biegiem.

Nie miałam pojęcia, dokąd gnam. Nastawiłam uszu i usłyszałam jakieś wrzaski na końcu krętego korytarza. Brzęk tłuczonego szkła, okrzyki przerażenia. Brzmiało to tak, jakby dźwięki dochodziły z holu. Skręciłam, prawie staranowałam kobiety z dziećmi w obszarpanych ciuchach, które oglądały się za siebie.

Na końcu korytarza, przy wejściu, koło kontuaru wolontariuszy zobaczyłam postawnego mężczyznę w luźnych szarych spodniach i bardzo długim brązowym płaszczu. Wyglądał jak niedźwiedź. Brudna, potargana, wilgotna broda. Owłosione ręce przypominały rękawice do bejsbolu.

Zombie. Jeden ze stałych bywalców, nawrócony przez Granta.

Na ziemi przed nim leżał Byron.

Wyteżyłam wzrok aż do bólu. Chłopiec był przytomny, ale mocno poturbowany. Nie mógł wstać. Z przerażeniem patrzyłam, jak brodacz kopie go ciężkim buciorem w plecy. Byłam za daleko, żeby go powstrzymać.

Inni próbowali interweniować, ale wielki zombie szalał jak dzikie zwierzę. Rex stanął między nim a chłopcem. Miał rozciętą nogę, mocno krwawił. Na podłodze wałało się pełno szkła. W oczach brodacza płonął gniew. Gniew i głód. Sycił się bólem i strachem - czystą, surową energią. Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak spija je słomką.

Zauważył, że się zbliżam, i mina mu zrzedła. Znowu krzyknął coś do innych zombie - tym razem ostrzeżenie.

Za późno. Rex odskoczył, gdy ja z rozpędu wbiłam się w brodacza. Wpadłam na niego z takim impetem, że ścięłam go z nóg. Poleciał na ścianę. Usłyszałam trzask i łoskot, na głowę posypał mi się tynk. Zombie jednak nie przestał walczyć. Oczy wychodziły mu z orbit. Ogarnęło go istne szaleństwo. W życiu nie widziałam żadnego z nich tak rozwścieczonego.

Wstał. Ruszyłam za nim. Zagryzłam zęby, gdy chwycił mnie za ramię i mocno potrząsnął. Nie puszczał. Zaczął krzyczeć. Chłopcy poruszyli się niespokojnie. Śnili o przemocy. Śnił im się zapach zombie.

Złapałam go za krocze. Demony-pasożyty czują ból, gdy są w ludzkiej skórze. Z całej siły zacisnęłam dłoń. Jego luźne spodnie ułatwiały mi zadanie. Puścił moje ramię i próbował mnie uderzyć, ale się uchyliłam. Pociągnęłam go przy tym jeszcze mocniej, co tylko sprawiało mu więcej bólu.

Zatoczył się. Upadł do tyłu ciężko jak kłoda. Aż się podłoga zatrzęsała. Postawiłam mu nogę na szyi, zanim zdążył zwinąć się w kłębek. Nie podniósł na mnie wzroku, więc trzepnęłam go po policzkach i szarpnęłam za brodę. Zadygotał. Był czerwony na twarzy, oddychał z trudem.

Nagle odzyskał jasność umysłu. Patrzył na mnie tak, jakby właśnie do niego dotarło, że zaraz umrze.

Ledwie się kontrolowałam.

- Rex, zabierz stąd tych ludzi.

- **Nie, Tropicielko.**

Odwróciłam głowę i spojrzałam mu prosto w oczy.

- Rób, co każę, albo będziesz następny.

- Na twoim miejscu bym jej posłuchał - odezwał się Grant.

Zerknęłam na niego przez ramię. Stał za nami cichy, przyczajony jak wilk. Kostki dłoni mu pobielewały od ściskania główki laski. W drugiej ręce trzymał flet.

Zombie pode mną zaczął się szarpać. Opadłam na niego ciężiej i huknęłam pięścią w podłogę tuż przy jego głowie, aż popękały kafelki.

- Nawet nie próbuj zrobić mnie w konia. Tylko pomyśl, żeby wstać, a tak cię załatwię, że się nie pozbierasz.

Zombie zamarł. Wszyscy zamilkli. Przed oczami tańczyły mi czarne płatki. Rex powiedział coś ściszonego głosem. Usłyszałam szuranie stóp i przerywane pomruki. Kątem oka widziałam rozciągniętego na podłodze Byrona. Miał zamknięte oczy. Był nieprzytomny.

Wszystko we mnie znieruchomiało. Twarz chłopca wyglądała strasznie. Zapuchnięte lewe oko, pokancerowa-ny policzek, złamany nos. Krew lała się z górnej wargi. Czoło miał pokaleczone i podrapane, jakby ktoś mu tam zdarł skórę podeszwą buta. W głowie mi się to nie mieściło. Nadal widziałam go, jak stoi w tym cholernym pokoju. Minęło może dziesięć minut, odkąd straciłam go z oczu.

Rex uklęknął obok mnie.

- Już zadzwoniliśmy po pogotowie.

Zmusiłam się, żeby odwrócić wzrok. Grant nachylił się tak nisko, jak mu na to pozwalała chora noga, i utkwił spojrzenie w zombie na podłodze.

- Pobieś tego chłopaka. - Jego głos brzmiał niewiarygodnie cicho i przerażająco lodowato.

Zombie z sykiem wciągnął powietrze do płuc i zadygotał. Oczy zaszyły mu krwią, oddychał z trudem.

- Zapomniałem się. Błagam. Proszę, nie pozwól jej mnie zabić. Zobaczyłem go i się zapomniałem.

Miałam gdzieś ten zbieg okoliczności. Byron był zbyt specyficznym celem.

- Czemu akurat ten chłopak? Ktoś cię na niego nasłał? Edik? Krwawa Mamuśka?

Zombie przeniósł wzrok z Granta na mnie i pokręcił głową. Był zdesperowany. Z jego ust posypały się słowa w demonicznym języku. Rex nachylił się bliżej. Zombie przeszedł na angielski.

- **Powiedz im** - wymamrotał. - **Powiedz im, Rex.** Rex odwrócił wzrok.

- **Nie, Scotty.** Zombie nie odpuszczał.

- **Ale...** on jest tylko skórą.

- **Skórą** - powtórzyłam ostro. - **To znaczy?**

Scotty zamknął usta. Rex ruszył w stronę kąta recepcji. Bez powodu, po prostu chciał się znaleźć jak najdalej ode mnie. Znów spojrzałam na Byrona. Chyba oddychał, ale poza tym był nieruchomy jak skała.

- **Odpowiedz** - rozkazał Grant. - **Co to znaczy?** Scotty nie chciał się odezwać.

- Posunął się za daleko - powiedziałam. - **Dobrze o tym wiesz.**

- **Maxine.**

- **Nie.** Należy do mnie.

Grant zamknął oczy. Zdjęłam rękawiczki. Zombie załkał. Już nie walczył, tylko żebrał, rozpaczliwie błagał. Nie czułam litości. Napotkałam na swojej drodze demony w babcjach i przedszkolankach, w policjantach i politykach. Egzorcyzmowałam dzieci i umierających. Demony są zawsze takie same. Ból jest gwarantowany, bez względu na to, jak wygląda żywiciel.

Położyłam rękę na czole zombie.

- Ostatnie słowa?

- Dogadajmy się - wychrypiał.

- Nie. Mów z własnej woli, a sprawię, że to nie potrwa długo. Przyrzeknij, że nikt cię do tego nie zmusił.

Scotty milczał, to wystarczyło mi za odpowiedź. Aura zaczęła mu się odrywać od głowy; demon w środku gotował się do szybkiej ucieczki.

Akurat. Mocniej przycisnęłam dłoń do jego czoła i wypowiedziałam słowa, których nauczyłam się od matki. Stare zaklęcie, przedwiekowe. Demon w ludzkim żywicielu próbował się uwolnić. Złapałam go ręką. To było jak komyk, smuga dymu. Demon krzyczał. Jego głos przypominał wysoki, przesywający gwizd.

Pogrążeni we śnie chłopcy wessali jego ciało w moją skórę i je pochłonęli.

Trwało to dziesięć sekund. Grant nadal miał zamknięte oczy. Bałam się go dotknąć, ale gdy odsunęłam się od Scotty'ego, złapał moją dłoń i podniósł ją sobie do policzka. Znów zaczęłam oddychać. Pocałowałam go w ramię.

Scotty jęknął. Przesząpiłam nad nim i przyklękłam przy Byronie. Dotknęłam tylko jego włosów. Nie chciałam mu sprawić bólu. Zrobiło mi się niedobrze ze strachu. I z wściekłości.

- Rex, potrzebujemy pomocy - powiedział Grant.

Zombie bez słowa wyszedł z recepcji. Grant nachylił się i zaczął śpiewać pod nosem. Łaskotanie mocy. Oddech mężczyzny na podłodze z wolna się uspokajał. Grant nadał nucił. Nie miałam pojęcia, co widział w aurze Scotty'ego, ale melodia się zmieniła. Niemal wyobraziłam sobie, jak układa puzzle, przekłada elementy na właściwe miejsce.

To opętanie, rozległ się słaby głos w mojej głowie. Grant jest taki sam.

Oczywiście. Przecież wiem to doskonale.

Przestał nucić. Milczenie Granta było dogłębne, nie mniej pełne znaczeń, co jego muzyka. Pogrążony w myślach oparł się ciężko o laskę i spojrzał na ludzi wchodzących do recepcji. Stali bywalcy przytułku. Postawni mężczyźni, którzy przygotowywali się do egzaminów GED1. Od czasu do czasu prowadziłam z nimi zajęcia.

Przykucnęli koło Scotty'ego i pomogli mu się dźwignąć do pozycji siedzącej.

Usiadłam na podłodze. Niczym owczarek niemiecki pilnowałam chłopca, aż przyjechało pogotowie.

Wszystko wydarzyło się jednocześnie. Karetka, policja, syreny alarmowe... Wyły tak głośno, aż dzieci się rozplakały. Część z tych, którzy pomagali Scotty'emu, szybko zniknęła. Nikt nie chciał tu być, gdy zjawią się mundurowi z odznakami. Mnie też to się nie uśmiechało.

Musiałam jednak porozmawiać z glinami. Suwanai ani McCowan się nie pokazali, ale wieści na pewno szybko się rozejdą. Mogłam sobie tylko wyobrazić, co pomyślą. Miałam nadzieję, że nie powiążą obecności Byrona ze śmiercią Badelta. Dopiero by się zrobił bałagan. Wolałabym uniknąć załatwiania tej sprawy oficjalnymi kanałami.

Pielęgniarze wynieśli Byrona na noszach. Założyli mu kołnierz ortopedyczny. Grant przykuśtykał do mnie. Wyglądał nędznie.

- Muszę zadzwonić do opieki społecznej. Jeśli ja tego nie zrobię, to szpital zadzwoni.

Przycisnęłam pięści do czoła.

- Powinam być ostrożniejsza. Obiecałam mu, że wszystko będzie dobrze. A teraz jest nieprzytomny.

Grant westchnął.

- Maxine, on udaje. Zamarłam.

- Poważnie?

- W pierwszej chwili nie zwróciłem na to uwagi, bo sporo się działo. Dopiero dziesięć minut temu zauważyłem ten ślad w jego aurze. Dookoła kręciło się za dużo ludzi, żeby go zawołać. Lekarze na pewno szybko się zorientują, jeśli jeszcze się nie zorientowali.

- Myślisz, że słyszał, jak zabijam demona?

- Nie wiem. Ale bez względu na to, jak mocno jest pokiereszowany, nie sądzę, by chciał czekać w szpitalu, aż zjawi się policja z pytaniami. Albo opieka społeczna.

Zrobiło mi się niedobrze. Czułam się jak potwór. Nie zdołałam zapewnić dzieciakowi bezpieczeństwa.

- Ktoś powinien z nim być - stwierdziłam stanowczo.

- Nie wiedzieć czemu odnoszę wrażenie, że to mnie zostało przydzielone to zadanie...

- Tylko tobie mogę ufać. Scotty powiedział, że Byron to skóra. Nic więcej. Zee tak samo opisał wczoraj Jacka Meddle'a. A teraz mówi to zombie, który właśnie zaatakował chłopaka, znajomego Badelta. - Zamknęłam oczy i klepnęłam się po udach. - Byron powiedział, że Badelta zamordowali ci ludzie, co handlują w dzielnicy uniwersyteckiej narkotykami. Banda Edika.

- A on wykonuje polecenia Krwawej Mamuśki - dodał ponuro Grant, po czym podniósł wzrok na policjanta, który właśnie wyprowadzał Scotty'ego z holu.

Koszmarne widoki. Postawny mężczyzna robił wrażenie całkowicie zagubionego. Odzyskał człowieczeństwo... i znalazł się w niezłych tarapatach. Ciekawe, jak długo był opętany, jaką część życia mu skradziono? Na pewno odebrano mu wolność. Gdybym go egzorcyzmowała od razu, jak się poznaliśmy - tak jak należało - nie doszłoby do tego wszystkiego.

Byłam zła. Na siebie i na Granta. Ale na niego nie potrafiłam się długo złościć. Wystarczyło, że spojrzałam mu w oczy i zobaczyłam, jak coś w nim pęka. Patrzył, jak policja zabiera Scotty'ego z taką miną, jakby jego samego zakuto w kajdanki. Z wielkim napięciem słuchał, jak Scotty uparcie powtarza, że nic nie pamięta, że nie popełnił żadnego przestępstwa.

Wzięłam go za rękę.

- Daj spokój.

- Daj spokój? - powtórzył posepnie. - Nie próbuj tego złagodzić. Oboje dobrze wiemy, dlaczego to się stało.

- Owszem - odparłam. - Prawda wygląda jednak tak, że dzieciak jest na celowniku. Gdyby nie zaatakował go Scotty, zrobiłby to ktoś inny. Nie ma sensu dzielić włosa na czworo.

Grant potarł kciukiem wierzch mojej dłoni.

- Miałem cię nie spuszczać z oczu. Przypominam sobie swoją żarliwą przemowę z zeszłej nocy...

- To była dobra przemowa - weszłam mu ostro w słowo, po czym dodałam miękko: - Nic mi nie będzie.

- Maxine, rozmawiasz ze mną.

- Nic mi nie będzie - powtórzyłam z większym naciskiem. - Poważnie. Bardziej martwię się o Byrona. I o ciebie.

Pokręcił głową.

- Też bym powiedział, że nic mi nie będzie, ale wtedy wrócimy do punktu wyjścia. Zresztą oboje byśmy kłamali.

- Idź już - poprosiłam. Czulałam się jak kupka nieszczęścia. - Uważaj na siebie. Sama bym się tym zajęła, ale mam inne sprawy do załatwienia.

Spojrzał na mnie przeciągle.

Podszedł do nas Rex. Jego aura była przygaszona. Z twarzy niewiele dało się wyczytać. Grant nachylił się i szepnął mu coś na ucho. Rex spojrzał na mnie i pokręcił głową, ale Grant złapał go za rękę. Ciemna flegma demonicznej aury zadrgała pod wpływem dotyku i ledwie słyszalnej melodii głosu Granta. To wystarczyło, by zachęcić zombie do współpracy.

Neofita. Świętoszek. Demoniczny sukinsyn, który deklaruje, że jest gotowy przyjąć światło. Odstawiony od bólu. I od Krwawej Mamuśki. Ze dwudziestu innych zombie, mężczyzn i kobiet, czuło to samo. Wszyscy przewijali się przez ten przytułek, regularnie przychodzili na terapie muzyczne, prywatne sesje z Grantem, a on modyfikował pola siłowe demonicznych dusz. Poranki w kaplicy to tylko wisienka na torcie.

Choć trudno byłoby uznać, że ze Scottym się udało.

Kilka osób przy recepcji nadal się na nas gapiło. Nie podobało mi się to zainteresowanie, ale Grant złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

- To ty na siebie uważaj - wyszeptał.

Kiwnęłam głową pochłonięta intensywnością jego spojrzenia. W oczach Granta kryły się obietnice. Zawsze.

Wycofał się wolno, posłał jeszcze jedno surowe spojrzenie Rexowi, po czym odszedł.

Patrzyłam za nim, aż zniknął mi z oczu, i odwróciłam się do zombie. Stał z rękami w kieszeniach. Z ludzkich oczu patrzył na mnie demon. Zajmował się tu wszystkim. Pomagał ludziom, był lubiany. Nadal jednak karmił się bólem, nawet jeśli sam przestał go zadawać.

Ani drgnął. Ja też się nie poruszyłam. Za naszymi plecami zaczęły się rozmowy, rozległy niespokojne śmiechy. Usłyszałam odgłosy zamiatania i chrzęst szkła. Skądś dochodziło też miłe zawrodoenie Smokeya Robinsona. Czulałam zapach krwi, lecz Rex nie przejmował się swoimi obrażeniami.

- Chodźmy gdzie indziej - powiedziałam do niego. Znaleźliśmy ławkę na korytarzu i usiedliśmy. Rex wbił wzrok w ścianę naprzeciwko, maślanożółtą, wymalowaną w motyle przez dzieci, które korzystały z dziennej opieki w schronisku. Miałam przed sobą tulipany z elfami kryjącymi się pomiędzy czerwonymi płatkami i niebieskiego ptaszka - unosił się w promieniach cukierkowego słońca nad poszarpanymi falami zielonego morza. Ze ściany zerkała na mnie syrena.

- Lepiej ci? - zapytał Rex. - Małe morderstwo na dobry początek dnia, co?

- Nie stanąłeś w obronie chłopaka.

- Nie dotarłem tam na czas. Scotty'emu zupełnie odbiło.

Albo może ci się to podobało? Sprawilo ci przyjemność? Patrzyłam mu w oczy, przyglądałam się, jak migocze jego aura, jaśniejsza od aur innych przedstawicieli jego gatunku. Jedyny dowód na to, że Grant rzeczywiście go odmienił.

- Scotty próbował zabić Byrona nie bez powodu - stwierdziłam. - I ty ten powód znasz.

- Nieprawda - odparował, ale w oczach pojawił się mały błysk.

Poczułam, jak coś mi w środku zaskakuje, jakby ktoś przekręcił klucz.

Byliśmy sami w korytarzu. Zdjęłam rękawiczki.

- Rex, twojej uwagi nic nie umyka. Założę się, że wiedziałeś o wiadomości, jaką miał mi przekazać Edik. A może też o Badelcie? Ktoś szukał Tropicielki. To na pewno wywołało falę plotek. Rany, może nawet wiesz, na czyje zlecenie zginął. Na przykład... Edika? Krwawej Mamuśki?

Gapił się na moje ręce, na tatuaże.

- Mylisz się.
- Grant się nie przejmie, jeśli się ciebie pozbędę. Nie w tym momencie. Nie, jeśli mnie zdradziłeś.
- On nie wie, kim jesteś.
- Czyli przyznajesz, że coś przede mną ukrywasz?

- Odwał się - warknął. - Nic nie zrobiłem.
- Właśnie o to chodzi.

Położyłam rękę na jego ranie na nodze. Krew wsiąkała w moją skórę. Zadygotał i wbił sobie pięści w uda. Nie próbował jednak ze mną walczyć. Miał dość oleju w głowie.

- Przestań - syknął.
- Daj mi to, czego chcę - wycodziłam. - Albo będziesz tu siedzieć, aż chłopcy wypiją całą twoją krew. Za dziesięć minut umrzesz.
- A jeśli porzucę to ciało? - Rex z drzeniem wciągnął powietrze do płuc i spojrzał na mnie z nienawiścią. - Jeśli ucieknę? Zabiłabyś żywiciela?
- Zabiłabym ciebie. Zabiję cię tak czy inaczej. Jeśli nie zaczniesz mówić.
- Nie zdradziłem Granta - warknął Rex. - Nie jego. Nie zawiódłem jego zaufania.
- Wzruszające. Odpowiedz na moje pytania.
- Nie mam pojęcia, kto zabił detektywa - obstawał przy swoim.
- Ale wiedziałeś, że zadawał pytania.
- Doszły mnie słuchy, choć w to nie uwierzyłem. To było bez sensu.
- A Edik? Zasłona? Co za grę prowadzi Krwawa Mamuśka?
- Robi, co musi, żeby przeżyć. Jeśli mnie pytasz, czy poszła na jakiś układ, to nie mogę ci na to odpowiedzieć. Bo nie wiem.
- Wiesz wystarczająco dużo - odparowałam. - Na pewno.
- Podobno więźniowie chcą roznieść więzienie na strzępy. Czy to nie dość? - Zamknął oczy i pokręcił głową. - Krwawa Mamuśka jeszcze nie wydała na mnie wyroku śmierci tylko dlatego, że liczy, że jej się przydam w sprawie Granta. Ona z niego nie zrezygnowała. Nigdy nie zrezygnuje, Tropicielko.

Zabrałam dłoń z jego nogi. Była ciepła i sucha. Chłopcy przeciagnęli się przez sen na mojej skórze. Lubili przekąski.

- Krwawa Mamuśka i ja mamy umowę. Zawarła ją jedna z moich poprzedniczek. Nikt nie ruszy Granta. Każdy, kogo wybiorę, jest bezpieczny. - Mówiąc to, czułam się jak idiotka. Kłamałam w żywe oczy. Nikt nigdy nie był bezpieczny.

Rex spojrzał na mnie z pogardą.

- Jakieś tam stare układy. Ty, twoje krewniaczki i te wasze układy na rzecz potomności. Handlowanie własnymi duszami.
- Nic nie wiesz.
- Wiem więcej niż ty. - Rozciągnął wargi w grymasie. - Nie bądź taka przemądrzała, Tropicielko. W końcu ty też tak postąpisz. Jak one wszystkie. Nawet twoja matka.

Wbiłam mu pięść w szyję.

- Powtórz...

Rex zaczął charczeć. Próbował odepchnąć moją rękę. Z końca korytarza dochodziły jakieś odgłosy. Puściłam go w chwili, gdy obok nas pojawiły się dzieci z opiekunką, emerytowaną nauczycielką, Betty. Miła, starsza pani. Wyglądała jak dobrze ułożona damulka z przedmieścia, choć jej mąż odsiadywał trzydziestoletni wyrok za napady na bank we wczesnych latach dziewięćdziesiątych. Policji nigdy nie udało się znaleźć skradzionych pieniędzy.

- Dzień dobry, pani Sansbury - przywitałam się uprzejmie.

Rex zgiął się wpół i zaczął kaszleć. Betty spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem i odsunęła dzieci na bok.

- Proszę zakrywać usta, gdy pan kaszle, panie Mon-gabay.

Rex odchrząknął, nadal zgięty wpół. Betty pokręciła głową. Uśmiechnęłam się do niej i pomachałam do dzieci. Miłe, słodkie aniołki.

- Nie niszczy tego - mruknął Rex, gdy zniknęły nam z pola widzenia.
- Czego?
- Tego życia. - Zwrócił na mnie swoje nabiegłe krwią oczy. Wargi miał wykrzywione. - Mojej wolności. Tej odrobiny swobody. Tylko to mi pozostało.
- Rex, jesteś demonem. Nie człowiekiem.
- Mogę być i jednym, i drugim - syknął. - Tak samo jak ty. Mogę się zmienić. Już się zmieniłem.
- To wyłącznie zasługa Granta. Zmusił cię do tego.
- Otworzył przede mną drzwi, a ja nie zdawałam sobie nawet sprawy, że istnieją - odparł Rex z żarliwością, która mnie zawsze zbijała z tropu. - Zerwał moją więź z Królową.
- Ona cię nadal kontroluje.

- Ale nie tutaj. - Przycisnął pięść do piersi. - Przestałem być tylko kolejną jej paszczą, Tropicielko. Ona się przeze mnie nie karmi. Jestem sobą. Stałem się tym człowiekiem.

- To skradziona skóra.

- On jej nie chciał.

- Jakie to wygodne.

Rex opadł do tyłu i roztarł sobie szyję. W jego oczach malowała się nienawiść.

- Nie jesteś lepsza od seryjnego zabójcy, Maxine Kiss. Mów co chcesz, ale nie potrafisz żyć bez łowów. Masz to we krwi. Wszystkie Tropicielki uzależniają się od tego.

- A twój gatunek?

- Zawsze do dyspozycji. Przez te wszystkie lata miałyście nad nami moralną przewagę. Dawalyście sobie przyzwolenie, by nas niszczyć, bo robiliśmy ludziom krzywdę, karmiliśmy się ich bólem. Tylko że teraz jest trudniej, co? Grant sprawia, że twoje zadanie staje się niemożliwe.

- Łatwo nie jest - zgodziłam się. - Ale nie dręczą mnie przez to w nocy koszmary.

- Oczywiście, że nie. - Zombie się nachylił, a w jego oczach coś błysnęło. - Lecz jeśli nie my, to kto, Tropicielko? Kogo będziesz zabijać, gdy nas zabraknie?

Przechyliłam głowę. Wpatrywałam się w jego oczy, w migotanie aury. Silne, równomierne.

- Ta wasza moralność to sztuczka. Iluzja. Nic więcej. Grant zapewnia wam życie. Ale w każdej chwili może je odebrać.

- Zabawa w Boga - wyszeptał Rex. - A ty? Ty w Niego nie wątpisz.

Gdyby tylko wiedział. Wciągnęłam rękawiczki.

- Chłopak. Wyjaśnij to.

Spojrzał na dziurę w swojej nodze. Krwawienie ustało.

- Zostaw to, Tropicielko. Masz poważniejsze problemy do rozwiązania.

I z każdą chwilą coraz więcej.

- Chcę wiedzieć. Zamknął oczy.

- Nie, nie chcesz, uwierz mi.

- Rex, potrzebuję informacji. Zasłona się rozchyliła. Coś się wydostało. - Coś małego i wrednego. Coś o moich rysach. Na myśl o tym aż mi się żołądek ścisnął. - Co uciekło?

- Zwiadowca. - Rex nagle wydał się zmęczony. -Więcej niż zwiadowca. Coś, co nigdy nie powinno zostać zamknięte.

Zawahałam się.

- Nie demon? Spojrzał mi prosto w oczy.

- A co to demon? Myślisz, że wiesz? Czy to każda istota, która nie jest człowiekiem? Możemy mamy jakieś znaki na czołach? Wielkie czerwone D? - Na moment zacisnął powieki i pokręcił głową. - Aleś ty głupiutka, Tropicielko.

Zanim zaczniesz na nas polować, lepiej zapytaj sama siebie, kim ty jesteś?

Z niechęcią musiałam przyznać, że ma sporo racji. A może za dużo czasu spędziłam z Grantem? Zaczynałam myśleć o zombie w kategoriach osobowych, a nie tylko jak o... mięsie.

Dotknęłam miejsca pod uchem, które trochę mnie mrowiło.

- Co wiesz o demonie z nożami zamiast stóp? Rex wbił we mnie wzrok.

- Co?

- Noże zamiast stóp. Wielka peleryna, czarny kapelusz. Tańczy jak czaruję.

Skrzywił się i wstał. Chwycił go za ramię. Demon pod ludzką skórą się wzdrygnął. W jego oczach pojawiło się przerażenie, ostre i gorące.

- O co chodzi? - warknęłam.

Rex mi się wyrwał. Złapałam go znowu. Uderzył mnie w żołądek. Nie poczułam bólu, ale tak mnie to zaskoczyło, że puściłam drania. Zatoczył się do tyłu. Patrzył takim wzrokiem, jakby nigdy wcześniej mnie nie widział. Był niemal sparaliżowany strachem. Przypomniała mi się reakcja Jacka na widok znamienia Oturu na mojej twarzy.

Rzuciłam się w stronę zombie.

- Gadaj, o co chodzi?

Odskoczył, po czym się zatrzymał i zamarł. Zza jego pleców dochodziły nas śmiechy i krzyki dzieci.

- Rex - wychrypiałam.

- Łów - wyszeptał. - Ty nas wszystkich pozabijasz.

Rozdział 10

Później zrozumiałam, dlaczego matka wyrwała strony ze swojego dziennika.

Były rzeczy, których ja sama nigdy bym nie wyznała. Nie swojej córce, jeśli dożyje dnia jej narodzin. I nie Grantowi. Ani chłopcom, choć oni - **podejrzewam** - potrafią mi czytać w myślach. Niektóre myśli, te uporczywe, **lepiej pozostawić niewypowiedziane.**

Niektóre rzeczy powinny pozostać pod skórą.

Rex rzucił się do ucieczki. Pobiełam za nim, ale poruszał się szybko i zwinnie. Zgubiłam go, gdy tylko wydostaliśmy się na zewnątrz. Biegł co sił w nogach - jakby mu się ziemia paliła pod stopami. Gdybym nie miała całkowitej pewności, że potrzebuje Granta, to pomyślałabym, że zniknie z miasta bez śladu. I nigdy nie wróci.

Postanowiłam nie marnować czasu na uganianie się za nim. Są inne sposoby, żeby go schwytać. Najpierw poszłam z powrotem do mieszkania. Musiałam wziąć parę rzeczy.

Na górze panowała cisza. Granta już nie było. Zajrzałam do pokoju gościnnego. Myślałam o Byronie. O tym, co mu obiecałam. O tym, że nie udało mi się zapewnić bezpieczeństwa nawet jednemu małemu chłopcu. A przecież cały świat potrzebował ochrony.

Niezły bajzel.

Weszłam do salonu i spojrzałam na wielkie okna, miękkie kanapy, gitary i fortepian, czerwony motocykl marki Triumph, wypolerowany na wysoki połysk. Na ceglanych ścianach wisiały maski i zdjęcia, na małych stolikach leżały kamienie i inne drobiazgi. Na półkach stało mnóstwo książek, przede wszystkim religijnych, na temat chrześcijaństwa, judaizmu, islamu, buddyzmu, a nawet szamańskich wierzeń, a także mitów i legend. Niektóre starodawne teksty były po łacinie, włosku czy francusku.

Przy ścianie stała skrzynia mojej matki, pod tybetańskim gobelinem, który zwieszał się z wąskiego stołu, gdzie Grant rzeźbił swoje flety. Między narzędziami leżały kawałki różnych gatunków drewna: bambus, orzech, wiśnia.

Słońce grzało mocno. Przez okno widziałam lśnienie metalu i szkła w centrum miasta.

Uklękłam przy skrzyni i zaczęłam grzebać przy zamku szyfrowym. Otworzyłam go. Dzienniki leżały na samej górze. Oprawione w skórę notatniki, spięte pliki luźnych kartek, teczki z wycinkami prasowymi. Biblia. Pod ukochanym pluszowym zajacem, pełnym łąt, znajdowało się stare, oprawione w płótno pudełko ze zdjęciami. Zniszczony, skórzany płaszcz, para rękawiczek, też ze skóry. Czarnej i miękkiej. Były małe, uszyte na specjalne zamówienie dla mojej matki. Gdy na nie popatrzyłam, zakręciło mi się w głowie.

Na spodzie skrzyni, pod fałszywym dnem, znalazłam broń. Dwa pistolety, stara strzelba, pudełka z amunicją. Próbowалам nie zwracać na nie uwagi. Przypomniałam sobie, jak matka czyściła broń, siedząc po turecku na hotelowym łóżku przed telewizorem, w którym leciały wiadomości i kreskówki.

Przypomniało mi się też jej ciało. Na podłodze. Mnóstwo krwi. Moje dwudzieste pierwsze urodziny, świeczki nadal paliły się na torcie. Chłopcy łkali. Wszyscy zostaliśmy osieroceni.

Odetchnęłam głęboko. Sięgnęłam po zawiniątko w czarnym aksamicie. Potrzymałam je na kolanach, potem odłożyłam na podłogę. Usiadłam na piętach i odwinęłam mięsistą, ciężką tkaninę.

Noże matki. Nie widziałam ich od jej śmierci, nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby ich użyć. Obiecałam to sobie.

Ostrza bardzo proste, szlachetne. Wykonane na zamówienie. Stalowe, bez rękojeści, obustronnie, ostre jak żyłtka i ząbkowane. Niebezpiecznie nawet ich dotknąć. Trzeba mieć albo grubą skórę, albo rękawiczki z żelaznymi wkładkami. Moja matka odziedziczyła je po swojej matce, a babcia po swojej. Stare, lecz wciąż mocne. Z historią.

Zdjęłam rękawiczki i ściągnęłam sobie golf przez głowę. Byłam naga od pasa w górę, każdy centymetr kwadratowy skóry aż po podbródek pokrywali chłopcy. Wzięłam pierwszy nóż z brzegu. Stał stopiła się z łuskami i kolcami na mojej dłoni i nadgarstku, lśniła niczym srebro wtopione w skórę. Przypomniałam sobie matkę z nożami w ręce, w dokładnie takiej samej pozycji. Wspomnienia przybrały na sile, gdy zabrałam się do ostrzenia noży - wszystkich dwunastu - o swoje ramię.

Poleciały iskry. Chłopcy uwielbiali noże. A moją matkę jeszcze bardziej. Ciekawe czy przed nią też mieli tajemnice, a jeśli brak, to jakie?

Skórzana opaska tworzyła rodzaj kabury na ramię. Wsunęłam ją na rękę, pasowała idealnie. Noże przylegały mi do żeber. Złapałam kurtkę, ale zaraz ją odłożyłam, a wzięłam skórzany płaszcz i rękawiczki matki. Idiotyzm. Posuwałam się za daleko. Ale to było miłe. Miękka, elastyczna skóra - każde zadrapanie na niej przypominało bliźnę.

Włożyłam wszystko z powrotem do skrzyni. Z wyjątkiem pudła ze zdjęciami. Zostawiłam je na warsztacie, dla Granta. Na wszelki wypadek. Nigdy ich nie widział. Cały czas leżały w skrzyni, bo nie chciałam robić przedstawienia i być świadkiem reakcji Granta.

Kamienny dysk w tylnej kieszeni zrobił się ciepły. Poklepałam go. Po drodze do wyjścia zatrzymałam się przed lustrem.

Edik miał rację.

Rzeczywiście jestem podobna do matki.

W okolicach schroniska dla bezdomnych zawsze czeka jedna lub dwie taksówki. Pojechałam z powrotem do dzielnicy uniwersyteckiej po swojego mustanga. Nadal było wcześnie i Seattle buzowało. Pogoda dopisywała, więc ludzie kręcili się w sporych grupkach. Mieli na sobie krótkie spodenki i T-shirty. Nosili też dziwaczne niezgrabne sandały, teraz modne w tej części Ameryki. Było tylko z dziesięć stopni, ale porozbierali się tak, jakby panowało upalne, arizońskie lato. Wyglądniałe słońca biedaki.

Mustang stał tam, gdzie go zostawiłam. W radiu leciała Bohemian Rhapsody. Podkreśliłam dźwięk, otworzyłam okno i z przyjemnością zaciągnęłam się świeżym powietrzem o słonawym zapachu. Chłopcy spali głęboko, śnili o mnie i o innych kobietach, które już dawno odeszły. Moja jedyna obietnica nieśmiertelności zaklęta w krwi - wspomnienia.

Galeria była otwarta. Na ścianach ani śladu krwi. W środku tylko jedna osoba - młoda, ładna blondynka w dzinsach i zwiewnej bluzce. Siedziała przy niedużym biurku. Gdy weszłam, wstała.

- Sarai i Jack czekają na mnie - powiedziałam.

- Och, tak. Proszę iść na górę.

Zatrzymałam się przed obrazem przedstawiającym jednoroźca podczas bitwy. Nie zauważyłam żadnej sygnatury z nazwiskiem ani datą.

- Sarai to namalowała, prawda? Kobieta kiwnęła głową.

- Niestety, ten obraz nie jest na sprzedaż. Zresztą żaden nie jest.

- Ona tutaj tylko wystawia swoje dzieła? - Nie mogłam oderwać wzroku od malowidła. - Dziwne, że nie stała się sławna.

- Czymże jest sława dla jednoroźca? - zapytała Sarai, która właśnie weszła przez boczne drzwi. Twarz okalały jej dwa grube siwe warkocze, skóra promieniała od środka. Od niej też trudno było oderwać wzrok. Zerknęła na młodą kobietę. - Linn, weź sobie na resztę dnia wolne. Dziś zamkniemy wcześniej.

Zero dyskusji, ani szczypty wahania. Blondynka uśmiechnęła się do mnie, złapała torebkę i prawie wybiegła. Sarai zamknęła drzwi od środka. W pomieszczeniu zrobiło się cicho.

- Dziękuję za przyjęcie - odezwała się po chwili. -1 za wyrozumiałość.

- Jeszcze mi nie dziękuj. Sprawy wymykają się spod kontroli. Natknęłam się dzisiaj na stworzenie... nieludzkie stworzenie... które zna ciebie i Jacka. Podobno jesteście starymi znajomymi.

W zwykłych okolicznościach takie stwierdzenie skierowane do obcej osoby byłoby zapewne równoznaczne z zadeklarowaniem własnego szaleństwa, lecz Sarai pogrążyła się w zamyśleniu. Milczała. Nie miałam pojęcia, o czym myśli. Lekko odwróciła głowę i wyjrzała przez okno galerii na ulicę. Niedaleko znajdowało się targowisko Pike Place Market. Widziałam cegłę i doniczki. Błękitne niebo.

Promienie słoneczne kładły się białymi pasmami na czystej drewnianej podłodze. Obejrzałam się za siebie i napotkałam spojrzenie jednoroźca pośród morskich fal, próbującego wyjść na brzeg, naprzeciw kulom i krwi.

Czekałam, aż Sarai coś powie. Cokolwiek. Ale ona nadal milczała. Dałam więc sobie chwilę, żeby zebrać myśli i się uspokoić. Sarai wydawała się nieprzenikniona, ale w jej spojrzeniu i w ruchach kryło się dość stali, by pozbyć się ostatnich wątpliwości, że należy ją obserwować. Przypominała sokoła.

- Masz talent - stwierdziłam. Ukrywasz coś, pomyślałam.

- Jestem cierpliwa - odparła. - Przez całe lata szlifowałam swoje umiejętności.

- Dlaczego jednoroźce? - zapytałam. Skąd mnie znasz, pomyślałam.

- Uważasz, że to dziecinne?

- Nie, gdy są przedstawione tak jak na twoich obrazach.

- To dobrze. Chodźmy poszukać Jacka. W porównaniu z zalaną słońcem galerią biuro Jacka było jak jaskinia górskiego pustelnika, intelektualnego zbieracza, który gromadzi słowa, papiery i książki, jakby przygotowywał się do długotrwałego głodu podczas niekończącej się, koszmarnej zimy. Bardzo mi się to podobało. Mój umysł i duch znalazły tu przytulne schronienie. Byłbym doskonałym pustelnikiem.

Jack siedział w przejściu na niebezpiecznie chwiejącym się stołku, zdecydowanie za małym dla mężczyzny jego postury. Nogami opierał się o stertę książek. Na kolanach miał otwarte tomy. W ręce trzymał książkę. Gdy weszliśmy, podniósł wzrok. Uśmiechnął się do nas. Mimo licznych nękających mnie pytań - i strachu - poczułam ukłucie radości na jego widok.

- Dzień dobry, moja droga - przywitał mnie ciepło.

- Witaj. Choć ten dzień nie zaczął się zbyt dobrze. Powtórzyłam mu to, co wcześniej powiedziałam Sarai, tylko z większą ilością szczegółów. Nie byłam do końca pewna, ile mogę im wyjawić. Miałam jednak złe przeczucie. Podpowiadało mi, że Jack Meddle i Sarai Soars wiedzą więcej na temat nadprzyrodzonych mocy niż ja.

Stonowana reakcja Jacka tylko potwierdziła to przypuszczenie. Przeszył mnie nieoczekiwany skurcz. Moja fantazja właśnie rozsypywała się na kawałki. Wybrałam się na poszukiwania dziadka, archeologa, zwykłego

człowieka z zamiłowaniem do bałaganu, książek i grzebania w ziemi. A zamiast tego trafiłam na... coś dużo bardziej skomplikowanego. I może niezbyt miłego.

Jack zamknął książkę i odłożył na stół. Na podłodze, przy jego stopie, stała filiżanka herbaty. Napił się wolno, zapatrzony w dal.

- Milczenie jest przeceniane - powiedziałam w końcu, gdy całkiem dosłownie odliczyłam w myślach do stu.
- Milczenie jest normalne - odparowała Sarai. - Zwłaszcza gdy się nad czymś myśli.

Spojrzałam na nią.

- To myślcie szybciej. A jeszcze lepiej, po prostu powiedzcie mi prawdę. Nad czym tak rozmyślacie?
- Zupełnie jak Jeannie - westchnął Jack. - Tęsknię za

nią.

- Za nimi wszystkimi tęsknisz - mruknęła Sarai, lecz zanim zdążyłam ją o to zapytać, dodała szybko: - Maxine, przyjrzałaś się prezentowi od matki? Rozumiesz już jego znaczenie?

Nie wierzyłam własnym uszom.

- Obserwuje was demon. Chyba zdajecie sobie sprawę, co to znaczy? Bardzo prawdopodobne, że się zasada, żeby was zabić. A wy się martwicie jakimś kamieniem?

Ze zmarszczonymi brwiami Sarai wyglądała jeszcze piękniej.

- Och, nie rozśmieszaj mnie.

Chętnie bym się z nią dalej kłóciła, ale miałam przecucie, że i tak wygra. Wyciągnęłam kamienny dysk z tylnej kieszeni i ostrożnie położyłam go sobie na dłoni.

- Labirynt. Wojownik zamknięty w labiryncie. Wiara.

- Wiara - wtrącił się Jack. - Wiara to kamień węgielny wszystkich wielkich przedsięwzięć.

- Wiara to ważna rzecz - przyznałam. - Ale najważniejsza jest prawda. Błagam, o co tu chodzi? Czemu szuka was demon? Czemu Badelt szukał mnie?

- Te pytania mogą poczekać - oznajmiła stanowczo Sarai. - Twoja matka miała szczególne powody, by zostawić ci prezent. Nie powinnaś tego ignorować.

Wkurzała mnie jej zgryźliwa arogancja, jakby uważała, że mam pięć lat i stanę na uszach, żeby dostać lizaka. Nachyliłam się do Sarai, naruszając jej przestrzeń osobistą.

- Mojej matki tu nie ma. Moja matka nie żyje. Właśnie widziałam, jak skopano dzieciaka. Chłopaka, który znał Badelta. Więc nie mów mi, co może, a co nie może poczekać. Bo teraz inni ludzie obrywają. Ten chłopak? Ostrzeżono go, żeby się ze mną nie zadawał.

Jack pomasaował sobie nos u nasady.

- Jest w szpitalu?

- Ktoś go pilnuje. Nie zmieniaj tematu.

- Jak byśmy mogli? - zapytała z goryczą Sarai. - Nachodzisz nas. Nie mamy dokąd uciec.

Chętnie złapałabym ją za te warkocze i zakreśliła ją dokoła.

- Kim jesteście?

Jack posłał Sarai przeciągłe spojrzenie.

- Przyjaciółmi twojej rodziny, moja droga. Zaufanymi przyjaciółmi.

- Zaufanie - podchwyciłam. - Zabawne słowo, co?

- Taka prawda. Musisz nam uwierzyć. Chciałam. Pragnęłam uwierzyć w mnóstwo rzeczy.

- Powiedzieć wam w co wierzę? Wierzę, że wiedzieliście, gdzie jestem. Zanim ja was wczoraj odnalazłam, mogliście do mnie przyjść w dowolnej chwili i się przywitać. Ale tego nie zrobiliście. Ze strachu. Tak się czegoś baliście, że Sarai wynajęła Badelta. To od niej usłyszałam, jak się nazywam. Poprosiła, żeby mnie znalazł. I dlatego zginął. Został zastrzelony. I po co to wszystko? - W gardle rósł mi gniew, kumulowała się fala koszmarnej, dławiącej wściekłości. - Tamtej nocy zjawił się w alejce. Rozmawiał z bezdomnymi. Prawdopodobnie liczył na to, że znajdzie kogoś, kto spędził trochę czasu w schronisku. Kogoś, kto mnie zna. - Pokazałam palcem na Sarai. - A przecież ty dobrze wiedziałaś, kim jestem i gdzie jestem. Po co więc nasłalaś Badelta?

Zapadła martwa cisza. Przeszywająca, niezdrowa cisza. Przerwał ją Jack.

- A nie mówiłem? Zupełnie jak Jeannie - stwierdził refleksyjnie.

- To sobie wytatuuj jej imię na klatce - warknęła Sarai. - A co do ciebie, Maxine... - Zaciśnęła dłonie w pięści, jakby chciała w coś uderzyć, może we mnie. Kostki drobnych dłoni zrobiły się takie białe, że bałam się, że zaraz pękną. - Owszem, znaliśmy twój adres. Ale nie wiedzieliśmy, na kogo wyrosłaś. Musieliśmy się tego dowiedzieć. To istotne. Poleciłam Brianowi, żeby się rozpytał, zebrał plotki, na tyle dyskretnie, by nikt się niczego nie domyślił. Miał wniknąć w twoje kręgi i poznać prawdę o tobie.

Patrzyłam na nią z niedowierzaniem.

- Mogliście po prostu sami do mnie przyjść i się przedstawić. Nie jestem znowu taka delikatna.

Jack napił się herbaty. Ręka mu się trzęsła i w efekcie rozlał ciemny płyn.

- Obiecaliśmy twojej matce, że nie będziemy się kontaktować. Chyba że sama nas znajdziesz. Co... zamierzaliśmy zorganizować. A śmierć Briana tylko... to przyspieszyła.

Sarai odwróciła wzrok.

- Śmierć Briana to wiadomość dla mnie. Żebym trzymała się od ciebie z daleka. Albo może, jak w przypadku chłopaka, kara dla nas wszystkich.

Wpatrywałam się w jej twarz. Zniknęła z niej nawet ta odrobina emocji, jaką dostrzegłam wczoraj wieczorem. Można by pomyśleć, że mówi o śmierci nieznanego, a nie byłego męża.

- Zabił go demon - wyjaśniłam. - Demoniczny pasożyt w ludzkiej skórze. Na pewno. Co... wcale was nie dziwi. Nic was nie dziwi.

- Znam metody Krwawej Mamuśki - mruknęła Sarai, totalnie mnie zaskakując. - Troszczy się tylko o siebie. Jest gotowa poświęcić nawet własne dzieci. Zabicie jednego człowieka to dla niej drobiazg. Nie zaprzęta sobie tym głowy.

Musiałam usiąść. Mało brakowało, a straciłabym stertę książek. Niepewnie przysiadłam na krawędzi stołu i zwiesiłam głowę. Kamienny dysk w moich dłoniach zrobił się ciepły. Spojrzałam na koncentryczne linie: jedna jedyna właściwa ścieżka. Wytrzymać do końca. Krok po kroku. Zakręciło mi się w głowie. A może to przeszywający na wylot, lodowaty, narastający, przeraźliwy, ogłuszający strach. Całe życie byłam teoretycznie przygotowywana na chwilę, gdy rozpęta się prawdziwe piekło, a teraz potrafiłam tylko załamać ręce i powtarzać jak mantrę: „nie wiem, co zrobić”. Nie miałam zielonego pojęcia.

Skup się. Powoli. Krok po kroku. Dasz radę. Skoncentruj się na ostatecznym celu. Cokolwiek to jest. Masz ogromny wybór.

Wszystko po kolei. Najpierw Krwawa Mamuśka. Stara królowa demonów nie robi nic bez powodu. Skrajnie wyrachowana istota. Uwielbia swoje machinacje. Znużona, mała królowa. Chciała mi przeszkodzić w spotkaniu z Jackiem i Sarai. Przyjaciółmi rodziny.

- Wiecie coś, czego ja nie powinnam się dowiedzieć? - zapytałam wolno.

Jack przesunął się odrobinę i kolanami prawie zrzucił książki.

- Wiemy rzeczy, których twoja matka nie mogła ci powiedzieć. I o których, miała nadzieję, nigdy nie będziesz się musiała dowiedzieć.

Kostki dłoni Sarai nadal połyskiwały bielą.

- Bała się o ciebie. O to, co się może stać, jeśli zasłona się rozsunie.

Pomyślałam o brakujących stronach z jej dziennika.

- Rozsunęła się wczoraj w nocy. Spotkałam to, co stamtąd wyszło. Demona. Mówiłam o nim. On was zna.

Starszy pan zachwiał się do przodu na taborecie. Książki spadły mu z kolan.

- Opowiedz więcej.

Nie mogłam spojrzeć mu w twarz. To za bardzo bolało. Chciałam, by ten człowiek okazał się moim dziadkiem. Wiedział, gdzie mieszkam. A jednak mnie nie odszukał. Miał przede mną tajemnice.

Moja matka miała tajemnice.

- Ona... to... wyglądało jak młodsza wersja mnie. Nawet było tak samo ubrane. Gdy próbowałam to powstrzymać, rozwiało się jak dym. - Popatrzyłam Jackowi prosto w oczy. - Ale ty zdawałeś sobie z tego sprawę wczoraj wieczorem, prawda? Wiesz, co się tu zjawiało.

Zarumienił się. Znowu rozlał herbatę. Nie zdołałam się powstrzymać, wyciągnęłam rękę i wzięłam od niego filiżankę. Wydawało się, że gwałtownie wstrzymał oddech, gdy nasze dłonie się musnęły. Na jego twarzy odmalował się taki ból, że zapragnęłam rzucić mu się do stóp i błagać, by powiedział, czy jest moim dziadkiem.

Wbił sobie palce w kolana.

- Miałem pewne podejrzenia - wymamrotał. - To nie pierwszy taki gość, jaki do nas zawitał, ale temu towarzyszyło... specjalne wrażenie. Jakby coś znajomego.

- Czyli znasz demona, który przeszedł przez zasłonę, tak? - Odstawiłam herbatę, bo bałam się, że tym razem mnie zaczną się trząść ręce. - Więzienie zbudowano prawie dziesięć tysięcy lat temu.

- Wcześniej - wtrąciła się Sarai, ale Jack ją uciszył.

- Dziesięć tysięcy lat - powtórzyłam z naciskiem. - Skoro więc jesteście starymi znajomymi, to przez ostatnich sześćdziesiąt lat ten demon musiał wyskakiwać stamtąd, kiedy mu tylko przyszła na to ochota...

- Chyba że my też... jesteśmy starsi - zasugerował słabym głosem Jack.

Cholera. Pociągnęłam łyk jego gorącej herbaty. Potem wypiłam całą filiżankę jednym haustem. Zakrztusiłam się i zaczęłam kaszleć, a z oczu popłynęły mi łzy. Jack niepewnie wyciągnął rękę, jakby zamierzał poklepać mnie w kolano, ale się powstrzymał.

Sarai robiła wrażenie lekko zniesmaczonej.

- Nie mamy teraz na to czasu, Stary Wilku. Przecież dobrze wiesz, czego chce ten mały skórnik.

- Dla mnie najważniejsza jest Maxine - odparł ostro. Spojrzał na mój policzek. Rozpuszczone włosy zakrywały mi wytatuowaną skórę poniżej ucha, ale wyobraziłam sobie, że i tak wszystko widzi. - Zresztą zjawiał się ktoś jeszcze.

Chrzęst szkła. Zerknęłam w dół i zobaczyłam w swoich dłoniach zmiażdżoną filiżankę. Wolno wypuściłam powietrze z płuc. Jack podniósł się i stanął nade mną.

- Idź po ścierkę, dobrze? - zwrócił się do Sarai.

Zacisnęła zęby, ale posłusznie podreptała do kuchni wąskim przejściem między stertami książek. Gdy tylko zniknęła nam z oczu, Jack nachylił się nade mną.

- Naprawdę jesteśmy przyjaciółmi - wyszeptał. - Czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie. Twoja matka powierzyła nam twoją pomyślność.

- Powinna mi o tym powiedzieć.

- Miała powody, żeby zachować tajemnicę. Dobre powody.

- Ico?

- I nic. - Odwrócił wzrok. Nadal był czerwony na twarzy. - Nad pewnymi rzeczami nie mam kontroli.

- Ten demon, który przyszedł zza zasłony, nazwał cię przyjacielem. Możesz to wyjaśnić?

- Mały skórnik - mruknął ponuro Jack, wymawiając każde słowo z zimną, ostrą odrazą. - To nie żaden nasz przyjaciel. Ani demon. A w każdym razie nie taki, z jakimi siedział w więzieniu. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że ona jeszcze żyje. Myślałem, że dawno zginęła.

Wbiłam w niego wzrok.

- To ma być odpowiedź na moje pytania?

Wróciła Sarai. Odłożyłam kamienny dysk, by złapać ścierkę, którą mi rzuciła. Zebrałam odłamki szkła. Gdy je zwijałam, Jack delikatnie odsunął mi włosy. To mnie zszokowało. Odsłonił mi twarz poniżej ucha.

- Sprytnie - mruknął i wstał, by Sarai też zobaczyła. - Dowód został zakamuflowany, ale wczoraj widziałem to na własne oczy. On ją naznaczył.

- Oturu - dodałam.

Sarai się zachwiała i podniosła wzrok na Jacka. W tym przelotnym spojrzeniu kryło się tak dużo znaczeń, że poczułam się jak intruz.

- A więc... znowu przyszła pora - powiedziała.

- Znowu - powtórzył ostrożnie. - Być może.

- Została naznaczona. To pewne.

- Miałem na myśli interpretację. Nic nigdy nie jest takie, jakim się wydaje.

Próbowałam zapanować nad zimnym dreszczem.

- O czym wy mówicie?

- O wszystkim. - Jack westchnął ciężko i postukał leżącą obok niego książkę; tę samą, do której zajrzałam poprzedniego wieczoru. - Spełnia się dawny układ. A to zawsze zbiega się z osłabieniem zasłony. Co pewnie wyjaśnia, dlaczego w starożytności postrzegano to jako zapowiedź mrocznych wydarzeń. Wojen, zarazy, głodu.

- To... - Uniosłam brwi.

- Łów - wyjaśnił Jack. - Dziki Łów.

Co za bzdury. Głowa mnie rozbolała. Zerknęłam na książkę.

- To tylko jakaś historia. Mit.

- A skąd się biorą mity, które są tak głęboko zakorzenione? One się nie pojawiają znikąd, za sprawą magii. Mają gdzieś swoje początki. - Jego głos przeszedł w szept, a oczy zapatrzyły się w dal. - Zawsze.

- A Oturu?

Sarai wydała z siebie cichy dźwięk.

- To prawa ręka Łowu. A ręka... służy sercu.

Przyglądałam się to jednemu, to drugiemu. Walczyłam z pragnieniem, by się cofnąć, znaleźć się dalej od nich.

- Skąd to wiecie? Nie od mojej babci i matki.

- Myślałaś, że tylko ty wiesz o demonach? - Sarai spojrzała na mnie ze zmarszczonym czołem, a w jej głosie zabrzmiała szczypta lekceważenia. - Albo o zasłonie?

- Przestań. - Jack machnął na nią ręką. - Obchodź się z nią łagodnie. Wcale jej tego nie ułatwiamy.

- Więc mi ułatwcie. Jestem tutaj. Odnalazłam was. Co takiego ukrywała moja matka? O czym bała mi się powiedzieć?

- Tego, moja droga, nie możemy ci zdradzić.

Nie chciałam przeklinać w obecności starszych i - być może - krewnych, co ograniczyło moje możliwości reakcji. Wściekałam się więc w milczeniu.

- To jej decyzja, Maxine - podjęła Sarai. - Uznała, że słowa tego nie oddadzą. Chciała, żebyś to zobaczyła.

- Zobaczyła co?

- Siebie - szepnęła. - Po prostu siebie.

- Kim tak naprawdę jesteś - dodał Jack. - Pod skórą. Przycisnęłam sobie pięści do czoła. Starłam się zapanować nad głosem.

- A co ty masz pod skórą, panie Meddle?

Jack zamarł. Na moment zobaczyłam w jego niebieskich oczach coś wiekowego, tak starego, zmęczonego i stwardniałego, że musiałam odwrócić wzrok. Gdy kilka sekund później znowu spojrzałam mu w oczy, nie było już nic, czego mogłabym się bać - tylko inteligentne, przyjazne spojrzenie starego człowieka.

- Tropicielko, żadne z nas nie jest tym, czym się wydaje - powiedziała cicho Sarai. - Jesteśmy tylko odbiciami.

- Mówicie zagadkami.

- Czasem nie da się inaczej wyrazić prawdy.

- A ten... skórnik? A Krwawa Mamuśka?

- To też zagadki - wyjaśniła Sarai. - Kolejni uczestnicy gry.

Przeszył mnie zimny dreszcz.

- Nie jesteście demonami. Ale ludźmi też nie, prawda?

Sarai nie odpowiedziała. Zee szarpnął mi się na brzuchu. Wszyscy chłopcy nagle zaczęli się wiercić. To ostrzeżenie. Spojrzałam na otwarte drzwi. Nastawiłam uszu. Jack zaczął coś tłumaczyć. Podniosłam rękę, żeby go uciszyć.

Zrobiłam kilka kroków w stronę drzwi. Nic nie usłyszałam, ale chłopcy dygotali na moim ciele, spali niespokojnie. Cisza, której nasłuchiwałam, była ciężka i pełna wyczekiwania, przyczajona.

Coś się tam kryło.

Ogarnęło mnie przerażenie. Zimna pewność. Przypomniał mi się mały demon o moich rysach. Pomyślałam o Oturu. To było coś innego. Próbowałam sobie przypomnieć rozkład schodów. Prowadziły wyżej, ale tutaj, na pierwszym piętrze, to jedyne drzwi.

Szybko wróciłam wąską ścieżką między książkami do Jacka i Sarai. Machnęłam do nich ręką.

- Ruszajcie się, szybko. Jest tu inne wyjście? Jack pokręcił głową. Szturchnęłam Sarai w ramię. Zawahała się.

- Brian dał mi pistolet - powiedziała. - Mam go na górze.

Nie było czasu. Przeszli kawałek, po czym się odwrócili. Spojrzeli na mnie, potem na coś za moimi plecami. Ja też się odwróciłam. I zostałam postrzelona w pierś.

Rozdział 11

Moją matkę zastrzelono. Wtedy przestałam nosić przy sobie broń. Od pięciu lat nie miałam w ręce pistoletu.

Błyskawiczny atak. Do zagraconego pomieszczenia wpadli mężczyzna i kobieta. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że ledwie zdążyłam to zarejestrować. Zobaczyłam jasne włosy. Wiatrówki i dzinsy. Znajome, rumiane twarze.

Cudowne Bliźnięta Edika. Długie ramię Krwawej Mamuśki. To bez sensu.

Stery książek i papierzyśk nie spowolniły ich palców na spustach. Zaczęli strzelać, gdy tylko znaleźli się w polu widzenia. To precyzyjnie wymierzone strzały, wyciszone tłumikami. Mnie dostało się w pierwszej rundzie - poczułam uderzenie, ale nie ból. Cudowne Bliźnięta jakoś nie przejęły się tym, że nadal stoję. Ich spojrzenia, przenikliwe, mocno skupione, w ogóle się nie zmieniły.

Kule odskakiwały od mojego ciała. Jedna uderzyła napastniczkę w ramię, ale ta tylko lekko się zachwiała. Nadal mierzyła we mnie. Gdy skończyły jej się naboje, sięgnęła pod kurtkę po drugi pistolet. Zasypała mnie metalem.

Dopiero po jakichś pięciu sekundach dotarło do mnie, że to nie ja jestem ich głównym celem. Po pięciu sekundach deszczu kul. Po pięciu sekundach wzięłam się w garść i sięgnęłam pod płaszcz po noże.

Matka nauczyła mnie, jak ich używać. Codziennie ze sobą walczyłyśmy, choć dorastałam jej zaledwie do kolan. Minęło jednak pięć lat bez walki i wszystko szlag trafił. Poszłam na łatwiznę. Zostawiłam czarną robotę chłopcom. Wystarczył jeden kiepski dzień, by to do mnie dotarło z całą jasnością.

Idiotka. Ale ze mnie cholerna idiotka.

Rzuciłam nożami. Precyzyjniej celowałam prawą ręką. Ostrze musnęło kobietę w dłoń, w której trzymała pistolet. Wypuściła broń. Cisnęłam nożem lewą ręką. Mężczyzna dostał w górną część uda. Zanim do niego dotarłam, wystrzelił raz jeszcze. Kula trafiła mnie w obojczyk. Zdzieliłam go pięścią w twarz. Zwalił się ciężko na ziemię i nie wstał.

Kobieta już trzymała drugi pistolet. Wpadłam na nią z impetem. Poleciałyśmy na stertę książek. Tarzałyśmy się po podłodze. Uderzyła mnie. Pozwoliłam jej na to; miotacz ognia i broń przeciwpancerna nie zdałyby się na nic więcej. Chłopcy absorbowali każde uderzenie.

W końcu przyduśiłam ją do podłogi. Dookoła nas fruwały książki i papiery. Próbowała mnie z siebie zrzucić, ale wbiłam palce w jej pachę. Trafiłam na nerw. Zaczęła krzyczeć z bólu. Chłopcy zamruczeli przez sen.

Rozejrzałam się za Jackiem i Sarai. Jego nigdzie nie widziałam. Ani śladu po nim, ale może chował się gdzieś pod stołem.

Sarai leżała na ziemi pośród książek. Nogi drgające w skurczach. Kałuża krwi.

Zmrużyłam oczy. Serce łomotało mi w gardle. Napastniczka znowu zaczęła pode mną wierzgać. Rąbnęłam ją z taką siłą, że rozległ się chrzęst kości, a w policzku zostało wgłębienie wielkości mojej pięści. Z nosa trysnęła krew. Kobieta zemdląła. Sprawdziłam jej puls. Żyła.

Gramoląc się, wstałam i podeszłam do Sarai. Opadłam przy niej na kolana. Oddychała, jej powieki trzepotały. Przypomniała mi się matka i ogarnęły mnie mdłości.

- Sarai - szepnęłam, sięgając do kieszeni po telefon. - Sarai, trzymaj się.

Złapała mnie za nadgarstek. Nie wiem jakim cudem. Ledwie oddychała, ale uścisk nadal miała mocny.

- Nie dzwoń nigdzie.

- Umrzesz.

- Tak. - Zaśmiała się krótko, z bólem. - Jeszcze jeden raz mnie nie zabije.

Zagryzłam zęby, nadal szarpiąc się z komórką.

- Posłuchaj, Tropicielko - wyszeptala Sarai. - Tropicielko. Pierwsza Tropicielko. Jesteś jak Atena i Inana, jak Kali i Badb. Jak królowe krwi i miecza. Królowe wojny, narodzone na nowo. - Drobne palce zacisnęły się mocniej. - Narodziłaś się na nowo.

Przeszył mnie zimny dreszcz.

- Sarai. Puść mnie. Potrzebujesz pomocy.

- To ty potrzebujesz pomocy - wydyszała, a na jej wargach pojawiła się krew. - Wzbudzasz strach, Tropicielko. Tak powinno być. Nie bez powodu. Nadszedł czas. Zasłona się wali.

Czekałam, czy powie coś jeszcze, ale ona szarpnięciem odwróciła głowę, jakby coś usłyszała. Podniosłam wzrok. Napastnicy ciągle leżeli nieprzytomni. Byłyśmy same. Jacka nadal nigdzie nie widziałam. Czulałam się jak dzieciak występujący w horrorze, uwięziony w sennym koszmarze.

- Sarai, proszę...

- Proszę - powtórzyła słabym głosem i jej twarz się wykrzywiła. - Och, Brian... tak bardzo cię przepraszam.

Nie rozluźniła uścisku. Próbowałam sięgnąć do kieszeni drugą ręką, ale Sarai mnie do siebie przyciągnęła.

Szarpnęła tak mocno, że prawie na nią poleciałam. Zdołałam jednak zatrzymać się nad jej ciałem. Brakowało mi tchu, byłam zrozpaczona. Popatrzyłam jej prosto w oczy. Oczy bez końca. Ta sama pradawna siła, która mignęła mi w spojrzeniu Jacka, tylko jeszcze głębsza, potężniejsza. Nieubłagana.

- Jesteś dobrym człowiekiem - szepnęła szorstko i zadygotała. - Twoja matka chciała, żebyś pozostała dobrym człowiekiem. Tylko dlatego to zrobiła. To jedyny powód.

Puściła moje ramię, ale nadal się we mnie wpatrywała. Jej oczy niemal natychmiast zaszły mgłą, a ciało zrobiło się wiotkie. Krew pociekła z kącika ust. Sarai wydała z siebie cichy dźwięk, ostatnie westchnienie. Nachyliłam się nad nią ze łzami.

- Labirynt - wymamrotała.

- Sarai - szepnęłam, ale już za późno.

Umarła.

Siedziałam tam nadal, gdy usłyszałam wycie syren. Minęła może minuta, a może dziesięć minut. Miałam dobry słuch. Syreny były jeszcze daleko. Zerknęłam przez ramię. Cudowne Bliźnięta leżały rozciągnięte na podłodze, przysypane książkami, krwawiące i połamane. Podeszłam do nich. Pod podeszwami chrzęściły mi łuski po kulach.

W pokoju panował chłód. Nachyliłam się i wyrwałam nóż z uda napastnika. Mężczyzna jęknął tylko, ale się nie ruszył. Drugi nóż podniosłam z podłogi. Oba wsunęłam do pochwy.

Zrobiło się zimniej. Lodowato. Nie czułam tego na skórze, ale powietrze, które wciągałam do płuc, miało arktycz-ny posmak. Z ust wypływały mi delikatne, białe chmurki. Pograżeni we śnie chłopcy wiercili się niespokojnie.

Przeszłam koło ciała Sarai i zawołałam Jacka. Zajrzałam do przylegającego pomieszczenia. Niezaścielone łóżko, mała łazienka. Ani śladu po Jacku. Bałam się o niego. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że mam towarzystwo.

Dziewczynka. Mała wersja mnie. Nadal w dżinsach i czerwonych kowbojkach, z ciemnymi włosami za ramiona. Przykłęknęła przy głowie Sarai. Palcem stuknęła ją w środek czoła.

- Jednorożec stracił róg - mruknęła.

- Zostaw ją.

- To tylko skóra, Tropicielko. Nie można jej zrobić krzywdy.

Dziewczynka wbiła palec wskazujący w czaszkę Sarai, dokładnie na środku czoła. Rozległ się trzask pękającej kości. Palec wszedł głębiej, na całą długość. Krzyknęłam i rzuciłam się w jej stronę, ale przeszkodziły mi książki. Runęłam na ziemię. Na czworakach przedzierałam się dalej, ale dziewczynka już wyciągnęła palec. Pokryty szarą mazią. Wbiła w niego wzrok i zmarszczyła brwi. Jakby ze szczątków Sarai dało się coś wyczytać.

Nic mnie to nie obchodziło. Złapałam nóż i z całych sił rzuciłam nim w dziewczynkę. Ostrze przeleciało przez jej tors i z hukiem uderzyło w ścianę. Znamię Oturu pod uchem zaczęło mnie palić.

- Nie możesz mnie zabić - oznajmiła mimochodem dziewczynka. - Nawet demony w więzieniu nie dały rady zrobić mi krzywdy. Chociaż próbowały.

Przykucnęłam. Było mi niedobrze.

- W takim razie czym ty jesteś?

W końcu podniosła na mnie wzrok. Nigdy wcześniej nie spojrzałam jej prosto w oczy. Czarne jak u rekina, czarne jak u lalki, czarne jak nafta tryskająca ze skały, śliska i gorąca. Ponadwiekowa inteligencja kryjąca się w tym spojrzeniu otulała mnie tak złowieszczymi wyziewami, że prawie straciłam zdolność jasnego myślenia.

- Awatarem - wyszeptala. - Jestem tym, co tkwi pod skórą.

Znowu usłyszałam zawrozczenie syren, tym razem głośniejsze. Nic zareagowałam na to, choć wiedziałam, że jadą tutaj. Już za moment może się zrobić gęsto od policji.

- A Sarai? I Jack?

Drobne usta stwardniały. Wytarła palce o pokrwawioną sukienkę Sarai.

- Są martwi. Będą martwi. Albo tutaj, albo w Labiryntcie.

Zerknęła na mężczyznę i kobietę leżących za jej plecami. Z wolna odzyskiwali przytomność. W jej prawej ręce mignął warkoczek.

- To nie powinno się wydarzyć - powiedziała cicho. - Ktoś się wtrąca.

Krwawa Mamuśka. Wstałam z wysiłkiem, starając się nie patrzeć na ziejącą dziurę na idealnej twarzy Sarai.

- Ona już nie żyje. Czego jeszcze chcesz?

- Odpowiedzi - rzuciła z roztargnieniem, zerkając w lewo i nasłuchując.

Podeszła do książek. Miała przed sobą prezent od mojej matki. Kamienny dysk, lśniący niczym gładka, ciemna perła.

Zerwałam się biegiem. Gdybym nie była odporna na urazy, połamałabym sobie kości, niemal na oślep przeskakując przez sterty książek, by dotrzeć do dysku przed dziewczynką. Potknęłam się i poleciałam do przodu, na nierówne góry tomów w skórze i płótnie.

Nie zdążyłam. Ona stała za blisko. Wzięła kamień i jej twarz stężała. Malowało się na niej tyle zła, że cały pokój - wypełniające go powietrze, książki i papierzyska - aż zadygotał z przerażenia. Mnie też przeszył dreszcz, proroczy trzepot zgrozy. Zee szarpnęła mi się na piersi tak mocno, aż się zatoczyłam.

Oczami wyobraźni zobaczyłam różne rzeczy: wypalone wspomnienia, błyski, uderzenia błyskawicy. Moją matkę, jak stoi na krawędzi Wielkiego Kanionu, ze słońcem palącym jej wytatuowaną skórę, jak skacze w przepaść z rozpostartymi jak skrzydła ramionami. Jak opada prosto w wilcze oczy. Jak stada wilków gonią ją w stronę złocisto-fioletowego zachodu słońca na tle koron drzew iglastych. A przed nią, na skale, opalony, silny i uśmiechnięty...

Jack.

Straciłam go. Wszystko straciłam. Poczułam ukłucie bólu. Zasłoniłam oczy dłonią. Tkwiłam na czworakach między książkami. Wyczułam jakiś ruch. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak dziewczynka wypuszcza z dłoni kamienny dysk, jakby ją parzył. Jej twarz była rozciągnięta w dziwnym grymasie, wykrzywiona jak odbicie w krzywym zwierciadle, nos i oczy zaciśnięte i ściągnięte tak mocno, że wyglądała jak cyklop. Odrzuciła głowę do tyłu, zadygotała, odwróciła się na pięcie i wbiła we mnie straszliwe spojrzenie.

- Skąd? - wydyszała. - Skąd to masz?

Warknęłam na nią. Zerwałam się na równe nogi. Jej rysy się wygładziły, ale tym razem nie przypominały moich. Teraz miała twarz innej kobiety, małej i ciemnej. Między wargami połyskiwały ostre zęby.

- Zabiję cię - wyszeptwała. - Mów.

Nie pamiętam, kiedy ściągnęłam sobie rękawiczki. Rozprostowałam rozgrzane palce. Chłopcy szaleli. Rzuciłam się na nią, tratując cenne książki. Wsadziłam ręce w jej bezcielesne ciało.

Chłopcy próbowali się w nią wczepić, ale tak jak poprzednio wyslizgnęła się bez trudu. To było zupełnie coś innego niż wsysanie się w pasożyta. Stała nad kobietą i mężczyzną, którzy dźwignęli się do pozycji siedzącej i się w nas wpatrywali. Nie mogłam jej powstrzymać.

A po chwili, tak po prostu, wszyscy zniknęli. Cudowne Bliźnięta i dziewczynka - demon lub nie. Zostałam sam na sam z martwą kobietą w pomieszczeniu pełnym książek i z zawodzącymi coraz bliżej policyjnymi syrenami.

Nie było czasu. Chwyciłam kamienny dysk z podłogi - zaskoczona jego temperaturą - i wsadziłam go sobie do kieszeni. Nóż, którym rzuciłam w dziewczynkę, leżał niedaleko. Podniosłam go, po czym przedarłam się przez książki, by przykleknąć przy Sarai. Musnęłam jej policzek wierzchem dłoni. Skórę nadal miała ciepłą. Powtarzałam sobie jednak, że to tylko powłoka, pusta w środku. Muszła. Sama skóra.

Tylko skóra. Coś mi zaświtało w głowie, ale zbyt rozbita, zbyt zrozpaczona, nie mogłam zebrać myśli. Przetarłam sobie ręką palące oczy. Żal pęczniał mi w gardle. Nie potrafiłam powiedzieć, dlaczego. Prawie nie znałam tej kobiety. Niewiele o niej wiedziałam. Zamknęłam oczy. Pod żebrami zatrzepotała mi ciemność.

- Zaufaj mi - wyszeptalam do zmarłej. - Ja się tym wszystkim zajmę.

Wybiegłam stamtąd, jakby mnie ktoś gonił. Na podeście jeszcze raz zawołałam Jacka, ale nikt nie odpowiedział. Przez ściany dochodził ryk syren. Za mało czasu, by opuścić budynek głównym wejściem. Odwróciłam się i pobiegłam schodami na górę. Dotarłam do pracowni. Czyste podłogi, puste ściany, duże okna. Pomieszczenie zalane słonecznym światłem. Starannie zaścienione łóżko w rogu i mała, niezagracona łazienka. Ani śladu Jacka.

Po lewej zobaczyłam stolik ze skrupulatnie rozłożonymi farbami i pędzlami i pojedyncze płótno, co najmniej metr na metr. Sarai pracowała nad obrazem. Całą powierzchnię pokrywała ciemna farba. Głęboka czerń z nutą niebieskiego. Otchłań albo bezgwiezdne niebo. Głodna ciemność. Przyszedł mi na myśl Oturu. Jego uśmiech. I szalejąca dziewczynka.

Sarai nie żyje. Została zastrzelona.

Muszę odszukać Jacka.

Radiowozy dojechały na miejsce. Ciekawe, kto zadzwonił po policję? Może to ukartowali? Już wcześniej łączyli mnie z Badeltem. Jeśli natkną się na mnie tutaj, na miejscu zbrodni, gdzie zginęła jego była żona, Suwanai i McCowan bardzo się ucieszą.

Podbiegłam do okna. Wychodziło na wąską uliczkę. Policja jeszcze tam nie dotarła. Wygramoliłam się na zewnątrz. Zamknęłam za sobą okno i zaczęłam się wspinać po drabince przeciwpożarowej. Była stara i przerdzewiała, zawiasy skrzypiały pod moim ciężarem. Aż mnie przeszył dreszcz.

Ale nikt nie zaczął krzyżeć. Nikt nie kazał mi się zatrzymać.

Wchodziłam coraz szybciej. Ostatni, wąski, może trzymetrowy fragment drabinki prowadził na dach. Rzuciłam się biegiem. Musiałam się jakoś dostać na dół. Na szczęście nie znalazłam się w pułapce. Stare budynki przy tej ulicy przylegały do siebie, miały dachy na tej samej wysokości. Pędziłam po wysypanej żwiru papie, rozpryskując kałuże. Gdy dotarłam do końca, usłyszałam jeszcze więcej syren. Wyjrzałam za krawędź dachu. Trzy wozy policyjne i jedna karetka. Spojrzałam uważnie na ulicę, rozglądając się za Jackiem, ale nigdzie go nie zobaczyłam. Wszędzie tylko gapie. Wśród nich nikogo, kto by mógł pracować dla Edika. Albo Krwawej Mamuśki.

Na dachu były drzwi prowadzące do budynku. Nie-zamknięte na klucz. Weszłam na klatkę schodową. Ciepłe

powietrze śmierdziało starymi tenisówkami. Niżej panowała cisza.

Zbiegłam po schodach tak szybko i ostrożnie, jak potrafiłam. Przypuszczałam, że to biurowiec. Za ścianami dzwoniły telefony, a prawie na samym dole dobiegł mnie głos: jakaś młoda, głupiotka dziewczyna nawijała na temat kogoś z jej klasy.

Lekko uchylłam drzwi z klatki schodowej i zobaczyłam ją w holu. Mały sklep ze słodyczami, a na lewo księgarnia New Age. Zaraz za nią znajdowały się przeszklone drzwi wychodzące na ulicę. Niewiele brakowało, a po prostu wypadłabym do holu, ale pomyślałam, że muszę strasznie wyglądać. Zapięłam płaszcz matki, żeby ukryć dziury w swetrze. Sprawdziłam dżinsy i zdjęłam rękawiczkę, by gołymi palcami dotknąć twarzy. Nie wyczułam na niej krwi.

Dziewczyna prawie na mnie nie spojrzała, gdy w końcu ją minęłam. Wypadłam na świeże powietrze, na słońce. Na końcu ulicy zobaczyłam policję i coraz większy tłum ciekawskich. Przy galerii trudno było znaleźć miejsce do parkowania, dlatego samochód zostawiłam na równoległej ulicy. Poszłam tam, starając się trzymać głowę wysoko i robić wrażenie zrelaksowanej. Udało mi się zachować tę pozę, aż dotarłam do mustanga, lecz gdy do niego wsiadłam i zatrzasnęłam drzwi, zaczęłam się trząść. Nie mogłam trafić kluczykiem do stacyjki. Siedziałam tak dziesięć minut, usiłując zapanować nad oddechem.

Cały czas stała mi przed oczami Sarai. Wspomnieniami wracałam do matki. Myślałam o zasłonach, demonach i nastoletnich chłopcach.

Wyciągnęłam komórkę i zadzwoniłam do Granta. Odpowiedział po trzecim dzwonku. Wydawał się spięty.

- Byron ma złamane dwa zębra i nos. I wstrząśnienie mózgu. Może są jeszcze jakieś inne wewnętrzne obrażenia, ale na razie nic więcej nie wiadomo. Niełatwo go przekonać, żeby siedział spokojnie. Śmiertelnie boi się policji i ludzi z opieki społecznej.

- Ktoś się już pokazał? Grant się zawahał.

- Panuję nad sytuacją.

Panuje nad sytuacją. To może znaczyć cokolwiek. Zebrałam myśli. Cuchnęłam krwią.

- Coś się wydarzyło. Sarai nie żyje. Jack gdzieś zniknął. Zostaliśmy zaatakowani. Strzelano do nas. Ludzie Edika. Obawiam się, że Byron może być ich kolejnym celem.

- A ty?

- Nic mi nie jest - wymamrotałam. Oczywiście wierutne kłamstwo. - Musicie być ostrożni. Postaram się dotrzeć do szpitala za niecałą godzinę. Jeśli się nie pojawię, zadzwoń do Suwanaia i McCowana. Powiedz im, że Byron był chyba świadkiem morderstwa Badelta i ktoś chce go zlikwidować. Może mu zapewnią ochronę.

- Ale to ich doprowadzi z powrotem do ciebie, Maxine. Zresztą Byron się na to nie zgodzi.

- To bez znaczenia. Rób, co należy. Ci ludzie działają szybko, Grant. To profesjonaliści.

- Maxine.

- Przyrzeknij.

Milczał twardo, bezkompromisowo.

- Grant, przyrzeknij - powtórzyłam. W tle usłyszałam czyjś głos.

- Panie Cooperon - odezwała się jakaś kobieta. Zesztywniałam. Przeszyło mnie straszliwe, koszarne przerażenie.

- Przenoszą go gdzieś - rzucił Grant. - Muszę kończyć.

- Grant...

- Zrobię, co trzeba - przerwał mi ściszym głosem. - Kocham cię. - Odłożył słuchawkę.

Wbiłam wzrok w komórkę i dopiero po chwili wsadziłam ją z powrotem do kieszeni płaszcza. Zastanawiałam się, czy pojechać do szpitala od razu, w tym momencie, I ale dłonie zacisnęły mi się mocno na kierownicy, aż kostki i zbieleły, i ruszyłam w przeciwnym kierunku. Miałam coś 1 do załatwienia. Jeszcze jedną rzecz.

Zaparkowałam w podziemiach targowiska Pike Place Market. Śmierdziało tu rybami. Zatoka Elliott znajdowała się niedaleko stąd. Jej wody lśniły, jakby na falach unosiły j się diamenty. Chłopcy zaczęli się kręcić przez sen.

Poszłam podwieszonym mostkiem nad Western Avenue aż do głównego pasażu Pike Place. Na targowisku panował mrok. Był to chaotyczny labirynt z kremowymi ścianami i spękaną podłogą, którą w kątach pokrywała warstwa śmieci. Mieszały się tu różne zapachy. W uszach aż mi szumiało od ludzkich głosów, warkotu samochodów, raz po raz terkotania wrotek. Towarzyszył temu szum, miękkie, nieziemskie pulsowanie.

Nie lubiłam przychodzić na Pike Place Market. Łączyło się z nim tylko jedno dobre wspomnienie - tu spotkałam Granta i uratowałam mu życie. Ale poza tym wszystko inne wyprowadzało mnie z równowagi. Cienka zasłona na linii ziemi i morza, gdzie gromadziło się tak wielu ludzi. Słabe ściany więzienia, niemal przezroczyste. Słyszałam dźwięki innego oceanu, ciemnego i czerwonego jak krew. Oceanu krwi. Oczami wyobraźni prawie widziałam dzieci

Krwawej Mamuśki - zbierają się przy krawędzi tej ściany i szpiegują ludzi, którzy chodzą po tych krętych korytarzach. Rozglądają się za duszami, za kimś podatnym. Niektóre, wiedzione silną pokusą, przeciskały się przez pęknięcia w zasłonie i szukały sobie żywiciela.

Czułam na sobie te oczy. Czułam je przez zasłonę. A głębiej wyczuwałam samą Krwawą Mamuśkę - jak rodzi, produkuje nowe dzieci i słucha, jak się domagają pokarmu.

Kręciłam się bez celu. Czekałam na wiadomość zza zasłony. Szłam głównym pasażem, mijałam rękodzielników sprzedających biżuterię własnej roboty i wyroby ze skóry; stoiska z mydłami, dżemami, T-shirtami. Zapach kwiatów. Klaksony samochodów. Wszędzie mnóstwo ludzi: matki z dziećmi, roześmiani turyści z kawą w jednej ręce i aparatem fotograficznym w drugiej.

Czułam się naga, obnażona. Cały czas bałam się, że ktoś spojrzy mi w twarz i wskaże krew albo rany po kulach. Jakby śmierć była zaraźliwa. Jakby doświadczenie brutalnej przemocy utworzyło filtr na moich oczach i teraz, gdziekolwiek spojrzę, widziałam Sarai, nieruchomą, z koszmarną dziurą w czole.

„Twoja matka chciała, żebyś pozostała dobrym człowiekiem. Tylko dlatego to zrobiła”.

Jej ostatnie słowa. Powtarzałam je szeptem w myślach. W efekcie w mojej głowie pojawiało się jeszcze więcej pytań. Po pierwsze, dlaczego musiał zginąć ktoś pozornie nieszkodliwy.

Wyjęłam z kieszeni kamienny dysk, mały labirynt. Nic się nie zmienił, ale przypomniła mi się wizja matki. I Jacka.

To nie był wytwór wyobraźni. Nie moje wspomnienia, lecz kogoś innego.

Znamię Oturu zaczęło mnie palić.

- Poczęstujesz się malinami? - rozległ się jedwabisty głos na prawo ode mnie.

Kątem oka zobaczyłam posagową kobietę w czerwonej skórzanej marynarce i takich samych spodniach. Długie, rude włosy opadały w lokach na ramiona i okalały zadbaną twarz z wyregulowanymi brwiami i napiętą, odżywioną skórą. Miała niesamowite usta - pociągnięte szminką w okrutnym odcieniu czerwieni. Oczy ciemne niczym wypolerowany kamień, zimne i twarde. Jej aura przypominała huragan, co chwilę bluzgała cieniami i grzmotami. Była ogromna, teraz stłoczona w przestrzeni wielkości arbuza.

Kobieta trzymała w rękach pudełko dojrzałych malin, choć to nie sezon na te owoce. Wzięła jedną i nadgryzła wolno idealnie białymi zębami.

- Przepyszne. Poważnie, Tropicielko, nie wiem, jak ty znosisz życie pośród takiego bogactwa wrażeń.

- Krwawa Mamuśka... Spodziewałam się kogoś innego.

- Edika - powiedziała ze skromnym uśmiechem. - Och, mój mały ulubieniec kręci się w pobliżu.

- I zabija ludzi.

- Być może.

- Coś przede mną ukrywasz.

- Doprawdy? - Zjadła kolejną malinę. - Przejdźmy się, Tropicielko. Mam ochotę na przechadzkę wśród zwykłych śmiertelników. Zniżę się do poziomu ich podłej egzystencji.

- Ty oszustko. Chciałabyś być jedną z nich.

- Nigdy - zaprotestowała. - Ja jestem tylko podróżniczką. Koczowniczką dusz. Tkwienie w jednym ciele od piskliwego niemowlęcia do pomarszczonej, nietrzymającej moczu staruszki, której jedyną nagrodą jest śmierć... | Och, to dopiero więzienie. Nie zazdrościsz ci, Tropicielko. f Nigdy ci nie zazdrościłam.

- A jednak zjawiasz się tu, gdy najdzie cię ochota. - Spojrzałam na ocean i wyobraziłam sobie więzienne kręgi, jeden w drugim, na granicy z tym wymiarem. Armia demonów. Nikt nie podgląda, bo nikomu nie zależy, by zajrzeć im w serca. Jeśli w ogóle mają serca. - Zasłona słabnie.

- Zawsze była słaba. - Krwawa Mamuśka uśmiechnęła się ponętnie do niezdarne, młodego mężczyzny w okularach, który otwarcie się na nią gapił, gdy przechodziła obok, kręcąc biodrami. - A gdy w końcu się rozsypie, nikt nie obroni tego świata. Poza tobą.

- Zgadza się - przytaknęłam. Dotknęłam mrowiącej skóry poniżej ucha. - A ciebie to obchodzi, bo się boisz innych.

Jej uśmiech zniknął.

- Mnóstwo ryzykuję, spotykając się tu z tobą. Jeśli Ahsen mnie zobaczy...

- Ahsen? - przerwałam jej. - Ta, która przeszła przez zasłonę?

- Ahsen, awatar. - Krwawa Mamuśka zerknęła na boki. - Jedna z Budowniczych Więzienia.

Stałam jak wryta.

- Nie udawaj - prychnęła. - Dobrze wiem, że cię to nie zdziwiło.

Wcale mnie tak dobrze nie znała. Naprawdę byłam zaskoczona. Choć nie aż tak, jak powinnam. Rzadko zastanawiałam się nad Budowniczymi Zasłonami. To nieznana siła, tylko pokrótce wspomniana w rodzinnych historiach. Nie natknęłam się na żadne szczegóły. Wiedziałam jedynie, że walczyli z ludźmi przeciwko demonom. I na pewno właśnie oni wzniesli zasłonę.

Poza tym nic więcej. Ani słowa. Czasem myślałam, że może nigdy nie istnieli.

Aż do dziś. Jack i Sarai wszystko zmienili.

Krwawa Mamuśka nadal jadła swoje maliny, rozkoszując się każdym kęsem, jakby to był pożegnalny pocałunek.

Mężczyźni się jej przyglądali. Powodzenia, rzuciłam im w myślach. Zje was żywcem.

- Po co tutaj przyszedłaś? - zapytałam wolno. Uśmiechnęła się.

- Zależy mi, żebyś przeżyła.

- Bo chcesz, żebym uratowała twoje dzieci przed wielkimi, złymi demonami. Nawet jeśli ci je zabieram.

- Jestem skłonna poświęcić kilka owieczek, by zaspokoić twój głód. - Jej aura zakipiała, podobnie jak uśmiech. - Tropicielkę trzeba karmić.

- I odwracać jej uwagę. Oswajać. Wpędzać w samozadowolenie. - Ja też się uśmiechnęłam, raczej ponuro. -
-Dla ilu drużyn ty grasz? Co obiecałaś Ahsen? Co kazała ci obiecać?
- Aura zaczęła tańczyć. Krwawa Mamuśka rzuciła resztę malin na ziemię razem z pudełkiem, choć zaraz obok stał kosz na śmieci. Nikt nie zaprotestował. Zauważyłam natomiast kilka obleśnych spojrzeń i parę pełnych niedowierzania.

Roztarta sobie dłonie. Paznokcie błysnęły karmazynem.

- Nie obiecałam nic poza tymczasowym przejściem.

- I może odrobiną wsparcia. Jeśli będzie trzeba.

- To ty kazałaś zabić Badelta. Jacka i Sarai. Chłopaka.

- Nic nie powiedziała. Rozejrzałam się, gdzie stanąć, żeby nie przeszkadzać. Nie znalazłam takiego miejsca.

Przed sobą miałyśmy targ rybny Ludzie w pomarańczowych kombinezonach przerzucali między sobą łososia, jakby grali w piłkę, śmiejąc się przy tym i krzycząc. Wszędzie pełno turystów. Błyskały flesze aparatów fotograficznych, pischwały dzieci. Disneyland dla wielbicieli ryb. Wszyscy sprzedawcy patrzyli na tych dowcipnisiów z takimi minami, jakby mieli ochotę ich udusić.

- To dobry świat - mruknęła Krwawa Mamuśka. -Jestem jego królową.

- Pewnego dnia cię zabiję. Albo zrobi to ktoś inny. Spojrzała na mnie przenikliwie.

- Nie wolno ci mnie skrzywdzić. Zawarłam umowę z twoimi przodkami. Przypieczętowaną krwią.

- Może. Ale na pewno nie muszę cię uratować. -Uśmiechnęłam się zimno i twardo, rozkoszując widokiem, jak Krwawa Mamuśka kalkuluje, na nowo ocenia sytuację.

Pomyślałam o matce i babci... O setkach kobiet zamordowanych przez demonicznego pasożyta wcielonego w ciało, które miałam teraz przed sobą. Jeśli trzeba, potrafię zachowywać się w sposób cywilizowany. Krwawa Mamuśka może się okazać użyteczna. Lecz takie podejście nie miało silnych podstaw.

Nienawidziłam jej. Tak bardzo, że czułam smak tej nienawiści.

- Czemu ich skrzywdziłaś? - zapytałam.

- Bo to mi pasowało. - Wyszła spod markizy targowiska, prosto w słońce. Uniosła dłoń. W naszą stronę ruszył czarny samochód. - Ahsen jest niebezpieczna, Tropicielko. Stara i potężna. Gniew ją osłabia, a wtedy można ją łatwo manipulować.

Sedan zatrzymał się przy nas, tylne drzwi otworzyły się od środka. W zacienionym wnętrzu zobaczyłam Edika. Krwawa Mamuśka postawiła na progu stopę w czerwonej, lakierowanej szpilce i spojrzała na mnie.

- Tropicielko, jeśli wiesz, czego chce Ahsen, możesz to przeciwko niej wykorzystać. Możesz ją wymanewrować. Wygłodzić tak bardzo, że nie będzie chciała wrócić za zasłonę.

Na twarzy kobiety nie malowały się żadne emocje, ale w głosie usłyszałam szczyptę niepokoju, a nawet strachu. Nachyliłam się bliżej.

- Nie wspomniałaś o tym innym demonom za zasłoną, co?

Spojrzała na mnie z pogardą.

- A co bym miała im powiedzieć? Że Strażnicy nie żyją? Że awatary, stworzenia, które wzniosły zasłonę, porzuciły ten świat? A może powinnam im wyjaśnić, jak moje dzieci hulają po świecie przez tysiąclecia, podczas gdy oni tkwią zamknięci w celach? Na pewno bardzo by im się to spodobało.

- Zrobiłaś ich w konia.

- Unikam demonów, kiedy tylko mogę. - Oparła się o otwarte drzwi i twardo spojrzała mi prosto w oczy. - Tropicielko, trzeba rozumieć swojego wroga.

Ja też oparłam się o drzwi. Zdjęłam rękawiczkę i położyłam dłoń na jej dłoni. Krwawa Mamuśka nawet się nie wzdrygnęła. Aura pozostała ustabilizowana. Raw zaszem-rał przy jej skórze. Był wygłodniały, ale panował nad sobą.

- Nie ma nic bardziej intymnego niż śmierć - powiedziała chrapliwie Krwawa Mamuśka, nachylając się do mnie bliżej. - Nauczyłam tego wiele z twoich poprzedniczek.

- A powiedziałaś im, czego ty się boisz, Krwawa Mamuśko? - Ja też zniżyłam głos, bo właśnie przechodziła grupka turystów, którzy gapili się na nas intensywnie. -Może byś mi zdradziła, co cię tak bardzo martwi w tajemnicy, jaką pozostawiła moja matka, co? Wydaje mi się, że wiesz, co to jest.

Spuściła wzrok i cofnęła rękę. Wsiadła do auta z niedbałą gracją i zajęła miejsce obok swojego pupila. Edik siedział pogrążony w milczeniu i co chwilę poprawiał sobie okulary, bo mu się zsuwały z nosa. Nie potrafił spojrzeć mi prosto w oczy. Za to Krwawa Mamuśka nie miała takiego problemu. Wpatrywała się we mnie lodowato. Zadbane, ponętne ciało żywicielki ginęło pod ogromną aurą Krwawej Mamuśki.

- Oto prawda - odparła cicho. - Niewiele dzieli ocalenie od potępienia, Tropicielko. Obawiam się, że tym, co je dzieli, jesteś ty.

Zatrzasnęła drzwi i samochód ruszył. Stałam na krawężniku brukowanej uliczki i patrzyłam za nią. Wyjęłam kamienny dysk z kieszeni.

W słońcu, na czarnej, skórzanej rękawiczce po matce wyżłobione linie lśniły niczym perłowa inkrustacja. Żyłki srebrnego ognia migotały na powierzchni kamienia jak zorza polarna.

„Labirynt”, wyszeptła Sarai.

Tajemnice. Jestem w kłopotach.

Usłyszałam ryk dużego silnika. Odwróciłam się i oślepiło mnie słońce. Poczulałam dotyk na plecach.

Ktoś mnie popchnął.

I wpadłam pod autobus.

Rozdział 12

Nigdy nie uderzyło mnie nic większego od terenówki. Zresztą wtedy na moje nagłe i bliskie spotkanie z kołami szybkiego pojazdu złożyło się kilka czynników - uciekający osioł, jednonogi zombie z pistoletem i niespodziewana burza piaskowa.

Autobus był zdecydowanie większy. Poleciałam na ziemię jak kłoda. Poczułam, jak chłopcy błyskawicznie się przemieszczają na moment przed uderzeniem, zasłaniając mi twarz swoimi ciałami. Nosem i szczęką zaryłam w bruk z wystarczającą siłą, żeby połamać sobie kości, ale mnie nawet nic nie zabolalo.

Kamienny dysk wypadł mi z dłoni. Zobaczyłam go przed sobą. Zaciśnęłam na nim dłoń w chwili, gdy zderzak rąbnął mnie w ramię i głowę. Wyleciałam w powietrze. Obróciłam się wokół własnej osi. Koła przejechały mi po nogach. Słońce zniknęło, bo znalazłam się pod stalowym podwoziem, długim i ciemnym. Krztusiłam się spalinami. Zły dzień. Bardzo zły dzień.

Wszystko się zatrzymało. Moje ciało. Autobus. Słyszałam tylko kapanie z silnika i dudnienie własnej krwi. Kamienny dysk przyciskałam obiema rękami do piersi, wbijając palce w grawerunek. Na moment ogarnęło mnie przedziwne uczucie, jakbym blakła. W głowie zobaczyłam matkę, a za nią inne kobiety. Wszystkie miały moją twarz. Wszystkie się bały.

Bały się samych siebie.

Ta wizja zbladła, ale pojawiła się inna: zobaczyłam demona w pelerynie, Oturu, a przed nim kobietę o moich rysach - miała na sobie tatuaże i niewiele więcej. Stali razem, blisko, nachyleni do siebie. Czuli się ze sobą komfortowo i swobodnie. Najwyraźniej znali się od dawna. Za ich plecami wisiały dwa księżycy na fioletowym niebie. Ogromne. Zupełnie inne niż księżyc, na który lubiłam patrzeć po zachodzie słońca.

Wyrwałam się z tej wizji. Wróciła rzeczywistość. Głęboko wciągnęłam powietrze do płuc. Leżałam pod autobusem i wpatrywałam się w silnik. Z kamieniem mocno zaciśniętym w dłoni.

Lecz przez moment była tylko ta wizja. Oturu, jedna z moich poprzedniczek - nie ja, nie ja - stojący pod obcym niebem.

Doszły mnie dźwięki. Jakaś kobieta krzyczała tak straszliwie, jakby to ona wpadła pod autobus. Ręce zaczęły mi się trząść. Włożyłam kamień z powrotem do kieszeni, po czym odetchnęłam głęboko i ostrożnie przetoczyłam się na brzuch. Ludzie wchodzili pod autobus, żeby mi pomóc. Pozwoliłam im na to, starając się nie zwracać uwagi na spojrzenia, jakie kierowali na moją twarz. Dopiero po chwili do mnie dotarło, co ich tak zszokowało.

Chłopcy. Nie wrócili do poprzednich pozycji. Moją twarz pokrywały tatuaże.

Wzięłam jeszcze jeden głęboki wdech. Ratownicy rozmawiali między sobą, mówili, że mogę mieć złamany kręgosłup, zmiażdżone nogi albo uszkodzony mózg. Kazali mi się nie ruszać.

Akurat. Zaczęłam pełznąć. Ludzie wyciągnęli mnie spod autobusu. Tłum zaszumiał. Nie byłam pewna, czy to z powodu mojego cudownego ocalenia, czy też straszego wyglądu. Błysnął flesz. Wycelowano we mnie telefony komórkowe. Zrobiłam z siebie widowisko.

- Już zadzwoniliśmy po karetkę - powiedział mężczyzna, który klęczał obok mnie. Cały czas błędnął wzrokiem po mojej twarzy, jakby nie potrafił skoncentrować się na żadnym punkcie. - Nie ruszaj się.

- Dziękuję - wymamrotałam i wstałam.

Udałam, że się zataczam. Ktoś mnie podtrzymał. Ludzie się na mnie gapili. Próbowałam przeniknąć wzrokiem gęsty tłum, ale widziałam tylko oczy, niezliczone pary oczu - wpatrywały się w moją twarz i śledziły każdy ruch.

Z uciskiem w żołądku przypominałam sobie, że ktoś mnie popchnął na moment przed wypadkiem. Musiałam się dowiedzieć kto.

Rzuciłam się przed siebie. Przedzierałam się przez gąszcz mężczyzn i kobiet. Próbowali mnie zatrzymać. Krzyczeli: „cud”, „ostrożnie”. Odwróciłam się tylko raz, żeby rzucić okiem na autobus. To był autobus turystyczny, nie miejski. Kierowca stał na ulicy z rękami na kolanach, wstrząsany gwałtownymi wymiotami. Zrobiło mi się go żal. To nie jego wina, że ktoś próbował mnie zamordować.

Z oddali usłyszałam zawrozczenie syren. Za dużo ich jak na jeden dzień. Chłopcy kręcili się niespokojnie. Dotarłam do miejsca na chodniku, skąd mnie wypchnięto na ulicę.

I zobaczyłam mężczyznę. Wysoki, szeroki w ramionach. Jego skóra - złocista i ogorzała - kolorem przypominała kocie oczy. Długie czarne włosy tańczyły niesfornie wokół kanciastej twarzy. Rzadko zwracałam uwagę na męskie nosy, ale jego był duży, orli, prawie brzydki, a jednak fascynujący. Czarne oczy. Agresywne spojrzenie.

Miał na sobie džinsy, czarny golf, rękawiczki i pasek z klamrą wielkości dłoni, srebrną i inkrustowaną taką ilością lapis-lazuli, że na pierwszy rzut oka wyglądało to jak lity fragment tego cennego kamienia. Z trudem oderwałam od niego wzrok. Pod brodą mężczyzny, spod golfu wystawała żelazna opaska.

Nigdy wcześniej nie spotkałam tego człowieka, ale znałam te oczy. Tę twarz. Jakbym widziała go we śnie, którego nie mogłam sobie do końca przypomnieć, lecz coś mi świtało. To nie przypadek.

- Popchnąłeś mnie - powiedziałam.
- Przeżyłaś. - Uśmiechnął się lodowato. - Wy zawsze wychodzicie obronną ręką. Wyrzysły, twarde głos, przyjemnie męski. Przyszły mi na myśl noże matki.
- Skąd wiesz, kim jestem?
- Świat jest pełen tajemnic.

Zaczął odchodzić. Spojrzałam za nim rozdarta, po czym nie oglądając się za siebie, ruszyłam w jego ślady. Właściwie nie miałam wyboru. Syreny zawodziły coraz głośniejsze, ludzie wciąż się na mnie gapili. Musiałam się stamtąd wydostać. Równie dobrze mogłam pójść za nieznajomym. Wypadek ściągnął na mnie uwagę tłumu. To, że wyszłam z takiej masakry bez szwanku, jeszcze pogłębiło zainteresowanie. Zbyt wiele osób zdawało sobie sprawę, że nie można mnie skrzywdzić. Całe życie utrzymywałam to w tajemnicy. Wszystko na nic.

Zobaczyłam swoje odbicie w szybie samochodu. Policzki pokryte łuskowatymi skrzydłami. Nad brwiami tkwił Zee. Zerknął rubinowymi oczami. Okalał moją żuchwę długimi palcami. Skóry nie było widać nigdzie, nawet na powiekach. Mogliby mnie pokazywać w cyrku. Albo w „National Geographic”. Sama siebie ledwie rozpoznałam.

Ale żyłam. Nie byłam połamana. Płaszcz po matce dorobił się nowych blizn. Dogoniłam obcego. Rozglądałam się,

szukając ciemnych aur. Dotarło do mnie, że minęło sporo czasu. Obiecałam Grantowi, że pojawię się za godzinę.

- Kim jesteś? - zapytałam. Uśmiechnął się zimno.
- Przykro mi, że nie pamiętasz.

To nie Ahsen, bez względu na to, jak sprytnie potrafiła zmieniać kształty.

- Nie znam cię.
- Wszystkie jesteście takie same. Wasze oczy. Nigdy się nie zmieniają.

Miał czystą aurę, ale to nic nie znaczyło.

- Kim jesteś?

Spojrzał na mnie. Jego wzrok palił.

- Twoim błaznem, Tropicielko.

Złapał mnie za ramię. Świat dookoła zniknął.

Nie straciłam przytomności. Tylko wzrok i słuch. Wokół panowała absolutna ciemność, nieugięta, pusta. Poczulałam jakiś dygot w środku, wnętrzości odbiły mi się od kości. Nadal było ciemno, ale na niebie pojawił się księżyc i rozświetlił pole śniegu i lodu. Powietrze miało gorzki smak.

Noc. Chłopcy się obudzili.

Ból wydawał się gorszy niż zwykle, ale nie wzdrygnęłam się ani nie wydałam z siebie żadnego dźwięku. Patrzyłam na mężczyznę. Stał na śniegu. Z miną pełną okrutnego rozbawienia. Gdy chłopcy się uwolnili i zaczęli wokół mnie wirować niczym srebrzyste duchy, jego mina się zmieniła. Kąciki warg podjechały odrobinę do góry. Wyczułam w nim satysfakcję. To mnie rozwścieczyło.

Ale nie było czasu, by działać. Gdy tylko chłopcy oderwali się od mojej skóry, zimno zakłuło mnie z taką siłą, jakbym nagle wylądowała na nabijanym gwoździami łożu. Aż mnie zatkało. Oddychałam ze świstem. Złapałam się za brzuch, walcząc z pragnieniem, by upaść na kolana. Niewyobrażalne, straszliwe zimno; jakby połknęła mnie zima, jakbym znalazła się w trzewiach lodu.

Zee. Błysk czerwonych oczu, jego ostre zęby. Otulił mnie ciasno ramionami. Dek z Malem położyli mi się na szyi i głowie, a Raw okrył plecy. Nogi trudniej było ochronić, ale Aaz robił, co mógł. Przywarli do mnie mocno. Ciepło sączyło się przez ubranie w głąb mojego ciała. Serca łomotały. Znowu byłam w stanie myśleć.

- Ciało jest słabe - odezwał się mężczyzna, najwyraźniej w ogóle nieporuszony chłodem. - Nawet twoje, Tropicielko.

- Gdzie jesteśmy? - wychrypiałam.

- Na biegunie północnym. - Zrobił krok w moją stronę. Chłopcy zawarczeli. Roześmiał się cicho. - Zee. Widzę, że nic a nic się nie postarzałeś.

Zee kłapał zębami i zasyczał, po czym wyrzucił z siebie strumień słów, które brzmiały melodyjnie i dziko niczym silny wiatr na lodowcu. W końcu ta tyrada zwołała.

- Enkidu. Ty sługusie kata - wycedził Zee. Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny. Księżyc rzucał ostre cienie na jego czarne włosy. Wyglądał jak bryła ciemności z pasmami księżycowego światła. Stał absolutnie nieruchomo. Jego głos brzmiał szorstko:

- Nigdy się tak do mnie nie zwracaj, Zee. Nigdy przenigdy. Przynajmniej tyle jesteś mi winien.

Zee splunął. Ślina niczym kwas wypaliła dziurę w śniegu. Nieznajomy zrobił kolejny krok. Zamarłam, gotowa rzucić się do walki. Zatrzymał się jednak i spojrzał w górę. Zobaczyłam cień przecinający gwiazdy. Z nieba spadł demon.

Oturu. Wbił się w lód jak ciemna strzała. Aż zadygotałam od siły tego uderzenia. Na moment zapomniałam o oddychaniu. Jego peleryna pochłaniała światło. Dolna część bladej twarzy lśniła jak diamentowy pył rozsypany na śniegu.

Sięgnęłam pod płaszcz i dotknęłam noży matki. Serce łomotało mi jak szalone.

- Zee.
- Tak, Maxine? - odpowiedział szeptem.
- Pomożesz mi tym razem?

Nic nie powiedział. Demon się zaśmiał, ciepło i chrapliwie. Stopy w kształcie ostrzy tkwiły na powierzchni śniegu, jakby były lżejsze od powietrza.

- Zee nie może złamać przyrzeczenia - oznajmił demon.

Spod kapelusza wypełził kosmyk włosów i sięgnął do nieznanego, który stał obok cichy jak śmierć. Nie mogłam oderwać od nich wzroku. Kosmyk włosów dotknął policzka mężczyzny. W ciemnych oczach błysnęła czysta nienawiść.

- Dobrze się spisalesz, Naganiaczu - powiedział demon.

- To dla mnie zaszczyt - odparł mężczyzna z pokorą, choć wyczułam, że kłamie.

Demon chyba też zdawał sobie z tego sprawę. Kosmyk włosów, delikatny niczym długi palec, wsunął się Naganiaczowi za kołnierz. Zobaczyłam żelazną obrozę na szyi. Miała ogniwo. Hak. Pasma włosów demona owinęło się wokół tego haka i szarpnęło. Raz. Mężczyzna upadł na kolana.

- Naganiaczu - mruknął demon. - Naucz się klęczeć przed naszą panią.

Mężczyzna nic nie powiedział. Próbował wstać, ale smycz się napięła i poleciał na ziemię, prosto w śnieg. Zaczął dyszeć, wargi mu posiniały z zimna. Teraz czuł chłód.

Peleryna demona zatrzepotała, zasłaniając gwiazdy.

- Ukłęknij. Z całym oddaniem. Na kolana.

- Nie - wychrypiałam. - Przestań.

Demon się odwrócił. Oczy zakrywało mu rondo kapelusza, ale i tak się zorientowałam, że na mnie patrzy. Ostro odcinał się od śniegu. Stał na palcach, a ta jego niesamowita, żyjąca peleryna poruszyła się na wietrze w rytmie oddechu. Wdzięcznie. Groźnie.

Twarde usta się wykrzywiły.

- Podziwiasz nas.

- Podziwiam twój wdzięk - przyznałam chrapliwym głosem. - Ale i tak cię zabiję.

- Wszystkich nas zabijesz - odparł. - Ale jeszcze nie dzisiaj.

Na pewno nie, jeśli zostanę tu dużo dłużej. Chłopcy, choćby nie wiem jak się starali, nie ochronią mnie w takich temperaturach. Pewnie o to właśnie chodziło. Pozbawić mnie zbroi. Wtedy łatwo mnie skrzywdzić. Wystraszyć.

Prawie szczekałam zębami.

- Czego chcesz?

- Ciebie - odpowiedział.

Chłopcy się poruszyli, błysnęły czerwone oczy, załomotały serca. Spojrzałam na mężczyznę na śniegu. Wpatrywał się we mnie. Dygotały mu ramiona, a ręce ginęły w zlodowaciałej zaspie.

- Żeby mnie zabić - stwierdziłam. Demon się uśmiechnął.

- Żeby pójść za tobą.

Patrzyłam, jak tańczy dookoła mnie, wbijając stopy w lód i śnieg. Ciągnął za sobą mężczyznę. Długi kosmyk włosów nadal był zaplątany w żelazną obrozę. Zrobiło mi się trochę żal nieznanego, choć to on wepchnął mnie pod autobus. Próbował wstać i znowu upadł.

Demon górował nad nami, zlewał się z nocnym niebem. Usta zacisnął w twardą ciemną kreskę, prostą i zimną jak odległy, zalany księżycowym światłem horyzont. Poły peleryny łopotały niczym skrzydła. Dostrzegłam tam jakiś ruch: twarze i dłonie, ciała wirujące w otchłani. Oturu pochłaniał światło księżycy i gwiazd. Na śniegu rysował się jego zimny cień. Chłopcy wtulili się we mnie ciaśniej. Wstrząsnął mną dreszcz, ale nie z zimna.

- Boisz się nas - wyszeptał demon. - Twoje serce się zagubiło. Lecz teraz tu jesteśmy. Narodzeni na nowo, dla siebie nawzajem.

- No to mi powiedz, co powinnam wiedzieć - zaskrzeczałam, jakby głos zamarzył mi w krtani.

- Co powinnas wiedzieć... - powtórzył pod nosem. - Powinnas znać świat pod swoimi nogami. Ty, Pani, twoje ogary, początek Łowów. Odwieczna bogini. Ale zapomniałaś. Stałaś się zagadką. - Demon się zawahał. - Co się z tobą porobiło, Tropicielko?

Pomyślałam o matce. Kosmyk włosów wystrzelił w stronę mojej głowy. Zee złapał go mocno, ale sam koniuszek i tak musnął mnie w czoło. Załala mnie fala niewiarygodnego ciepła. Złocista jak słońce, oślepiająca. Przez dzinsy czułam na skórze palący dotyk kamiennego dysku.

Demon znieruchomiał. Jak my wszyscy - zagapieni, uwięzieni w arktycznej ciszy, pośród rzeki gwiazd i światła księżycy. Gdyby nie to, że strach odbierał mi dech, zabrakłoby mi tchu w piersiach od tego piękna.

- Zostałeś zmanipulowany - zauważył demon.

- Nie, Oturu - wychrypiał Zee. - Układ nie został złamany. To tylko drobne zmiany. Minęło dużo czasu. Stare matki mają teraz nowe metody.

- I nowe przymierza - powiedział złowieszczo. - Czuję zapach wilka. I smak jednorozca.

Kolana się pode mną ugięły. Upadłam w śnieg i nie byłam w stanie się podnieść. Mięśnie miałam za bardzo wychłodzone. Aaz przepelznął niżej i owinął się wokół moich stóp, w których straciłam czucie. Demon przykucnął, a peleryna rozpostarła się na śniegu niczym plama atramentu. Nieznajomy za plecami Oturu zniknął mi z pola widzenia. Wbiłam wzrok w rondo czarnego kapelusza. Cała się trzęsłam.

- My nie pamiętamy o czasie - wyszeptał. - Zawsze zapominamy, że jesteś istotą śmiertelną. Ty, Tropicielko, która powinnas dźwigać ciężar wieczności na swoich ramionach. Widzimy ciebie, ich wszystkich i przypomina nam się ona. Zawsze ona.

- Ona - wydusiłam z siebie, drżąc z zimna. - Jedna z moich poprzedniczek.

- Największa z nich. Najstraszniejsza. - Z sykiem wciągnął powietrze. - Jesteś jak ona, Tropicielko. Czujemy w tobie jej smak. To dlatego daliśmy ci znamię naszego klanu. Nie obdarzyliśmy nim nikogo od jej śmierci. To za-powiedź cudu.

Głowa mi podskakiwała, wstrząsana dreszczami, ale zdołałam dotknąć twarzy. Zaraz pod uchem wyczułam li-nie. Widziałam je oczyma wyobraźni. Demon nachylił się, rondo kapelusza znalazło się blisko, na wyciągnięcie ręki.

- Myślisz, że bardzo się różnimy, a jesteśmy tym samym, Tropicielko. Oszalałym orszakiem, przywódcami zmarłych. Gdy każemy ludziom nas naśladować, posłusznie wykonują rozkazy. Dzieci tego świata zabijają i okaleczają, są niczym ptaki zbryzgane czerwienią krwi, podczas gdy my tańczymy na gruzach jako wspaniałe i potężne cienie. Lecz jesteśmy tylko mieczem, Tropicielko, wyłącznie mieczem. Trzeba serca, by nami władać. To warunki umowy, której musimy dotrzymać.

- Jakiej umowy?

Kosmyk czarnych włosów zanurzył się w śniegu i zaczął wycinać na nim wzory, płataninę węzłów, która przy-pominała żłobienia w kamieniu, labirynt.

- Związany z naszym przetrwaniem - wyszeptał. - Nasza dyspensa w zamian za przysługę. Pozwolono nam przeżyć i prowadzić łowy, ale tylko pod przewodnictwem kogoś twojej krwi albo mianowanego przez ciebie. To była jej ostatnia prośba. Bała się. Martwiła. - Kosmyk włosów postukał Zee w ramię. - Twoja Tropicielka powinna być o tym poinformowana.

Zee pokręcił głową.

- Obiecaliśmy.

- Wasza obietnica rodzi konflikty.

- Nie - wychrypiał. - Ocala. Przeszył mnie dreszcz.

- Nie wierzę. Po prostu nie wierzę. N-nie z tobą.

- Bo jesteśmy demonem. I nas nienawidzisz.

- Zniszczysz ludzkość.

- Albo ty to zrobisz? - Uśmiechnął się słabo. - Nie mamy prawa do pierwszego ciosu, chyba że nas się o to poprosi. Lecz tak zawsze się dzieje, Tropicielko. Pokusa jest zbyt wielka.

Wstrząsnęła mną kolejna fala dreszczy. Zaczęłam szczełkać zębami. Chłopcy wtulili się mocniej. Zee przystawił mi usta do ucha.

- To nie kłamstwa, Maxine - szepnął. - Uwierz. Oczy mi się zamgliły, myśli też.

- Twoje serce nas wezwało, gdy było w potrzebie - wymamrotał demon. - Nie potrafisz zaufać samej sobie, Tropicielko?

- Z-zasłona - wyszczełam. - Przyszedłeś, b-bo s-się roz-z-z-sunęła.

- Rozsunęła się i ty to poczułaś, a to, co poczułaś ty, poculiśmy również my.

- Ale d-dlaczego? D-dlaczego m-moj a p-poprzedniczka z-zawarła t-taką umowę?

- Bo potrzebowała pomocy. A my potrzebowaliśmy ciebie.

Peleryna załopotwała, a mnie zrobiło się cieplej. Ciepło przedostawało się przez mięśnie aż do kości. Cudowne i gładkie, ogarniało mnie od koniuszków palców u nóg aż po czubek głowy. Przystałam szczełkać zębami, przejaśniło mi się w głowie. Chciałam powiedzieć demonowi, żeby przestał, ale nie mogłam. Instykt samozachowawczy okazał się silniejszy niż duma.

Lecz cała reszta... Wszystko było nie tak. Gdzieś tkwił haczyk. Zawsze jest jakiś haczyk, a moja matka... Nie zależałoby jej tak bardzo, by utrzymać te rzeczy przede mną w tajemnicy, gdyby nie miała ku temu dobrego powodu.

„Bała się o ciebie”, powiedziała Sarai. „O to, co się może stać, jeśli zasłona się rozsunie”.

- Moja matka o tym wiedziała - zwróciłam się do Zee. - Wiedziała o nim.

Zee objął mnie ciaśniej i wtulił mi twarz w szyję. Żaden z chłopców nie chciał mi spojrzeć prosto w oczy. Demon nachylił się do mnie. Włosy nadal kreśliły wzory w śniegu, kolejne splątane okręgi.

- Moja matka - warknęłam. - Dlaczego to przede mną ukryła?

- Tropicielek było mnóstwo - powiedział demon, jakbyśmy tylko my dwoje istnieli na całym świecie. - Wiele z nich to twoje krewne. Poznaliśmy je, pomagaliśmy im, zgodnie z obietnicą. Ale ty jesteś inna. Masz inne serce. Czujemy to. Widzimy to. Ty jesteś jak ona. Bliżej ci do ciemności. A Łów jest... mroczny. Kiedyś... ożywił pewne rzeczy.

Spojrzałam na chłopców, którzy wpatrywali się w demona, jakby mieli ochotę go zakneblować.

- Jakie rzeczy?

- Rzeczy... - zaczął wolno - ...które mogą wzbudzić w matce strach przed własnym dzieckiem.

Zee warknął coś ostro, najwyraźniej zły. Za plecami demona mężczyzna w końcu dźwignął się na nogi. Zrobił krok w naszą stronę. Jego wargi nie były już sine, kryształki lodu, które wcześniej pokrywały twarz, teraz stopniały. Kosmyk włosów odczepił się od obroży, ale nieznamy nadal poruszał się tak, jakby ktoś go szarpał.

Zee ciągle wyrzucał z siebie ostrą litanię z piskliwym gniewem demonicznej wiewiórki. Raw i reszta milczeli. Wszyscy drżeli, z płonącymi oczami, warkotem w gardłach. Demoniczne słowa paliły mocno.

Oturu uniósł się i bez wysiłku kołysał na swoich długich, zaostrzonych stopach.

- Zrobiliśmy ci krzywdę.

- Owszem - przyznałam.

- Ach - westchnął, po czym dodał cicho: - Łów się rozpoczął. Wypełniłmy swoją obietnicę. Po raz kolejny. Musisz nas poprowadzić.

- Nie. Nie zamierzam czegokolwiek robić tylko dlatego, że ty tak mówisz.

- Nie ufasz nam.

- Nigdy. Demon zamarł.

- Przypieczętowaliśmy umowę krwią, Tropicielko. Twoją krwią. Moją. Krwią twoich opiekunów.

- Nic z tego nie rozumiem, a już najmniej jakieś umowy.

Wykrzywił usta z odrazą.

- A co, jeśli nigdy tego nie zrozumiesz? Nie dotrzymasz danej nam obietnicy? Złamiesz przysięgę swojej poprzedniczki?

Poczułam, że chłopcy zamarli.

- Nie. Ale muszę poznać szczegóły. Odwrócił się ode mnie.

- Powiedz mi więcej - wydusiłam z siebie z trudem. Obejrzał się przez ramię. Linia kapelusza odcinała się ostro niczym kosa.

- Odpowiedzi, których szukasz, kryją się w twojej krwi. Nie możemy ci ich udzielić. Możemy ci tylko dać czas. Trochę czasu. - Kiwnął głową do mężczyzny. - Masz ją ochraniać, Naganiaczu.

- Nie - sprzeciwił się nieznajomy.

Pasmo ciemności wystrzeliło demonowi spod kapelusza i uderzyło mężczyznę w twarz. Zatoczył się i złapał za policzek. Spomiędzy palców trysnęła mu krew.

- Chroń ją - syknął demon. - Za wszelką cenę.

Zrobiłam krok w stronę demona, nadal otulona chłopcami, gorącymi jak rozpalony węgiel, jak płomień w starym palenisku. Ich ciepło przesączało się w moje ciało. Wyciągnęłam do Oturu rękę. Nie chciałam go dotknąć, ale byłam zdesperowana, zdeterminowana.

Demon zamilkł i zamarł. Jego bezruch był ciężki i znaczący niczym ciężar rozgwieżdżonego nieba nad naszymi głowami. Zachybotał się wolno i delikatnie. Poczułam jakiś ciemny dygot w sercu, jak gdyby cień pod żebrami mi nagle zatrzepotał. Wspomnienie, deja vu, coś starego, zimnego i twardego. Przyszły mi na myśl wilki i miecze, dzwony i umierające kobiety. Usłyszałam swoje serce. Swoją krew. Muzykę płynącą w moich żyłach.

Demon nachylił się niżej. Jego włosy i peleryna zatrzepotały. Nie dotknęły mnie jednak, tylko otoczyły powietrze wokół mojego ciała. Pochłonięta przez otchłań, na krawędzi śmierci. Pocałunek śmierci.

Czyjeś szorstkie palce złapały mnie za rękę. Mężczyzna. Naganiacz. Z ciemną, krwawiącą raną na twarzy. Spojrzałam na Oturu, na twardą linię jego warg.

- Jeszcze cię załatwię.

- Nigdy - mruknął, po czym wzbil się w powietrze ruchem, który miał więcej wspólnego z Errolem Flynnem niż Freddie Kruegerem.

Wyciągnęłam szyję. Patrzyłam za nim, jak szybuje prosto w światło księżycy i szybko znika. Połknęła go noc. Dek z Malem szeptali mi coś na ucho. Zee i reszta zamknęli oczy i się zgarbili.

Czułam się dziwnie. Naganiacz ścisnął mnie za rękę. Spojrzałam w jego zimne oczy i poczułam, jak kamienie gromadzą mi się w piersi i wzbierają w żołądku. Nagle zrobiło mi się przeraźliwie, śmiertelnie zimno. Zaparłam się jednak, że pierwsza nie odwrócę wzroku.

Zacisnęła zęby.

- To będzie interesujące.

Szarpnął z całych sił. Osunęłam się w ciemność. I wróciłam do światła.

Rozdział 13

Światło słoneczne. Dom. Cztery znajome ściany, cegły i książki, wielkie okna. Nie miałam pojęcia, jak się tu dostałam. Chłopcy otulali mnie miękko. Było mi ciepło.

Przetoczyłam się na bok. Naganiacz stał koło motocykla. Dużą żylastą dłoń trzymał na wiśniowoczerwonym lakierze. Długie ciemne włosy kontrastowały z jastrzębimi rysami. Trudno go było zaklasyfikować, jego egzotyczna finezja nie dawała się łatwo przypisać do żadnej rasy. Pasowałby wszędzie, a jednocześnie nigdzie. Jak Grant. Jak ja. Outsiderzy.

Spojrzał na mnie. Oczy mu pociemniały, błysnęły furją. Zauważyłam żelazną obrożę na szyi. Oczekiwałam, że facet coś powie, ale chyba po prostu chciał zabić mnie wzrokiem w ponurym milczeniu. Przejechałam dłonią po twarzy i odwróciłam się od niego. Zataczając się, poszłam do kuchni, żeby sobie wziąć wodę z lodówki. Zawahałam się, po czym jemu też rzuciłam butelkę. Nie złapał. Uderzyła w ścianę i spadła na podłogę.

Nie zareagowałam na to. Odkręciłam korek i pociągnęłam długi łyk. Usta miałam spękane i krwawiące. Język przyklejał się do podniebienia. Naganiacz przyglądał mi się bez ruchu. Dopiliśmy wodę do końca i wyrzuciłam

butelkę do śmieci. Zerknęłam na zegarek. Minęły prawie dwie godziny. Moje życie, moje cenne życie, może właśnie dobiegło końca.

Wyciągnęłam komórkę i zadzwoniłam do Granta. Od razu włączyła się poczta głosowa. Nie zostawiłam wiadomości. Wybrałam numer jeszcze raz, gwałtownie stukając w klawisze. Zdenerwowałam się. Szybko ruszyłam do drzwi. Ani śladu samochodu. Muszę złapać taksówkę.

Naganiacz pojawił się przede mną znikąd. Dosłownie. Usłyszałam szum powietrza i zmaterializował się przed moimi oczami. Jakbym patrzyła na chłopców wyłaniających się z cienia, tyle że to działo się w biały dzień.

- Dokąd się wybierasz, Tropicielko?

- Nie twoja sprawa.

Naganiacz dotknął palcem żelaznej obroży na szyi.

- Wszystko, co związane z tobą, to moja sprawa.

Nie mogłam odwrócić wzroku od obroży. Nienawidziłam jej z szokującą siłą; nienawidziłam też wspomnienia, jak mężczyzna klęczy na śniegu. Było w tym coś znajomego. Ale to niemożliwe. Coś jest nie tak. To nie moja wina.

Wzięłam się w garść.

- Idź powiedz Oturu, żeby wsadził sobie gdzieś swoją ochronę. Na nic mi się nie przydasz. Nie potrzebuję cię.

Naganiacz złapał mnie za ramię. Wyrwałam się i walnęłam go w brzuch. Potrafiłam rozbić cegłę w drobny mak, więc powinien przynajmniej charczeć i walczyć o oddech, ale on nawet nie drgnął. Stał i patrzył na mnie z góry, jakby moja pięść była powietrzem.

- Skończyłaś?

- Jeszcze nawet nie zaczęłam - burknęłam. - Nie wiem, jak cię zranić. Muszę cię najpierw poznać.

- Jesteście takie same. Wszystkie.

- Zawsze mi się wydawało, że jestem jedna.

- Jedna - przyznał lodowatym tonem. - Ale za to stanowisz kulminację niezliczonej liczby. Twoja krew, natura nigdy się nie zmienia, Tropicielko.

Kupa gówna. Zakuty łeb. Stukaj, wal, krzycz, ile się tylko da, a do takiego nic nie trafi. Zresztą nie miałam siły się kłócić. Czuję się tak, jakby kawałki serca trzepotały mi się w piersi, krwawiące i bezużyteczne. Gdyby nie stał przede mną Naganiacz, może przekonałabym samą siebie, że to się w ogóle nie wydarzyło, że tylko wyobraziłam sobie śniegi na biegunie północnym i demona, który chciał być moją prawą ręką, moim śmiertelnym mieczem.

- No, dobrze - sapnęłam. - Rób swoje. Ale przestań się tak wściekać, to może zacznę współpracować. Jak mi się będzie chciało.

- Negocjujesz ze mną? - spytał takim tonem, jakbym kazała mu posprzątać psią kupę gołymi rękami.

- Jestem gotowa rozmawiać. Ale nie tutaj. Muszę iść.

Był przystojny, choć we wściekłości nie było nic atrakcyjnego. Nie wiedzieć czemu mnie to zabolalo. Prawie oczekiwałam, że wykona jakiś ruch w moją stronę - sprawiał wrażenie naprawdę mocno rozjuszonego - ale światło w jego oczach się zmieniło. Lekko pochylił głowę i zatopił się w myślach.

Odwróciłam się i wypuściłam powietrze z płuc, po czym wybiegłam z mieszkania. Przeszłam przez ogród i przed schronisko. Żadnej taksówki. Zaczęłam szukać w książce telefonicznej w komórce numeru firmy taksów-kowej. Naganiacz stanął przy mnie.

- Co robisz?

- Muszę się dostać do szpitala.

- Którego?

Jego zainteresowanie, choć raczej zgryźliwe, wzbudziło moją podejrzliwość.

- Uniwersyteckiego Centrum Medycznego.

Złapał mnie za ramię i świat zniknęło, jakby pochłonął go ciemny huk morza. Nie wrywałam się, nie mogłam się ruszyć. Moje serce krzyczało.

A potem zostałam uwolniona, wróciłam do świata. Beton. Samochody. Głosy w pobliżu. Zatoczyłam się, zamrugałam, zasłoniłam oczy ręką. Naganiacz stał obok mnie. Na jego twarzy malował się wyraz zdystansowanego rozbawienia.

- Dupek - wydyszałam. Skuteczny dupek, dodałam w myślach.

Byliśmy na terenie szpitala, w żwirowej zatoczce między krzakami na małym podjeździe prowadzącym na ostry dyżur. Przed szklanymi drzwiami stała karetka pogotowia. Chyba nikt nie zauważył, że się pojawiliśmy.

Piętnaście kilometrów w jedno uderzenie serca. Na biegun północny i z powrotem w mgnienie oka. To nie sen, to nie dzieło wyobraźni. Nie człowiek. Nie demon.

Coś innego. Jakaś magia.

Wzięłam głęboki wdech i ruszyłam przed siebie. Naganiacz poszedł za mną. Miał w sobie szczególną finezję, grację tancerza. Kołysał się niemal z taką lekkością, jak u Oturu. Jakby w błysku chwili mógł wykonać obrót i zabić samym tylko dotykiem.

Niebezpieczny człowiek. Chłopcy jęczeli przez sen. Dek, który spał mi na prawym ramieniu, prężył się w stronę Naganiacza. Był uparty. Musiałam uważać, żeby nie dotknąć mężczyzny.

Spróbowałam znów zadzwonić do Granta. Bez odpowiedzi. Rzuciłam się biegiem. Miałam wrażenie, że moje serce zrobiło się bardzo małe i twarde. Wpadłam przez rozsuwane drzwi i znalazłam się w poczekalni wyłożonej ciemną boazerią. Przygaszone światła tworzyły atmosferę ocienionego spokoju. To wrażenie dodatkowo podkreślały duże okna wychodzące na mały ogródek. Na ścianach wisiało kilka płaskich telewizorów - wszystkie ustawione na jeden z głównych kanałów informacyjnych. Na ekranach migaly obrazy: płaczące dzieci, walące się budynki. Wielkie trzęsienie ziemi. Iran.

Kobieta za biurkiem przeniosła wzrok ze mnie na Naganiacza. Gapiła się na niego z rozdziawioną buzią.

- Hej! - Pstryknęłam palcami. - Proszę pani.

Zamrugnęła i zalała się rumieńcem wyraźnie podniecona. Była zdenerwowana. Bałam się spojrzeć na Naganiacza. Wilk w wilczej skórce. Słowem się nie odezwał, gdy rozmawiałam z kobietą i dostałam numer pokoju Byrona. Grant zarejestrował chłopca pod swoim nazwiskiem: Cooperon.

Byronowi przydzielono pokój na piątym piętrze. W windzie byliśmy sami. Oparłam się o metalową poprzeczkę i popatrzyłam na Naganiacza.

- Czemu wepchnąłeś mnie pod autobus? - spytałam. Skrzywił się.

- Bo miałem ochotę. Chciałem popatrzeć.

- Jesteś stuknięty.

- Może - odparł. - Pewnie tak, po tych wszystkich latach.

Odepchnęłam się od ściany.

- Posłuchaj. Nie mam pojęcia, co twoim zdaniem łączyło nas w przeszłości, ale w tej chwili, tutaj, to bez znaczenia. Dzieją się złe rzeczy. Może kolejna przykra niespodzianka czeka na mnie w szpitalu. Spróbuj tylko wejść mi w drogę, spróbuj skrzywdzić tych, których kocham, a wyprawię cię na tamten świat.

- Niczego innego bym się po tobie nie spodziewał, Tropicielko - odparł Naganiacz, gdy winda się zatrzymała.

Wyszliśmy do poczekalni. Granta nie było. Ani policji, ani armii rosyjskich bandytów, którzy się czaili, by zamordować nastolatka. Tylko starsza pani siedziała w fotelu w kącie. Oglądała wiadomości z Iranu. Duże, czerwone litery: „Trzęsienie ziemi!”, przelatowały na dole ekranu, na tle poruszającego nagrania - jakiś mężczyzna krzyczał i wygrażał nocnemu niebu pięściami.

Drzwi były zamknięte. Podniosłam słuchawkę telefonu na ścianie i wykreciłam zero. Dwa dzwonki. Odebrała kobieta. Rzeczowy ton. Zapytałam o Byrona Cooperona.

- Owszem, już przyszli do niego krewni - poinformowała. - Pokój numer dwa. Pani jest żoną jego wuja?

- Tak - skłamałam.

- Proszę wejść. - Kliknął zamek w drzwiach.

Po drugiej stronie panował chłód. Powietrze było gęste od zapachu środków odkażających. Tak duszące, że wydawało się niemal brudne, a nie chemicznie czyste. Obrzydliwe. Bardzo rzadko zdarzało mi się postawić stopę w szpitalu, nigdy ze względu na siebie. Przychodziłam tu tylko na lowy. Z lekarzy i pielęgniarek były przerażające zombie.

Przed nami, przy stanowisku pielęgniarek, stała grupka kobiet nachylonych nad rozpiską na kontuarze.

- ...koszmar! - usłyszałam głos jednej z pielęgniarek. - Dziś nad ranem na całym Bliskim Wschodzie mieli trzęsienia ziemi. Czerwony Krzyż zacznie zaraz szukać ochotników.

- Ja zrobiłam swoje po **Katrinie** - zauważyła inna. - Ale to w Stanach. Nie pojedę za granicę. Moje dziecko chodzi do szkoły.

- Następna będzie Góra Świętej Heleny - wtrąciła się trzecia kobieta ze szczyptą ponurego rozbawienia. - W Seattle dawno nie trzęsło.

- A może szarańcza spadnie z nieba - szepnął mi na ucho Naganiacz. - Albo woda zamieni się w krew.

Spojrzałam na niego ostro. Staralam się zrozumieć, kim on jest.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że winę za trzęsienie ziemi ponoszą demony?

Wygiął usta w podkówkę. - Użyj wyobraźni. Wbiłam w niego wzrok.

Usłyszałam znajome, ostrożne stukanie. Odwróciłam się. W drzwiach sali przy długim korytarzu stanął Grant. Zamarłam. Był w dzinsach i wyblakłej, granatowej bluzie. Miał potargane włosy. Oparł się ciężko o laskę i patrzył to na mnie, to na Naganiacza.

W końcu skupił wzrok na moim „opiekunie”. Z wyjątkową uwagą studiował jego czubek głowy, niczym wilk, który się szykuje do skoku. Obaj przypominali wilki. Pielęgniarki przerwały rozmowę i zaczęły się na nas gapić.

Szybko ruszyłam w stronę Granta. Zerknął na czubek mojej głowy - moja aura, moje serce wyeksponowane jak na dłoni. Gdy do niego dotarłam, kolana się pode mną ugięły. Objął mnie w pasie i tak mocno do siebie przytulił, że zabrakło mi tchu. Zamknęłam oczy. Serce mi łomotało. Przyłożył wargi do moich włosów.

Zostałam w jego objęciach tylko przez chwilę. Nieodpowiednia pora, nieodpowiednie miejsce, na oczach niewłaściwych ludzi. Spojrzałam na niego przelotnie, jednak na tyle długo, by zauważyć nowe zmarszczki. Cofnął się i przepuścił mnie do sali. Weszłam i obejrzałam się za siebie. Naganiacz już się zbliżał. Poruszał się jak cień. Gdy mijął Granta, gdy zobaczyłam ich blisko siebie, obleciał mnie strach. Ale żaden z nich nic nie zrobił. Tylko wpatrywali się jeden w drugiego bez mrugnięcia okiem. Promieniowała z nich taka energia, że chłopcy zaczęli się wiercić przez sen.

To była pojedyncza sala, z przygaszonymi światłami i częściowo zaciągniętymi zasłonami. Byron leżał w łóżku. Wydawało się, że śpi. Jego rany zostały oczyszczone, ale był tak opuchnięty, że ledwo go rozpoznałam.

Grant wkuśtykał do środka i cicho zamknął drzwi.

- Maxine - mruknął, nie spuszczać z oczu drugiego mężczyzny. - Nic ci się nie stało?
- Nic - skłamałam.
- A gdyby coś się jej stało? - Naganiacz patrzył spod opuszczonych powiek, schowany za swoimi długimi włosami. - Myślisz, że miałbyś ze mną jakieś szanse? Z jedną nogą?

Usta Granta zadrżały w kąciuku.

- Pożałowałbyś, że się w ogóle urodziłeś.

Naganiacz się uśmiechnął - z goryczą, brzydkiem, porażająco, straszliwie - po czym posłał mi spojrzenie pełne odrazy i nienawiści, aż mnie ciarki przeszły. Grant zrobił krok w jego kierunku. Złapałam go za rękę.

- Nie warto - powiedziałam, wbijając wzrok w Naganiacza. - Szkoda sobie nawet tym głowę zaprzętać.

Dostrzegłam to tylko dlatego, że patrzyłam mu prosto w oczy. Coś w nich przelotnie zamigotało. Uznałam nawet, że może to jedynie wybryk mojej wyobraźni.

Zraniłam go.

Po chwili na jego twarzy znów malował się ten sam stary gniew. Odwróciłam od niego wzrok i spojrzałam na Byrona. Podeszłam do łóżka i ściągnęłam rękawiczkę. Dotknęłam ręki chłopca. Raw zaczął się niespokojnie wierzyc. Grant stanął obok mnie, silny i ciepły. Przez ramię miał przewieszony flet w miękkim, aksamitnym futerale w kolorze nieba o północy. Instrument marki Muramatsu z dwudziestoczte-rokaratowego złota odrobinię wystawał z pokrowca. To był najcenniejszy flet Granta, zrobiony na zamówienie. Rzadko używał go publicznie, zwłaszcza w przytulku. Za bardzo rzucał się w oczy; za duża pokusa dla złodziei.

- Zrobili mu rezonans magnetyczny - powiedział Grant. - Skończyli jakieś pół godziny temu. Właśnie się minęłaś z lekarzem. Nie wykryli obrzęku. Mózg chyba nie jest uszkodzony. Ale dali chłopcu środek nasenny, bo nie chciał siedzieć spokojnie. Od samego początku się szarpał, żeby się stąd wydostać. Zanim jeszcze zabrali się do czyszczenia ran.

Oparłam się o jego ramię.

- Nie odbierałaś komórki. Martwiłam się.

- Lekarz kazał wyłączyć telefon.

- A policja? Miałaś do nich zadzwonić.

Na jego wargach pojawił się słaby, kpiący uśmiešek.

- Wiedziałem, że się zjawisz. Nawet gdyby była tu policja. I tak się stało.

- A jeśli bym nie przyszła?

- W ogóle nie brałem tego pod uwagę. Znam cię, Maxine Kiss. Wiem, z jakiej gliny jesteś ulepiona.

Jak na mój gust, to trochę za bardzo przypominało słowa Sarai. Zrobiło mi się nieswojo.

Nigdy nie uważałam się za dobrego człowieka. Nigdy się tak nie czułam. Nie byłam nawet sprawiedliwa.

Jedynie... pełna poświęcenia. Dziewczyna, która ma zadanie do wykonania. Dziewczyna z misją. Matka nie pozwalała mi inaczej o sobie myśleć. Jej zdaniem to namieszałoby mi w głowie. Mogłabym zapomnieć o priorytetach. Zachłysnąć się sławą i stracić z oczu to, co najważniejsze. A to, co najważniejsze, jak mówiła, zawsze ma pierwszeństwo. Bez względu na wszystko.

- Jest coś, co powinnaś wiedzieć - odezwał się Grant.

- O Byronie? Zawahał się.

- Nie... Może.

Spojrzałam na niego. Za naszymi plecami skrzypnęły drzwi. Spodziewałam się zobaczyć pielęgniarkę. Odwróciłam się i kolana się pode mną ugięły. Niemożliwe.

W drzwiach stał Jack. Miał pogniecione ciuchy i potargane białe włosy. W rękach trzymał mnóstwo kanapek i napojów. Chyba niespecjalnie się zdziwił na mój widok. Przeniósł wzrok na Naganiacza.

- Stary Wilk - powiedział mężczyzna. - Nadal mieszasz, co?

- Ojej - mruknął Jack.

- Pan Meddle pojawił się dwadzieścia minut po twoim telefonie - wyjaśnił ponuro Grant. - Próbowałem dzwonić do ciebie na komórkę. Ale nawet poczta się nie włączyła.

Nie przypominałam sobie żadnego nieodebranego połączenia. Spojrzałam z wyrzutem na Naganiacza, potem na Jacka.

- Co się stało? Skąd się tutaj wziąłeś? Starszy pan odstawił przyniesione jedzenie.

- Są sprawy, które trzeba załatwić osobiście. Poza tym wiedziałem, że wcześniej czy później się tu zjawisz.

- Osobiście? Wcześniej czy później? Uciekłeś. Sarai nie żyje.

A ja się o ciebie martwiłam, dodałam w myślach. Tak bardzo się bałam.

Jack mruknął coś pod nosem i zabrał się do układania kanapek owiniętych w folię w nieporządną stertę. Nie chciał podnieść na mnie wzroku. Ręce trochę mu się trzęsły.

- Na moim miejscu Sarai też by uciekła, zapewniam cię, Maxine. Jedno z nas musiało przeżyć. W przeciwnym wypadku sytuacja zrobiłaby się... bardzo niefortunna.

Słowo „niefortunna” nie najlepiej tu pasowało. Nadal czułam zapach krwi Sarai i siłę, z jaką ścisnęła mój przegub. Jej ból i determinację. Walkę do samego końca. Przepelnił mnie gniew.

- Nie wydajesz się załamany. Naganiacz skrzyżował ręce na piersi.

- A czemu by miał być załamany? To tylko skóra, Tropicielko. Awatar. Trudno, żeby go poruszyła śmiertelność.

Gdy to usłyszałam, zrobiło mi się gorąco i skręciło mnie w żołądku. Znowu czułam się tak, jakbym tonęła. Patrzyłam to na jednego, to na drugiego, a potem przeniosłam wzrok na Granta. Spodziewałam się zakłopotanej miny. Był odrobinę zmieszany, ale dominowała przede wszystkim bolesna rezygnacja. Przyszło mi do głowy, że on już słyszał tę opowieść.

Podniósł na mnie wzrok i słabo wzruszył ramionami. Zagryzłam zęby.

- Niech mi... to... ktoś... wyjaśni.

Zapadło ciężkie milczenie. Znowu dotknęłam dłoni Byrona.

- Twarda z niego sztuka. Dojdzie do siebie - odezwał się Jack.

Spojrzałam na niego ostro.

- Chcę wiedzieć, kim jesteś.

Jack zaczął skubać folię na kanapce. Sprawiał wrażenie zwykłego starszego pana. Eleganckie spodnie i tweed. Nadal całkiem przystojna twarz. Gdyby nie to, co widziałam i słyszałam o nim, uznałabym, że chyba całkiem mi odbiło, że w ogóle zadaję te pytania. Że wyobrażam sobie, iż ten człowiek nie jest tym, na kogo wygląda: słodkim, błyskotliwym, niezdarnym, trochę nieśmiałym staruszkiem. Człowiekiem, którego z rozkoszą nazwałabym swoim dziadkiem. Nadal liczyłam na to, że nim jest. Że łączą nas więzy krwi.

Wiedziałam jednak, że wygląd bywa zwodniczy. Zombie też to wykorzystują. Tym razem to ja dałam się nabrać. **To mnie zrobiono w konia.**

Jack wpatrywał się w swoje dłonie, tak jak wcześniej Sarai, jakby ich nie rozpoznawał, jakby były ciężarem albo cudem, czymś zupełnie nowym i obcym.

- Jestem człowiekiem. W tym życiu. Byłem człowiekiem wiele razy, przez długi czas. I innymi stworzeniami.

Ale teraz, tutaj, jestem Jackiem Meddle'em. Tą skórą.

Serce zatrzepotało mi w piersi.

- A pod nią? Zacisnął szczęki.

- Jestem... czymś innym.

Grant nachylił się nade mną nisko.

- Dostrzegam wielopoziomową aurę. Składa się z dwóch warstw, które nakładają się na siebie. Wydawało mi się, że mam zwidy.

Jackowi wyrwał się słaby protest.

- Chłopcze, w ogóle nie powinieneś tego zauważać. Twoje oczy widzą za dużo.

- Moje oczy są w porządku. Widzą prawdę. Nic złego w tym.

- To zależy. - Starszy pan przyglądał się Grantowi badawczo, co mnie zaniepokoiło. W końcu przesunął wzrok na mnie. - To ciało jest awatarem. Moją skorupą. Tak jak u każdego człowieka na tej czy innej planecie. To tylko skorupa. **Dom duszy.**

- Dusza - powtórzyłam.

- Dusza to skupiona energia. Myśląca energia. Mój gatunek już dawno nauczył się, jak żyć jako czysta energia.

Nie mogłam skoncentrować się na jego słowach. Miałam mętlik w głowie. Jak gdyby Jack zamienił się w ogień, a ja byłam koniem uwięzionym w stajni, który czuje dym. Bez wyjścia. Chętnie bym mu powiedziała, że gada bzdury, ale nie potrafiłam. Jego oczy wyrażały tyle prawdy. Coś w środku mi mówiło, że ja to wszystko wiem.

To mnie przerażało. Czułam się tak, jakby mnie pochłaniał świat. Zaczęłam gwałtownie przebierać palcami u nóg, aż do bólu. To mi przypominało, że stoję na ziemi. Twardej. Że jestem tu i teraz.

Wolno wypuściłam powietrze z płuc.

- Skąd wzięłeś to ciało?

Jack zamrugnął z namysłem. Naganiacz parsknął brzydkim śmiechem.

- A skąd biorą je pasożytnicze demony, Tropicielko? Grant musnęła mi plecy dłonią. Nie spojrzałam na niego. Przeszył mnie dreszcz.

- Opętałeś tego człowieka?

- Nie. - Jack popatrzył ostro na Naganiacza. - Urodziłem się nim.

- Urodziłeś się?

- Wszedłem w to ciało w macicy, parę miesięcy przed narodzinami. By uniknąć konfliktu osobowości.

Chciałam usiąść. Ścisnęłam ciepłą, bezwładną dłoń Byrona, po czym ją puściłam i złapałam się szczebelków łóżka. Bolała mnie głowa. Od wczoraj byłam w kiepskim stanie, od momentu gdy poczułam, że zasłona się rozsuwa. Cichy ból pulsował za oczami. Jakby mój mózg naprężył się z wysiłkiem, żeby coś dostrzec.

Zamknęłam oczy.

- Sarai?

- Żyje. Gdzieś.

Gdzieś. Nie bardzo wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać.

- A Byron? Jest skórą? Tak, powiedział zombie, który go pobił.

Jack się zawahał.

- Pomylił się. Chłopiec był kandydatem, przez chwilę, ale z niego zrezygnowano. Demon pewnie wyczuł echo tego kontaktu.

- Niezły zbieg okoliczności. Byron zaprzyjaźniony z eks-mężem Sarai? - Nachyliłam się do przodu. W gardle rósł mi gniew. - Jaką ty grę prowadzisz, panie Meddle?

- Żadną - odparł z naciskiem. - Przysięgam.

- A Ahsen? Wzdrygnął się.
- Skąd znasz to imię?
- Jest jedną z was?
- Od kogo słyszałaś to imię? - nie ustępował.
- Od Krwawej Mamuśki. Zbladł.
- Owszem, moja droga. To mały skórnik.
- Ona chce twojej śmierci.
- Naprawdę? Jak miło. Zrobiłam krok w jego stronę.
- Przestań. Nie bagatelizuj tego. Już zginęli ludzie. Inni zginą. A wy... nie jesteście lepsi od demonów. Kradniecie ciała - mówiłam niskim, chrapliwym tonem. Szarpało mną gorzkie rozczarowanie. - Co mam zrobić, Jack?

Wcale nie zamierzałam zadać tego pytania. Chciałam powiedzieć: Jak mogę ją powstrzymać? Albo: Jakie ma słabe punkty? Lecz wyrwały mi się te proste, płaczące słowa. Poczulałam się jak dziecko, które prosi wioskową starszysznę o poradę. Zarumieniłam się ze wstydu, ale już nie mogłam cofnąć pytania. Ujawniło, jaka się czuję słaba. I samotna.

Jack przyglądał mi się, milcząc. Jego oczy ginęły w cieniu.

- Musisz uważać, moja droga. Stąpaj ostrożnie. Nasz skórnik budził kiedyś wielki respekt. To się zapewne nie zmieniło.

- Czemu cię wczoraj nie zabiła? Gdy pierwszy raz poczuł się jej obecność w galerii?

Starszy pan się zawahał.

- Ciało nic nie znaczy. Zabij je, a ja po prostu się wycofam i narodzę na nowo. Dużo trudniej zniszczyć mnie samego, to co się kryje głębiej.

„Jeśli wiesz, czego chce Ahsen, możesz to przeciwko niej wykorzystać”, powiedziała Krwawa Mamuśka.

Tak jak śmierć Sarai. Nie była niczym więcej niż odwróceniem uwagi. Sposobem, żeby podtrzymać głód Ahsen, zatrzymać tutaj. Zyskać na czasie, abym wymyśliła, co należy zrobić.

- Ale jak w ogóle mogłaby cię zabić? - zapytałam Jacka. - Skoro to takie trudne?

Staruszek nic nie powiedział. Naganiacz zaśmiał się cicho.

- On ci nie ufa, Tropicielko.

- Albo tobie - odgryzłam się, choć mnie to dotknęło. - Jack, muszę wiedzieć, jak zapewnić ci bezpieczeństwo.

- Tym się nie martw - mruknął, zerkając na Byrona. - Umiem się ukryć przed skórnikiem. Zwłaszcza teraz, gdy wiem, że mnie szuka.

- Czemu nie zrobiłaś tego wcześniej? Gdy Sarai jeszcze żyła?

- Arogancja - odparł. - Poza tym nie spodziewałam się... interwencji z zewnątrz.

Wszystko dobrze, ale jeśli Ahsen nie zdoła znaleźć Jacka, to pewnie skupi się na mnie. Ucieczka z miasta nie bardzo mi pasowała. Nie miałam pojęcia, ile o mnie wie Ahsen. Może spróbuje użyć innych przeciwko mnie.

Stojący obok mnie Grant drgnął. Z zatroskaną miną przenosił wzrok z Byrona na Jacka. Naganiacz też się przyglądał chłopcu, ukradkowo, jakby coś mu nie dawało spokoju.

- Jack - odezwałam się wolno. - Wsadziliście Ahsen do więzienia. Zamknęliście ją tam razem z demonami. Zrobiliście to istocie własnego gatunku.

Naganiacz oderwał wzrok od nastolatka.

- Naprawdę nieżył z ciebie drań, Stary Wilku. Nie zareagowałam na to i skupiłam się na Jacku.

- Dlaczego? Co ona takiego zrobiła?

Starszy pan odwrócił wzrok i lekko się zarumienił.

- To, czym sobie zasłużyła na więzienie, jest już teraz bez znaczenia. Jej nie da rady pokonać. Nie ma ciała, które można by zranić. Nie jest w żaden fizyczny sposób powiązana z tym światem.

- Na pewno się mylisz.

- Bardzo bym chciał, moja droga - odparł z namysłem. Zastanowiłam się i spojrzałam na Naganiacza.

- Czy Oturu by sobie z tym poradził? Ciemna brew zatańczyła.

- Sama go o to zapytaj.

- Pytam ciebie. Jestem przecież jednym z nich, prawda? Awatarem?

- Absolutnie nie - odparł zimno Naganiacz. - A co do Oturu, jeden zabójca potrafi przeniknąć umysł drugiego.

Nie potrzebujesz mojej pomocy.

Wbiłam w niego wzrok. Czulałam, jak narasta we mnie zimny gniew. Naganiacz spojrzał mi prosto w oczy - śmiało, wyzywająco - lecz nie miałam najmniejszych wątpliwości. Nie popuszczę.

Nie wytrzymał mojego spojrzenia. Najpierw zamrugał, potem odwrócił wzrok. Ale nie triumfowałam. Byłam zmęczona. Grant przysunął się tak blisko, że dotykał mnie ramieniem. Delikatnie, przelotnie, ale pewnie. Byłam mu za to wdzięczna. Mój jedyny prawdziwy przyjaciel. Tylko na niego mogłam liczyć.

- Jack - powiedziałam. - Nie mogę pozwolić Ahsen wrócić za zasłonę. Ale też nie wolno mi jej kręcić się tutaj. Pozostaje więc jedno rozwiązanie.

- Nie złapiesz jej, moja droga.
- Budowniczo wieżenie. To twój gatunek.
- Dawne czasy. Ta moc minęła. Grant oparł się ciężko o łaskę.
- Wygląda na to, że rezygnujesz z oporu. Jack posłał mu piorunujące spojrzenie.

- Chłopcze, gdybym chciał się poddać, porzuciłbym ten świat dziesięć tysięcy lat temu.

Na Grancie to chyba nie zrobiło większego wrażenia. Spojrzał na mnie. Od razu wiedziałam, o czym myśli.

- To zbyt niebezpieczne - stwierdziłam.

- A widzisz jakieś inne wyjście? - Uśmiechnął się ponuro. - Krwawa Mamuśka próbowała mnie opętać, bo się mnie boi. Jeśli ta Ahsen należy do tego samego gatunku co Jack, z nią będzie identycznie. Energia to energia, Maxine.

Przeraziła mnie sama myśl o tym, że miałby się znaleźć w pobliżu Ahsen. Nie poznałam pełni jej możliwości, ale to, co widziałam, aż nadto wystarczyło. Zabójcza, bezlitosna. Zabiłaby Granta, zanim zdążyłby podnieść flet do ust. Pokręciłam głową.

- To ostateczne wyjście.

- Nie. Jeśli mi się nadarzy okazja, to z niej skorzystam. Może zdołam przez to wszystko przebrnąć bez dodatkowej przemocy.

Mało prawdopodobne, ale to nie było miejsce, by o tym dyskutować. Mielśmy świadków. Obaj wpatrywali się teraz w Granta jak w jakąś nieznaną bestię z rogami, ogonem i armią śpiewających biedronek na głowie. Nie podołało mi się to ani trochę.

Byron się poruszył. Chyba rozmawialiśmy za głośno. Wstrzymałam oddech. Prawe oko chłopca, to niespuchnięte, otworzyło się. Spojrzał na mnie, jęknął, po czym oko znów się zamknęło. Oddech się uspokoił. Wolno wypuściłam powietrze z płuc.

- Musimy go stąd zabrać - mruknęłam do Granta. - Tu nie jest bezpiecznie.

I to nie tylko dlatego, że Byron okazał się celem, tymczasowym czy nie. Po prostu czułam taką przemożną potrzebę, silną i dogłębną, niemal jak oddychanie.

Oczy Granta pociemniały porozumiewawczo.

- Już pytałem. Nie wypiszą Byrona, dopóki się nie upewnią, że już wydobrzeł po wstrząśnieniu mózgu. Trudno się nie zgodzić z lekarzami.

Jack odchrząknął cicho.

- Okoliczności się zmieniły. Gdy... się tu zjawilem, pozwoliłem sobie wyleczyć wewnętrzne obrażenia dzieciaka. Można go stąd ruszyć... jeśli tego właśnie chcecie.

Grant i ja wpatrywaliśmy się w starszego pana. Naganiacz uśmiechnął się kwaśno ze wzrokiem wbitym w swoje buty, jakby nagle ogarnęła go ogromna fascynacja czarną skórą. Może w ten sposób chciał pokazać, że nadal czuje urazę.

Zagryzłam policzek od środka. Miałam pytania, ale one mogły poczekać.

- Grant, zajmiesz się lekarzem? Przekonaj go, że Byrona można już wypuścić.

Zawahał się. Nadal wpatrywał się w Jacka.

- Daj mi dziesięć minut.

Po chwili wykuśtykał z sali. Czekałam na jego powrót w niezręcznej ciszy. Surrealny, zły sen. Byłam otoczona obcymi i obcością. Jack gapił się w ścianę. Miał zmarszczone czoło, poruszał wargami, jakby z kimś rozmawiał.

Naganiacz usiadł na krześle i nawet to zdołał zmienić w akt agresji. Podniósł na mnie ciężki wzrok. Nie potrafiłam go rozszyfrować. Jego ignorancja i nienawiść do mnie były zagadką. Nie wiedzieć czemu to mnie bolało. Brak słów. Brak odwagi.

Chłopcy mi pomagali. Śnili na skórze. Moi mali przyjaciele.

Ale w głębi serca pozostawałam samotna. Nigdy w życiu nie czułam się tak osamotniona.

Wzięłam Byrona za rękę, a drugą sięgnęłam do tylnej kieszeni i wyjęłam kamienny dysk. Ciepły. Z lśnącymi, perłowymi liniami, jakby wypychanymi na powierzchnię przez ciemny, miękki kamień. Srebro połyskiwało w koncentrycznych liniach. Położyłam sobie kamień na kolanach i przejechałam po nich palcem. Zakreśliło mi się w głowie.

Duża, pomarszczona dłoń złapała mnie za przegub. Jack. Nie usłyszałam, jak się poruszył. Spojrzałam mu w oczy. Krył się w nich niepokój.

- Nie tutaj, moja droga. Zamrugalam.

- Co nie tutaj?

- Nie oglądaj tego tutaj. - Wskazał głową na kamień. - Podarunek od twojej matki to więcej, niż ci się zdaje.

- Ahsen też tak uważa - wymamrotałam. Jack się wzdrygnął.

- Ona to widziała?

- Dotknęła kamienia.

Przestraszyłam się, że moje słowa go zabiją. Twarz starszego pana aż poczerwieniała z wielkiego wysiłku, jakby walczył o to, by się nie rozsypać na kawałki. Zrobiło mi się sucho w ustach. Czułam, że Naganiacz się na nas gapi. Bałam się jednak na niego spojrzeć. Nie byłam w stanie. Wydawało mi się, że jeśli to zrobię, Jack zniknie. Rozprysnie się jak szkło.

- Ojej - wydyszał. - To niefortunne.

- Jack - szepnęłam i poczułam, że chłopcy wiercą mi się na skórze.
Podniosłam kamień i wbiłam w niego wzrok. Myślałam o matce. Przesunęłam oczami po liniach. Uważnie przyglądałam się tym srebrzystym żyłkom, udawałam, że jestem na ścieżce, że trwam. Wojownik i labirynt. Wiadomość zza grobu. Znowu zakreśliło mi się w głowie, ale z uporem patrzyłam dalej. Wciąż widziałam twarz matki. Jack coś powiedział. Naganiacz też.

I wtedy, zupełnie nagle, już nie byłam w szpitalu.
Pusta ulica. Noc. Zimny wiatr.
Obok mnie stała matka.

Rozdział 14

Moja matka.

Zawołałam ją, ale nie usłyszała. Ze skupieniem wpatrywała się w jakiś punkt w oddali. Chciałam dotknąć jej ramienia, lecz moja dłoń przeszła przez ciało. Spróbowałam jeszcze raz. Czulałam się jak ptak, który wleciał z rozpędem na okno i połamano sobie wszystkie kości. Głupi jak but. Za wszelką cenę usiłował przedostać się na drugą stronę.

Nicość. Nie istniałam. Byłam duchem. Albo ona. Zresztą to bez znaczenia.

Byliśmy razem.

Młodsza niż ją zapamiętałam. Z promienną twarzą. Radosna i pełna życia, surowej energii. Nigdy tego nie dostrzegłam u siebie, patrząc w lustro. Piękna. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że można jej nie kochać. Nie potrafiłam sobie wyobrazić takiej siły na ziemi lub za więzienną zasłoną, która potrafiłaby się jej oprzeć. Wcielenie siły natury. Niezwykła.

Poza tym była w ciąży.

Ogromna, gotowa eksplodować. Miała na sobie gruby sweter, bezkształtną hawajską sukienkę muumuu i kowbojki. Dek z Malem leżeli zwinięci nisko na jej ramionach, a Zee i reszta kręcili się wokół niej niczym stado demonicznych wilków. Na brzuchu trzymała strzelbę jak świętą relikwię.

- Jeszcze krok, a rozwalę ci czaszkę - powiedziała w kierunku cienia.

- Tropicielko - zbeształa ją cicho jakaś kobieta. - Masz na to za dużo oleju w głowie.

Matka zmrużyła oczy.

- Nie zjawiałabyś się tu, gdybyś nie chciała się dogadać.

- Przyszłam tylko, żeby ci przekazać wiadomość. Osobiście, bo cię lubię.

Postać wyłoniła się z cienia. Rude włosy, długi, szkarłatny płaszcz. Aura tak ogłuszająca, że ledwie dostrzegłam opętaną kobietę w wyziewach demonicznej energii.

Inna twarz, ale aurę znałam.

- Krwawa Mamuśka - mruknęła matka. - Do rzeczy.

- Chodzi o twoje dziecko - zaczęła królowa zombie. - Więzienie się wali, Tropicielko. Ona będzie ostatnia.

- Odgrzewana historyjka. Mojej matce powiedziałaś to samo.

- Ale ty to teraz czujesz. W kościach, w sercu. Twoja córka obwieści ostatnie tchnienie tego świata.

Na ustach matki zatańczył chłodny uśmiech.

- Czyżbym dostrzegła w twoich oczach strach?

- Dobrze wiesz, że tak - przyznała królowa zombie. - W twoich oczach czai się ten sam strach. Obie jesteśmy matkami, Tropicielko. Bez względu na to, jak rozbieżne są nasze interesy.

Dłoń matki zacisnęła się na strzelbie.

- I co z tego?

- Ten świat przetrwa lub umrze. To zależy od siły twojej córki. Proste jak drut.

- Zero presji, co?

- Od tego, jak ją wychowasz...

- To moja sprawa. Tobie nic do tego.

- A jeśli okaże się za słaba? Jeśli jej serce nie pomieści bestii?

- No to masz przechlapane - odparowała matka. - A ja będę się tarzać ze śmiechu w niebie.

Krwawa Mamuśka zacisnęła wargi.

- Nie wolno ci popełnić błędów - wycodziła. - Ona będzie inna.

- I całe szczęście.

Znałam jednak tę minę. Matka coś ukrywała. Krwawa Mamuśka zmrużyła oczy i zakołysała się do przodu. Aura prawie zupełnie pochłonęła ciało jej żywicielki.

- Jolene - wyszeptala. - Za dlugo razem tańczyliśmy, by mieć przed sobą sekrety. Co przede mną ukrywasz?
- Coś, co już i tak wiesz - odparła cicho matka. - Coś, czego nie możesz zdradzić nikomu za zasłoną, bo dobrze zdajesz sobie sprawę, co by się stało. Co by zrobili.

Krwawa Mamuśka znieruchomiała. Nawet jej aura zamarła. Złodowaciała.

- Kto ci to powiedział?

- Nieważne. Ale teraz to rozumiem. - Matka nachyliła się do przodu. Jej wargi się rozciągnęły. To bardziej przypominało warknięcie niż uśmiech. -1 ona też to zrozumie. Dowie się, czym jest. Gdy to nastąpi... Lepiej bierz nogi za pas. Pakuj się i spieprzaj z tego świata. Bo on już przestanie być twój. To będzie jej świat.

Krwawa Mamuśka odrzuciła głowę do tyłu. Zadrzała.

- A ty, Zee? Co ty masz na ten temat do powiedzenia? Matka zamarła. Lecz Zee jedną ręką otoczył jej nogi, a drugą delikatnie położył na nabrzmiałym brzuchu. Raw i Aaz też wtulili się matce w kolana. Groźny pomruk Deka i Mała zabrzmiał niczym zapowiedź nadchodzącej burzy.

- Ona należy do nas - oznajmił arogancko Zee. - A my do niej. Bez względu na wszystko i wszystkich.

Królowa zombie miała taką minę, jakby zbierało jej się na wymioty.

Sentymenty do ciebie nie pasują, mały. One cię osłabiają.

- Ach - zawołała wesoło matka. - No to sprawdźmy kto przetrwa, gdy runą mury, co? Bo ty, skarbie, umrzesz... a moja mała, moja słodka, śliczna dziewczynka będzie nadal walczyć. Po czym podrzuciła strzelbę i wypaliła żywicielce Krwawej Mamuśki prosto w głowę.

Straciłam ją. Nie zdążyłam się pożegnać. Jak wtedy, gdy zmarła.

Zapanowała ciemność, potem pojawiło się światło. 1 Otworzyłam oczy.

Siedziałam na kanapie. Nogi mi z niej zwisały, głowa | się kiwała. Z kącika ust ciekła ślina. Widziałam sufit i gór-] ne półki z książkami. Znajomy widok. Byłam z powrotem j w mieszkaniu.

Nie sama. Grał telewizor. Na krawędzi pufa siedział Naganiacz z łokciami na kolanach i oglądał wiadomości. 1

Byłam mocno otumaniona. W dodatku nie spodziewałam się go tu zobaczyć, więc mogłam tylko się na niego gapić. Chyba nie zauważył, że się obudziłam. Podobnie jak pielęgniarki w szpitalu wydawał się pochłonięty informacjami o zniszczeniach w południowo-wschodniej części Iraku. Tysiące ludzi zginęło. Podejrzewano, że pod gruzami kryją się kolejne tysiące. Ratownicy nie nadążali z niesieniem pomocy. Noc nie ułatwiała poszukiwania ludzi uwięzionych pod gruzami.

- To twoja wina. - Naganiacz odwrócił głowę na tyle, by posłać mi ostre spojrzenie, od którego przeszył mnie dreszcz strachu.

Nie miałam pojęcia, jak się tu dostałam ani co właśnie zaszło, ale nadal przepelniały mnie wspomnienia o matce, zagubionej na ciemnej drodze, ze mną u boku. Spojrzałam Naganiaczowi prosto w oczy.

- Przestań do mnie mówić pieprzonymi zagadkami - warknęłam.

Wpatrywał się we mnie dłuższą chwilę, po czym wolno wstał. Nie ruszyłam się z miejsca. Nadal patrzyłam mu w oczy. Sunął do przodu, każdy krok pełen zimnego wdzięku. Nagle zatrzymał się gwałtownie, jakby znalazł się na krawędzi klifu. Skaleczenie na twarzy - tam, gdzie dotknęły go włosy Oturu - nadal było mocno zaczerwienione.

- Chcesz się czegoś napić? - zapytał.

- Gdzie Grant z Byronem? I Jack?

- Nie wiem - odparł. - Pewnie zaraz się zjawią.

Jego odpowiedź nie brzmiała lekceważąco. I tylko dlatego na to nie zareagowałam. Usiadłam, wytarłam sobie ślinę z twarzy wierzchem dłoni.

- Czemu mnie tu przywiozłeś?

- Zemdlałaś. Stary Wilk chciał, żeby cię stamtąd zabrać.

- Coś mi się stało.

To było jednocześnie stwierdzenie i pytanie. Czekałam, aż sam wybierze. Lubił mieć kontrolę. Rozumiałam powody. Zresztą domaganie się odpowiedzi nie pomoże mi ich uzyskać.

Spuścił wzrok. Na podłodze obok kanapy zobaczyłam kamienny dysk, ten mały labirynt, wypełniony lśniącymi zwojami, jakby inkrustowany czarną masą perłową. Naganiacz uklęknął i wyciągnął nad nim rozprostowaną dłoń. Wyglądało to tak, jakby wchłaniał promieniujące z niego ciepło.

- To twoja odpowiedź. Kamień?

- Ten kamień... to magiczny krąg, Tropicielko - rzucił z pogardą. - Zresztą możesz to sobie nazywać, jak chcesz. Ma tyle imion, że nie da się zliczyć.

Zsunęłam się z kanapy i usiadłam na podłodze obok Naganiacza.

- Do czego służy?

Nachylił się nad dyskiem, niemal z czułością. Teraz, gdy nie patrzył na mnie, jego spojrzenie było miękkie, pełne szacunku. Zadziwiająca wrażliwość. Wstrzymałam oddech.

- Magiczny krąg gromadzi wspomnienia - wyjaśnił z powagą. - Twoje albo kogoś innego. W zależności od rozmiaru można na nim zapisać więcej lub mniej. Duży magiczny krąg, na przykład wielkości ściany, pomieści czyjeś całe życie. Stanie się odciskiem duszy tej osoby. Ten tutaj... zawiera może z rok. Albo wspomnienia z całego życia, które złożyłyby się na rok.

Chwilę zabrało mi przetrwanie jego słów. Nadal czułam się zagubiona.

- Nie rozumiem. Jak można zapisać wspomnienia w kamieniu?

- Myśl to energia - oznajmił Naganiacz takim tonem, jakby tłumaczył najbardziej oczywiste zjawisko pod słońcem. - Zresztą to nie jest zwykły kamień. To fragment Labiryntu.

Gapiałam się na niego tępo. Uniósł brew.

- Zasady fizyki, Tropicielko. Mechanika kwantowa. Teoria światów równoległych. Rzecz tylko w tym, że to nie teoria, a Labirynt to nie jakieś tam dróżki wydzielone żywoplotem. To miejsce pomiędzy, poza czasem, poza przestrzenią. To skrzyżowane dróg łączące wszystkie światy i wymiary. - Jego oczy pociemniały od kpiny. - Zapewne zdajesz sobie sprawę z tego, że Stary Wilk i jemu podobni wzniesli więzienną zasłonę po wojnie z demonami? Załamania rzeczywistości to ich specjalność. Podobnie jak Labirynt.

Wpatrywałam się w niego intensywnie. Czyżby próbował mnie okłamać?

- To nieprawda.

Opadł do tyłu. Na jego wargach tańczyło pełne goryczy rozbawienie.

- Kobieta pokryta żyjącymi tatuażami, które odrywają się od jej skóry po zachodzie słońca... To też nieprawda? Czy to możliwe, by istniała istota z nożami zamiast stóp, która tańczy, gdy zabija? Albo starzy ludzie noszący ludzkie skóry niczym wygodne płaszcze? - Skrzywił się gorzko. - Żyjesz w świecie pełnym cudów, Tropicielko, ale żadnego z nich nie dostrzegasz. Twoje życie jest tak małe jak ten magiczny krąg.

- Przestań - powiedziałam cicho. - Tam jest moja matka. Nie bagatelizuj tego.

Odwrócił wzrok. Miał zaciśnięte szczęki. Za jego plecami, w telewizji migaly obrazy zniszczenia i ruiny: błyski, płaczące dzieci, wynędzniałe, spocone, przerażone twarze. Kilka lat temu południowo-wschodni Iran ucierpiał od innego trzęsienia ziemi. Zginęło półtora tysiąca ludzi, może więcej. Nawet teraz, tutaj, w środku tego całego bałaganu, nie potrafiłam myśleć o tym obojętnie.

- Powiedziałeś, że to moja wina. - Oderwałam wzrok od telewizora i spojrzałam na Naganiacza. - Co to znaczy?

- Nie zrozumiałabyś tego. - Dźwignął się na nogi i wskazał magiczny krąg. - Chroń to za wszelką cenę, Tropicielko. Nie tylko ze względu na matkę, ale też ze względu na sam kamień. Kawalki Labiryntu to odpryski prawdopodobieństwa. Nie ma nic groźniejszego niż „być może”.

Wzięłam dysk do ręki. Był ciepły. Pulsował. Przycisnęłam go do piersi. Myślałam o matce - chciałam zobaczyć więcej. Desperacko tego pragnęłam.

Nic się nie wydarzyło. Naganiacz odwrócił się ode mnie i podszedł do telewizora. Wbił wzrok w ekran.

Przyłożyłam sobie kamień do policzka, po czym schowałam go do kieszeni. Wyjęłam komórkę i wystukałam numer Granta. Odebrał po drugim dzwonku.

- Maxine - wydyszał.

- Nic mi nie jest - zapewniłam świadoma tego, że Naganiacz się przysłuchuje. - A tobie?

- Siedzimy w samochodzie. Byron, ja, Jack. Jedziemy do domu.

Wolno wypuściłam powietrze z płuc.

- Jakież kłopoty?

- Tylko z tobą. Jesteś bezpieczna?

- Na ile to możliwe. Przyjeżdżajcie.

- Trzymaj się - powiedział, a w tle usłyszałam jakiś półprzytomny, młodszy głos. - Zaraz będziemy na miejscu.

Skończyliśmy rozmowę. Zorientowałam się, że Naganiacz patrzy na mnie, a nie na ekran.

- Co? - zapytałam.

Na czole pojawiła mu się słaba zmarszczka.

- Twój facet. Kim on jest?

- Daruj sobie.

- To proste pytanie.

- Nie. - Nachyliłam się i spojrzałam mu prosto w oczy. - Zrób mu krzywdę, nawet na niego popatrz nie tak, a nogi ci z dupy powyrywam.

Uśmiechnął się półgębkiem.

- I co, zatłuczysz mnie nimi na śmierć?

- Chłopcy się tym zajmą.

Naganiacz uśmiechnął się odrobinę szerzej.

- Kim on jest?

Sięgnęłam pod płaszcz. Wymacałam noże matki. Naganiacz stanął do mnie plecami i spojrzał w telewizor. Wodospad ciężkich włosów spadał mu na ramiona. Nie rozluźniłam się. Wstałam, podeszłam do niego. Zerknęłam kątem oka. Spoważniał, posmutniał. Była w nim teraz jakaś głębia, przenikliwość. I bezradność, na której widok zapomniałam o tych wszystkich pełnych nienawiści słowach i wspomnieniach, o uprzedzeniach. Naganiacz narodził się na nowo w mojej głowie. Nadal jednak nie potrafiłam go do końca rozgryźć.

- Chciałbyś pomóc tym ludziom - zauważyłam. - Chciałbyś tam być.

- A nawet jeśli? - Dumnie spojrzał na mnie z góry. - Zrobiłabyś to, gdybyś mogła?

- Pojechała tam? - Zawahałam się.

Myślałam o Grancie i Jacku. O Byronie. O Ahsen krążącej na wolności. Naganiacz z odrazą pokręcił głową.

- To nie takie proste - broniłam się. - Jestem potrzebna tu i teraz.

- A tam nie? - Wpatrywał się we mnie uważnie. - Skąd to wiesz, Tropicielko? Ilu ludzi musi umrzeć, zanim nadejdzie koniec świata? Jedna? Tysiąc? A może pora przyjdzie dopiero, gdy przestanie bić ostatnie serce?

- Nie - odpowiedziałam ponuro. - Ale ja jestem tylko jedna.

- Ach - odparł. - Jak rozumiem, jedna osoba nigdy się na nic nie zdała, co, Tropicielko? Ostatnia Strażniczko samotnego, zniewolonego świata?

Wpatrywałam się w niego rozdarta. Po chwili wyciągnął do mnie rękę.

Znów pomyślałam o Grancie i Byronie. O Jacku. Jadą tutaj. Spodziewają się mnie tu zastać. Będą się martwić. Na ich miejscu wpadłabym w popłoch.

Mina Naganiacza stwardniała. Zaczął cofać rękę. Złapałam go za przegub i mocno zacisnęłam palce. Patrzyłam mu prosto w oczy.

Nie puściłam. Wyjęłam telefon i zadzwoniłam do Granta.

- Zamiana planów - powiedziałam.

Po drugiej stronie kuli ziemskiej panowała noc. Słyszałam krzyki. Widziałam błyski latarek. Czułam zapach dymu. Dobiegał mnie płacz dzieci. Wypatrywałam przed sobą rumowisko. Dusiłam się od kurzu, gryzącego smrodu krwi i jelit opróżnionych w chwili śmierci. Chłopcy oderwali się od mojego ciała, poleciecieli na ziemię; omal się nie przewróciłam. Wszystko mnie bolało.

Naganiacz stał przy mnie. Postanowiłam nie marnować czasu na zadawanie mu pytań, podobnie jak chłopcy. Usłyszałam jęk jakiejś kobiety. Ruszyłam za tym dźwiękiem, doprowadził mnie do stery kamieni i kabli. Świetnie widziałam w ciemnościach - lepiej niż ludzie. Zobaczyłam drgającą dłoń.

Pstryknęłam palcami. Zee i Raw zaczęli rozgrzebywać gruz. Aaz przemknął obok nich, węsząc niczym mały smok. Poszłam za nim, potykając się. Gdy zabrał się do kopania, bez słowa dołączyłam do niego. Dek z Małem zsunęli mi się z ramion i zniknęli w szczelinach zbyt małych dla moich dłoni. Chrząst miażdżonych kamieni. Ich szczęki przeżuwały i mielily. W kilka chwil zrobili sporą dziurę. Na ślepo sięgnęłam w głąb i pomacałam ziemię. Trafiłam na coś miękkiego - wypchaną zabawkę - a potem na małą dłoń.

Pociągnęłam delikatnie. Aaz zniknął w cieniu, by od dołu pomóc dziecku się oswobodzić.

Mała dziewczynka. Wzięłam ją na ręce. Zakasłała, rozplakała się. Ukołysałam ją na kolanach. Mai wyciągnął z czeluści szmacianą lalkę. Pstre gałgankowe ramię tkwiło mu między ostrymi zębami. Podałam dziewczynce lalkę i wstałam. Naganiacz wpatrywał się we mnie intensywnie. Nie potrafiłam rozszyfrować jego miny.

Znalazłam małej bezpieczne miejsce i zostawiłam ją tam skuloną, z lalką w objęciach. Nie chciałam od niej odchodzić, ale spod kamiennych zwałowisk dochodziły mnie głosy, młode głosy. Pobiegnęłam w ich stronę. Chłopcy deptali mi po piętach. Było ciemno i tak niewiele osób przeszukiwało gruzowisko, że nie martwiłam się, iż ktoś ich zobaczy. Tylko raz jeden człowiek podniósł wzrok i popatrzył na Zee. Starszy pan z krwawiącą raną na głowie. Trochę majaczył. Spojrzał Zee w twarz, gdy demon uwalniał mu nogi, przegryzając gruby metalowy pręt. Wybełkotał coś, czego nie zrozumiałam.

- To po persku „dżinn” - mruknął Naganiacz za moim ramieniem. - On myśli, że Zee jest duchem, który może opętać człowieka.

Otarłam sobie pot z czoła.

- Całkiem blisko prawdy - burknęłam.

- Spotkasz tu mnóstwo zombie - ostrzegł Naganiacz.

- Zombie są wszędzie - odparłam ostrożnie.

- A ty tylko jedna - dodał prowokacyjnie.

Wbiłam kostki dłoni w kamienie i sięgnęłam ponad Zee, by mu pomóc osłonić pokaleczoną głowę starszego mężczyzny.

- To nie moja wina.

Milczenie Naganiacza świadczyło, że jest innego zdania.

- Oturu. Istnieją inni, tacy jak on? - spytałam tylko, zbyt zmęczona, żeby się kłócić.

- To ostatni przedstawiciel swój ego gatunku. Wcześniej był wędrowcem.

- Gdzie jest teraz?

- Gdzieś pomiędzy. - Zamyślił się, odrzucając na bok kamienie z rumowiska. - Poza tym światem. Jeśli zostanie tu zbyt długo, pragnienie rozpoczęcia łowów weźmie nad nim górę. Nie chce ryzykować, że złamie dane słowo. - Wyprostował się i odgarnął włosy. Spojrzał na mnie z góry. - Ja zostałem mu sprzedany. Jedna z twoich poprzedniczek chciała, by wyświadczył jej pewną przysługę. Mnie otrzymał jako zapłatę.

Zakręciło mi się w głowie. Staralam się skoncentrować na rannym mężczyźnie. Bałam się go wyciągnąć. Miał zmiażdżone nogi.

- Gdzie to było?

- W Sumerze.

Spojrzałam na niego przelotnie.

- Sumer nie istnieje od pięciu tysięcy lat.

- Niewiarygodne - odparł. - Ona myśli.

Zagryzłam język. Starszy mężczyzna przestał wydawać z siebie jakiegokolwiek odgłosy. Sprawdziłam puls. Bił mocno. Mężczyzna po prostu zemdłał.

- Pomóż mi - zwróciłam się do Zee, gdy skończył oczyszczać przestrzeń wokół zgruchotanych stóp.

Zerknęłam na Rawa i Aaza - dźwigali małego chłopca. Ich małe ciała były niezgrabne i przygarbione. Przypominali wilki, które próbują chodzić na dwóch łapach.

Naganiacz też się im przyglądał.

- Ile czasu zabrała ci tresura? Popatrzyłam na niego ostro tak jak Zee.

- To nie psy.

- Ale ciebie słuchają, nie?
- To moi przyjaciele. Rodzina.

Zee pokazał mu środkowy pazur i rozplątał się w ciemnościach. Zauważyłam go gdzieś po prawej stronie, jak się przedziera przez kamienie. Jego szpony krzeszały iskry. W oddali słyszałam zawodzenie syren i głosy wykrzykujące różne imiona. Coraz większy ruch. Jeśli chłopcy nie będą uważać, ktoś ich niedługo zauważy, nawet w tych ciemnościach.

- Opowiedz mi o tej kobiecie - powiedziałam.
- Popatrz w lusterko.
- Chyba wszystkie się potłukły - mruknęłam. - Muszą wystarczyć słowa.

Naganiacz odepchnął mnie na bok. W rękach trzymał jakieś drągi. Złapał kabel wystający spod gruzów i pociągnął mocno. Po chwili miał już spory kawałek zwinięty w kłęb. Zabrał się do obwiązywania nóg starszego pana, by je unieruchomić. Działał szybko i skutecznie.

- Oszalała. Za dużo mocy. To ją odmieniło.
- I teraz Oturu myśli, że ja się też zmienię?
Ręce Naganiacza zamarły, po czym wróciły do wiązania węzłów.

- Naznaczył cię. A zatem widzi w tobie podobieństwo do niej.
- Ty też. No chyba że nienawidzisz wszystkich osób mojej krwi, tak dla zasady.

Odwrócił się ode mnie, zanim zdołałam zobaczyć jego twarz. Pod nogami pojawił mi się Dek. W pysku trzymał butelkę wody. Nie miałam zielonego pojęcia, gdzie ją znalazł, ale byłam mu za to wdzięczna. Przystawiłam rannemu butelkę do ust. Nie odzyskał przytomności, udało mi się jednak wlać mu parę kropli do gardła. Naganiacz znowu mi się uważnie przyglądał.

Podałam mu wodę.
- Kimkolwiek była, ja nią nie jestem. Pociągnął łyk. Cały czas patrzył mi prosto w oczy.
- To się jeszcze okaże, Tropicielko.

Zanim zdecydowałam, co odpowiedzieć, chłopcy zniknęli w cieniach. Znamię Oturu zaczęło mnie mrowić. Naganiacz zamarł.

- Kat - syknął Zee. - Wściekły pałasz. Wyprostowałam się.
- Gdzie?
- Za tobą - ostrzegł mały demon.

Raw z Aazem wydzierali sobie kolce z kręgosłupów i aż mnie przeszył dreszcz od odgłosów wrywania ich z ciała. Zerknęłam na Naganiacza. Uważnie wpatrywał się w cienie. Przypomniałam sobie, co mi powiedział w szpitalu.

- Mówiłeś poważnie - wyszeptałam. - To demony wywołały trzęsienie ziemi?
Naganiacz skończył obwiązywać nogi mężczyzny.

- Nie tym razem. Co nie znaczy, że nie będą próbowały tego wykorzystać. Po ziemi kręci się mnóstwo demonów, Tropicielko. Czują, że zasłona się otwiera. Stają się coraz bardziej bezczelne.

Pomyślałam o uratowanych dzieciach, które odpoczywają w pobliżu, i znów zaczęłam przeczesywać gruzowisko. Naganiacz złapał mnie za rękę. Próbowałam mu się wyrwać. Poczułam, że temperatura nagle spada, jakby ktoś wsypał mi torbę lodu za kołnierz.

Zauważyłam jakiś ruch przed sobą, błysk bladej skóry. Aż mnie szarpnęło w środku. Wiedziałam, że ta istota nie należy do gatunku ludzkiego. Srebrne włosy zaplecione w warkocze powiewały wokół wymizerowanego ciała odzianego jedynie w skórzany pas. Palce jak widły, z kawałkami czerwonego ociekającego krwią mięsa. Demon poruszał się jak liść spadający z drzewa: wdzięcznie, dziwnym, kołyszającym ruchem, w dół i w górę.

Obcy. W gardle wzbierał mi krzyk. Nawet Oturu wyglądał normalniej niż to stworzenie. Było nie z tego świata. Ogarnęło mnie koszarne przekonanie, że - czymkolwiek są demony - nie one pojawiły się tutaj pierwsze. Intruzi. Najeźdźcy. Coś spoza horyzontu tego świata. Może nawet nie powinnam go nazywać „demonem”, bo to słowo jest mocno związane z religią. O dziwo to, co przed sobą widziałam, wcale nie robiło wrażenia istoty nadprzyrodzonej.

Zerknęłam na Naganiacza. Uważnie przyglądał się demonowi. Uderzyło mnie wrażenie, że tu nie pasuję, a jednocześnie ta scena wydała mi się znajoma. Deja vu. Jakby mi się to już przydarzyło, jakbym kiedyś siedziała przykucnięta obok tego mężczyzny, gotowa przypuścić atak. Poczułam się nieswojo. Nawet się trochę przestraszyłam.

- Mahati - wyszeptał Naganiacz. - Więzień drugiego kręgu.
- Jak to możliwe, że coś takiego kryje się na ziemi?
- Zwyczajnie. Zresztą to wcale nie jest prawdziwy Mahati.

Ahsen. Kamienny dysk rozgrzał mi się w kieszeni. Bałam się go dotknąć.

- Jak ona nas znalazła?
- Energia. - Naganiacz zacisnął wargi w ciekawą twarzą kreskę. - Każda żywa istota generuje własny kwantowy podpis, jedyną w swoim rodzaju vibrację.

- Mogła po mnie przyjść do szpitala - mruknęłam i klepnęłam Zee w ramię. - Gotowi?
- Nie - rzucił Naganiacz.

- Gotowi - odpowiedział Zee, a Dek z Małem przysiedli mi ciężko na ramionach. - Jest ich więcej, Maxine. Więcej niż jeden pałasz. Zwabiła ich krew.

- Nie - powtórzył stanowczo Naganiacz. - Coś jest nie tak. Coś się nie zgadza.

- Nie ma wyboru - odparłam, myśląc o rannych za moimi plecami i gromadzących się ratownikach: o ludziach nieprzygotowanych na kolejną katastrofę, na coś rodem z nocnych koszmarów.

I nie chodzi o jakiegoś tam niewidzialnego ducha, nie osłabe pasożytnicze zombie, lecz demona z krwi i kości, który może się tu łatwo nasycić, nie zostawiając po sobie śladu. Widok martwych ciał nikogo przecież nie zaskoczy. Nikt się nie zdziwi, jeśli nie wszystkich uda się odnaleźć. Nikt nawet okiem nie mrugnie.

Wysłałam z gruzowiska. Chłopcy zebrali się obok mnie. Czułam napięcie pod skórą. Byłam gotowa. Nabrałam rozpędu, jakbym jechała przez pustynię o północy z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Może nie niezwyciężona, ale pewna siebie, bez tchu, trochę staroświecka. Odważna.

Gdy tylko zbliżyłam się do Ahsen, jej srebrna skóra spiczaste palce przekształciły się w dym, zamknęły w migoczącej bańce, która natychmiast zniknęła, jakby ktoś zassał ją od środka. Wszystko co obce rozwiało się niczym sen. Chwilę później stała przede mną mała dziewczynka - nadal miała moje dziecięce rysy. Trzymała warkoczek.

Powietrze stało się tak zimne, że widziałam swój oddech. Ahsen patrzyła lekko w lewo. Była jak lalka skradziona dziecku, upuszczona na ziemię, wypolerowana i lśniąca, w środku tej całej makabry. Najsmutniejszy widok na świecie. I najbardziej przerażający.

- Teraz towarzyszą ci psy - powiedziała.

Przechyliłam głowę. Wyczułam, że Naganiacz zrobił krok w moją stronę. Na jego wargach zatańczył pełen goryczy uśmiech.

- Skórnik. My się chyba nie znamy - mruknął. Ahsen się zakolysała. Jej małe ciało prawie ginęło wśród gruzowiska. Dziecięca twarz - gładka niczym dziewiczy śnieg.

- Byłeś tylko zarodkiem w moim umyśle, zanim trafiłam za zasłonę. Enkidu. Naganiacz.

Twarz mężczyzny pozostała bez wyrazu. Moja również. Lecz w środku aż zadygotałam. Ahsen zrobiła kolejny krok, lekka jak powietrze. Jej oczy przesuwaly się wolno niczym dwa czarne chrząszcze.

- Tropicielko, przemyślałam sytuację. Moi bracia i siostry to hipokryci. Nie podobają im się moje metody, ale cenią sobie rezultaty. - Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. - Z tobą też chyba nie najlepiej się spisałam. Z kobietami twojej krwi... Popeliłam błędy... Karygodne, wynikające z desperacji.

Nie miałam pojęcia, o czym ona mówi.

- Rozwiniesz tę myśl?

Uśmiechnęła się słabo, okrutnie. Była rozbawiona, ale tak, jak może być rozbawiony kat na chwilę przed zadaniem ostatecznego ciosu.

- Tropicielko, sama siebie powinnaś zapytać, co takiego jest w twoich karłach, że zamiast trafić do więzienia za zasłoną, zostały skazane na wieczność na ludzkiej skórze? Zapewniam cię, że więzienie bez problemu pomieściłoby pięć dodatkowych istot. Ale z jakiegoś powodu... oni jednak tam wylądowali.

Zee warknął i wyszarpał pazurami kawałki betonu.

- Ejże, karzelku - ciągnęła Ahsen. - Mały królu bez korony. Wiesz, czym jesteś?

Jej słowa odbiły mi się echem w głowie i poczułam się nieswojo. To było jak wspomnienia z magicznego kręgu. Pomyślałam o matce. Wsunęłam rękę do kieszeni. Ahsen podążyła za nią wzrokiem, a skóra na jej twarzy napięła się mocno, jakby rozciągnęły ją haczyki wbudowane w czaszkę. Naganiacz przysunął się do mnie bliżej, chłopcy też.

-Ahsen - wyszeptalam. - Byłaś, jesteś jedną z nich.

-Jesteś awatarem. Po co tu przysłałaś? Nawet jeśli trafiłaś do więzienia, dlaczego pomagasz demonom? Chodzi tylko o zemstę?

- Bo nie mam wyboru. - W jej dorosłym głosie zabrzmiało jakieś niesamowite pulsowanie. - Przewartościowałam priorytety. Postanowiłam zmienić swoje przeznaczenie.

Pstryknęła palcami. Poczułam na twarzy bryzę i okropny, ostry zapach, jakby ktoś zrobiony z siarki i gówna rozciął sobie żyłę i wykrwawiał mi się pod nogi. Z ciemności wyłoniły się sylwetki, szkielety z ciała i cienia. Bez oczu lub ust, z samymi tylko kapiącymi dziurami zamiast nosów; z długimi kończynami ze splątanych ścięgien, z grubymi żyłami, które tętniły jak strugi nafty. W życiu czegoś takiego nie widziałam. Tłum potworów. A za nimi napierał świat - surrealna rzeczywistość: krzyki, zawodzenie syren, szum wirników helikoptera.

Byłam pierwsza pośród swoich - powiedziała cicho Ahsen. - Pierwsza pośród łapowników, krętaczy i spiskowców. Pierwsza opanowałam umiejętność tworzenia życia.

I zrobię to znowu. Stworzę własną armię. Nikt mi nie zabroni dostępu do Labiryntu. Już nigdy więcej.

Otoczające nas potwory zafalowały i pociągnęły nieistniejącymi nosami. Zauważyłam, że jeden z nich ma kosmyk jasnych włosów na ohydnej czaszce, niczym pasemko bawełny, trochę poluzowane. Poczułam ukłucie przerażenia. Przyjrzałam się uważniej. Szukałam czegoś, co bym rozpoznawała. Dręczyło mnie przekonanie, że te szerokie ramiona wyglądają znajomo.

- To nie są demony - wymamrotałam i zrobiło mi się niedobrze. - Oni kiedyś byli ludźmi.

Ahsen zanuciła coś pod nosem.

- Człowieczeństwo to takie płynne pojęcie, łatwo się dezaktualizuje. Powinnaś to wiedzieć, Tropicielko. W końcu sama nie jestem bardziej człowiekiem niż moje powłóczące nogami wytwory.

Kreatury przypuściły atak.

Minęło dużo czasu. Oczekiwania nic nie znaczyły. Stworzenia poruszały się szybko, a ja byłam w kiepskiej formie, śmiertelna. Miałam noże i nic więcej. Wzięłam się w garść, zmusiłam, by nie myśleć o ludziach, którymi mogliby być. Znow ogarnęły mnie mdłości. Serce podeszło mi do gardła, pot zalał oczy. Moje mięśnie przypomniały sobie długie lata treningu i wzięły nade mną górę, jakbym sama stała się zombie, niewolnicą tego, czego nauczyła mnie matka.

Pogubiłam się w rachubie. Było ich mnóstwo. Zbyt dużo, by mogli pozostać w ukryciu niezauważeni. Chyba że potrafią przemykać się w cieniu, między ciemnością a światłem tak jak Naganiacz i chłopcy. To, co ona robiła, nie miało najmniejszego sensu. Zarzuciła nas ciałami. Trwonila je. Zee i reszta rozdierali jej wytwory jak papier, rwali na strzępy. Dek i Mai siedzieli mi na ramionach i zionęli ogniem w tych, którzy podeszli blisko. Czułam gorący popiół na twarzy. Widziałam spopielale kikuty, pozostałości po ramionach.

Spojrzałam na Naganiacza. Walczył z tyłu. W ręce trzymał rurkę. Wywijał nią z niewiarygodną gracją jak mieczem, i to najwspanialszym pod słońcem. Tylko raz na mnie zerknął. Wyczułam w nim szok, coś koszmarnie znajomego, jakby już mi się to kiedyś zdarzyło. I jemu również.

Podczas całego starcia Ahsen ani drgnęła. Po prostu mierzyła mnie wzrokiem. W końcu przestałam walczyć i stanęłam naprzeciwko niej, jak podczas ostatecznej rozgrywki w Tombstone. Bez pistoletów, ale z armią za plecami i nożami w rękach. Wierzyłam, że chłopcy pośpieszą mi z pomocą. Ufałam im tak bardzo, że w stu procentach skupiłam się na Ahsen. Ruszyłam w jej stronę, nie spuszczając z oczu drobnego ciała, upiornej kopii mnie samej.

- Chcesz zdobyć magiczny krąg - wydyszałam.

- Dla ciebie to tylko zabawka - odparła. - Lepiej oddaj kamień komuś, kto rozumie jego wartość. Dotknę go raz, Tropicielko... Tylko raz, a urosnę w siłę. Zyskam dość mocy, by ich stworzyć.

Pokręciłam głową.

- Nie przyszłaś prosić.

- Nie. - Jej ciało zaczęło się rozpyływać. - Ale ta rozmowa sprawia mi przyjemność.

Noc. Ja w śmiertelnym ciele. Łatwo mnie zabić. Już wiedziałam, że nie mogę jej zrobić krzywdy. Uspokoiliłam się, jedną rękę położyłam na ostrzu, a drugą wsunęłam do kieszeni i złapałam magiczny krąg, jakby od tego zależało moje życie. I życie matki.

Naganiacz walczył dalej. Chłopcy też. Dotarło do mnie, że właśnie na tym polega jej plan. Poczekać na właściwy moment. Odwrócić uwagę, zająć wszystkich, którzy pospieszyliby mi z pomocą, przygnieść ich wielkością swojej armii i dać sobie szansę, by mnie przytłoczyć. Chyba jej się powiedzie. Byłam przerażona - szczerze, śmiertelnie przerażona. Jakiś głosik w głowie szepnął mi coś błagalnie.

Znamię Oturu zaczęło mnie mrowić. Usłyszałam cichy szum wiatru niczym pierwsze uderzenie śnieżnej zadymki. Poczulałam ukłucie w piersi - wymowna zapowiedź tego, co nadchodziło. Podniosłam wzrok. W samą porę.

Szczupła, wysoka sylwetka wbiła się w gruzowisko niczym uderzenie młota. Aż podskoczyłam od ogromnego impetu uderzenia. Czarna peleryna powiewała i prawie mnie dotykała. Podniosłam wzrok - ze ściśniętym gardłem i łomoczącym sercem. Spojrzałam w oddychającą otchłań, pulsowała i skręcała się. Widziałam twardą, bladą szczękę, krzywy uśmiech, rondo czarnego kapelusza i włosy, które wiły się jak szalone.

- Nie złapiesz jej - wyszeptał Oturu.

Ahsen wbiła w niego bezlitosne, wiekowe i szkliste oczy.

- Wszyscy ludzie Królowej nie obronią Tropicielki. Już nigdy więcej.

Po czym zniknęła. I pojawiła się znowu - wokół mnie. Poczulałam miazdzącą, nieubłaganą siłę, jakby moje śmiertelne ciało nagle znalazło się w żołądku pytona i było wolno trawione. Poczulałam niewiarygodny napór na dłoń, w której trzymałam magiczny krąg, ale go nie wypuściłam. Walczyłam z całych sił.

Wstrzymałam oddech. Przed oczami latały mi jasne płatki.

Coś we mnie się poruszyło. Jakiś cień pod żebrami. Pamiętałam to wrażenie. Stare i uparte, koszmarny z dzieciństwa, klucz przekręcający się w zamku. Magiczny krąg nagle zrobił się bardzo gorący. Bałam się, że dłoń zaraz stanie mi w płomieniach.

Gdziekolwiek, byle nie tu, pomyślałam, gdy zaczęłam umierać. Gdzieś, gdzie ona nie pójdzie za mną.

A jakiś głos, w głębokich zakamarkach głowy, zgodził się na to.

Świat pod stopami zniknął. Poleciałam w dół. Ucisk zelżał, ale nadal spadałam. W bezdenną otchłań. Naganiacz chyba mnie wołał, ale wessała go ciemność, ogarnęła noc. Nie zostało mi już nic. Byłam niczym. Zostałam pochłonięta.

Spadałam bez końca.

Spadałam.

Rozdział 15

Gdy się spada w ciemność, można się dużo nauczyć.

Na przykład tego, że oczekiwanie ma posmak strachu. Co chwilę myślałam, że już zaraz uderzę w twarde podłoże, lecz chwila mijała, a ja nadal się kuliłam w locie. Oczekiwanie sprawiało, że serce biło mi jak szalone, a skóra cierpła. Żadne ciało nie powinno spadać bez końca.

Było coś jeszcze.

Ciemność dodatkowo pogarszała sytuację.

Nic nie widziałam. Czułam szum powietrza na skórze, siłę przyciągania, ale to jedyne wrażenie i tylko dzięki niemu wiedziałam, że nadal się poruszam. To trwało całe wieki. W końcu zamknęłam oczy. Bałam się, że zwariuję. Mogłam tylko trwać.

Straciłam rachubę uderzeń serca. Zapomniałam o świecie. W głowie słyszałam dźwięki fletu. Zobaczyłam twarz Granta. Uczepiłam się tego obrazu.

Trzymałam się z całych sił.

W końcu. Skała.

Rozciągnięta na skałe. Lodowate powietrze w płucach. Nie pamiętałam uderzenia. Wiedziałam tylko, że wcześniej spadałam, a teraz już nie spadam. Widziałam jedynie ciemność. Leżałam cicho, nasłuchując. Bicie mojego serca, chrapliwy oddech, a w tle kapanie i lekki chłupot. Woda.

Dźwignęłam się z trudem i usiadłam. Poczułam się jak stara kobieta - z zawrotami głowy, zdezorientowana, spragniona. Czekałam, aż mój wzrok przyzwyczai się do gęstego wzroku - oczy jeszcze nigdy dotąd mnie nie zawiodły, nawet w największych ciemnościach. Lecz teraz nadal nic nie widziałam. Byłam ślepa.

Czułam chłopców na skórze. Kręcili się niespokojnie, pogrążeni w snach.

Byłam też naga. Ubranie, noże, buty - wszystko rozplynęło się w powietrzu. Nie wyłączając magicznego kręgu. Próbowałam poszukać swoich rzeczy, ale nic nie znalazłam. Wyciągałam ręce przed siebie. Wszystko mogło wisieć tuż przed moim nosem, ale zupełnie nic nie widziałam. Chętnie zapytałabym kogoś, czy w ogóle mam oczy w oczodołach. Wyczuwałam je pod palcami, ale już niczego nie byłam pewna. Odniosłam wrażenie, że miesza mi się w głowie.

Wszystko straciłam.

Ogarnęła mnie fala desperacji. Strachu. Walczyłam o zachowanie spokoju. Oddychałam głęboko. Nic nie pomagało.

Siedziałam w wąskim, skalistym kraterze, w szparze mniej więcej kształtu mojego ciała. Wymacałam ją dłońmi. Wstałam wolno, zachwiałam się, po czym siłą woli znieruchomiałam. Nastawiłam uszu, wyteżyłam zmysły. Roztarłam sobie ramiona. Chłopcy się wiercili. Znowu usłyszałam kapanie. Ruszyłam przed siebie. Z ociąganiem. Wolno i ostrożnie, szurając nogami jak dziecko, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Tylko powietrze. Pod nogami skała.

Aż w końcu - kolejne kapnięcie, gdzieś blisko. Weszłam w coś mokrego. Uklękłam. Moje palce zanurzyły się w wodę, zaskakująco głęboko. Przytrzymałam tam ręce, pozwoliłam chłopcom skosztować ciecicy. Gdy nie poczułam żadnego oporu z ich strony, nachyliłam się i napiłam. Chłodna, słodka woda przyniosła mi odrobinę ulgi. W sytuacji ostatecznej mogłam żerować na chłopcach, korzystać z ich metabolizmu, ale to nie zaspokoiłoby mojego głodu ani pragnienia.

Gdy już się porządnie napiłam, usiadłam, podciągnęłam kolana pod brodę i znieruchomiałam. Ciemność ważyła tonę. Nigdy się nie bałam ciemności ani pustki, lecz teraz, po raz pierwszy od śmierci matki, ogarnęło mnie poczucie totalnego osamotnienia. Żałowałam, że kamienny labirynt zniknął. Miałam nadzieję, że nie dostał się w ręce Ahsen. Ani że nie leży tu gdzieś poza moim zasięgiem.

- Wstawaj - powiedziałam do siebie tylko po to, by usłyszeć własny głos.

Brzmiał niepewnie, słabo, ale w głowie huczała mi ta niekończąca się litania: nie ma czasu na użalanie się nad sobą, nie ma czasu na strach, nie ma czasu na rozmyślanie. Nie mogłam nic zrobić, by poczuć się lepiej. Ale nie zaszkodzi ruszyć się z miejsca. Chłopcy się szarpnęli.

- Hej. Trzeba mnie poprowadzić - wyszeptałam.

Po chwili zaczęła mnie mrowić cała prawa strona. Potraktowałam to jak znak.

Szłam długo. Chłopcy mnie prowadzili. Skręcałam i zwalniałam zgodnie z mrowieniem w różnych częściach ciała. Raz uderzyłam się w głowę, ale przez większość czasu ścieżka była pusta i pogrążona w ciszy. Zatrzymałam się, gdy chłopcy znów znaleźli wodę. Wartką, spienioną i zimną. Może strumień. Słyszałam go przez dłuższą chwilę, zanim dotarłam do skalistego brzegu. Chciałam chwilę odpocząć, ale przypomniał mi się Grant i Byron, a nawet Naganiacz z Jackiem - przypomniał mi się cały świat - więc poszłam dalej. Musiałam.

Znajdowałam się w Labiryncie. Na pewno. Nie potrafiłabym wyjaśnić, skąd to przekonanie ani dlaczego tak myślę, ani co to oznacza. Wiedziałam jednak, że sama otworzyłam te drzwi. Wpadłam do świata pomiędzy, skąd nie ma wyjścia, a jeśli to było skrzyżowanie dróg, to nikt inny nimi nie podróżował. Miałam poczucie, że popełniłam okropny błąd. Wcale nie byłam na drodze. Tkwiałam w więzieniu. W miejscu wiecznego zapomnienia.

Przystanąłam, żeby się napić wody. Nic do jedzenia. Chłopcy się ze mną podzielili, nasze metabolizmy się łączyły, lecz to wcale nie zmniejszało ssania w żołądku. Po jakimś czasie zaczęły mnie boleć oczy od ciemności, od wysiłku, by coś zobaczyć.

Zamknęłam je. Wyobraziłam sobie, że po drugiej stronie powiek mam małe światełka, ale to tylko złudzenie. Tyle złudzeń. Próbowałam mówić na głos, ale na dźwięk własnego głosu, słabego i osamotnionego, izolacja zrobiła się jeszcze bardziej nieznośna.

Cisza tak bardzo nie dokuczała. Najlepiej po prostu iść przed siebie. Staralam się nie myśleć o tym, czy w ciemnościach przypadkiem coś się nie kryje, coś co mnie obserwuje. Sama nie wiedziałam, co gorsze - zagubienie w próżni czy świadomość, że coś na mnie poluje.

Pomyślałam o matce. Skupiłam się na tym dniu, prawie dwadzieścia lat temu, gdy stałam w śniegu. Przypomniałam sobie, jak zombie w garniturze, z odpadającą skórą, mówi mojej matce, że lepiej by było, gdyby miała inne dziecko. Przypomniałam sobie jego krzyki w barze. Zombie zebrane wokół mnie, walczące między sobą o to, kto mnie opęta.

„To część gry”, przeczytałam po śmierci matki w jej pamiętniku. Gra, odwieczny układ z Krwawą Mamuską. Rozgrywka o życie dziecka. By je przetestować, czy ma dość siły - do walki i, co ważniejsze, do tego, by unieść

chłopców. Bo jeśli przyszła Tropicielka nie potrafi obronić się przed opętaniem przez demona w dzieciństwie, to nie udźwignie tego ciężaru jako osoba dorosła.

Mimo swojej brutalności to miało sens. Choć nie rozumiałam, dlaczego Krwawej Mamusce zależało, żeby sprawdzić i utrzymać siłę Tropicielki. Nie potrafiłam też pojąć, dlaczego moje poprzedniczki zgodziły się na taki test.

Ale teraz wszystko stało się jasne. Istnieją demony, których nawet Krwawa Mamuska nie chce oglądać. I ja muszę walczyć z jednym z nich.

Matka w ciąży ze mną stoi na środku ulicy naprzeciwko uśmiechniętej królowej zombie. Z tajemnicami w sercu, wtedy i teraz. Z tym jednak można żyć. Nawet gdybym nigdy się nie dowiedziała, co przede mną ukryła - albo gdybym się dowiedziała i okazało się to straszliwą tajemnicą - i tak byłoby w porządku.

Nie lubię sekretów, ale jedno wiem na pewno: matka mnie kochała, bez względu na wszystko. Byłam kochana.

Miałam wrażenie, że wędruję od lat. Mierzyłam czas długością rosnących paznokci i włosów. Tego nie dało się przekłamać ani nagiąć. Paznokcie robiły się coraz dłuższe. Włosy zmatowiały, zdziczały.

Mój umysł też się zmienił. Nie potrafiłam powiedzieć, jak to się zaczęło, ale gdy szłam przed siebie z zamkniętymi oczami, śniłam.

Sny na jawie. Chodzone sny. Wartkie sny, czarno-białe niczym stare filmy, wyblakłe i nieostre ze starości. Śniłam przebłyskami i chwilami, widziałam kobiety w świetle księżyca, blade jak śnieg, z włosami czarnymi jak skrzydło kruka, zawsze ze stałą w dłoniach, z mieczem, a w słońcu - z tatuażami. Leciałam z nimi. Biegłam, a one zlewały się w jedno, w kobietę ogromną niczym burza, o oczach jak rozgwieżdżone niebo, z wilkami za plecami.

W snach gonila echo. Ściagałam kaprysy i mrzonki: smoki zroszone morską pianą i ludzi z łukami, kopytami i długimi, gładkimi ogonami, olbrzymy drzemiące w górskich potokach albo sfinksy pełne zagadek, przycupnięte, rozszepcane. Śniłam o księżycach, o wojnie, o armiach dyszących mi na karku, o zakutych w zbroję księciach zawodzących błagalnie. Śniłam o tym, że chłopcy spuszczeni ze smyczy niczym piekielne psy palą ziemię pod stopami, zażarcie ją niszczą.

Gdy zamykałam oczy, śniłam. A ponieważ tutaj, w Labiryncie, oczy ciągle miałam zamknięte, całe ściany były wyklejone snami. Szłam otoczona i karmiona przez chłopców, obolała od dni albo lat głodu, coraz bardziej zagubiona na krwawych szlakach, na ścieżkach, którymi podróżowałam. Kroczyłam, tańczyłam, biegłam.

Biegłam. Szybko, zwinna jak cień. Nie zatrzymywałam się. Nauczyłam się słuchać chłopców. Wiedziałałam, jak stać się ciemnością i kamieniem - dużym, szorstkim i chropawym ze starości. Zapomniałam już, co to znaczy iść, zapomniałam zupełnie. A gdy przystawałam, by napić się wody ze strumieni, skóra wyrywała mi się do biegu. Krzyczała, żebym się ruszyła. I ja krzyczałam.

Krzyczałam.

Tropicielko, nie siedź, Tropicielko, nie umieraj, Tropicielko, idź dalej, Tropicielko, biegnij, Tropicielko, nie, nie, nie poddawaj się, Tropicielko. Śnij, Tropicielko. Walcz, Tropicielko. Nie zapomnij siebie, Tropicielko.

Pamiętaj, Tropicielko.

Pamiętam matkę, jak piła wodę z zimnej rzeki, woda rozbryzgiwała się z grzmotem o skały.

Coś małego. W hotelu w jakimś mieście. Światło w łazience, drzwi zamknięte - widać tylko złote pasemko na dole. Matka na łóżku obok mnie, chłopcy gdzieś na polowaniu. I jej szept: „W ciemnościach w twoim sercu obudzą się różne rzeczy, o których nawet nie miałaś pojęcia. Uważaj, bo nigdy nie wiadomo, co nadejdzie. Bądź ostrożna”.

Byłam ostrożna, ale miałam tylko ciemność i chłopców. Czasami słyszałam ich w myślach. Zawsze mi towarzyszyli. Zastanawiałam się, czyby mnie opuścili, gdyby słońce na zawsze zaszło, i czy ja bym przeżyła to rozdzielanie. Minęło mnóstwo czasu. Staliśmy się sobie bliżsi. Stanowiliśmy jedność.

Kamienie na brzegu rzeki były okrągłe i gładkie, a woda głęboka. Brodziłam w niej, by poczuć jej strukturę, rozkoszować się różnicą między wodą a powietrzem. Wartka rzeka huczała ogłuszająco. Naszła mnie zachcianka i położyłam się na wodzie. Fale huśtały mnie jak dziecko w kołysce. Poniosły mnie ze sobą. Nie zaprzętałam sobie głowy konsekwencjami. Nie martwiłam się tym, że oddalam się od brzegu. Rzeka mnie ukradła. Zaczęłam się śmiać.

Przestań, powiedział mi jakiś głos w głowie. Przestań, Maxine.

Lecz ja nie zwracałam na niego uwagi. Zamknęłam oczy. Zatraciłam się w snach. Żyłam w innym miejscu i czasie, z dala od ciemności. Zobaczyłam Granta. I chłopców. I matkę. To było bardziej realne niż woda i moja skóra - moje serce, jego bicie, moja dusza w klatce. Śniłam o mieczach. We śnie poczułam smak zimnego ostrza na języku. Okazało się, że jest zrobiony z łez.

Moich łez. Płakałam.

Otworzyłam oczy i już ich nie zamknęłam. Woda lekko się wzburzyła. Wpadłam w wir i zaczęłam tonąć. Ucisk w płucach. Przebiłam się na powierzchnię.

Zaczęłam przebierać nogami, wiosłowałam z całych sił, ale prąd był silny. Nie znoszę pływać. Nie cierpię łódek. Jak przez mgłę to sobie teraz przypomniałam. Sama nie wiem, co mnie podkusiło, żeby wejść do rzeki. Jak mogłam o czymś takim zapomnieć.

Zwariowałaś, wyszeptał cichy głosik. Maxine, zwariowałaś.

Znowu poszłam pod wodę, jakby ktoś mnie ciągnął za nogi w dół, a gdy próbowałam z powrotem się wynurzyć, uderzyłam głową w kamień. Przeraziłam się. Walczyłam, obmacywałam go, drapałam paznokciami skałę nad swoją głową. Pękały mi płuca. Krzyczałam. Chłopcy rzucali mi się na skórze. Poczulałam, jak się przesuwają, przemieszczają z niespotykaną dotąd gwałtownością. Szarpnęłam się. Myślałam, że zaraz utonę, ale ucisk w płucach zelżał.

Mogłam oddychać. Pod wodą. Oddychałam pod wodą. Smakowało to jak kamień i popiół, i może trochę jak krew. Czułam zbyt wielką ulgę, żeby się tym przejmować. Dotknęłam twarzy, starając się zrozumieć, co się dzieje. Lecz zaraz tego pożałowałam.

Nie miałam nozdrzy. Ani ust. Oczy i uszy były zarośnięte skórą. Nie miałam twarzy.

Przerażenie, odraza, niedowierzanie. Zrobiło mi się niedobrze. Zbierało mi się na wymioty. Chciałam krzyknąć, ale nie mogłam. Wbiłam paznokiec w skórę. Zdzierałam ją z twarzy. Bezgłośnie wrzeszczałam do chłopców i waliłam pięściami w skałę nad głową. Próbowałam płynąć, ale nic z tego. Nie mogłam znaleźć dna, nie mogłam dotrzeć do piasku.

Kamień trzymał mnie pod wodą bardzo długo. Dłużej niż dni czy tygodnie. Jeszcze dłużej. Miałam wrażenie, że minęła wieczność. Prąd mną targał, jakbym była szmacianą lalką, bez twarzy, bez głosu. Oddychałam poprzez

chłopców, czułam jednak tylko i wyłącznie strach. Okropnie się bałam. Byłam taka osamotniona.

Pogrzebano mnie żywcem w tej wodnej trumnie, w wartkim, cielesnym grobowcu.

Nieśmiertelna. Już na zawsze. Zagubiona. Pogrzebana pod wodą, umierająca z pragnienia.

Cała umierałam.

Lecz podczas tego umierania coś się obudziło.

Poczulałam to. Jakby ułknięcie w sercu, które przywróciło mi trzeźwość umysłu. Mój mózg jak gumka rozciągnął się do granic wytrzymałości, po czym - w błysku chwili - napięcie zelżało.

Nadal tkwiłam uwięziona w swoim ciele, lecz gdy dryfowałam podziemną rzeką, woda i ciemność z trumny stały się gniazdem. Słodka zmiana. Moje ciało - kokon. Stawałam się czymś nowym.

Wsluchiwałam się w siebie. Bicie serca, klikanie unieruchomionej szczęki, unoszenie się piersi w oddechu. I jeszcze głębiej, w myśli i wspomnienia. I jeszcze głębiej, aż do krwi.

To zaczyna się w nas, ten łów, ten dziki, szalejący łów, który odzwierciedla naturę wieku i niszczy, by inni mogli się odrodzić. Słowa, ulotne słowa. Towarzyszyła im twarz, której nie mogłabym zapomnieć: białe włosy, niebieskie oczy, moc ukryta pod pomarszczoną skórą.

Moc pod moją skórą. Pograżona we śnie, w ciemnościach. Otulająca kości, zatopiona w mięśniach, we krwi. I jakieś inne ciało drzemiące we mnie, gładkie niczym światło księżyca odbite w ciemnej wodzie. Gładkie jak ostrze.

Czułam się jak ostrze.

Jesteś ostrzem, wyszeptał mi głos w myślach. Ciemność zawirowała we mnie i odrobinę wyłoniła się na zewnątrz. Poczulałam to. Delikatne dotknięcie, jakby bezcielesne ramiona rozciągały się we mnie niczym surowa, jedwabna przędza. Nic nie robiłam. Nie myślałam. Tylko dryfowałam zamknięta w kokonie i wyczekiwałam na to, co się zjawi.

Lecz nie nadeszło nic poza impulsem - nagłą, wściekłą żądzą - by popłynąć ostro w dół i pokonać wodę niczym węgorz walczący z rzeczonym prądem.

Posłuchałam tego impulsu. Od dawna nie używałam rąk i nóg, ale zaczęłam nimi energicznie rozgarniać wodę. Chłopcy też do mnie dołączyli. Dodawali mi sił. Podążyłam za własnym instynktem i popłynęłam w dół, by dotrzeć do dna rzeki.

Wcześniej go nie znalazłam, teraz też prawie poniosłam porażkę. Lecz ciemność wezbrała mi w piersiach, zdopingowała mnie, pchnęła mocniej do przodu. W końcu, ku własnemu zaskoczeniu, dotknęłam rękami piasku, a chwilę później czegoś metalowego.

Przywarłam do tego. Złapałam mocno. Trzymałam się tej rzeczy z całych sił, podczas gdy prąd szalał wokół mnie. Zacisnęłam palce, wpiłam je w wygięty fragment zbroi. Drugą ręką odrzucałam kamienie. Trafiłam na cienką i delikatną kolczugę. Potem dotknęłam długiej, twardej kości. Nie puściłam. Desperacko szukałam dalej. Przesunęłam rękę po kości ramienia, aż natrafiłam na dłoń.

Która dzierżyła miecz.

Żłobkowane ostrze, z grawerunkiem, bardzo ostre. Dłoń może należała do kogoś, kto zmarł dawno temu, ale nie chciała puścić. Musiałam połamać kości palców. Lecz nie czułam winy. To było tak, jakbym okradała samą siebie.

Ciemność, którą miałam w środku, przytaknęła. Gdy tylko wzięłam miecz, ogarnęło mnie poczucie, że nie muszę już tkwić na dnie rzeki. Puściłam zbroję. Zaczęłam się unosić ku powierzchni, z mieczem przytulonym do piersi. Gonił mnie rzeczny prąd.

Przejechałam dłonią po broni. Wąski, długi miecz, z delikatną, kutą głowicą przypominającą sztywne, wyciągnięte szpony. Gładka rękojeść. Leżała mi w dłoni, jakby miecz był dla mnie stworzony.

Jakbym ja była stworzona dla niego.

Dom, wyszeptał mi głos w głowie.

Świat ode mnie odpadł. Zniknęła woda. Zniknęły ściany. Znowu żadnego podłoża, na które mogłabym spaść. Nadal spadałam.

Oczekiwanie miało posmak strachu.

Ale tym razem udawałam, że się wznoszę.

Z Labiryntu do miejskich świateł, oślepiających niczym rozgwieżdżone serce.

Uderzyłam o beton. Choć wcześniej we wspomnieniach i niesamowitych snach odzyskałam wzrok, teraz doznałam szoku, osłupiałam, gdy przejrzałam na prawdziwe oczy.

Byłam we własnej skórze. Miałam usta i nos. Widziałam.

Nie zdążyłam się do siebie przyzwyczaić. Noc. Chłopcy się obudzili - Zee i reszta odczepiali mi się od skóry. Czułam się tak, jakby każdy centymetr kwadratowy skóry, od palców u nóg po powieki, odrywał się razem z nimi. Jakby ktoś szybkimi ruchami rozrywał mnie na kawałki. Albo jakbym kapała się w żrących płomieniach i w moje ciało wcierano sól. Jakby obdzierano mnie ze skóry, obnażano żywe nerwy.

Bałam się, że to mnie zabije. Wydawało mi się, że bez chłopców na sobie nie przeżyję. Za dużo czasu minęło. Staliśmy się jednym. Oni to ja.

- Maxine - wychrypiał Zee.

Raw i Aaz stanęli blisko, a Dek z Malem owinęli mi się ciasno wokół ramion. Wpatrywali się w mnie rozszerzonymi oczami, lecz nie mogłam odpowiedzieć. Ból był zbyt silny.

Zee zniknął. Usłyszałam jakieś głosy w pobliżu i chrapliwy śmiech. Nagle przeraziłam się, że ktoś mnie zobaczy.

Zatopiłam zęby w dłoni, żeby się powstrzymać od krzyku. Nie potrafiłam powiedzieć, gdzie dokładnie jestem; na chodniku, w jakiejś bocznej alejce? Śmierdziało śmieciami.

Zee pojawił się z powrotem, a za nim duży cień, który zasłonił mi światła miasta. Otoczyły mnie ramiona, Wrzasnąłem. Zbyt mocno cierpiałam, by siedzieć cicho.

- Ćśś. - Głos Jacka. - Nie krzycz, malutka.

Nie mogłam oddychać. Całym moim ciałem wstrząsały dreszcze. Miałam atak. Umierałam.

Jack dotknął mojej szyi.

Zemdlałam.

Obudziłam się w piekle. Na pewno. Leżałam na wąskim łóżku z grubym materacem, pod ciężką kołdrą, śmierdzącą dymem z fajki. Byłam naga. Na suficie wisiało lustro. Czerwonym atramentem napisano na nim: „Jesteś w piekle”.

Historia mojego życia. Leżałam bez ruchu, wstrzymując oddech. Bałam się. Śmiertelnie się bałam. W głowie kłębiły mi się wspomnienia, straszliwe rzeczy, wizje budynków i pożarów. Chciałam krzyczeć, ale zdusiłam to w sobie. Jeśli zacznę, nigdy nie przestanę. Zapłacę się na śmierć.

Wolno wypuściłam powietrze z płuc. Drobne ciała rozluźniły mi się na szyi. Dek z Malem zajrzeli mi w twarz. Czerwone oczy okrągłe jak spodki, małe szczęki rozluźnione. Czarnymi językami posmakowali powietrza. Miałam ochotę podrapać ich za uszami, lecz gdy spróbowałam unieść rękę, okazało się, że mięśnie są na to za słabe. Znowu byłam sparaliżowana.

- Obudziłaś się.

Podszedł do mnie Jack. Wyglądał tak, jak go zapamiętałam - tweed i eleganckie spodnie. Oszust. Awatar. Cokolwiek to znaczy.

- Stary Wilku - wymamrotałam i zrobiło mi się słabo na dźwięk swojego dawno nieużywanego głosu. - Niezła jazda.

Łzy stanęły mu w oczach.

- Zupełnie jak moja Jeannie.

Tego już za wiele. Rozryczałam się. Płakałam jak dziecko, ale w ciszy, wstrząsana spazmami. Każdy wstrząs ogromnie dużo mnie kosztował. Nie potrafiłam jednak nad tym zapanować. Jack załamał ręce i zniknął mi z oczu. Jakieś rzeczy poleciały na ziemię. Po chwili wrócił z garścią chusteczek higienicznych. Wytarł mi nos, po czym przytrzymał mi chusteczkę przy nozdrzach.

- Dmuchaj.

Zrobiłam to, choć poczułam się idiotycznie. Skrzywiłam się, obserwując Jacka, który próbował zachować się po dżentelmeńsku, gdy smarki poleciały mu na palce.

- Dziękuję - mruknęłam.

Z trudem oddychałam. Jack wytarł sobie ręce w spodnie, nachylił się i siarczyście cmoknął mnie w czoło. Dek i Mai oblizali mi twarz. Zastanawiałam się, gdzie jest Zee i reszta, ale Jack wyszedł z pokoju, zanim zdążyłam go o to zapytać.

Wrócił cały czerwony na twarzy. Przyniósł porcelanową filiżankę, tak małą, że w jego dłoni wyglądała jak naparstek. Przysiadł na brzegu łóżka. Bardzo ostrożnie wsunął mi rękę pod głowę i lekko mnie unióś. Przyłożył mi maleńkie naczynie do ust. Zapach rosołu.

Napiłam się gorącego, słonego płynu. Czułam się tak, jakby każdy łyk omijał żołądek i trafiał prosto do krwiobiegu. Rosół był przepyszny. W życiu nic lepszego nie jadłam. Serce zaczęło mi bić mocniej.

- Uśmiechnij się, panie Meddle - wymamrotałam. Jack jednak pozostał strasznie ponury.

- Gdy się dowiedziałem, co zaszło, próbowałem cię wytropić, ale nie dałem rady. Nawet Enkidu, Naganiacz, nie mógł pójść za tobą. Ani Oturu. A próbowaliśmy, moja droga. Próbowaliśmy wszystkiego. - Miał zaczerwienione oczy. - Trafiłaś do Ziemi Jałowej. Wiesz, co to za miejsce?

Nie odpowiedziałam, po prostu gapiłam się na niego. Przecież ja tam byłam, przeżyłam to. Prawdopodobnie lepiej od niego wiem, co to za miejsce.

Zalał się rumieńcem i schylił głowę. Przepraszając pomachał ręką.

- No, pewnie. Nie do wiary, że udało ci się uciec. Nikt tego nie dokonał. Stamtąd nie ma wyjścia. Myśleliśmy... że już cię straciliśmy.

Próbowałam usiąść, ale ogarnęła mnie fala nudności i wszystko rozmazało mi się przed oczami. Jack położył swoją silną rękę na mojej stopie. Przez moment mi się wydawało, że przechodzi transformację. Jego wygląd, ciało... jakby robiło się go mniej. Oczy nie pasowały mu do twarzy. Zobaczyłam wilka w owczej skórze.

Musiałam coś powiedzieć. Cokolwiek, byle zapełnić milczenie. Szukałam odpowiednich słów.

- Gdzie jest magiczny krąg? Czy Ahsen go zdobyła?

- Oturu go zabrał. Przechowuje dla ciebie.

- Ufasz mu?

- Nie miałem wyboru. Kamień jest bezpieczny. Ona nie zdoła go przechwycić.

- Mówisz o niej „skórnik” albo „ona”, ale nigdy nie nazywasz jej po imieniu. Dlaczego?

Jack wbił wzrok we własne dłonie.

- To... bolesne. Ona była naszym najświetlejszym umysłem, osiągnęła mistrzostwo w sztuce kreacji życia. Lecz posunęła się za daleko. Nie ma... sumienia.

- Zrobiła ludziom krzywdę?

- Nie - odparł. - Pośredniczyła w umowach na zdobywanie ciał dla demonów. Właśnie przez te... transakcje... armia Kostuchy trafiła na ziemię.

- Wywołała wojnę?

- Wojna zaczęła się już dawno temu. Po prostu próbowaliśmy przed nią uciec. - Starszy pan spojrzał mi prosto w oczy, a na jego ustach zatańczył gorzki uśmiech. - Musisz zrozumieć, że my nigdy wcześniej nie zetknęliśmy się z istotami, które ty nazywasz demonami. To... padlinożercy, myśliwi, stworzenia mające jeden cel: zadawać śmierć. Mój gatunek się wycofywał, raz za razem. Pozostawiliśmy miliony na pewną śmierć. Ludzi i innych istot. Przeżyli tylko nieliczni. Przeprowadziliśmy ich do tego świata. Myśleliśmy, że jest zbyt daleko, by demony mogły tu przybyć. Lecz wtedy ona wzięła sprawy w swoje ręce. W ramach usprawiedliwienia oznajmiła tylko, że jeśli uda nam się zdobyć potężniejsze skóry, będziemy w stanie lepiej się bronić.

- I za to wsadziliście ją do więzienia.

- Nie od razu. Niektórzy bronili jej decyzji. Dopiero gdy zaczęliśmy przegrywać... zwrócono się przeciwko niej.

- Ty i Sarai?

- My zawsze się jej sprzeciwialiśmy. Kiedy nadszedł czas, zamknęliśmy ją za zasłoną.

- A teraz znowu jest na wolności... - Na moment zamknęłam oczy. - Czy twój gatunek nam pomoże?

Jack westchnął i wstał.

- Dość już tego, dość. Odpoczywaj.

- Dlaczego nie chcesz odpowiedzieć na moje pytania?

- A musisz zadawać ich aż tyle?

- Muszę, bo jestem jak moja babcia - odparowałam. -I matka.

- To zagranie poniżej pasa - stwierdził.

- Stary Wilku, pomogą nam czy nie? - powtórzyłam.

- Nie - odparł uroczyście. - Wojna złamała mojemu gatunkowi kręgosłup. Nawet sobie nie potrafisz tego wyobrazić. My, którzy mieliśmy być nieśmiertelni, umieraliśmy w bitwach. Po wojnie została nas w tym świecie zaledwie garstka. Reszta odeszła przez Labirynt, żeby się uleczyć i zapomnieć.

- I mają gdzieś karę? Nie obchodzi ich, że to, czemu tak dużo poświęcili, zostanie zniszczone?

Skrzywił się z odrazą.

- Uważają, że demony wyciągnęły wnioski z poprzednich doświadczeń i będą unikać naszych światów. To jeden wielki bluff, chowanie głowy w piasek. Gdy tylko demony znajdą się na wolności, zajmą ten świat i znów wejdą do Labiryntu, a wtedy nikt nie będzie bezpieczny.

- I dlatego walczysz tak zażarcie. Dlatego tu zostałeś. Jack się zawahał.

- To nie jest najpiękniejszy ze światów, moja droga. Ani najłagodniejszy. Ale mimo swoich niedociągnięć ma głębię i urodę, które nawet kogoś w moim zaawansowanym wieku nieodmiennie zaskakują.

- Ach, już wiem, czemu babcia darzyła cię sympatią -powiedziałam miękko.

- Wspaniała kobieta - odparł z szacunkiem. - Byłaby z ciebie dumna.

Zarumieniłam się. Przełknęłam ślinę, zerknęłam na boki i zobaczyłam brudny zegar na ścianie. Przepelnił mnie inny rodzaj strachu.

- Jak długo przebywałam w Labiryncie? Jack podążył za moim wzrokiem.

- Tu czas mija w innym tempie. Dla ciebie to trwało parę miesięcy. Tutaj minął zaledwie dzień.

Miesiące. Chyba raczej lata. Już miałam to powiedzieć, ale gdy spojrzałam na niego, zauważyłam, że intensywnie wpatruje się w moją prawą rękę. Dopiero teraz poczułam coś ciężkiego na placu. Spuściłam wzrok.

Pierścień - gruba, ciężka obrączka albo z żelaza, albo z matowego srebra. Sięgała od nasady palca aż do stawu, całkowicie zasłaniając skórę. Pokryta wygrawerowanymi runami. Linie układały się w kształty dziwacznych róż, eleganckich, może śmiertelnych. Palec drgnął i przeszył mnie prąd, jakby między moim ciałem a pierścieniem krążył prąd.

Miecz.

Wiedziałam, że są tym samym. Od razu wiedziałam, choć nie potrafiłam zrozumieć. Trzymałam jednak buzię na kłódkę - jak gdyby wypowiedzenie tego na głos pogwałciło czyjeś zaufanie. To nie był sekret, a jednak zdawałam sobie sprawę, że nie wolno mi się z tym obnosić.

Może to szaleństwo, ale coś czułam. Między moją dłonią a rękojęścią, między ręką a pierścieniem. Jakby to na mnie czekało. Cierpliwie. W ciemnościach. Bałam się tego nadużyć.

Jack nadal gapił się na pierścień. Odchrząknęłam.

- A co z resztą?

- Wszystko dobrze - odparł krótko. - Niedługo ich zobaczysz.

Ogarnęło mnie zmęczenie, powieki zaczęły mi ciążyć. Rozejrzałam się za Zee, ale widziałam tylko zakurzone, winylowe zasłony, tani, plastikowy stolik do gry w karty zarzucony gazetami i złocisty chodnik, który wyglądał jak siedlisko karaluchów. Jack sięgnął po wodę stojącą obok łóżka.

- Wybacz mi warunki. - Przystawił mi butelkę do ust. - Musiałem się włamać do czyjegoś mieszkania.

- Nie spodziewałam się, że jesteś przestępcą - odparłam sennym głosem.

- - Z wiekiem człowiek uczy się różnych rzeczy - stwierdził cicho Jack.

Woda smakowała dobrze, ale nie była tak słodka jak ta w Labiryncie. Zamknęłam oczy. Potrzebowałam ciemności. Tęskniłam za ślepotą. Znowu pomyślałam o Zee, ale nie miałam siły zapytać. Mózg przestał mi pracować.

Zasnęłam.

Upadłam na ścieżki kamienia i nocy, ściagałam sny wzdłuż murów Labiryntu. Śniłam, że dzierzę miecz. Śniłam, że jestem ślepa i muszę zrobić przerwę w podróży. Miecz na kolanach, ostrze przylegające płasko do ud. Kołysałam się z pięścią przyciśniętą do gardła, by zdusić jakiś nienazwany smutek. Śniłam o czymś śliskim i cichym pod sercem. O szeptach w ciemności.

Potwory w głębinach. Potwory we krwi.

Śniłam drogę przez las, wijącą się ślepo przez zagajnik, śniłam drzewa o gładkich pniach pod moimi ciekawskimi palcami. Wychwytywałam zapach śniegu i lodu. Stopa ugrzęzła mi w czymś dużym i miękkim. Runęłam jak kłoda, z mieczem nadal w dłoni.

Przy nodze czułam ciepłą miękką sierść, a pod nią szczupłe ciało. Żebra unosiły się i opadały. Szorstka grzywa z wplątanymi liśćmi i małymi, okrągłymi kamyczkami.

- Witaj - wyszeptał ktoś znajomy. - Witaj ponownie, Tropicielko.

Zamarłam, wstrzymałam oddech.

- Nie spiesz się - ciągnął głos. - Dobrze wiem, jak to jest zagubić się w ciemnościach.

Usiadłam i śniłam dalej. Nie wynurzyłam dłoni z długich włosów. Po chwili przysunęłam się bliżej. Szeroki nos musnął mi ramię, a koniuszek czegoś twardego i zimnego dotknął czoła. Wyciągnęłam rękę. Róg, długi, spiralnie skręcony.

- Rozpoznajesz mnie? - zapytał głos cichy niczym zima.

- Owszem, Sarai - wyszeptałam. Serce łomotało mi jak szalone. - Jesteś jednoroźcem.

Milczała, aż w końcu odezwała się prawie niesłyszalnie:

- Dobrze usłyszeć to imię.

- Dobrze - powtórzyłam. - Umarłaś. To sen. Albo postradałam zmysły.

- Szaleńcy nie prowadzą uprzejmych pogawędek z jednoroźcami - stwierdziła Sarai.

- Może nie w twoim świecie. Gdziekolwiek on się znajduje.

- Mój świat... - Jej głos zamarł. Zamyśliła się. - Ja i mój gatunek mamy wiele światów. Jesteśmy... podróżnikami. Wędrowcami, jeśli wolisz. Labirynt to skrzyżowanie dróg, to stare drzewo z gałęziami sięgającymi gwiazd. Z Labiryntu widać wszystkie światy. Można tu przewędrować przez sny o wszystkich światach i znaleźć rzadką wyspę dryfującą w ciemnościach.

- Jack mi co nieco wyjaśnił - powiedziałam. - Nie wspomniał jednak o jednoroźcach. Ale tak naprawdę to nie jesteś ty, zgadza się?

- To, co czujesz, to tylko ciało - wyjaśniła prosto. - W Labiryncie przedstawiciele mojego gatunku mogą istnieć pod dowolną postacią, nawet najbardziej dziwaczną. Choć rzeczywiście mam pewną słabość do tej konkretnej skóry. To ostatnie echo rasy, która przeminęła wieki temu.

Śniło mi się, że jej spiralny róg dotknął mojego czoła.

- Nie mogę tu zostać. Muszę się obudzić.

- No to się obudź - odparła miętko z otaczających nas ciemności. - Lecz pamiętaj, Tropicielko, teraz już należysz do Labiryntu. Masz to we krwi.

Moje ciało zrobiło się ciężkie. Zdecydowanie za ciężkie - I kie jak na sen. Z wysiłkiem dźwignęłam się na nogi. Byłam ślepa. Dłonie spocły mi się na rękojeści miecza. i

- Do widzenia - usłyszałam szept Sarai. - Dziękuję, że zostałam przy mnie do końca. Dziękuję, że Brian nie był ci obojętny.

Chciałam coś do niej powiedzieć - cokolwiek, wszyst-ko - ale poczułam silne ssanie w głowie, jakby ktoś wsadził mi rurę odkurzacza przez dziurę w czaszce, i nagle otworzyłam oczy.

Obudziłam się. Przy łóżku zobaczyłam Jacka. I jeszcze kogoś. !

- Grant - wyszeptałam. Skóra mnie mrowiła i paliła. ;

- Nie - odparł drugi mężczyzna, nachylając się do mnie.

Naganiacz. Nad żelazną obrozą miał pokaleczoną szyję. Ostry, płonący wzrok. Dek z Małem podnieśli głowy. I

- Musimy cię stąd zabrać - powiedział niskim, chrapliwym głosem. - Już prawie świt. Nie możemy pozwolić | chłopcom spać na twojej skórze. Jeszcze na to za wcześnie - j nie. Prawie wpadłaś w szok, gdy się od ciebie oddzielili. i

Próbowałam pokręcić głową. Naganiacz położył mi dłoń na policzku. Tylko na moment, bo zaraz się skrzywił i ją zabrał, jakby się oparzył.

- Zaopiekuję się tobą. Masz moje słowo, Tropicielko. Słowo. Kiedyś mogłam mu zaufać na słowo.

Kiedyś on

mógł zaufać mnie. Przypominałam to sobie. Chyba.

Mieszało mi się w głowie. Chciałam wziąć Naganiacza za rękę, pragnęłam go dotknąć. Tak bardzo, jakbym od pięciu tysięcy lat czekała na ten prosty gest. Jakby to coś zmieniło. Sprawilo, że wszystko będzie dobrze.

Próbowałam wyciągnąć rękę spod kołdry, ale ciało miałam jak z betonu. Kołdra wydawała się tak ciężka jak kamień nad głową w Ziemi Jałowej, w rzece. Znowu się topiłam.

Zebrałam się w sobie. Wyrwał mi się pisk i aż się zarumieniłam ze wstydu. Serce waliło mi dziko. Musiałam się poruszyć. Uwolnić. Musiałam zacząć krzyczeć.

Może to odmalowało się na mojej twarzy. Naganiacz nachylił się i odsunął kołdrę. Ucisk zelżał. Znowu mogłam oddychać. Lecz moment minął i moja ręka pozostała wyciągnięta wzdłuż tułowia. Spojrzałam na pokaleczoną twarz Naganiacza.

- Oturu ci to zrobił? Nie odpowiedział.

- Szybko - ponaglił Jack. - Słońce wszędzie za niecałą minutę.

Naganiacz odrzucił kołdrę na bok. Teraz leżałam przykryta jedynie prześcieradłem. Wziął mnie na ręce. Głowa opadła mi bezładnie do tyłu. Nie miałam siły, by ją podtrzymać. Dek z Małem zsunęli mi się między piersi.

Zamrugalam i znalazłam się w całkowitych ciemnościach. Co za ulga dla oczu.

Ale to nie trwało długo. Pojawił się pokój. Drewniana podłoga, ściany z cegły, duże okna. Miękkie białe łóżko z odchylną kołdrą. Po pokoju krążył mężczyzna, ciężko wsparty na lasce, ze złotym fletem w kurczowo zaciśniętej dłoni.

Grant.

Gdy tylko Naganiacz położył mnie na łóżku, Grant wyciągnął rękę, odgarnął mi włosy, na moment przytknął drżącą dłoń do mojego czoła. W kącikach oczu pojawiły mu się nowe zmarszczki. Był nieogolony. Jeszcze nie przekroczył czterdziestki, ale mogłabym przysiąc, że dostrzegam błysk siwizny. Jego spojrzenie było śmiertelnie poważne. Na łóżku pojawili się Zee, Raw i Aaz. Zbili się w ciasną grupkę. Wpełzli pod kołdrę i przytulili się do mnie.

Grant zrobił to samo. Naganiacz wycofał się z pokoju. Jack też - choć nie miałam pojęcia, skąd się tu wziął. Starszy pan zgasił światło. Drzwi zamknęły się za nim i z kliknięciem. I

- Już dobrze - wyszeptał Grant, całując mnie w policzek i biorąc w objęcia. - Już dobrze, Maxine. Jestem przy I tobie. i

Zamknęłam oczy. Wcześniej płakałam przy Jacku, ale teraz byłam z Grantem. I

Zacząłam opowiadać Grantowi o wszystkim. Mówiłam, i jakby od tego zależało moje życie, choć byłam tak otępiała i niena, że język mi się plątał. Opowiedziałam mu o tym, co mi się przydarzyło w Ziemi Jałowej. Opowiedziałam I

O całej ohydzie, brzydocie i strachu, które nadal dławili mnie w gardle. O tym, że zostałam pogrzebana żywcem. Że uciekłam, by nie zwariować. Że wariowałam. O mieczu i pierścieniu. |

Grant cierpliwie słuchał. Dał mi wody, gdy zaschło mi ję w ustach. Pomógł, gdy musiałam iść do łazienki. Przebrał mnie w miękkie ubrania. Ani na chwilę nie zostałam sama. Trzymał mnie w ramionach, gdy zrobiło się ciemno.

Mocno tulił do siebie.

- Maxine, nie możemy zostać - powiedział Zee godzinę przed świtem. - Musimy iść tam, gdzie słońce jeszcze nie wzeszło.

- Idźcie, tutaj nic mi nie będzie - odpowiedziałam. - Zresztą czuję się już lepiej.

Grant coś mruknął i musnął mnie wargami w kark.

- Odwróć się i pocałuj mnie.

Przyłożyłam się do tego. Udało mi się przekrócić na plecy, zanim opadłam z sił. Miałam wrażenie, że kołdra waży z tonę. Wbiłam wzrok w sufit. Serce waliło mi jak oszalałe. Kręciło mi się w głowie.

Grant nadal leżał obok mnie bez ruchu. Dek z Małem zaczęli nucić Vm Still Standing Eltona Johna.

- No dobra. - Grant zapalił lampkę przy łóżku. - W salonie czeka na ciebie zapaśnik sumo. Możesz się nim zająć po śniadaniu.

Chciałam klepnąć go w ramię, ale ręka bezwładnie opadła mi na kołdrę. Aaz złapał mnie za przegub i trzepnął Granta moją dłonią.

- A masz - zawołał.

- Dziękuję - mruknęłam, a mały demon wyszczerzył do mnie zęby.

Ktoś zapukał do drzwi. Do środka zajrzał Jack. Miał potargane włosy i pogniecione ciuchy, a na policzkach lśniła mu srebrna szczecina. Wyglądał jak wykończony profesor, który całą noc ślezczał nad jakimś mało znanym tekstem, referatami studentów albo nad książkami z biblioteki i robił na nich kółka filizanką kawy. Próbowałam go sobie wyobrazić w otoczeniu poobgryzanych ołówków i talerzy z zeszlými słodkimi bułeczkami, ze zdjęciem mojej babci ukrytym za stertą tomów, które wyciąga tylko w rzadkich chwilach niczym skarb. Wyobraziłam sobie, jak na nią patrzy z uśmiechem. Tak bardzo tego chciałam. Nagle do mnie dotarło, że mam niezłe namieszane w głowie.

- Przyniosłem herbatę. - Jack zarumienił się, gdy zobaczył nas oboje w łóżku, choć byliśmy w ubraniach.

Grant odrzucił kołdrę i usiadł. Przeczesał włosy palcami. Jack wszedł dalej do pokoju. Z deski do krojenia zrobił sobie tacę. Próbowałam się dźwignąć i usiąść. Tym razem się powiodło, choć z pomocą Zee i Rawa. Aaz podłożył mi poduszki pod plecy. Dek z Małem podparli mi głowę.

Grant zdusił uśmiech.

- Jak myślisz, jak by wyglądali w małych pielęgniarskich mundurkach?

- Super - stwierdził Zee, a reszta zachichotała.

Coś mignęło w drzwiach. Naganiacz. Przyglądał się chłopcom, jakby właśnie zobaczył, że kawałkowi skały wyrosła noga i zaczęła tańczyć przy rurze. Zorientował się, że na niego patrzę i się wycofał.

Jack odstawił deskę do krojenia i przysiadł na krawędzi łóżka. Podniósł mi herbatę do ust. Gorącą i słodką. Chciałam sama przytrzymać sobie filizankę, ale nie mogłam podnieść rąk tak wysoko. Jack złapał mnie za dłoń i przycisnął ją sobie do pogniecionej koszuli, nad sercem. Odstawił filizankę.

- Chłopcze, patrz i ucz się - zwrócił się do Granta.

Ja i Grant zmarszczyliśmy czoła. Jack zamknął oczy. Zaczął mnie mrowić palec. Pierścień zaiskrzył w zaciemnionej sypialni. Był ciężki, ale przyjemny, tak ciasno przywierał do skóry, że wyobraziłam sobie, jak metal wrasta srebrnymi korzonkami w moje ciało i wiąże się z kością, jak zamienia mi szpik w rtęć.

Na początku nie zauważyłam niczego nowego. Tylko Grant, który siedział na łóżku, patrzył z dziwną miną to na mnie, to na Jacka, z głęboką zmarszczką u nasady nosa. Przebierał palcami nad swoim brzuchem, jakby grał jakąś melodię. Muzyka dla duszy.

Aż nagle zrobiło mi się niewiarygodnie gorąco. Pulsujące ciepło rozprzestrzeniało się od miejsca, gdzie dotykał mnie Jack. Na plecach i karku wystąpił mi pot. Chłopcy zbili się w ciasną grupkę i pociągnęli nosami. Zee obliznął sobie łapę, a potem narysował w powietrzu linię nad Jackiem.

- **Panie Meddle, co robisz?** - spytał.

Jack otworzył jedno oko i uśmiechnął się z wysiłkiem.

- **Spróbuj unieść rękę, moja droga.** Posłuchałam. I dałam radę. Odzyskiwałam siły.

- **Weź swój flet, chłopcze** - polecił Jack, któremu zrobiły się małe zmarszczki dookoła oczu.

Instrument leżał na stoliku nocnym. Jednym płynnym ruchem Grant sięgnął tam i uniósł złoty flet do ust. Zagrał śpiewną melodię. Poczułam, jak ona przeze mnie przepływa, czułam jej moc.

Przypomniałam sobie jednak, że muzyka Granta nigdy nie miała wpływu ani na mnie, ani na chłopców, ale w tym samym momencie zorientowałam się, że on gra dla Jacka. To wzmacnia starszego pana. Na moich oczach wyprostował się, a wyraz zmęczenia zniknął z jego twarzy. Również to poczułam, bo temperatura wzrosła, jakby między naszymi dłońmi tkwiło małe wesołe słońce.

- **Ojej** - mruknął Jack, gdy muzyka Granta przybrała na sile. - **Ale ty masz moc.**

Ja też nabierałam sił. Nachyliłam się do przodu, tak na próbę. Przyszło mi to bez trudu. I w ogóle się przy tym nie zmęczyłam. Zee pociągnął mnie za rękę i wskazał na Granta. Spojrzałam na muzyka i w gardle zabulgotał mi śmiech. Nigdy nie słyszałam, by grał coś tak dzikiego. Jego palce poruszały się bardzo szybko, prawie nie robił przerw na oddech. Powietrze ciężkie szybkie nuty. Czułam ich smak. Niemal widziałam światło. Zauważyłam, że na niego patrzę. W jego oczach pojawił się ciepły uśmiech.

Chociaż to Jack poprosił, żeby Grant coś zagrał, nie wyglądał teraz na rozbawionego. Zrobił się błąd jak ściana i wbił wzrok we flectę. Usłyszałam szelest przy drzwiach. W progu stał Naganiacz i też intensywnie patrzył. Ale nie na Granta, a na mnie. Oczy miał posępne i ponure.

Gdzieś w oddali rozległo się łomotanie pięści.

Jack puścił moją rękę. Nie przyszło mu to łatwo, bo byliśmy jak sklejeni. Dłonie oderwały się od siebie

z pyknięciem. Z drugiego pokoju dobiegł nas huk, a potem zdławiony krzyk. Naganiacz zniknął na chwilę, burcząc coś pod nosem. Grant przestał grać. Zapadła przejmująca cisza.

W drzwiach stanęła Mary. Jej białe włosy sterczały na i wszystkie strony niczym naelektryzowane futro. Miała na

sobie sukienkę w różowe latające smoki i stary granatowy sweter, cały w dziurach - niektóre były zaszyte czerwoną nitką.

W jej oczach lśniło szaleństwo. W ręce ścisnęła garść listów Granta. To jedno z zadań, jakie jej powierzył. Traktowała je bardzo poważnie. Wbiła w niego spojrzenie. Ciężko dyszała. Przesunęła wzrok na Jacka. I nagle wszystko się zmieniło.

Listy wysunęły się z dłoni kobiety. Jej twarz wykrzywiła ostra, rozwścieczona furia.

- **Wilk** - powiedziała.

Rozdział 17

Wilk.

Za plecami Mary pojawił się zgięty wpół Naganiacz. Trudno sobie wyobrazić, że jedna drobna staruszka mogła mu zrobić krzywdę - ostatecznie mnie niewiele udało się zdziałać - ale wyraz jego twarzy właśnie to sugerował.

Mary weszła do pokoju z zaskakującą gracją i szybkością. Nie spuszczała oczu z Jacka. Miała taką minę, jakby spodziewała się po nim najgorszego. Na podłodze leżały rozsypane listy. W prawej ręce trzymała coś zawiniętego w folię aluminiową, co pachniało jak ciastka czekoladowe. Zee i pozostali chłopcy siedzieli obok mnie na łóżku zupełnie nieruchomi - niczym lalki pokryte łuskami ostrymi jak żyłki. Mary popatrzyła na nich przelotnie i znowu skupiła się na Jacku.

- **Wilk** - powtórzyła szeptem. Jej zwiędłe wargi prawie się nie poruszały. - **Grzesznik.**

Równie dobrze mogłaby go ugodzić nożem. Jack wpatrywał się w nią intensywnie. Mięśnie policzka drgały mu spazmatycznie.

- **Marritine** - wykrztusił z siebie w końcu. - **Co za niespodzianka!**

O Boże. Z niedowierzaniem gapiałam się na starszego pana. Grantowi wyrwał się słaby jęk. Spojrzeliśmy po sobie. Był nie mniej dezorientowany niż ja.

Mary zaczęła się trząść. Na początku tylko lekko drżała, lecz wstrząsy szybko przybrały na sile i po chwili szczękała już zębami. Niesamowite. Na naszych oczach ciało starej kobiety dygotało tak gwałtownie, jakby zaraz miało się rozsypać na kawałki. Ona jednak nadal wierciła dziury w głowie Jacka przenikliwym, zimnym i pustym spojrzeniem.

Grant próbował wstać z łóżka. Podałam mu laskę. Wziął ją ode mnie w ponurym milczeniu i dźwignął się na nogi. Jeszcze raz zerknął na Jacka, po czym kuśtykając, przeszedł przez pokój i stanął między Mary a starszym panem. Nie odezwał się ani słowem, tylko objął ją ramieniem i przytulił do siebie. Mary schowała twarz w jego bluzie.

Złapałam Jacka za rękę. Zamrugnął i oderwał wzrok od Mary, żeby spojrzeć na mnie, a potem poza mnie, gdzieś w dal.

- **To nie ma sensu** - wymamrotał. - **To niemożliwe.** Ścisnęłam jego kościste ramię.

- **Jack.** Co się dzieje?

- **Marritine** - powtórzył i skupił na mnie wzrok. - **Ojej.** Grant wydał z siebie niski pomruk, który mógłby być warknięciem.

- **Ona się ciebie boi.**

Jack otrząsnął się, jakby chciał w ten sposób odzyskać odrobinę panowania nad sobą.

- Nonsens. Złe wspomnienia, owszem... ale jeśli Marritine się boi, jest to związane z miejscem, gdzie ją znalazłem. Ta kobieta... nie urodziła się na ziemi.

Załamalam się. Schowałam twarz w dłoniach. Naganiacz wszedł do pokoju. Wcześniej stał w absolutnym bezruchu, więc prawie o nim zapomniałam. Cienie rzucane przez lampę sprawiły, że wydawał się jeszcze groźniejszy niż zwykle. I nieprzenikniony. Wpatrywał się w Jacka z brutalną intensywnością. Jakby coś należało zrobić i on chciał się tym zająć. Grant zmrużył oczy.

- Mary jest człowiekiem.

- Nie przeczę - mruknął starszy człowiek, zerkając przelotnie na Naganiacza. - Ale nie pochodzi z tego świata.

- A niby co? Przyleciała tu statkiem kosmicznym? - warknęłam.

Jack spojrział na mnie ostro.

- Labirynt, Tropicielko. Zagubiona w kwantowej róży. Mary kurczowo wczepiła się w bluzę Granta. Kątem

oka spoglądała na Jacka. Nachyliłam się bliżej. Staralam się rozszyfrować targające nim emocje.

- Coś ty zrobił Mary?

Potał twarz. Był czerwony jak burak.

- Znalazłem ją w Labiryncie. Wiele lat temu. Nie potrafiła mi powiedzieć, jak długo wędruje, ale od razu się zorientowałem, że postradała zmysły. Przyprowadziłem ją do tego świata.

- I zostawiłeś na ulicy - dodał szorstko Grant. - Siedziała w alejce zmarznięta na kość, prawie nieżywa od przedawkowania narkotyków.

- Zostawiłem ją pod opieką kogoś, komu ufałem - wyjaśnił łagodnie Jack. - Na Hawajach.

Grant nadal robił wrażenie rozgniewanego. Uspokajająco pogłaskał Mary po plecach. - A jak ona się dostała do tego... Labiryntu?

- W baśniach ludzie wpadają do innych światów przez dziury.

- W baśniach dzieje się dużo różnych rzeczy. Co nie znaczy, że wszystkie są prawdziwe.

- A nie są? - wtrącił Naganiacz niskim mocnym głosem. - Tropicielko, więzienie ma pęknięcia,

Labirynt

też. Wystarczy jeden fałszywy krok i... można się zaga- ■ bić. I

- Chcesz powiedzieć, że... ludzie żyją w innych miej- 1 scach? - zapytał z napięciem Grant.

- Wszędzie - odparł Jack. - W Labiryncie jest nieskoń- j czona liczba przejść.

- Wilk - mruknęła znowu Mary. - Przestępca.

- Marritine... - Uchylił się, bo rzuciła w niego zawiniętymi w folię ciastkami.

- Trzymaj się z daleka od Granta - wycedziła zjezo-na. - Pochłaniaczu światła.

Jack się skrzywił. Naganiacz zamarł. Grant przytulił Mary mocniej i odwrócił ją, żeby nie musiała patrzeć na Jacka. A ja wstałam z łóżka, zanim do mnie dotarło, że mo- l że nadal jestem na to za słaba.

Ale nogi się pode mną nie ugięły, nie zakręciło mi się jł w głowie. Serce nie łomotało jak szalone. A w każdym ra- 1 zie nie od nadmiernego wysiłku. 1

Grant posiadał moc przewidywania, nadprzyrodzoną, | nieubłaganą świadomość. Był poszukiwaczem prawdy, muzykiem, niebezpiecznym Flecistą z Hameln. Głos miał jak grzmot, z liryczną nutą, przesycony mocą.

- Mylisz się, Jack. Mary boi się nie tylko samego Labiryntu.

Jego słowa odbiły się głośnym echem w mojej głowie. Serce mi się ścisnęło. Oczywiście, pomyślałam, patrząc na tego starego, zbitego z tropu człowieka.

- Pan Meddle2 - wyszeptalam. - Jack.

Może to zrozumienie odmalowało się na mojej twarzy, bo starszy pan zbladł i zaczął kręcić głową. Podniosłam rękę. Ten ostry gest sprawił, że Jack zamknął usta.

- Wciąż o tym zapominam - powiedziałam do niego cicho. - Odsuwam to od siebie, bo tak bardzo cię lubię. Ale przedstawiciele twojego gatunku... tak jak demony i zombie traktują ludzi jak bydło. Wy tylko... przedstawiacie to inaczej. Mniej drapieżnie. - Zamknęłam oczy, próbując nad sobą zapanować. - Wy tłumacz mi, Jack, dlaczego demony tak dały wam popalić? Co mają przeciwko wam? Może... rywalizowaliście... o te same zasoby?

Wyglądał na dotkniętego.

- Ależ nie, moja droga, skąd.

- Nie? - Patrzyłam mu prosto w oczy. - Naprawdę, Jack?

Nic nie powiedział, a rumieniec na policzkach rozprzestrzenił mu się aż na szyję. Mnie też było gorąco. Płonęłam. Cała stałam w płomieniach. Naganiacz zrobił krok w moim kierunku. Grant spojrział na niego ostro. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem jak wilki gotowe rozpocząć łowy.

Jakieś małe dłonie złapały mnie za rękę. Zee, Raw, Aaz. Dek z Malem siedzieli mi cicho na ramionach.

Odwrociłam się i wyszłam z pokoju.

Matka poprosiła mnie kiedyś, żebym zawsze wybierała prawdę, a nie kłamstwa.

Opisała żelazne pomieszczenie bez okien i drzwi. Pokój, z którego nie można wyjść. A w środku ludzie pogrążeni w głębokim śnie. Duszą się. Osuwają w cichą bezbo-lesną śmierć.

„Obudziłabyś ich?“, zapytała. „Czy wolałabyś, by zmarli w pełnej świadomości? Czy zdobyłabyś się na takie okrucieństwo?“

Lu Xun. Matka uwielbiała jego opowiadania. Ja byłam wtedy punkiem, więc powiedziałam jej, że tak, zdobyłabym się na takie okrucieństwo. Bo prawda jest lepsza niż niewiedza, a ludzie powinni mieć szansę pogodzenia się z własnym losem. Niech świadomie przeżyją swoje ostatnie chwile. Albo niech spróbują się stamtąd wydostać.

Teraz już nie byłam tego taka pewna.

W salonie migotał ekran telewizora. Bez dźwięku. Wiadomości. Nadal mówiono o trzęsieniu ziemi w Iranie. Zginęły tysiące ludzi, kolejne tysiące prawdopodobnie nadal tkwiły pod gruzowiskami. Sytuacja była zła również w innych miejscach: aktywność wulkaniczna na Hawajach, burze śnieżne na

środkowym zachodzie i na Wschodnim Wybrzeżu w Stanach. Strzelanina w szkole w Marylandzie. I w biurówcu w Vegas. Seryjni gwałciciele na Florydzie, zaginione dziewczyny w Idaho. To wszystko niekoniecznie wiązało się z demonami, ale jakie to ma znaczenie? To właśnie jest żelazny pokój, żelazny dom. Ludzie się duszą, umierają we śnie. A ja byłam jedną z niewielu osób, które znają prawdę.

Choć i tak w rzeczywistości nic nie wiedziałam.

Wyszłam z sypialni. W połowie salonu dotarło do mnie, że mam na sobie koszulkę bez rękawów i spodnie od dresu i jeśli ktoś mnie zobaczy bez tatuaży, będę musiała się niezłe tłumaczyć. Co za niedbałość. A może miesiące czy lata spędzone w ciemnościach Ziemi Jałowej sprawiły, że już mnie przestało obchodzić, czy ktoś zobaczy moje ciało i zacznie zadawać pytania?

Szłam dalej. Nie mogłam wrócić do sypialni i zmierzyć się z Jackiem. Ani nawet z Naganiaczem. Przez ten konflikt czułam się jak dziecko. I to wcale nie w pozytywnym sensie.

Zee i reszta trzymali się w cieniu niczym zjawy. Drzwi do pokoju gościnnego były zamknięte. Miałam nadzieję, że Byron śpi i nic nie słyszy.

Poszłam po schodach na taras na dachu. Musiałam odetchnąć świeżym powietrzem. Wiatr pachniał wilgocią i chłostał zimnymi podmuchami. Zadygotałam, ale się nie poddałam. Ostro wiało. Zmatowiałe włosy trzepotały mi wokół twarzy niczym miękkie bicze. Niebo jaśniało. Na wschodzie pojawiły się aksamitne, fioletowe chmury ze szczyptą złota. Już niedługo nadejdzie świt, a moja skóra rozśpiewa się demonami.

Znamię Oturu zaczęło mnie mrowić. Napłynęła fala gorąca, jakbym nagle znalazła się w saunie.

Nie spojrzałam. Nie odwróciłam się. Nawet gdy Dek syknął cicho. Nawet gdy poczułam delikatny dotyk na łokciu, ostrożny i ulotny.

- Usłyszeliśmy wołanie twojego serca - wyszeptał Oturu. - Pomiedzy wiecznościami. Lecz nie mogliśmy cię tam dosięgnąć, choćbyśmy się nie wiem, jak starali.

Obejrzałam się za siebie. Widziałam tylko łopoczącą na wietrze pelerynę. Stał tak blisko, że otchłań jego ciała mogłaby mnie pochłoniąć. Wystarczyło, żeby się odrobinę nachylił, i zniknęłabym w tych czeluściach.

Zee, Raw i Aaz wychynęli z cienia i przytulili mi się do nóg. Podrapałam chłopców za uszami. Ich pomruki brzmiały jak pęknięcie lodu. Wyczułam, że Oturu przygląda się każdemu po kolei. Zaskakująca łagodność linii jego warg mogła nawet oznaczać ciepłe uczucia. Serce ścisnęło mi się dziwnie na ten widok. Peleryna muskała mi ramiona, miękka i zimna niczym zmrożony jedwab.

- Przyjaciółko - ciągnął szeptem Oturu. - Baliśmy się o ciebie. Nadal się boimy.

- Nie - odpowiedziałam. - Nie ty.

Nachylił się. Był tak blisko, że moglibyśmy się pocałować, a jednak nadal nie widziałam jego oczu. Ale czułam, czułam ciężar tej otchłani, dotyk włosów, które splątały się z moimi. Powinna mnie napęścić odraza, ale jej w sobie nie znalazłam. Tylko deja vu graniczące ze wspomnieniem.

- Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy - mruknął - da- , rowałaś nam życie w zamian za przysługę. I na tym by się skończyło, gdyby nie fakt, że zrobiłaś więcej, niż należało. Posunęłaś się poza układ, poza obietnice. Byliśmy sami, Tropicielko. Stałaś się naszą przyjaciółką. Wykazałaś się... [dobrym sercem. ,

- Wcale nie. To nie byłam ja. ;

- A jednak - szepnął. - Takie jest życie. I

- Gdy się pierwszy raz spotkaliśmy, próbowałeś mnie zabić.

Jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

- Tylko po to, by udowodnić naszą wartość. Posta- 1 nowiliśmy jednak zapewnić ci bezpieczeństwo, Tropicielko, choć moglibyśmy odebrać ci życie. Ona nam dała takie) prawo. Uwierzyła, że nie nadużyjemy jej zaufania. Nikt in- 1 ny nie obdarzył nas zaufaniem i nigdy nie obdarzy. I

W głowie mi się nie mieścił taki układ. Nie potrafiłam * tego wszystkiego zrozumieć. Wpatrywałam się w niego f bezradnie.

- Czy moja matka wiedziała? Zee zamarł.

- Ona też znalazła się kiedyś w potrzebie - odparł Oturu.

Odwróciłam się od niego. Przypomniała mi się wizja, którą miałam pod autobusem - Oturu z kobietą podobną do mnie, pod niebem z obcymi księżycami. Przez krótką chwilę nie byłam pewna, czy to fantazja, czy rzeczywistość, przeszłość czy przyszłość. Niebo jaśniało coraz bardziej, złocista poświata mieszała się z fioletami uciekającej nocy. Podeszłam do krawędzi dachu i spojrzałam na miasto. Oturu stanął obok mnie.

- Masz magiczny krąg - powiedziałam.

Nadal milczał, ale jego peleryna się rozsunęła i kosmyk włosów zagłębił się w wirującą otchłań. W ciemności majaczyły jakieś twarze, widziałam zarys policzków i puste oczy. Po chwili demon odwrócił się odrobinę, a kosmyk wysunął się z powrotem spod płaszcza, okręcony wokół jakiegoś zawiniątka.

Płaszcz matki. Jej rękawiczki. Noże. A na samej górze magiczny krąg, lśniący niczym ciemna perła.

- Wszystko dla mnie przechowałeś - wymamrotałam.

- Porzuciłaś swoje rzeczy niczym duch - mruknął. - Ahsen nie zdążyła ich złapać.

Przejechałam dłonią po miękkiej skórze płaszcza. Oczy mnie paliły, gardło ścisnęło. Kiwnęłam głową.

- Dziękuję. - Tylko tyle zdołałam wydusić.

- Twoje serce w nich zamieszkało - powiedział łagodnie. - To niebezpieczne, Tropicielko. Nie należy się tak przywiązywać do małych rzeczy.

- Małe rzeczy, krótkie chwile. - Wzięłam magiczny krąg i położyłam go sobie na dłoni. - Oturu, czy ty nigdy nie kochałeś?

- Kochałem. Jeśli miłość to pragnienie czyjegoś przetrwania. Jeśli miłość to pragnienie, by nigdy nie iść na łowy samotnie.

Zacisnęłam dłoń na kamieniu.

- Co matka próbowała przede mną ukryć?

- Tylko ona może ci to wyjawić. Ale uważaj. Kiedy użyjesz magicznego kręgu, Ahsen to wyczuje. Przyjdzie do źródła.

Zawahałam się.

- Zostaniesz ze mną?
- Nie zdołam cię przed nią ochronić.
- **Wiem.** - Wbiłam wzrok w rondo kapelusza, udając, że widzę oczy Oturu. - Nie chcę być sama.

- **Och** - westchnął. - **Och, Tropicielko. Masz innych.**
- Ty tu jesteś - powiedziałam.

Chodziło jednak o coś więcej. Coś, czego nie potrafiłam nazwać, z czym nie umiałam się zmierzyć. To wydawało się takie trudne. Im dłużej przebywałam z Oturu, tym bardziej mnie to krzepiło, jakby jego obecność była niczym stara rękawiczka, znajomy nóż, ciężar płaszcza matki.

Nie. On jest demonem. To chore.

Odsunął się ode mnie tanecznym krokiem, ostrza stóp cięły dach. Przykucnął. Peleryna rozpostarła się na papie i stali. Uklękłam na krawędzi otchłani. Zaczęło padać. Zee, Raw i Aaz zebrali się blisko mnie, a Dek z Malem oparli mi podbródki na uszach. Trzymałam w rękach magiczny krąg i intensywnie się w niego wpatrywałam. Przesuwałam palcem po wygrawerowanym Labiryncie. Zakręciło mi się w głowie.

- Uważaj, gdzie spadniesz, Tropicielko - wyszeptał Oturu. - Na dno twojego serca jest długa droga.

Długa droga. Ale nie na dno mojego serca. Skupiłam myśli na matce. Wzrokiem przenikałam magiczny krąg, te srebrnoperłowe żyłki. Grawerowane żelazo na palcu zaczęło mnie palić.

- Zee złapał mnie za przegub. Oturu się wzdrygnął, kosmyk włosów wysunął się, by dotknąć metalu.

- **Poczekaj** - zawołał. - **Tropicielko...**

Za późno. Magiczny krąg połknął mój umysł. I mnie wypluł.

Gdy otworzyłam oczy, byłam gdzieś indziej. Na niebie słońce wielkie jak świat. Wszystko skąpane w złocistej poświacie. Dookoła, jak wzrokiem sięgnąć, trawa. Na horyzoncie poszarpane góry z ośnieżonymi szczytami ginącymi w chmurach. Śmierdziało końmi. Słyszałam szorstki męski śmiech. Gdzieś dzwoniły dzwony.

Nadal miałam na sobie top bez rękawów i spodnie od dresu, lecz teraz moją skórę pokrywali chłopcy. Odwróciłam się wolno i zorientowałam się, że jestem na szczycie małego wzgórza. Poda mną, całkiem blisko, nad krętą, srebrzystą rzeką stały okrągłe namioty. Pasły się owce. Czterech mężczyzn siedziało na koniach. Jeden z nich trzymał z boku siodła orla przedniego.

Gapili się na mnie. A ja na nich - na moment zagubiona w natężeniu ich uczciwych, czystych spojrzeń, a potem wstrząśnięta nagłą cudownością faktu, że stoję bosą na trawie, w innych czasach.

Przyszło mi też do głowy, że właściwie powinnam być niewidoczna. Wydawało mi się, że tak właśnie działa magiczny krąg.

- No cóż - zabrzmiał chropawy głos. - To coś nowego.

Skrzywiłam się i na jednej nodze odskoczyłam do tyłu. Słońce mocno mnie raziło. Zamrugalam, osłoniłam sobie oczy.

.. i znalazłam się twarzą w twarz z babcią. Jean Kiss.

Znałam ją jedynie ze starych zdjęć, ale od razu rozpoznałam te oczy: ciemne, inteligentne, pełne rzeczowej uwagi. **Kobieta, której nic nie umknie.** Dość młoda. Może pod czterdziestkę, ale nie starsza. Ubrana jak mężczyźni w siodłach, w luźne niebieskie spodnie wsunięte w wysokie botki. Lekki granatowy płaszcz ciasno otulał jej szczupłą sylwetkę. Twarz okalał podbity futrem kapelusz, podkreślając kremową cerę. Była wysoka i pełna dostojeństwa. Przez pierś miała przewieszony futerał z nożami. Piękna, szlachetna. Onieśmielająca.

- **Och, o rany** - wymamrotałam z łomoczącym sercem, i zszokowana jej widokiem.

Nie spodziewałam się, że mnie zaatakuje. Była niewiarygodnie szybka, jak żmija: gwałtowna, rozwścieczona, bezlitosna. Jej nóż już mi się ślizgał po szyi, krzesając iskry, a ja dopiero sobie uświadomiłam, co się dzieje. Upadłam, i ona poleciała za mną na ziemię. Wbiła mi kolano w pierś. Oczy miała przerażające. Pełne żądzy zabijania.

Przyspiliła mnie i przystawiła mi nóż do gardła. Serce waliło mi jak młotem. Z trudem oddychałam. Totalnie i wstrząśnięta nawet nie zaprotestowałam, gdy próbowała i mnie znów ugodzić. Nóż odskoczył od mojej skóry. j

Skrzywiła się. :

- Kim jesteś?

- **To ja...** Maxine - wydukałam. - Twoja wnuczka. i Zmarszczyła czoło. Każda zmarszczka na jej twarzy, każdy drobiazg wydawał się jak z kamienia. '

- Niemożliwe. Jesteś demonem.

- **Popatrz na mnie** - jęknęłam błagalnie. - **Posłuchaj** chłopców.

Babcia trochę się odsunęła i uważnie mi się przyjrzała. Czulałam mrowienie w palcach. Żelazny pierścień.

W końcu ostrożnie się podniosła. Potem osunęła się w trawę obok mnie. Z oczu zniknęła wściekłość, a pojawiło się jakieś udręczenie. Usłyszałam dzwony, chyba gdzieś niedaleko. Wyczułam, że zbliżają się do nas mężczyźni na koniach. Babcia ani na moment nie odrywała ode mnie wzroku. Rzuciła tylko ostro jedno słowo do mężczyzn. Chwilę później znów usłyszałam stukot kopyt - w przeciwnym kierunku. Trawa zaszumiała na wietrze. Orzeł krzyknął.

- Jak to możliwe? - zapytała chrapliwie babcia.

- **Nie wiem** - wydyszałam słabym głosem, nadal w szoku. - Ja... próbowałam coś zrobić. Ale ty nie powinnaś mnie widzieć. Ja nie powinnam... - przerwałam, oblizałam wargi. - **Gdzie ja jestem?** I który to rok? Zmarszczka na jej czole się pogłębiła.

- **W Mongolii; mamy 1972 rok.**

Z sykiem wypuściłam powietrze z płuc.

- Byłam w Seattle, w 2008.

Zamknęła oczy. Z lewej dobiegło mnie wołanie jakiejś dziewczynki. Wszystko we mnie zamarło. Nie mogłam się poruszyć. Nabrać tchu. Siedziałam jak wmurowana, wsłuchując się w ten głos. Babcia też chyba była przerażona. W ostatniej chwili zerwała się na równe nogi, odwróciła i wyciągnęła ręce.

Za późno. Pojawiła się moja matka.

Zaledwie czternastoletnia, ale już wysoka i patykowata. Włosy zaplecione w warkocze. Promieniejąca skóra, błyszczące oczy, zdrowy rumieniec na policzkach. Ramiona miała obnażone. Bez tatuaży. Jeszcze. Poczulałam, że zbiera mi się na płacz. Najchętniej wtopiłabym się w trawę.

Na mój widok znieruchomiała. Tkwiła jak skamieniała. Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać - a może krzyżeć. Nie, to nie do zniesienia. My trzy, razem. Tak po prostu. Chyba traciłam rozum.

Magiczny krąg nieźle mi namieszał w głowie.

- Jolene - powiedziała babcia. - Usiądź.

Matka gapiała się na mnie z rozdziawioną buzią. Wpatrywała się w tatuaże na moich ramionach. W końcu jednak usiadła, opadła na trawę, jakby nagle kolana się pod nią ugięły. Była chuda i niezgrabna. Wiedziałam, że z tego wyrośnie. Sama nadal uczyłam się poruszać z większą gracją.

Babcia postukała matkę palcem w kolano.

- To jest Maxine, kochanie.

- Dzień dobry - wymamrotała zaniepokojona.

- Cześć - wydyszałam i znowu spojrzałam na babcie. Wpatrywała się we mnie. Pocierała sobie policzek tak,

jak to robiła, gdy byłam nastolatką. Czułam się jak motyl, którego skrzydła zostały przekłute szpilkami.

Babcia sięgnęła pod płaszcz i wyciągnęła małą puszkę. Z cienką bibułą i tabaką. Skręciła papierosa. Znalazła zapałkę, nachyliła się i skrzesła ją sobie o ramię. Buchnął płomień. Babcia zapaliła, zaciągnęła się głęboko, po czym zgasiła zapałkę na języku. Chyba nie poczuła bólu. Byłam pod sporym wrażeniem.

- No cóż - odezwała się babcia, dmuchając mi dymem w twarz. - Zafundowałaś nam niezły kłopot, moja droga.

Dym miał dobry ostry zapach.

- Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem nawet, czy to się dzieje naprawdę.

Odchrząknęła, oparła się na łokciu. Przypominała odpoczywającego lamparta ze schowanymi pazurami.

- Pewien człowiek stwierdził kiedyś, że nic nie dzieje się naprawdę. Po prostu się dzieje. W tym momencie tobie się zdaje, że przeniosłaś się do przeszłości, podczas gdy ja... ja myślę, że jestem tam, gdzie powinnam być. Załóżmy więc, że żadna z nas nie postradła rozumu i spróbujmy to jakoś rozgryźć.

- Ten człowiek, który tak uważał... - zaczęłam wolno. - Czy on przypadkiem nie miał na imię Jack?

Jean Kiss znieruchomiała.

- Skąd znasz to imię? Próbowałam nie patrzeć na matkę.

- Odszukałam go. Różne rzeczy się dzieją. Starsza kobieta wstała i spojrzała na córkę.

- Kochanie, idź stąd.

- Mamo...

- Już, już... Proszę cię, Jolene.

- Nie. - Dźwignęłam się na nogi i rzuciłam babci zdesperowane spojrzenie. - Daj mi chwilę.

Jej oczy wypełniła pełna goryczy wiedza. Zawahałam się, po czym podeszłam do Jolene. Mojej matki. Przyglądała mi się nieufnie, gotowa rzucić się do ucieczki. Przełknęłam ślinę. Widziałam w jej twarzy kobietę, którą znałam. Była młodsza i delikatniejsza, ale to nadal ona. Już tliła się w niej iskra przyszłej odwagi i ognia.

- Miło cię poznać - powiedziałam słabym głosem. - Uważaj na siebie.

- Pewnie - odparła, zerkając na Jean Kiss.

Szukała wytłumaczenia obecności tej zagadkowej dziewczyny, którą widziała przed sobą - całej wytatuowanej chłopcami. Ta dziewczyna nosiła tatuaże, jakich nikt inny nie powinien mieć.

Uśmiechnęłam się na tę myśl, a w oczach stanęły mi łzy.

Wzięłam chudą nastolatkę w ramiona i przytuliłam mocno.

- Kocham cię - wyszeptalam jej na ucho. - Pamiętaj o tym, gdy się znowu spotkamy. Zawsze będę cię kochać.

Odepchnęła mnie od siebie. Oczy miała wielkie jak spodki. Czułam się jak idiotka. I taka samotna. Jednak nie żałowałam ani jednego wypowiedzianego słowa. Ani jednego.

- Idź stąd - powtórzyła chrapliwie babcia. - Jolene, kochanie. Idź pobiegać.

Matka się zawahała, po czym pogalopowała niczym mały mustang w stronę mężczyzn na koniach. Jeden z nich ruszył ku niej w biegu, zgarnął ją długim ramieniem i posadził w siodle za sobą. Objęła go w pasie. Odwróciła się jeszcze i spojrzała na nas, gdy odjeżdżali do pozostałych mężczyzn. Nie mogłam oderwać od niej wzroku.

Babcia podeszła do mnie bliżej. Wypuszczała dym nosem. Sprawiała wrażenie osoby, która się nie oszczędza.

Nie miała rękawiczek. Nawet nie zauważyłam, kiedy je ściągnęła.

- Spotkanie z tobą oznacza, że ona nie żyje - zaczęła Jean Kiss. - Wiesz, jakie to uczucie?
- Przynajmniej nie będziesz musiała na to patrzeć.
- Prawda. - Zgasiła sobie skręta na dłoni. - Przejdźmy się, Maxine.

Trawa śpiewała na wietrze. Babcia zdjęła futerał z nożami i podała go na chwilę mnie, a sama rozpięła kurtkę. Pod spodem nosiła lnianą koszulę bez rękawów. Kurtkę i noże przerzuciła sobie przez ramię. Ramiona miała pokryte tatuażami. Na skórze pobłyskiwały czerwone oczy. Chłopcy przeżyli się mocno.

Babcia uśmiechnęła się przelotnie.

- Czujesz?
- Oni zawsze byli w sobie zapatrzeni.
- Mają sporo tupetu. Teraz nawet więcej niż kiedyś. Były czasy, gdy Tropicielki traktowały ich jak bezmyślne groźne psy. Jak jakieś głupie suki.

Zagapiłam się na Jean.

- Nigdy o tym nie słyszałam.
- Naprawdę? - Wydała z siebie cichy dźwięk. - No cóż, pewnie każda matka dzieli się z córką innym opowieściami.

Roztarłam sobie ręce, starając się uspokoić Aaza i Rawa. Zee niespokojnie poruszył mi się na obojczyku.

- Czemu się tu znalazłam?
- Nie mam pojęcia - mruknęła. - Co robisz?
- Trzymam magiczny krąg. Moja mat... twoja córka... - przerwałam, bo nie do końca wiedziałam, jak to wyjaśnić. I ile powiedzieć.

Babcia spojrzała w niebo.

- Słyszałam o magicznych kręgach. Jack ci jeden dał, prawda?

- Pracowaliście razem.
- To też ci powiedział?
- Czy to mój dziadek? - wyrwało mi się. Nie zdołałam się powstrzymać.

Jean Kiss zatrzymała się w pół kroku i posłała mi długie, zagadkowe spojrzenie.

- Masz mężczyznę? Zawahałam się.
- Tak.
- Kochasz go?
- Bardziej niż cokolwiek na świecie.
- Biedaczka - rzuciła natychmiast. Pokręciłam głową.
- Kochałaś Jacka. Widziałam zdjęcie.
- Nadal go kocham - przyznała, co mnie zaskoczyło. - Trudno go nie kochać. Lecz my nigdzie nie zagrzewamy miejsca. I są ku temu powody.

- Wiem, to niebezpieczne.

- Nie, nic nie wiesz.

Jean Kiss zrobiła obrót i spojrzała na obóz za naszymi plecami. W oddali widziałam postaci w siodle. Wyobraziłam sobie czternastolatkę, która patrzy w naszym kierunku. I zachodzi w głowę, czy to się dzieje naprawdę.

- Byłam w życiu tylko z jednym mężczyzną - wyznała babcia. - Nigdy więcej.
- Z Jackiem.
- Ze Starym Wilkiem - mruknęła i spojrzała na mnie ostro. - Orientujesz się, kim on jest, prawda?
- Awatarem - przerwałam, zastanawiając się, jak to wyrazić. Postanowiłam nie przebierać w słowach. - Są jak demony. Kradną ciała. Manipulują.
- Podobnie jak niektórzy ludzie. Nie oszukuj się. - Podeszła bliżej, uważnie wpatrując się w moją twarz. -

Granice są nieostre, moja droga. Sama wiesz, jakie krzywdy potrafią sobie nawzajem wyrządzić, by zaspokoić jakąś potrzebę. A potem usprawiedliwią, wychwalą, uświęcą najgorsze zbrodnie jako środki do osiągnięcia wymarzonego celu. Jak możesz obwiniać demony o to, że robią to samo? Albo awatary? '

- Po czyjej ty stajesz stronie? I

- Po swojej. Naszej. Maxine, my jesteśmy Strażniczkami. Miotem i sercem. W tej grze nie ma miejsca na wartości absolutne. Liczy się to, co się liczy. I ty wiesz, co to jest. W głębi duszy to wiesz. !

- Nic nie wiem.

Jean Kiss złapała mnie za rękę, aż mnie przeszył dreszcz, elektryzujący, mrozący krew w żyłach.

- Tylko się nad sobą nie użalaj, dobrze? Nasze działa- I nia to przywilej. To honor. f

- A jeśli nie damy rady? - Paliły mnie policzki. -Zasłona się wali. (

Nie rozluźniła uścisku.

- No to się zawali. I co z tego? Świat zostanie pożarty. To też bez znaczenia. Ważne, że walczysz. Że żyjesz. Że nadal oddychasz. Przetrawisz to, będziesz miała dziecko i upewnisz się, że ona pójdzie w twoje ślady. Nauczysz ją, jak walczyć. Sama walcz z całych sił. Zajrzyj sobie głęboko w serce i walcz z katami. Zrób to, co się da, kiedy się da. Nie poddawaj się. Szanuj samą siebie. Nie bagatelizuj tego, kim jesteś.

Oczy babci płonęły. Jej dotyk mnie przerażał. Nie byłam pewna, czy jej słowa powinny mnie zainspirować, czy zawstydzić, ale nie czułam żadnej z tych rzeczy. Nagle wzięła mnie w ramiona i przystawiła wargi do ucha. Miała w sobie niewiarygodną siłę i ciepło; pachniała koźmi, trawą i dymem.

- Wiem, kim jesteś - wyszeptwała, a mnie aż zmroziło. - Jesteś jak Jolene, tylko silniejsza. Czuję to. Zasłona słabnie, tak samo jak my. Mury wokół naszych serc nigdy nie miały upaść, ale upadają. I to szybko. Założę się, że w twoich czasach walą się jeszcze szybciej. Więc zapamiętaj, Maxine Kiss: pozostań wierna sobie. Bo to... - położyła mi dłoń na sercu - ...albo zniszczy, albo uratuje świat.

Cmoknęła mnie w policzek, po czym odepchnęła od siebie, by móc mi spojrzeć w oczy. Dostrzegłam w nich cierpienie, bardzo głęboki smutek i determinację, dzięki której pokochałam ją bardziej, niż myślałam, że to w ogóle możliwe. Przecież dotąd ta kobieta należała dla mnie do przeszłości.

Babcia złapała mnie za przegub i dotknęła żelaznego pierścienia. Zamknęła oczy. Jej wargi się poruszały. Wpatrywałam się w nią bez tchu. Próbowałam się wyrwać, ale zachwiałam się, zakręciło mi się w głowie.

- Co robisz? - wymamrotałam. - Przestań.

- Wysyłam cię z powrotem do domu - wyszeptwała. -Pozdrów Jacka. Powiedz mu, że brakuje mi jego herbaty.

- Jeszcze nie. Nie jestem gotowa.

- Jesteś moją wnuczką... - Głos Jean Kiss zabrzmiał jakby z oddali. - Zawsze jesteś gotowa.

I nagle zniknęła. Poczulałam na twarzy krople deszczu. Miał podejrzanie słony smak. Zobaczyłam niebo złociste od chmur. Nie byłam sama. Zee i reszta patrzyli mi prosto w oczy. Klepali mnie po policzkach. Włosy Oturu nadal oplątywały mój nadgarstek.

- Tropicielko - mruknął.

Zacisnęłam powieki. Próbowałam trzymać się obrazu twarzy babci, dźwięku jej głosu, zapachu papierosów. I wizji matki, tak młodziutkiej, bez twardego błysku w źrenicach, który zapamiętałam z dzieciństwa.

Magiczny krąg leżał mi na brzuchu. Gorący, prawie i parzył.

- Maxine. My pamiętamy - wyszeptał Zee. Zachciało mi się płakać.

- To było naprawdę.

- Odbylaś podróż w czasie - wyjaśnił Oturu. - Ten że- i lazny pierścień na twoim palcu pochodzi z Labiryntu, został wykuty z kruszcu wydobytego w samym jego sercu. To j klucz, Tropicielko. Klucz do wszystkich drzwi, prowadzących do każdego miejsca i każdego czasu. Odzwierciedla pragnienia osoby, która go nosi.

Położyłam dłoń na magicznym kręgu.

- Więc gdy zanurzyłam się we wspomnieniach...

- On cię tam zabrał, ciałem i duchem. - Oturu wbił sobie brodę w pierś. - Uważaj, Tropicielko. Ten pierścień jest teraz z tobą powiązany. Nie wolno ci go zdjąć aż do śmierci.

Spojrzałam na szeroką obrączkę, po czym spróbowałam ściągnąć ją sobie z palca. Ani drgnęła, nic a nic. Ogarnęła mnie panika. Wzięłam głęboki wdech, żeby się uspokoić.

- Skąd tak dużo wiesz o pierścieniu?

- Należał do niej. To podarunek od Labiryntu. Przeznaczony tylko dla niej. Fakt, że związał się z tobą...

Nie dokończył. Nie musiał. Podniosłam dłoń i przyjrzałam się żelaznej obrączce z delikatnym grawerunkiem -wijące się linie tworzyły kształt róż. Przypomniałam sobie szczątki w rzece w Ziemi Jałowej, dotyk zbroi, kości. Skradłam coś z grobu. Ukradłam coś krewnej.

Zee i reszta się ścieśnili.

- Wiedzieliście wcześniej - powiedziałam do nich. -Wiedzieliście, że przeniosę się w przeszłość. Spotkaliście mnie tam.

Raw i Aaz gapili się sobie pod nogi. Zee obgryzał czubki pazurów.

- Więcej sekretów. Rzeczy, o których nie wolno nam mówić.
- **Przeznaczenie jest kruche** - mruknął Oturu. - Jak już mówiłem, Tropicielko, musisz uważać. Ona miała trudności z kontrolowaniem tej mocy. Tobie też nie przyjdzie to łatwo.

Uniósł się. Widziałam jego stopy z palcami przypominającymi noże do steków, długim jak moje przedramię. Wziął ode mnie magiczny krąg i schował go głęboko w otchłani.

- Nadchodzą kłopoty, Tropicielko - szepnął.

Rozdział 18

Dziesięć minut do świtu. Dziesięć minut, by nie umrzeć.

Zbiegłam po schodach do mieszkania. W połowie drogi jak znikąd pojawiło się silne ramię i mnie złapało.

Naganiacz. Przyparł mnie do ściany i przystawił wargi do ucha. Dek zamruczał. Zee i reszta objęli mi nogi. Naganiacz pachniał pustynią o zachodzie słońca, gorącą i pełną cieni.

- **Mamy problem na dole** - mruknął. - Grant zabrał Mary. Chłopiec się obudził. Nie ucieszył się na widok obcych. Próbował zwać. Otworzył drzwi, a tam czekał na niego zombie. Rosjanin. Stary.

- **Edik** - szepnęłam, a Mai mocniej zacisnął ogon wokół mojej szyi. - **Skurczybyk**.

- **Ma pistolet**. Siedzi z chłopcem. I z Jackiem. Boję się, że palec demona na spuście będzie szybszy niż ja.

Raw zawarczał. Staralam się przepchnąć obok Naganiacza. Nie puścił mnie. Spojrzałam mu w oczy. Czulałam jego ciepły oddech na twarzy. Jeszcze raz spróbowałam go odepchnąć, ale ani drgnął.

- **No co?** - zapytałam.

W odpowiedzi otrzymałam tylko zadumane spojrzenie. Jakby próbował zapamiętać moje rysy, pomyślałam ze zdenerwowaniem. Jakby zbliżało się pożegnanie. Jakbyśmy mieli się już więcej nie zobaczyć.

- **Przepraszam** - powiedział w końcu Naganiacz.

- **Przepraszasz?** Westchnął.

- **Za to, że cię wepchnąłem pod autobus**. Zamrugalam z zaskoczenia.

- **Ach, to**.

- **Owszem, to** - burknął, po czym się odsunął. - **Odwracaj uwagę, ja zajmę się resztą**.

Zniknął, a pozostała po nim pustka dmuchnęła mi chłodnym powietrzem w twarz. Poczułam to też w sercu.

Takie drobne ukłucie. Niepokojące.

Raw szarpnął mnie za rękę.

- **Dzieciak** - przypomniał Zee.

No tak. Byron. Jack. Spojrzałam w dół. W wiekowych oczach chłopców kryły się tajemnice.

- **Nigdy się nie interesowaliście żadnym dzieckiem**. Dlaczego on?

Zee się zawahał.

- **Za mało czasu**.

Zawsze jest za mało czasu. Doskonała wymówka. Spojrzałam twardo na Zee i ruszyłam dalej schodami - teraz już ostrożniej - choć nie próbowałam ukryć tego, że nadchodzę. Weszłam do salonu i starałam się udąć odpowiednie zaskoczenie.

Co wcale nie było takie trudne.

Najpierw zobaczyłam Byrona. Siedział na brzegu kanapy. Wyglądał jak ktoś, kogo kopnął koń. Cały spuchnięty i zabandażowany. Trzymał się za zębra. Na mój widok jego oczy zrobiły się okrągłe, ale tylko na moment. Zaraz potem pojawił się tępy, pełen rezygnacji strach. Ogarnęła mnie panika.

Błady jak ściana Jack wiercił się niespokojnie na siedzisku przy fortepianie. Przelotnie spojrzał mi w oczy i lekko skinął do mnie głową. Wyglądał jak stary, cwany wilk.

Dziadek. Mój dziadek. Te słowa tyle dla mnie znaczą. Muzyka dla moich uszu. Dziadek.

A między nimi Edik Baszmałow - z pistoletem przystawionym Byronowi do głowy, z palcem na spuście. Nie potrafiłam ocenić, od jak dawna tu siedzą, ale domyślałam się, że niedługo Edik się zmęczy. Zombie są tylko tak silne jak ich żywicieli, a Edik był już stary i sprawiał wrażenie kogoś, kogo jedynym ćwiczeniem fizycznym jest temperowanie ołówków.

- Ediku - wychrypiałam. - Nie bądź idiotą. Zostaw chłopaka w spokoju.

Zombie schylił głowę, aż mu okulary zjechały na czubek nosa.

- Przepraszam, Tropicielko, ale działałam na polecenie Królowej. Robię, co mi każe.

Uniosłam brew.

- Kazała ci przystawić dzieciakowi pistolet do głowy? Kazała ci być przynętą? Ediku, to samobójcza misja. Przyszedłeś tutaj przed świtem, gdy chłopcy nadal nie śpią? Coś ty sobie myślał?

Stary zombie nic nie powiedział, ale wyczułam, że jest zaniepokojony i bardzo przygnębiony. Nie chciał tu być. Nie chciał trzymać na muszce Byrona. Miał niewiarygodnie jaskrawą aurę, iskrzyła tak gorąco i jasno, że dostrzegłabym go na kilometr. Zerknęłam na Jacka. Wpatrywał się w chłopca z takim skupieniem, jakby samą siłą woli próbował dodać mu sił.

Byron chyba tego potrzebował. Oddychał z trudem. Wbił we mnie swoje wiekowe oczy. Zrobiłam krok do przodu, odwróciłam się bokiem i wsunęłam sobie dłoń we włosy. Mai zwinął się w kłębek w mojej dłoni. Edik nie mógł widzieć małego demona, ale jego oczy pociemniały.

- Daję ci ostatnią szansę - wyszeptalam do zombie. Zwróciłam uwagę na położenie głowy Byrona. - Zabieraj się stąd natychmiast albo umrzesz.

- Lepiej teraz niż później - zaskrzeczał Edik. - Gdy zasłona się zawali, nikogo z nas nie czeka szybka śmierć.

- Ach - westchnęłam. - Ty tchórze.

- Nie z własnego wyboru - odparł.

Jack zamknął oczy. Nawet Byron zmarszczył czoło. Nie bał się na tyle, żeby nie słuchać. Nie bał się na tyle, że nie próbował zrozumieć.

- Załatwione, Ediku - oznajmiłam i ścisnęłam Mala za ogon.

Ćwierknął raz i zniknął mi pomiędzy palców, po czym pojawił się znowu, częściowo ukryty w cieniu włosów Byrona, z wylotem pistoletu w pysku. Edik aż się wzdrygnął i nacisnął spust.

Eksplozja przetoczyła się przez pokój, ale Mai połknął kulę i ochronił Byrona. Chłopak zaczął krzyczeć. Zamknął oczy, zsunął się z kanapy i zasłonił sobie uszy rękami. Mai nadal wisiał w powietrzu, na końcu pistoletu. Edik znów wystrzelił. Mai szarpnął się do przodu i ugryzł. Połowa sploty zniknęła w jego paszczy. Upadł na podłogę i zaczął głośno przeżuwać.

Byron już miał się odwrócić, żeby sprawdzić, co się dzieje, ale za jego plecami pojawił się Naganiacz i szybko go stamtąd zabrał. Gdy tylko zniknęli, Zee i reszta wyłonili się z cienia. Edik aż podskoczył. Jack wstał od fortepianu, ale nie zwracałam na niego uwagi i zrobiłam krok w stronę zombie. Wpatrywałam się w jego puste oczy.

- Czemu akurat ten chłopak? Czemu się na nim skupiliście? Od początku mieliście go na oku.

Stary zombie nie odpowiedział. Raw wyrwał sobie kolec z pleców i raz za razem uderzał nim w podłogę,

w rytmie bębnow wojennych albo bicia serca. Zee zakradł się bliżej i splunął zombie kwasem pod nogi. Też bym tak zrobiła, gdybym potrafiła. Przypomniały mi się babcia i matka. W sercu wzbierał mi mrok, poczułam nacisk, jakby dziesięć tysięcy rąk popychało mnie do przodu.

- Zostaw, moja droga - próbował powstrzymać mnie Jack.

- Nie. A jeśli ty znasz prawdę...

Usłyszałam niski, cichy śmiech za plecami. Znałam ten soczysty głos. W zasadzie nie musiałam się odwracać, ale i tak to zrobiłam. Krwawa Mamuśka weszła do mieszkania przez stojące otworem drzwi. Miała na sobie prosty czerwony garnitur i czerwone szpilki. Cienkie wargi były pociągnięte karmazynowa szminką. Zamarła na moment, jej aura strzelała niczym huragan w butelce po piwie. Posłała Jackowi długie, pieszczotliwie spojrzenie, od którego zrobiło mi się zimno w kościach.

- Stary Wilk - powiedziała wolno. - Minęło tyle czasu...

- Krwawa Mamuśka - odparł cicho. - Królowa szcurów i hałustry.

- Wiesz, awatarze, całkiem nieźle zniosłam życie w więziennym świecie, na który mnie skazałeś. Kłamco. - Wyszczrzyła zęby w groteskowym uśmiechu. - Skoro chcesz wiedzieć, Tropicielko, to ci powiem. Chłopiec jest piętą achillesową Starego Wilka. Tylko w ten sposób Ahsen może dostać dokładnie to, czego chce.

Jack rzucił się do przodu.

- Zostaw go w spokoju.

- To ty powinieneś zostawić go w spokoju, kochany, stary draniu. - Krwawa Mamuśka posłała mi przeszywające spojrzenie. - Dzieciak nie jest tym, kim się wydaje, Tropicielko. To klucz do zabicia duszy Jacka Meddle'a. Śmierć chłopca oznacza śmierć Nieśmiertelnego.

Jej słowa spłynęły po mnie jak woda po kacze. Puściłam je mimo uszu. Temperatura w pokoju spadła, czułam chłodne powietrze na skórze. Znamię Oturu zaczęło mnie mrowić i chwilę później usłyszałam skrobanie noży o drewno. Zerknęłam za siebie i zobaczyłam krawędź czarnej peleryny spływającej po schodach z dachu.

- Czemu zleciłaś zabicie Byrona? - zapytałam Krwawą Mamuśkę pośpiesznie, z rozpaczą. - Czemu teraz? Czemu tutaj?

- To część gry - mruknął Jack. - Brzydkiej gry.

- A ty wyjątkowo kiepsko w nią grasz - zauważyła. - Ahsen twierdzi, że przyszła tu zamordować twoją duszę, Stary Wilku. Mnie to nie obchodzi. Lecz ty, Tropicielko... lepiej nie zmarnuj okazji. Będzie ich niewiele, a ty musisz zabić. - Uśmiechnęła się i pstryknęła palcami. - Ediku, mój mały, idziemy.

Edik zerwał się na równe nogi i zrobił krok, lecz nagle, bez mojego wezwania, rzucił się na niego Raw. Nie spodziewałam się tego. Takiej gwałtowności, samotnego ataku. Zee z Aazem trzymali się z tyłu. Zostawili to Rawowi. Jakby sobie zasłużył na to, by kogoś zabić.

Stary zombie zaczął wrzeszczeć. Próbował odpędzić od siebie małego demona, ale atak był nie do opanowania niczym ogień na papierowej serwetce. Istny koszmar. Chciałam powstrzymać Rawa, ale działał zbyt szybko, zbyt skutecznie. Otworzyłam usta. Za późno. Większa część brzucha Edika zniknęła, a ramiona zostały wyrwane ze stawów i pochłonięte w paru gigantycznych kęsach. Raw warknął i głęboko wbił pazury w czaszkę Edika - wyrwał demona z opętanego ciała. Wgryzł się w pasożyta, rozerwał widmo na strzępy. Krew starca już wsiąkała w jego skórę.

Jack jęknął. Obok mnie znów pojawił się Naganiacz, bez Byrona, i skinął głową. Chłopiec był bezpieczny. O nic

więcej nie mogłam prosić. Owiało mnie zimne powietrze, ciężkie od smrodu krwi, arktycznie lodowate. Ramię musnęła mi kosmyk włosów. Wyłonił się Oturu. Rozejrzałam się za Krwawą Mamuśką. Zniknęła. No pewnie.

- Zaczyna się - wyszeptał Oturu.

- Maxine - wychrypiał Jack. - Ja...

Nie dokończył. Szkoda. Na samym środku pokoju zmaterializowała się drobna postać. Ciemne włosy, ciemne oczy, zarumienione policzki. Czerwone kowbojki stojące pewnie na drewnianej podłodze. Moje ciało. Żywe echo mojego dzieciństwa.

- Jak miło cię zobaczyć, Tropicielko - odezwała się Ahsen.

Poczułam, że słońce wylania się zza horyzontu. To było niczym długi łyk gorącego napoju. Zee i reszta zniknęli, po czym natychmiast pojawili się na mojej skórze. Wschód słońca już się rozpoczął, lecz światło poranka nie przeszło jeszcze przez okna. Lampy zamigotały.

Cienie się przegrupowały, rozciągnęły jak pyski. Coraz więcej wylaniało się ich z podłogi i ścian. Falowały, jakby wypływała nafta. Albo otworzyła się otchłań peleryny Oturu, pełna twarzy i powykręcanych ciał. Żywa, obolała ciemność; tsunami uwięzionych dusz, skręcających się, miotających demonów. W mieszkaniu zrobiło się ciemniej i ciśnień. Przytłaczająco jak w Ziemi Jałowej. Lawina demonów grzebała nas pod sobą, zasypywała.

Ahsen - drobna figurka w ciemnościach - lśniła niczym gwiazda poranna. Przeszłam przez pokój. Zatrzymałam się jakieś trzy metry od niej. Pod stopami pojawiały mi się demony - kałuża gęstego oleju. Ahsen wyjęła cienki warokoczyk z kieszeni i wolno owinęła go sobie wokół nadgarstka. Wpatrywała się we mnie intensywnie, ja w nią też. Podsunęła się bliżej, maksymalnie zmniejszyła dzielący nas dystans. Oczy jej błyszczały, a ciało rozmywało się na brzegach i przechodziło w dym.

- To nie ty jesteś ich stwórcą. - Wskazałam na demony.

- Nie - odparła. - Ale ja ich zebrałam. Wyczuli na mnie zapach Labiryntu. Wystarczyło raz dotknąć magicznego kręgu. Nawet nie wiesz, Tropicielko, jak bardzo skrzyżowanie dróg nęci. Choć z drugiej strony może i wiesz.

- Może - powtórzyłam oschle.
Skóra przy jej ustach napięła się nienaturalnie.

- Jak ci się udało wydostać z Ziemi Jałowej?

- **Po prostu.**
Zatrzepotała powiekami.

- Nawet awatar nie potrafi czegoś takiego dokonać. Uśmiechnęłam się ponuro.

- To pewnie znaczy, że jestem od ciebie silniejsza.

- Wątpię.

- Poważnie. Możemy tam pójść i sprawdzić. Poglaskała warkoczek.

- Próbujesz mnie sprowokować.

- Mówię prawdę. Ale to straszne, co? Niewiele lepsze niż podsunąć komuś jego lustrzane odbicie, gdy chce się go zabić. - Pokręciłam głową. Nadal się uśmiechałam. - Myślę, że się boisz. Boisz się od dziesięciu tysięcy lat. Sama jak palec. Jagnię pośród wilków.

Jej ciało zamigotało. Jack stanął obok mnie i otarł się o moje ramię.

- Jestem tutaj - odezwał się cicho i łagodnie. - Zakończmy to.

Ahsen zamknęła oczy, jakby nie mogła znieść jego widoku.

- Nie masz prawa o nic prosić. Ty, który mnie skazałeś. Ty, który uwięziłeś mnie razem z naszym wrogiem.

- Zrobiłem, co musiałem.

- Nie - wyszeptwała. - Znalazłyby się inne wyjścia. Wiedziałeś, co się stanie. Na pewno. A jeśli nie wiedziałeś, to powinieneś wiedzieć. Nawet sobie nie wyobrażasz, Stary Wilku. Byłam ich dziwką. Przez całe tysiąclecia obsługiwałam armię. Jak najgorszy śmieć.

W końcu podniosła na niego oczy - czarne od nienawiści, pełne przerażenia. To koszmar zobaczyć te emocje odmalowane na swojej twarzy, jakby to moje ciało przeżywało jej wspomnienia, dźwigało ten ciężar. Uniosła warkoczek spleciony z jasnych błyszczących włosów.

- Przypominasz to sobie, Stary Wilku? Tylko to pozostało z ciała, które nosiłam tamtego dnia, gdy wsadziłeś mnie do więzienia. Tylko to zostało mi z dawnego człowieczeństwa.

Jack nic nie powiedział, ale wyczułam w nim napięcie. Ręka zaczęła mu się trząść.

Ahsen rozejrzała się po pokoju, uważnie przyglądając się atramentowym ciałom pozbawionych oddechu, wyciekającym demonom.

- Obiecano mi chłopaka - powiedziała.

- Nie ma go - odparł Jack. - Przebywa w bezpiecznym miejscu.

- Ale nadal należy do ciebie. - Jej wargi zacisnęły się w wąską kreskę. - Odwieczne dziecko. Twoja największa pomyłka. Skazany na wieczne życie jako chłopiec, wieczne zapominanie i wieczne błąkanie się. Powinieneś go zabić, Jack. Ja bym tak zrobiła. To twój słaby punkt. Nieudany eksperyment, który nosi w sobie część ciebie. Jeśli zamorduję tego chłopca...

Zerknęłam na Naganiacza. Miał nieprzeniknioną minę.

- Byron jest nieśmiertelny? Jack posłał mi ciężkie spojrzenie.

- Jest kimś wyjątkowym. Nie mieliście się nigdy spotkać. Los namieszał.

Ahsen pstryknęła palcami. Starszy pan zatoczył się i osunął na kolana. Oddychał chrapliwie. Złapał się za pierś.

Odwróciłam się i rąbnęłam Ahsen pięścią w twarz. Moja ręka przez nią przeleciała. Ahsen parsknęła śmiechem, krótko, jak uderzenie pioruna. Zrobiło mi się niedobrze. Spróbowałam jeszcze raz ją uderzyć. Za każdym ciosem coś we mnie po trochu pękało - a cień za żebrami trzepotał coraz mocniej. Jack jęknął.

- Nie dasz rady zrobić mi krzywdy - wyszeptwała. - A gdy już skończę z ludzką skorupą Starego Wilka, zabiorę się do ciebie. Przyjdę po ciebie, będę cię tropić, aż dasz mi to, czego chcę. A wtedy cię zabiję. Albo stworzę na nowo, Tropicielko. Może staniesz się moją skórą, a twoi chłopcy moimi niewolnikami.

Poczułam narastającą falę gniewu. Palec pod żelazną obrączką zaczął mnie mrowić.

Broń, pomyślałam. Daj mi jakąś broń.

Żelazo paliło coraz mocniej. Przypomniałam sobie rzekę, żyjący grobowiec i walkę z prądem. To, jak trzymam w ręce miecz, zimny i żywy. Szepty, które mnie tam zaprowadziły. Pamiętam. Czuję smak.

Ahsen zamrugwała i spojrzała w dół. Ja też.

Moja ręka promieniała. Rozgrzana do białości. Aż nagle światło zgasło.

A w mojej dłoni pojawił się miecz.

Takiej broni nigdy bym nie wymyśliła. Wyglądała bardziej jak dzieło sztuki niż narzędzie walki. Wąskie ostrze, wypolerowane na wysoki połysk, jakby w stal wtopiono światło gwiazd. Wygrawerowane na nim runy układały się w kształty róż. Cienki łańcuszek łączył rękojeść z moim palcem środkowym, nadal pokrytym żelazem.

Jack zaczął się śmiać. Chropawo, brzydko. Gdy uniósł głowę, zobaczyłam, że oczy ma nabiegłe krwią, a w kącikach ust zebrała mu się piana.

- O, nie - wyszeptła Ahsen.

Nie potrafiłam stwierdzić, czy wzrok przepelnia żądza, czy przerażenie. Zresztą nic mnie to nie obchodziło. Czułam się tak, jakbym miała na dłoni rękawicę zrobioną ze światła - skóra mnie mrowiła, od miecza i pierścienia kaskadą przepływał prąd, który odbijał mi się echem aż w kościach.

Nigdy nie dzierżyłam białej broni - chyba że liczy się pojedynek na kijki z Zee - ale wywinęłam mieczem, jakbym grała w starym filmie. Z dzikim okrzykiem zatopiłam ostrze w swoim ośmioletnim ciele. Miecz przeszył brzuch Ahsen jak powietrze, ale ona krzyknęła i wykreśliła się mocno. Po raz pierwszy coś na nią zadziało. Krzykiem dała demonom hasło do ataku.

Nagle, jakbym znowu znalazła się w głębokich ciemnościach. Uderzałam na ślepo. Miecz promieniał na tle demonicznych ciał. Było ich za dużo. Naganiacz ryknął. Próbowałam znaleźć Jacka. Słyszałam klekotanie stóp Oturu, choć go nie widziałam.

Coś jeszcze. Flet.

Muzyka cięła jak nożem, narastała we mnie, krążyła po skórze. Demony i ciemność skrzyły się i zaczęły odpadać płatami. Zauważyłam Granta. Bez laski, siedział na podłodze pod ścianą zaraz przy drzwiach wejściowych. Trzymał się mojego spojrzenia jak koła ratunkowego, od którego zależało jego i moje życie. To koło było oplecione jego muzyką.

Ahsen wydała z siebie niski dźwięk i przeniosła wzrok z miecza na Granta. Wcześniej myślałam, że nie może być już bardziej zdruzgotana, ale teraz, na jego widok rozpacz silnym dreszczem wstrząsnęła jej drobną sylwetką.

- Usta światła - wyszeptła, a jej twarz wyrażała najwyższą trwożę.

Ulotniła się. Usłyszałam jednak ostrzegawczy krzyk Naganiacza i zobaczyłam, że zbuntowany awatar zawisł w powietrzu nad Jackiem.

- Wiedziałeś! - wrzasnęła do niego Ahsen. - Gdyby inni się dowiedzieli, co kryje się w tym świecie...

- Nigdy się nie dowiedzą - warknął Jack bez tchu. - Ty im nie powiesz.

- Muszę - syknęła. - Ty głupi...

Wbiłam jej w plecy ostrze. Między mieczem a pierścieniem przepływała moc. Ahsen wygięła się w łuk i zaczęła się wić.

Jack złapał ją za stopę. Jego palce przeleciały przez ciało awatara, jakby było dymem.

- Nigdy nie żałowałem tego, co ci zrobiłem - wycedził. - Z radością wsadziłem cię do więzienia. Sarai też się cieszyła.

Ahsen wrzasnęła i szarpnięciem wyrwała z siebie miecz. Naganiacz próbował ją uderzyć, ale pięść przeleciała przez ciało dokładnie tak samo jak wcześniej moja. Oturu nie zareagował. Tylko patrzył na mnie i czułam, jak w ciszy jego peleryny narasta pytanie.

Melodia Granta się zmieniła. Ahsen znów wrzasnęła i odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, ale najpierw kopnęła Jacka w głowę. Starszy pan znieruchomiał.

Zatoczyłam się, zabrakło mi tchu w piersiach, lecz nie miałam czasu, by sprawdzić, co z Jackiem. Ahsen zniknęła z pola widzenia, a chwilę później pojawiła się znowu, nad Grantem. Miał zamknięte oczy, przebierał palcami z szybkością światła. Muzyka wypełniała mieszkanie i zbierała demony. Gęste cienie przypominały kawałki papieru porwane silnym wiatrem. Grant siedział zgarbiony, poblądły.

Nie był sam. Przed nim stał Rex i wywijał kijem bejs-bolowym. A za nimi, na szczycie schodów zobaczyłam Mary - dzierżyła patelnię i wpatrywała się w Ahsen z palącą nienawiścią.

Rzuciłam się biegiem. Najszybciej jak potrafiłam. Ahsen chciała zabić Granta. Czułam to. Cały wcześniejszy gniew teraz z niej wyciekł, została tylko ogromna desperacja, gorsza niż wściekłość.

Skóra zaczęła mnie mrowić i się rozciągać. Moc krążyła mi w żyłach. W sercu otworzyła się otchłań, bardziej przepastna niż jakakolwiek peleryna lub Ziemia Jałowa. Zanurzyłam się w nią głęboko, patrząc na Ahsen. Usłyszałam, że Naganiacz woła moje imię, ale nie pozwoliłam, żeby przepelniający mnie szal minął. Nie mogłam. W ustach czułam smak śmierci.

Bez słowa przypuściłam atak na Ahsen, wywijając mieczem. Odwróciła się w ostatniej chwili. Rozszerzone oczy. Rozwiała się w dym, zanim zdążyłam jej dotknąć. Wykrzyknęłam jej imię. Potem pojawił się Oturu, jego włosy i peleryna objęły moje ciało. Naganiacz złapał mnie za rękę.

Osunęliśmy się w ciemność, tańcząc między próżniami, przeskakując ze światła w mrok. A w sercu coś mi drgnęło. Ta kaskada pod żebrami dotarła aż do gardła. Jakieś ciało przeżyło się pod skórą. W ustach rosły obce szczęki. To było tak przejmujące wrażenie, że zaczęłam się bać, że moja żuchwa wyskoczy z zawiasów, że ziewnę tak szeroko, iż połknę słońce. Głód, okropny, palący głód. Przypomniałam sobie. Obsydian i światło gwiazd.

Miecz w mojej dłoni promieniał. W środku miałam inną poświatę, gorącą i pulsującą.

To Naganiacz wyciągnął nas z próżni. Nie wiedziałam, gdzie jesteśmy. Zobaczyłam miasto nabrzmiałe burzą światła. Noc. Chłodne powietrze w płucach i na rozgrzanej skórze. Odetchnęłam głęboko. Naganiacz stał po lewej.

Zee i chłopcy oderwali się ode mnie, ale nie czułam bólu.

Nie czułam nic poza determinacją.

Przed nami wyrosła Ahsen. Teraz wysoka, ogromna jak Oturu, z rękami jak widły i tym srebrnym warkoczem zwieszającym się z kościstego ramienia. Szpary w miejsce oczu i mała ostra dziura zamiast ust. Mahati - przycupnięty, rozkołysany.

- Chodź - wyszeptła. - Tym razem przed tobą ucieknę, Tropicielko. Obiecuję. Zakończmy to.

- Umrzesz - oznajmiłam i nie był to tylko mój głos, lecz cały chór głosów, odbijający się echem za mną. -

Wszyscy umrzecie.

Ahsen się zachwiała.

- Zasłona się wali, Tropicielko. Nie masz pojęcia, jaka armia tam czeka.

- A oni nie mają pojęcia o mnie. - Wzięłam głęboki wdech i wbiłam się w nią z całych sił.

I choć moje ciało powinno być teraz wrażliwe na ciosy, wcale nie poczułam impetu uderzenia. Nie poczułam nic, nawet gdy próbowała wpić we mnie palce. Moja skóra się nie poddała.

Poddały się za to palce Ahsen. I aż zawyla. Złapałam ją za włosy i pociągnęłam mocno. Dek zsunął mi się z ramienia, z jego pyska tryskały płomienie prosto w tę spiczastą, srebrną głowę.

Zamigotała. Złamała obietnicę, próbując uciec, ale ja tylko zacieśniłam uścisk. Znalazłam w sobie dość siły, by otoczyć awatara i zamknąć go jak w klatce. Jej skóra zwiędła i złuszczyła się płatami. We mnie szalał głód. Niespokojny, dziki. Wysysałam ją do cna.

To było takie łatwe. Jak oddychanie. Przepelniała mnie śmierć. Nie czułam żalu ani litości. Ta istota we mnie wsunęła mi się do serca niczym brakujący klawisz fortepianu - wrócił na miejsce, by stworzyć idealny dźwięk. Pojedynczy, czysty ton. 1

To muzyka sprowadziła mnie z powrotem. Pomyślałam o Grancie. A wtedy oczyma wyobraźni zobaczyłam też matkę. Usłyszałam jej głos.

„Okrucieństwo nie jest niezbędne. Stanowczość, owszem. Tak, będziesz musiała zabijać, ale jedno różni się od drugiego. Jedno jest nikczemne, a drugie pozwoli ci przeżyć”.

Ahsen wrzasnęła. Puściłam ją, ale to już nic nie dało. Jej kości pękały, skóra zniknęła z wysuszonych wiązek mięśni. Zee się ode mnie oderwał i resztki jej ciała zmieniły się w jego szponach w pył.

Cofnęłam się. Nie rozpoznawałam samej siebie. Czułam tylko głód. Przypomniał mi się bar na odludziu gdzieś w Wisconsin, czułam wspomnienie istoty pod moją skórą. Teraz znowu się obudziła.

Chciała się wydostać na wolność. W błysku chwili uświadomiłam sobie, czego bała się moja matka, czego nie mogła wyjawiać. Co próbowała mi wyjaśnić babcia.

„Zasłona słabnie, tak samo, jak my”, rozległ się głos babci w mojej głowie. „Mury wokół naszych serc nigdy nie miały upaść, ale upadają”.

I jeszcze: „Pozostań wierna sobie”.

- Starczy - wyszeptalam, a ciemna istota w środku zaprotestowała.

Łagodnie zepchnęłam ją w głąb i ta łagodność chyba ją zadziwiła. Ciemność zafalowała, po czym się cofnęła miękko, z poszumem. Wyczekujący cień osunął się na samo dno mojego serca.

Chciałam wypuścić miecz z dłoni. Próbowałam go od siebie odtrącić, ale był powiązany z pierścieniem, a pierścienia nie mogłam zdjąć. Zmniejszy się, no już, nakazałam mu w myślach. Miecz błysnął raz i po chwili nie było już nic poza pierścieniem, teraz większym - obejmował cały palec, a na zgięciu miał dziwny zawias. Spojrzałam na obie dłonie, odwróciłam je wierzchem do góry. Bolały. Moje ciało wydawało się nierealne. Nic nie było realne. Usłyszałam mewy. Klaksony samochodów. Otaczała nas spokojna noc.

- Kim jestem? - westchnęłam.

- Tropicielką - odpowiedział Oturu. - Ostatnią. Wbiłam w niego wzrok. Nie słyszałam bicia własnego serca. Nie słyszałam myśli.

- Tropicielko - szepnął Oturu, którego płaszcz powiewał dookoła mnie.

Nachyliłam się do niego. Nie mogłam się oprzeć. Czarne włosy objęły moje ramię, a otchłań ciała - choć dotknęła mojej skóry tylko przelotnie - przyniosła mi dziwną przyjemność. Naganiacz przyklęknął i przejechał palcem w pył pozostałym po Ahsen. Zee i reszta zebrali się blisko. Odepchnęli go na bok. Zaczęli lizać ziemię. Zebrało mi się na wymioty i musiałam odwrócić wzrok.

- Tak więc... - mruknął Oturu - Teraz już nie śpisz. Wypuściłaś na wolność to, co tkwiło zamknięte w twoim sercu.

Poczułam śmierć Ahsen. Czułam jej życie w żyłach. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie jej wędną twarz, lecz gdy je otworzyłam, zobaczyłam, że Naganiacz badawczo mi się przygląda.

Bałam się tej przenikliwości. Bałam się samej siebie. Odwróciłam się i spojrzałam na Oturu.

- Czy to był Łów? Czy właśnie o to cały czas chodziło?

Demon schylił głowę.

- Istnieje wiele różnych Łowów. To one nas określają i odnawiają. Tak samo jest z tobą, Tropicielko. Rodzimy się we krwi i umieramy we krwi, ale za życia musimy natchnąć swoje żyły ogniem i znaleźć nowe ścieżki, którymi moglibyśmy kroczyć. - Kosmyk włosów postukał go w głowę. - Ścieżki gdzieś tutaj. Tego chciała twoja matka.

Naganiacz podszedł bliżej i wyciągnął do mnie rękę. Przyjęłam ją. Musnął moją dłoń kciukiem. Jego wzrok był nieodgadniony. Zee, Raw i Aaz otoczyli mi nogi ramionami. Ich mruczenie utonęło głęboko w kościach.

Poszliśmy do domu.

Epilog

Dwa dni później siedziałam w biurze Jacka Meddle'a w centrum miasta pośród książek. Razem z Grantem pomagaliśmy mu sprzątać.

Tego samego ranka Suwanai i McCowan wstąpili do przytułku, lecz, o dziwo, nie miało to nic wspólnego z morderstwem Sarai. Nikt nie wiedział, że ona nie żyje. Wszyscy myśleli, że wyjechała.

Zabójca Badelta, jak nas poinformowali, nadal był na wolności, ale mnie już nie podejrzewano. Zero dowodów. Dobre alibi.

Niespecjalnie podniosło mnie to na duchu. Ostatecznie zginął człowiek.

Zginęła też Sarai, choć Jack mnie zapewniał, że ona żyje. No cóż, może w innym wymiarze. Przypomniał mi się mój sen. Sarai jako jednorożec, z krwi i kości. Byłam prawie gotowa w to uwierzyć. Prawie.

- Do galerii wezwano policję. - Spojrzałam badawczo na Jacka. - Wiem, bo tu byłam. Zostawiłam ciało.

Podniósł kawałek potłuczonej ceramiki i odwrócił go do góry nogami.

- Nie zadawaj zbyt wiele pytań, moja droga. Powiedzmy tylko, że sprawa została załatwiona.

- To brzmi jak pogróżka - stwierdził Grant, walcząc, żeby metroowy stos tomów o Mezopotamii się nie przewrócił.

Popchnął stertę raz, potem znowu, mocniej, ale cały czas się przechylała. Odepchnęłam go na bok i zaczęłam przekładać książki.

- Mówiłem, że układanie książek w kolumny to sztuka - powiedział Jack do Granta. - Ty masz swoją sztukę, chłopcze, a ja swoją.

Grant burknął coś pod nosem i spojrzał na starszego pana podejrzliwie. Ja też.

Dostrzegłam jakiś ruch po prawej. W drzwiach stał Byron. Przywłókł się tu za nami bez specjalnej zachęty. Kolejna niespodzianka, kolejny surrealny zwrot w moim życiu. Mieszkał w przytułku, w swoim małym mieszkanku. Grantowi udało się odwrócić uwagę opieki społecznej. Przynajmniej na jakiś czas.

„Odwieczne dziecko. Największa pomyłka. Skazany na wieczne życie jako chłopiec, wieczne zapominanie i wieczne błąkanie się”.

Nie wiedziałam, co to znaczy, ale za każdym razem, gdy widziałam Byrona, brzmiał mi w uszach głos Ahsen.

Wstałam, wytarłam ręce w dżinsy i ruszyłam w stronę chłopaka. Tkwił w progu, z różowym pudełkiem w dłoniach - coś na ząb z piekarni za rogiem. Twarz miał nadal pokaleczoną, a oczy ziały mu pustką. Lecz jak na dzieciaka z połamanymi żebrami całkiem szybko dochodził do siebie. No i był tutaj, mimo wszystko nie uciekł.

Był więcej niż człowiekiem. I nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Eee... przyniosłem pączki.

Podał mi pudełko i sięgnął do kieszeni po zmiętą resztę.

- Dzięki.

- Wszystko się zgadza - dodał wyraźnie skrepowany. - Mam rachunek, jeśli chcesz przeliczyć.

- Wierzę ci. - Pacnęłam go bardzo delikatnie w ramię. - Wyluzuj, mały.

Byron wzruszył ramionami i spojrzał na Granta, a potem na Jacka.

- Doceniam twoją pomoc - powiedziałam. Przesząpił z nogi na nogę. Nieśmiały, smutny, zamyślony.

- To ty mi pomogłaś.

- Przeze mnie ci się dostało.

- Pomogłaś mi. - Spojrzał mi prosto w oczy, a potem się zachwiał i przełknął ślinę. - Ja... widziałem rzeczy, których nie rozumiem. Ale to nie ty mnie skrzywdziłaś. Nie ty.

Teraz ja poczułam się niezręcznie.

- Ten stary znał Briana? - ciągnął Byron.

- Partnerka w interesach Jacka była jego żoną. Chłopiec kiwnął głową i zagryzł dolną wargę.

- On mi się wydaje znajomy. Nie potrafię powiedzieć dlaczego.

Ja też nie bardzo to wiedziałam. Jack niczego nie wyjaśnił.

Zrobiłam krok w prawo i spojrzałam za siebie. Grant z Jackiem, pochyleni nad rosnącymi stertami książek, klócili się o coś półgłosem.

- Chcesz porozmawiać z Jackiem? - zapytałam Byrona.

- Nie - odparł i się cofnął. - Pójdę na dół, pooglądam sobie obrazy.

I już się zmył. Bez słowa pozwoliłam mu odejść, widząc jego pośpiech i napięcie. Coś jeszcze, coś instynktownego. Bałam mu się powiedzieć, kim jest dla mnie Jack. Byłam z tego dumna, a jednak czułam, że powinnam trzymać to w tajemnicy. Ukrywać bardziej nawet niż obecność chłopców, cel swojego życia i to, że więzienie otacza świat. Jack Meddle, grób, śmiertelna zagadka.

Zaniosłam mężczyznom pączki, po drodze chowając banknoty do kieszeni. Pod płaszczem poczułam noże. Pod płaszczem po matce. Oturu zostawił go na dachu razem z bronią. Drobiazgi.

Magicznego kręgu jednak nie zostawił. Zgodziłam się, by go schował, gdy jeszcze żyła Ahsen, ale teraz, kiedy umarła, chciałam go odzyskać. Potrzebowałam tego kamienia, choćby tylko po to, by go trzymać w rękach. W tym magicznym kręgu mieszkała moja matka. Jej duch. Jej myśli. Jej wspomnienia o babci.

Ale Naganiacz i Oturu zniknęli. Od tamtej nocy ich nie widziałam.

- Byron? - domyślił się Grant, otwierając różowe pudełko. - Znowu się ulotnił?

- Poszedł na dół. - Posłałam Jackowi przeciągłe spojrzenie. - Wyjaśnisz mu w końcu, kim jest i co go z tobą wiąże?

Starszy pan zacisnął szczękę. Opryskliwie odgonił Granta ręką.

- Idź do kuchni, chłopcze. Niepotrzebne mi tu okruchy ani lepkie odciski palców na książkach.

Grant zerknął na aurę Jacka. Myślałam, że coś powie - a mógł poruszyć mnóstwo tematów, poczynając od Byrona, a kończąc na Mary - lecz on tylko się zgarbił, nachylił i pocałował mnie w usta. Smakował lukrem. Przywarłam do niego mocno. Westchnął mi przy wargach, po czym odsunął się z ponurą miną, której przeczyło ciepło jego spojrzenia. Wepchnął sobie pół pączka do ust, spojrzał twardo na Jacka i wziął różowe pudełko. Pokuśtykał do kuchni z głośnym stukotem laski.

Patrzyłam za nim, aż zniknął mi z oczu.

- Jack, dlaczego Ahsen bała się Granta? - spytałam bardzo cicho.

- A ty czemu się go boisz? - odparł, ważąc słowa. Spojrzałam na niego ostro.

- Wcale się nie boję.

- Ale jesteś przy nim ostrożna. Rozważasz różne możliwości.

Odetchnęłam głęboko i policzyłam do trzech.

- Nazwała go jakoś.

- Imiona nic nie znaczą - powiedział szorstko Jack i rzucił mi książkę. - Masz. Chyba ci się wcześniej podobała.

Miałam ochotę dalej się z nim spierać, ale zobaczyłam tekst o Dzikim Łowiu. Prawie się roześmiałam, gdy przeczytałam tytuł. Miałam wrażenie, że od czasu, gdy po raz pierwszy miałam tę książkę w rękach, minęły całe wieki, że to była inna Maxine Kiss.

Podwinęłam rękawy. Z przedramienia mignął mi wytatuowany tyłek Zee. Przysiadłam na stercie encyklopedii. Otworzyłam grubo tom, zaciągnęłam się zapachem starej skóry i w kilka chwil znalazłam napisaną ręcznie notatkę, którą zaczęłam czytać zaledwie parę dni temu.

To zaczyna się w nas, ten łów, ten dziki, szalejący łów, który odzwierciedla naturę wieku i niszczy, by inni mogli się odrodzić. To dlatego, jak sądzę, przewodnik łowu musi się tak często zmieniać, bo zmieniają się wieki, a to, co definiuje jedną erę, nie może definiować następnej. Trzeba nowego głosu, nowego serca.

Lów jest zdefiniowany przez serca, dobre lub złe. Nauczylismy się tego w najbardziej brutalny sposób i znów będziemy się uczyć. Nie mamy wyboru. Ten przerażający omen, tak głęboko zagrzebany w naszych wspomnieniach, że aż zatopił się w ludzkiej krwi, otwiera się i zamyka wciąż na nowo. Coraz szybciej niczym szum skrzydeł. A gdy ustanie, upadniemy.

Nie wolno nam zacząć na nowo. Zbyt duże ryzyko. Lecz, jak powiedział Tacyt: Żaden wróg nie oprze się dziwnej, diabolicznej wizji, bo w bitwach zawsze najpierw przewycięza się oczy.

Najpierw przewycięza się oczy. Tak. A może raczej... może... oczy otwierają się pierwsze. A z nimi otwiera się... nadzieja. Musimy mieć nadzieję. I wiarę. Musimy. Nie ma nikogo straszniejszego od przewodniczki łowu. Nikt nie wzbudza większego strachu. Jej pragnienia nie pozostają niezrealizowane. Jej życzenie jest rozkazem. Dlatego jej serce musi być mocne. Koniec świata śpi w jej piersi. To bestie, które w ciemnościach pochłoną same siebie.

Doczytałam stronę do końca. Nie mogłam się powstrzymać. Te słowa zapadały we mnie, jakby każde zrobiono z ognia. Byłam przerażona i pobudzona. Zagubiona.

Podniosłam głowę i zobaczyłam, że Jack mi się przygląda. Grant nadal siedział w kuchni, poza zasięgiem wzroku.

- Boję się - wyznałam. - Co teraz?

- Idź do przodu - odpowiedział wznosie. - Tak jak chciały twoja matka i Jeannie. Z mocą, honorem i dobrocią.

- To nie takie proste, Stary Wilku. Więzienie się wali. Świat, jaki znamy, się kończy. A ja jestem ostatnia, Jack. Teraz w to wierzę. Gdy zasłona runie... - przerwałam. Pomyślałam o babci, poczułam dotyk jej dłoni, usłyszałam ją na tle silnego wiatru.

„Zajrzyj sobie głęboko w serce i walcz z katami. Zrób to, co się da, kiedy się da. Nie poddawaj się”. Nie poddawaj się. Nie.

Zagryzłam zęby i spojrzałam Jackowi prosto w oczy.

- Miałam coś w środku. Czułam to, gdy walczyłam z Ahsen. Było wygłodniałe. Silne. Pragnęło śmierci. Jeśli nie przestanę walczyć, mogę stracić nad tym kontrolę i...

Nie dokończyłam. Próbowałam o tym nie myśleć. To... bezimienne coś, pozbawione formy. Im więcej sobie przypominałam, tym wyraźniej czułam, że pierś mi pęka, jakby otwierały się drzwi. A za nimi coś się czaiło. Czyjeś zimne, wygłodniałe oko zaglądało mi w umysł.

Stanowimy jedność, powiedział cichy głos.

Nie, odpowiedziałam. Nigdy.

Jack wstał, przestąpił nad książkami i odepchnął na bok papiery. Przyklęknął i bardzo ostrożnie wziął mnie za rękę.

- Świat kształtują serca. Popatrz w siebie. Zaufaj sobie, Maxine. Zaufaj. Tak jak zaufała ci matka. Twoja babcia i wszystkie kobiety, które cię poprzedziły. Każda z nich wierzyła, że jej córka pozostanie sobą. Nie słuchaj tego, co mówią oczy. Sprawdzaj tutaj. - Położył mi dłoń na sercu. - Tak jak piszą w książkach.

- Ale mury i tak się zawalą. Nic tego nie powstrzyma.

- Nie - przyznał łagodnie. - Lecz gdy to się stanie, u twojego boku będą przyjaciele.

Pocałował mnie w rękę. Powstrzymałam go, gdy próbował wstać.

- Jesteś mój - wyszeptalam z zadziwieniem. - Dziadek Wilk. Pan Meddle.

Uśmiechnął się szerzej i przycisnął sobie moją dłoń do pomarszczonego policzka.

- Zawsze nim byłem, nawet jeszcze przed twoimi narodzinami.

I to wystarczyło. Niczego więcej nie potrzebowałam.

Podziękowania

Najszczerze podziękowania dla mojej redaktorki Kate Seaver. Ta książka powstała dzięki jej nieustającemu wsparciu, wnikliwości i życzliwości.

Chciałabym również podziękować moim korektorom Robertowi Schwagerowi i jego żonie Sarze.

JUŻ WKRÓTCE 2 TOM WOŁANIE Z MROKU

ROZDZIAŁ 1

Zombie miały przykry zwyczaj strzelania do mnie, celując w głowę. Większość wiedziała, że to daremne, ale i tak zawsze znalazł się ktoś, kto sądził, że mu się poszczęści.

Był poniedziałkowy poranek. Prawie świtało. Wokół latarni ulicznych z przepalonymi żarówkami leżały odłamki potłuczonego szkła; na chodniki padały cienie murów opuszczonych magazynów. Martwe miasto, martwa godzina. Seattle było ponurym miejscem, nawet za dnia i w pełnym słońcu. Jakby wybuchła tu kiedyś bomba atomowa, a grzyb po wybuchu nigdy się nie rozwiął.

Było też cicho. Żadnych odgłosów oprócz rżących oddechów i cichego skowytu; stukot moich kowbojek o betonowy chodnik oraz zgrzyt ostrzonych pazurów; i dudnienie pociągów towarowych wtaczających się na stację kolejową położoną za portem mieszające się z pomrukami wibrującymi lekko w moich uszach; dziecięca symfonia nadchodzącej burzy. Dobra muzyka. Przynosząca ze sobą poczucie bezpieczeństwa.

Odsunęłam z oczu mokre włosy.

- Zee. Trzymaj go mocniej.

On to Archie Limbaud. Wychudzony, żyłasty mężczyzna, z czupryną krótko przyciętych kasztanowych włosów przylepionych do wilgotnej skóry i nakrapianych dużymi łuskami łupieżu. Facet był po czterdziestce i śmierdział jak łazienka nastolatka: brudna i zalatująca fekaliami.

I był zombie. Nie z rodzaju tych rzeźników, co jedzą mózgi. Zwykły człowiek opętany przez demona, który zamieszkał w jego ciele. Praktycznie trup, jeśli chcecie znać moje zdanie. ,

Nie miałam ochoty go dotykać. Leżał rozciągnięty i na opustoszałym parkingu, pod żelaznym ogrodzeniem. p Zawartość jego portfela wałała się na ziemi przede mną. Więcej prezerwatyw niż banknotów wraz z pojedynczą kartą i kredytową i nieważnym już prawem jazdy. Minutę wcześniej 1 była tam też broń - pistolet kaliber 40 milimetrów, wycelo- 1 wany w moją głowę - ale to już przeszłość. Został pożarty. |

Nienawidziłam broni. Nienawidziłam zombie. Połą- § czywszy to z tym, co wiedziałam o opętanym mężczyźnie i leżącym u moich stóp, nie mogłam się zdecydować, czy i mam płakać, wrzeszczeć czy kopnąć tę gnidę w jaja. -:A

Ściągnęłam rękawiczki, wcisnęłam je do tylnej kiesze- f ni i wyciągnęłam dłonie. Mała ręka podała mi nóż sprężynowy. Piękna rzecz z trzonkiem z macicy perłowej i srebrnymi akcentami. Ostrze jak żyłotka, nadal lepkie od krwi. Z wygrawerowanymi inicjałami A.L. Pomachałam nim przed czerwoną twarzą Archiego, na co aura nad jego głową zamigotała gwałtownie.

- To ci dopiero noc - mruknęłam cicho. - Znalazłam ciało.

Archie nic na to nie odpowiedział. Możliwe że z powodu aluminiowego kija bejsbolowego przy swoim umił le. Ukradzonego pewnie Seattle Mariners, gdybym mlulit zgadywać. Z miejsca, w którym kucalam, widziałam miny stadionu Safeco Field - Zee i reszta chłopców przechodzili etap fascynacji bejsbolem. Na tapecie był teraz Babe Ruth, a Bill Russell poszedł w odstawkę. Niestety. Ale przynajmniej moi chłopcy nadal mieli obsesję na punkcie Bon Jovi. Gdyby i z tego zrezygnowali, załamałabym się. Za wiele zmian naraz.

Zee, Raw i Aaz przygwaźdzali Archiego do chodnika. Małe demony, małe ogary. Deszcz mżył. Mokra skóra demonów, o barwie postrebrzanej sadzy, lśniła jak tafla wody. Sterczące, ostre jak żyłteki pasma włosów oblepiały kanciaste głowy, a srebrzyste żyły pulsowały rytmicznie i na tyle głośno, że gdybym przytknęła do nich ucho, usłyszałabym dźwięk podobny do szarpania strun gitary basowej.

Czerwone oczy błyszczały jak rubiny. Stuknęłam Aaza w tył głowy nożem sprężynowym. Jego włosy przecięły stal, jakby to było masło. Raw złapał kawałki ostrza, zanim opadły na ziemię i wepchnął je sobie do ust, głośno przeżuając.

- Uważajcie na tchawicę - ostrzegłam Aaza. - Nie chcę, żeby żywiciel doznał krzywdy.

Aaz posłał zombie pocałunek i odsunął kij od posiniaczonej szyi. Archie zaczął kasłać, próbując poruszyć nogami. Nie miał szans. Raw siedział mu na kostkach, a Zee przyciskał jego nadgarstki do chodnika. Wprawdzie nie miażdżąc kości, ale był blisko. Moi chłopcy są silni.

Ciąg dalszy nastąpi...